

Nagroda BLOOD DROP
Islandzki kryminał roku

HORROR



YRSA

Sigurðardóttir

Islandzki wulkan znów czynny
„New York Times”

Niesamowita, duszna atmosfera
„The Times”

Yrsa wyznacza najwyższe standardy
„Sunday Telegraph”

Królowa skandynawskiego kryminału
goodreads.com

Ona pisała książki dla dzieci? Skandal!
„Gloomy Side”

Pamiętam cię

HORROR

Yrsa Sigurdardottir

Pamiętam cię

Tytuł oryginału: ***Ég man þig***

Projekt okładki: *Piotr Bogusławski*

Redakcja: *Lech Staszkiel*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*

Korekty: *Sławomira Gibka, Małgorzata Denys*

© Yrsa Sigurðardóttir 2010. Published by agreement
with Veröld Publishing, Reykjavik, Iceland. All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

© for the Polish translation by Jacek Godek

ISBN 978-83-7758-225-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2012

*Książka dedykowana jest moim wspaniałym teściom,
Ásrun Ólafsdóttir i Thorhallurowi Jónssonowi.*

*Specjalne podziękowania
za informacje na temat miejsc
na północnym zachodzie kraju
i historii Hesteyri
dla mojego kolegi z pracy Ingólfura Arnarsona,
moich wspaniałych przyjaciół
Halldóry Hreinsdóttir i Jóna Reynira Sigurvinssona,
nie zapominając o pani Birnie Pálsdóttir,
prowadzącej restaurację
w Domu Lekarza.*

Yrsa

Fale huśtały stateczkiem na wszystkie strony w rytmie, który trudno określić. Dziób unosił się leniwie, to znów opadał, a gwałtowniejsze ruchy miotają jednostką na boki. Szyper uparcie starał się uwiązać cumę do cienkiego stalowego polera, lecz można było odnieść wrażenie, że smagane wiatrami ruchome molo co chwilę robi uniki. Kapitan z mozołem powtarzał te same ruchy; ciągnął sfatygowaną cumę w kierunku przekłętego pachoła, lecz gdy już miał zarzucić przetartą pętlę, ktoś jakby celowo odsuwał pomost. Najwyraźniej ocean kpił sobie z nich, dając zdecydowanie do zrozumienia, kto tutaj rządzi. W końcu jednak udało się uwiązać łajbę. Nie wiadomo jednak, czy to falom znudziła się ta złośliwa zabawa, czy też górę wzięły doświadczenie i cierpliwość szypra. Zwrócił się do trójki pasażerów, nie okazując żadnych emocji:

– Proszę bardzo, tylko uważajcie, jak będziecie schodzić na ląd. – Skinął brodą w kierunku kartonów, worków i innych bambetli, które zabrali ze sobą. – Pomogę wam wszystko rozładować, ale nie mogę przenieść tego z wami do domu, niestety. – Zmrużył oczy i rozejrzał się po pomarszczonej tafli oceanu. – Najbezpieczniej chyba będzie, jak natychmiast wrócę. A kiedy stąd odpłynę, będziecie mieli dość czasu, żeby wszystko spokojnie przenieść. Gdzieś tam powinniście znaleźć jakąś taczkę.

– Nie ma sprawy. – Gardar uśmiechnął się do niego, ale nie uczynił nic, co mogłoby świadczyć o tym, że zacznie rozładowywać łajbę. Przeszepował z nogi na nogę i chuchał w dłonie, dodając sobie animuszu. Obserwował ląd, gdzie w oddali ponad granią górującą nad linią brzegu wznosiło się kilka domów. A jeszcze dalej błyszczały kolejne dachy. Słabe światło zimowe szybko blakło, choć dopiero co minęło południe. Nie będą musieli długo czekać na całkowity mrok.

– Nie wygląda mi to na jakąś metropolię – usiłował żartować.

– Nie. A spodziewałeś się tego? – Szyper nie krył zdziwienia. – Myślałem, że byliście tu już kiedyś. A może chcecie jeszcze raz się zastanowić? Chętnie przewiozę was z powrotem, gratis oczywiście.

Gardar pokręcił głową, pilnując się, by nie patrzeć w stronę Katrin. Ona jednak usiłowała złapać z nim kontakt wzrokowy, skinąć głową lub w jakikolwiek inny sposób dać mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu, by wracać. Nigdy nie cieszyła się tak jak on na ten wyjazd, ale też, prawdę mówiąc, nigdy nie protestowała. Poddała się raczej fali nastroju, szczeremu przekonaniu męża, że wszystko pójdzie zgodnie z życzeniami. Ale teraz, kiedy dopadły go jakieś wątpliwości, jej przekonanie także zaczęło się ulatniać. Sądziła, że w najlepszym przypadku będzie to tylko nieudana wycieczka. I wolała nie myśleć, co może się stać w najgorszym. Jej wzrok spoczął na Lif, opierającej się o burtę. Próbowwała odzyskać równowagę, którą straciła w porcie w Isafjörður. Po wyczerpującej

walce z chorobą morską wydawała się kompletnie bezradna. Nic nie przypominało tej pewnej siebie kobiety, która uparła się, by do nich dołączyć, nie bacząc na protesty Katrin. Nawet Gardar, zrazu pełen werwy, im bliżej brzegu, zdawał się coraz bardziej przygięty ciężarem nierealnych marzeń, które miał jeszcze przed rozpoczęciem podróży. Sama Katrin oczywiście nie czuła się lepiej. Siedziała na worku z drewnem opałowym. Usiłowała wstać. Ona, w przeciwieństwie do pozostałej dwójki, nigdy nie pragnęła tego wyjazdu. Jedynym pasażerem, który naprawdę chciał znaleźć się już na lądzie, był Putti, piesek Lif, który pomimo wcześniejszych obaw, że źle znieśnie trudy rejsu, okazał się wilkiem morskim.

Poza pluskiem fal panowała absolutna cisza. Jak mogło jej przyjść do głowy, że to się uda? We troje w samym środku zimy w opuszczonej osadzie na Dalekiej Północy, bez prądu i ogrzewania, z możliwością powrotu jedynie drogą morską... Gdyby coś się stało, będą zdani wyłącznie na siebie. Przybywszy do ziemi obiecanej, przekonała się, jak bardzo ograniczała ich wyobraźnia. Otworzyła usta, by przejąć inicjatywę i przystać na propozycję szypra, lecz zamknęła oczy, nie powiedziawszy ni słowa. Westchnęła tylko cicho. Chwila minęła, teraz już tego nie zmieni. Za późno, by się opierać. Wiedziała, że za to, iż znalazła się w tym beznadziejnym położeniu, winić może wyłącznie siebie. Miała przecież wiele okazji przeciwstawić się tym zamiarom lub wpłynąć na ich zmianę. Kiedy tylko pojawiła się sprawa domku, mogła wszak zasugerować, by go nie kupowali, albo usiłować odroczyć jego remont do lata, kiedy znów zaczną się regularne rejsy po fiordzie. Poczwała nagle zimny powiew powietrza i szczelnie zasunęła zamek kurtki. Oczywiście nic to nie dało.

Główna przyczyna tkwiła jednak nie w jej beczynności, lecz w pasji świętej pamięci Einara, męża Lif i najlepszego przyjaciela Gardara. Trudno teraz złościć się na niego, kiedy spoczywa pod ziemią, ale dla Katrin było jasne, że właśnie on ponosi największą winę za to, że sprawy tak się potoczyły. Dwa lata temu Einar udał się na pieszą wędrowkę po Hornstrandir i poznał trochę Hesteyri, osadę, w której znajduje się ten dom. Opisał im owo miejsce na krańcu świata, jego urok i spokój, niekończące się trasy pieszych wędrowek w niezapomnianej dziewiczej okolicy. Ale przecież to nie miłość do natury powodowała Gardarem; wyciągnął on wnioski z faktu, iż Einar nie mógł załatwić sobie noclegu w Hesteyri, gdyż jedyny pensjonat był przepełniony. Katrin nie pamiętała już, który z nich zaproponował, by sprawdzić, czy jakiś dom nie został wystawiony na sprzedaż i czy nie można by go zamienić w schronisko, bo też w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia; gdy tylko pojawił się pomysł, nie było odwrotu. Gardar pozostawał bez pracy już od ośmiu miesięcy i myślał tylko o tym, żeby znaleźć jakiegokolwiek zajęcie. Na domiar złego jego zapał podsycał Einar, który koniecznie chciał przyłączyć się do projektu, inwestując weń własną pracę i pieniądze. Lif także dolewała oliwy do ognia, wychwalając nieustannie ten genialny pomysł i kibicując im na swój zwykły beztroski sposób. Jej wścibstwo działało Katrin na nerwy. Podejrzewała, że Lif chce w ten sposób załatwić sobie odpoczynek od

męża, który musiałby często jeździć na północ, by remontować dom. Ich związek zdawał się leżeć w gruzach, lecz gdy Einar zmarł, Lif zaczęła okazywać bezgraniczny niemal smutek. W głowie Katrin pojawiły się głupie myśli, że przecież Einar mógł odejść, zanim dokonano zakupu nieruchomości. Tak się jednak nie stało. Zostali z domem i tylko jednym mężczyzną zainteresowanym jego gruntownym remontem. To, że Lif koniecznie chciała przejąć rolę męża i remontować dom w Hesteyri, miało niewątpliwy związek z żalobą, bo przecież ani nie przejawiała specjalnych zdolności budowlanych, ani ochoty do pracy. Gdyby postanowiła się wycofać, wówczas dom wróciłby na rynek, a oni siedzieliby teraz u siebie przed telewizorem, w bezpiecznym mieście, gdzie noc nigdy nie jest tak czarna jak w Hesteyri.

Kiedy stało się jasne, że zamierzenie nie umarło razem z Einarem, Gardar i Lif wyskoczyli na północ na weekend i popłynęli z Isafjörður do Hesteyri, obejrzeć budynek. Był w raczej opłakanym stanie, ale w niczym nie osłabiło to ich zainteresowania. Wrócili do domu z bogatą dokumentacją fotograficzną nieruchomości, a Gardar natychmiast zajął się planowaniem niezbędnych przedsezonowych prac. Oglądając zdjęcia, Katrin odniosła wrażenie, że budynek trzyma się wyłącznie dzięki farbie, Gardar zapewniał, że poprzedni właściciel dokonał wszelkich poprawek wymagających specjalistycznej wiedzy. A Lif z zapartym tchem opisywała niezwykle piękno tamtejszej przyrody. Wkrótce weszli w fazę przygotowywania budżetu i biznesplanu. Gardar podniósł cenę noclegów w zamieszczonej w pliku excelowym ofercie i rozmnożył liczbę miejsc do spania w niedużym piętrowym domku. Ciekawe będzie obejrzeć ten cud na własne oczy i zrozumieć, w jaki sposób on chce pomieścić tam tych wszystkich gości.

Katrin wstała, lecz z pokładu, z miejsca, w którym się znajdowała, nie była w stanie dostrzec domu. Sądząc po jedynym zdjęciu przedstawiającym panoramę okolicy, jakie wykonał Gardar, dom stał na skraju osady, ale raczej na wzniesieniu, więc powinien być widoczny. A co, jeśli runął po prostu po powrocie Gardara i Lif z rekonesansu? Minęły już przecież prawie dwa miesiące, a okolicę nawiedziło w tym czasie wiele sztormów i nawałnic. Miała zamiar zaproponować, by to szybko sprawdzili, zanim statek odpłynie, lecz w tym akurat momencie odezwał się szyper, obawiający się zapewne, że będzie musiał znieść ich z pokładu.

– No, w każdym razie z pogodą macie szczęście. – Podniósł wzrok do nieba. – Może się jednak zmienić wbrew prognozom, a wtedy bądźcie gotowi na wszystko.

– Jesteśmy. Spójrz tylko na te graty. – Gardar uśmiechnął się i znów w jego głosie pojawiła się dawna pewność siebie. – Myślę, że jedyne, czego powinniśmy się obawiać, to zakwasy.

– Ciekawe. – Szyper nie wyjaśnił, o co mu chodzi, i przeniósł karton na keję. – Mam nadzieję, że telefony macie naładowane. Jak się wdrapiecie na tamto wzgórze, powinniście złapać zasięg. Tu w dolinie nie ma nawet co próbować.

Gardar i Katrin spojrzeli w kierunku wzgórze, będącego raczej górą. Lif wciąż

gapiła się na czarną, pomarszczoną taflę oceanu.

– Dobrze wiedzieć. – Gardar poklepał się po zewnętrznej kieszeni kurtki. – Mam jednak nadzieję, że nie będziemy musieli z nich korzystać. Tydzień powinniśmy wytrzymać. A potem będziemy czekać na nabrzeżu, jak się umówiliśmy.

– Tylko pamiętajcie, że jeśli pogoda będzie marna, to nie przyplynę. Ale pojawię się natychmiast, jak tylko się poprawi. Gdyby tak się stało, to nie musicie czekać na nabrzeżu. Pójdę po was na ląd. Nie wytrzymalibyście tu ani chłodu, ani wichury. – Mężczyzna odwrócił się i spojrzął na fiord. – Prognoza nie jest zła, ale w ciągu tygodnia wiele może się zmienić. Nie potrzeba wielkich fal, żeby ta krypa zaczęła podskakiwać na wodzie jak korek, tak że nie mogą pływać w czasie niepogody.

– A jaka zła musi być pogoda, żebyś nie był w stanie wypłynąć? – Katrin usiłowała ukryć, jak bardzo ją teraz rozdrażnił. Dlaczego nie powiedział im o tym, zanim się dogadali co do transportu? Może wtedy wynajęliby większą łódź? Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że to było nierealne, większa łódź kosztowałaby drożej.

– Jeśli na falach przy brzegu pojawiają się białe grzbiety, to raczej nie wyruszam. – Znów spojrzął na fiord i skinął brodą. – Nie pływam, kiedy jest ich trochę więcej niż dziś. – Zwrócił się w ich kierunku. – Muszę się zbierać. – Przeszedł pod sterówkę i podał Gardarowi materac leżący na samym wierzchu bagaży. Wspólnym wysiłkiem przenieśli na ruchome molo skrzynie, wiadra z farbami, drewno opałowe, narzędzia i czarne worki na śmieci wypełnione po brzegi niefamliwymi sprzętami. Katrin przypadło w udziale przesuwanie dostarczanych na keję rzeczy tak, by nie dopuścić do powstania zatoru na jej końcu, a Lif darowano pracę. Miała z sobą wielkie kłopoty, udało jej się jedynie zejść na ląd i położyć na plaży. Piesek Putti podreptał za nią i biegał w tę i z powrotem po piasku, najwyraźniej szczęśliwy, że ma stały ląd pod łapami, ślepy na kiepskie samopoczucie swojej pani. Katrin miała pełne ręce roboty i czasem mężczyźni musieli wskoczyć na keję, by jej pomóc. W końcu cały bagaż spoczął na brzegu w długim szeregu; wyglądał jak swoista warta wystawiona na cześć przedsiębiorczych gości. Szyper zaczynał się już niecierpliwić. Najwyraźniej jemu bardziej zależało, by się uwolnić od towarzystwa Gardara i Katrin, niż im od jego. Jego obecności towarzyszyło poczucie bezpieczeństwa, które zniknie, gdy tylko stateczek schowa się za horyzontem; w odróżnieniu od nich szyper wiedział, jak stawiać czoło siłom natury, i z pewnością znał sposób na każdą przeciwność losu. Oboje mieli ochotę poprosić go, by został z nimi, lecz w końcu żadne nie ubrało tej prośby w słowa. Wreszcie odezwał się szyper:

– No, to już mi nic innego nie pozostało, jak tylko wyrzucić cię na ląd i odpłynąć. – Swoje słowa skierował do uśmiechającego się nieprzekonująco Gardara. Ten wspiął się do Katrin na molo i stali obok siebie jak kołki w płocie, patrząc w dół na wilka morskiego, który zakłopotany nieco odwrócił wzrok. –

Wszystko będzie dobrze. Mam tylko nadzieję, że wasza przyjaciółka dojdzie do siebie. – Wyciągnął rękę w kierunku Lif, która zdążyła usiąść. Biała kurtka była doskonale widoczna. Okrycie to jednocześnie dowodziło, jak bardzo oni wszyscy nie pasują do tutejszego otoczenia. – Patrzcie tylko, najwyraźniej zaczyna dochodzić do siebie. – Mężczyźnie nie udało się dodać im odwagi, jeśli miał taki zamiar. Katrin zastanawiała się, co on o tym wszystkim sądzi: małżeństwo z Reykjavíku, nauczycielka i ekonomista, tuż po trzydziestce, żadne jakby niegotowe, by brać się z życiem za bary, nie wspominając już o piątym kole u wozu, które ledwo pion potrafiło zachować. – Na pewno wszystko będzie dobrze. – Schrypnięty głos mężczyzny nie brzmiał specjalnie przekonująco. – Nie zwlekajcie tylko za bardzo z przeniesieniem rzeczy do domu, zaraz zapadnie zmrok.

Ciężki, kręcony lok zasłonił oko Katrin. W całej tej przedwyjazdowej gorączce zapomniała zabrać gumkę do włosów. Lif zaś, jeśli wierzyć w to, co mówiła, miała tylko jedną, którą w czasie rejsu upięła włosy z tyłu głowy, kiedy wymiotowała. Katrin spróbowała zaczesać kosmyk palcami, lecz wiatr natychmiast ponownie zmierzwił jej czuprynę. Włosy Gardara wyglądały o niebo lepiej, ale też były o wiele krótsze niż jej. Po ich butach trekkingowych widać było, że zostały zakupione specjalnie na tę wyprawę, a choć spodnie przeciwwiatrowe i kurtki nie były najnowsze, również nie wyglądały na często używane. Dostali je w prezencie ślubnym od rodzeństwa Gardara, ale dopiero teraz nadarzyła się okazja, by je włożyć. Lif kupiła biały kombinezon narciarski przed wyjazdem we włoskie Alpy i w tych okolicznościach zdawał się on równie na miejscu, co płaszcz kąpielowy. Ich blade lica świadczyły o tym, że nie przywykli do aktywności fizycznej pod gołym niebem. Wszyscy jednak byli w dobrej formie po ćwiczeniach na siłowni, choć Katrin podejrzewała, że kondycja może ich jeszcze zawieść.

– Czy możemy się tu spodziewać jakichś ludzi w tygodniu? – Katrin ścisnęła kciuki w tajemnicy przed mężczyznami. Wówczas istniałaby nadzieja, że mogliby wrócić wcześniej, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Szyper pokręcił głową.

– Niewiele wiecie na temat tego miejsca, prawda? – Nie bardzo mogli rozmawiać w czasie rejsu z powodu hałasującego silnika.

– Nie. Właściwie nie.

– Tutaj nie przyjeżdża nikt, chyba że latem, bo też i w środku zimy nie ma tu czego szukać. W jednym z domów ludzie nocują w sylwestra i z rzadka któryś z właścicieli wpadnie, by się upewnić, czy wszystko w porządku. Poza tym zimą nikt się tu nie kręci. – Mężczyzna zamilkł i przyglądał się wyrastającym ponad nabrzeżem budynkom. – A który właściwie dom kupiliście?

– Na samym skraju osady. Wydaje mi się, że to musiała być siedziba pastora. – W głosie Gardara pobrzmiwała duma. – Stąd go wprawdzie nie widać w ciemności, ale jest bardzo okazały.

- Co? Na pewno? - Szyper zdawał się zdziwiony. - W osadzie nie mieszkał żaden pastor. Dopóki kościół funkcjonował, pełnił w nim posługę pastor z Adalviku. Ktoś cię musiał wprowadzić w błąd.

Gardar lekko się zawahał, a przez głowę Katrin przemknęły najrozmaitsze myśli, między innymi ta pełna nadziei, że to wszystko razem jest jednym wielkim nieporozumieniem, żadnego domu nie nabyli i natychmiast będą mogli wracać.

- Nie, obejrzałem go sobie dokładnie i to była najwyraźniej siedziba pastora. W każdym razie na drzwiach wejściowych wyryty jest okazały krzyż.

Szyper nie bardzo potrafił dać Gardarowi wiarę.

- A kto jest razem z tobą współwłaścicielem tego domu? - Zmarszczył lekko brwi, jakby podejrzewał, że weszli w posiadanie nieruchomości wskutek działalności przestępczej.

- Nikt - odparł Gardar z marsowym czołem. - Kupiliśmy dom z masy spadkowej pewnego człowieka, który zmarł, zanim zdążył go wyremontować.

Szyper szarpnął za cumę i skoczył na nabrzeże.

- Lepiej wiedzieć, co tu się dzieje. Znam wszystkie domy w osadzie i zazwyczaj każdy z nich ma kilku właścicieli, najczęściej to rodzeństwa, potomkowie byłych mieszkańców tych domków. Nie kojarzę żadnego, który miałby tylko jednego właściciela. - Wytarł dłonie w spodnie. - Nie mogę was tutaj zostawić, chyba że będę miał pewność, iż macie gdzie spać i że to nie jest nieprzygotowana wyprawa. - Ruszył naprzód. - Wskaż mi ten dom z plaży, tam będziemy na tyle daleko, że światła łodzi nie będą nam mąciły widoku.

Poszli za nim, starając się nadażyć za tym niskim, ale za to stawiającym ogromne kroki mężczyzną. Zatrzymał się równie nagle, co ruszył, i niewiele brakowało, a byłiby go przewrócili. Doszli do miejsca, gdzie siedziała stanowiąca obraz nędzy i rozpaczy Lif. Katrin zauważyła, że zaczyna odzyskiwać kolory na policzkach.

- Chyba przestałam już rzygać. - Usiłowała bezskutecznie uśmiechnąć się do nich. - Zimno mi niewiarygodnie. Kiedy znajdziemy się w domu?

- Niedługo - odparł Gardar niezwykle zwięźle i najwyraźniej tego pożałował, bo dodał łagodniej: - Spróbuj się po prostu opanować. - Odepchnął od siebie Puttego, który ciesząc się na ich widok, zaczął się o niego ocierać. Zdenerwowany otrzepał piasek z nogawki.

Szyper zwrócił się do Gardara.

- Gdzie jest ten dom? Widać go stąd?

Katrin stanęła obok nich i czekała na odpowiedź w takim samym napięciu jak szyper. Chociaż wciąż miała przed oczyma zdjęcie wioski zrobione przez Gardara, trudno było jej skojarzyć tamten obraz z tym, co teraz widziała. Skupisko jakichś dziesięciu domów i kilku komórek tuż obok nich okazało się rozleglejsze, niż się spodziewała, i uderzyło ją, jak wielkie odległości dzielą poszczególne

zabudowania. Sądziła, że w tak odciętej od świata społeczności ludzie zechcą raczej mieszkać bliżej siebie i czuć się emanującą od sąsiada. Ale co ona tam wie? Tak naprawdę nie ma nawet pojęcia, jak stara jest ta osada. Być może ludzie potrzebowali ogromnych zagród dla swojej rogacizny albo ziemi pod warzywa. Przecież sklepu tam raczej nie było. W końcu Gardarowi udało się zauważyć to, za czym się rozglądał, i wyciągnął rękę.

– Tam, na samym skraju, po drugiej stronie strumienia. Niestety, zza wzniesienia porośniętego choinkami widać jedynie dach. – Opuścił rękę. – Czy to nie jest siedziba pastora?

Stary szyper mlasnął językiem, a kiedy się odezwał, wpatrywał się w dziewiczy dach wyrastający ponad pozótkłą roślinnością wzgórza.

– Zdażyłem już zapomnieć o tym domu. Ale nie, to nie jest siedziba pastora. Krzyż na drzwiach nie ma nic wspólnego z klechą. Poprzedni mieszkaniec uważał się za oddanego niebiańskiemu ojcu i synowi i uznał, że tak być powinno. – Zastanowił się chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił. – Dom nosi nazwę Ostatni Widok. Widać go z morza. – Mężczyzna jakby chciał coś jeszcze rzec, lecz znów zrezygnował.

– Ostatni Widok. Okej. – Gardar udawał, że nie wywarło to na nim żadnego wrażenia, ale Katrin przejrzała go na wylot. Najwyraźniej imponował mu fakt, że niegdyś dom należał do jednej z najważniejszych osób w osadzie. – Plebania w tak niewielkiej wiosce rzeczywiście może i byłaby przesadą. – Gardar przyglądał się budynkom dobrze widocznym z miejsca, w którym stali, poza ich własnym. – A czy swego czasu nie było tu więcej domów? Przecież jakieś na pewno musiały zostać rozebrane.

– Tak, racja. – Stary człowiek zdawał się nieobecny i zamyślony. – Domów było więcej. Wprawdzie nigdy nie mieszkało tu wiele osób, ale niektórzy zabrali stąd swoje domy, gdy się wyprowadzali. Fundamenty jeszcze stoją.

– A ty kiedyś w nim byłeś? W naszym domu? – Katrin miała wrażenie, że coś tu nie gra, ale z jakichś powodów facet nie chce powiedzieć co. – Dach się nie zapada? – Nie miała zbyt bogatej wyobraźni, by pomyśleć o czymś innym. – Na pewno będziemy w nim bezpieczni?

– Nie byłem nigdy w środku, ale dach na pewno jest w porządku. Początkowo poprzedni właściciele bardzo pieczołowicie usuwali wszelkie usterki. Zrazu każdy się stara.

– Zrazu? – Gardar mrugnął porozumiewawczo do Katrin i uśmiechnął się. – Więc najwyższy czas, żeby ktoś to dokończył.

Mężczyzna nie podjął Gardarowej próby rozluźnienia atmosfery, lecz odwrócił się tyłem do zabudowań, które trudno było nazwać wioską, i zbierał się do powrotu na nabrzeże. – Pójdę po coś na łajbę. – Stali jak wmurowani, nie wiedząc, czy mają na niego czekać, czy iść za nim. Postanowili ruszyć za szyprem.

– A wy dokąd? Nie zostawiajcie mnie tutaj! – Lif podniosła się z ziemi.

Katrin odwróciła się w marszu.

– Zaraz wracamy. Siedzisz tu sama od ponad pół godziny, więc kilka dodatkowych minut nic nie zmieni. Odpocznij sobie. – Nie dała Lif szansy zaprotestować, za to przyspieszyła kroku, żeby dogonić Gardara i szypra. Szyper zniknął na pokładzie, ale za chwilę znów się pojawił z otwartym plastikowym pudełkiem zawierającym nieznanne przedmioty. Wyjął zeń breloczek z normalnym kluczem do zamka zatraskowego i drugim nieco bardziej staromodnym.

– Weźcie na wszelki wypadek klucze do pensjonatu w domu lekarza. – Wskazał jeden z najbardziej okazałych budynków osady, doskonale widoczny z nabrzeża. – Powiem właścicielom, że ich wam użyczyłem; siostra żony prowadzi ten pensjonat, z pewnością będzie zadowolona, że macie gdzie się schować, jakby działo się coś złego. Śmiało możecie tam iść.

W powietrzu między Gardarem a Katrin wisi niewypowiedziane; nie wspomnieli szyprowi o swoich zamiarach uruchomienia konkurencji dla pensjonatu, do którego właśnie otrzymali klucze. Żadne z nich nic nie powiedziało. Katrin wyciągnęła rękę i wzięła od niego brelok.

– Dziękuję.

– I pilnujcie baterii w komórkach, a w razie kłopotów dzwońcie śmiało. W przyzwoitą pogodę jestem w stanie zjawić się tu w niecałe dwie godziny.

– To bardzo szlachetne. – Gardar objął Katrin za ramiona. – Ale nie jesteśmy aż tacy beznadziejni, na jakich wyglądamy, więc wątpię, byśmy musieli z tego korzystać.

– Wcale nie chodzi o was. Dom cieszy się nie najlepszą sławą i choć sam nie jestem przesądny, będę się lepiej czuł, wiedząc, że możecie schronić się gdzie indziej i macie świadomość, że możecie zadzwonić po pomoc. Czasem i pogoda płata tu figle, proste. – Skoro żadne z nich nie odpowiedziało ani słowem, życzył im powodzenia i się pożegnał. Coś mu odburknęli i pomachali, gdy szyper uważnie wyprowadzał swoją łajbę na wody fiordu.

Kiedy zostali już sami, Katrin poczuła dziwny niepokój.

– Co to znaczy, że dom cieszy się nie najlepszą sławą?

Gardar wolno kręcił głową.

– Pojęcia nie mam. Podejrzewam, że może wie więcej o naszych planach, niż zechciał wyjawić. Nie wspominał, że to jego szwagierka prowadzi pensjonat? Starał się nas po prostu wystraszyć. Mam nadzieję, że nie zacznie rozsiewać jakichś plotek o naszym domu.

Katrin milczała. Wiedziała, że to się kupy nie trzyma. Poza Lif nikt nie znał ich planów. Żadne z nich nie rozmawiało na ów temat z rodziną z obawy, że ktoś gotów odwieść ich od zamiarów. Wystarczy, że wszyscy współczują Gardarowi z powodu bezrobocia. Rodzina była przekonana, że jadą na północny zachód z okazji ferii zimowych u niej w szkole. Nie, stary człowiek nie mówił im tego, by

ich wystraszyć. Jakiś inny cel musiał mu przyświecać. Katrin żałowała, że nie nalegała, by im to wyjaśnić. I teraz wyobraźnia zwodzić ją będzie na manowce. Stateczek oddalał się szybciej, niż przed chwilą zbliżał się do lądu – tak się jej przynajmniej zdawało. Był już wielkości jej pięści.

– Strasznie tu spokojnie. – Gardar przerwał ciszę, jaka zapadła po odpłynięciu łódki. – Chyba nigdy nie byłem na podobnym odludziu. – Nachylił się i pocałował ją w słońawy policzek. – Ale bez dwóch zdań panuje tu dość dobry klimat.

Katrin uśmiechnęła się do niego, lecz nie spytała, czy zapomniał już o chorobie Lif. Odwróciła wzrok od morza, gdyż nie chciała patrzeć za znikającym statkiem. Wolała widok plaży i lądu. Lif stała już mocno na nogach i uparcie do nich machała. Katrin podniosła rękę, by jej odmachać, lecz opuściła ją natychmiast, gdy ujrzała, jak za ubraną na biało przyjaciółką coś szybko się porusza. Czarny jak smoła cień, sporo ciemniejszy od otaczającego ich mroku. Ponieważ zniknął równie szybko, jak się pojawił, Katrin nie zdążyła się zorientować, co to takiego. Ale odniosła wrażenie, że przypominało niskiego człowieka. Chwyciła kurczowo Gardara za ramię.

– Co to było?

– Co? – Gardar patrzył w kierunku, w którym wskazywała Katrin. – Chodzi ci o Lif?

– Nie. Coś się za nią poruszyło.

– Nie. – Gardar spojrział na nią zdziwiony. – Tam nic nie ma. Poza cierpiącą na chorobę morską kobietą w kombinezonie narciarskim. To na pewno był pies.

Katrin próbowała zachować spokój. Równie dobrze mogło się jej przywidzieć. Jednak Putti to nie był na pewno. Stał obok Lif i węszył. Może wiatr coś tu przywiał. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego to coś tak szybko zniknęło, choć oczywiście mógł się pojawić porywisty podmuch wiatru. Puściła ramię Gardara i starała się wyrównać i uspokoić oddech, pokonując cały pontonowy pomost. Nic nie powiedziała także, kiedy zbliżyli się do Lif. Za ich plecami rozlegał się chrzęst i trzask łamanej suchej roślinności, jakby ktoś ich śledził. Gardar i Lif jakby niczego nie zauważyli, ale Katrin nie potrafiła uwolnić się od wrażenia, że w Hesteyri nie są całkiem sami.

– Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić, ale raczej nie jakieś dzieciaki czy nastolatki. Chociaż i to należy brać pod uwagę. – Freyr włożył ręce do kieszeni i po raz kolejny ogarnął wzrokiem dzieło zniszczenia. Porozpruwane pluszowe misie i szmaciane lalki porzucane po podłodze niczym trociny, większość rozczłonkowana, z wyłupanymi oczami. – Na chłodno oceniam, że ów osobnik czy osobnicy mogą być niebezpieczni, choć na podstawie tych tu okropności trudno mi sformułować bardziej precyzyjną opinię. Ale jeśli to w czymś pomoże, uważam, że sprawca działał raczej sam. Przykro mi, że nie jestem w stanie powiedzieć teraz nic więcej. – Wbił wzrok w żółtą ścianę i w to, co pozostało z rysunków isafjördurskich przedszkolaków, czyli rogi kartek przyklejone do ściany za pomocą masy plastycznej. Pozostałości po rysunkach wały się po podłodze, porwane i wymięte kawałki grubego białego brystolu pomazanego jaskrawymi kredkami. Na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że wandal zerwał je w pośpiechu, by zrobić miejsce dla swojego przestania. Po dokładniejszych oględzinach okazało się jednak, że miał dość czasu, aby podrzeć rysunki na drobne strzępy. A na ścianie straszły niezgrabne kulfony. Nabazgrano je kredkami świecowymi, które połamane leżały teraz na podłodze pośród strzępów rysunków. Każda litera została wielokrotnie pociągnięta kredką. Nie dało się odgadnąć wieku osoby, która wypisała swe credo na ścianie, jeśli credem to można nazwać: *NIECZYSTY*.

Ściana na chwilę rozbłysła, co oślepiło Freyra.

– Masz jakieś podejrzenia co do tych bazgrołów? – Dagny opuściła klockowaty aparat fotograficzny, lecz nie odwróciła się do swojego rozmówcy, cały czas przyglądając się napisowi.

– Nie, żadnych. – Freyr skupił wzrok na jej pięknym profilu. Mimo że w twarzy Dagny była jakaś szorstkość, krótko obcięte i nieułożone włosy podkreślały jej kobiecość. Niewątpliwie wbrew intencjom. Nie miał pojęcia, czy to praca w policji kazała jej starać się ukryć seksapil, czy też taki miała styl bycia. Dagny była pod tym względem niezwykła. Przeważnie potrafił czytać w ludziach jak w otwartej księdze, a jej szczególne postępowanie wzbudziło jego zainteresowanie, pomimo że w zasadzie nie zareagowała na nieśmiałe propozycje zacieśnienia znajomości. Ona także zdawała się czuć dobrze w jego obecności w tych rzadkich momentach, gdy dane im było się spotkać, niemniej nie uczyniła ani nie powiedziała nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób zbliżyć ich do siebie. Zresztą to on częściej przejawiał inicjatywę, a ona raz traktowała go z rezerwą, to znów, co zdarzało się o wiele rzadziej, okazywała zaangażowanie. Ale wtedy on natychmiast pasował. Wątpliwości te nie miały z nią nic wspólnego, wynikały raczej z jego charakteru. Gdzieś tam w środku żywił przekonanie, że nie jest dla niej; zbyt poturbowany przez los, by wiązać się z nią lub jakąkolwiek inną kobietą. A potem lody

puszczały, lecz wtedy ona chowała się do skorupki i tak tkwili w tym piekielnym kręgu.

Po raz pierwszy od wielu lat nie wiedział, jak postępować w kontaktach z drugą osobą, co sprawiło, że wracał myślami do swego życia z czasów, zanim jeszcze stał się ekspertem od ludzkich zachowań. Bez wątpienia przyczyną tych trudności był fakt, że Dagny tak bardzo go oczarowała. Starał się jednak nad tym nie zastanawiać. Obawiał się, że nie zechce się przyznać, iż policjantka wywarła na nim ogromne wrażenie i że dalej będzie sam. Odwrócił się od niej i skoncentrował na ściennym napisie, o który właśnie spytała. Wolno pokręcił głową i westchnął. Zamyślił się.

– Oczywiście różne myśli kłębią się w mojej głowie, ale żadna z nich nie wygląda na celną.

– Przykład? – Jej głos był obojętny, takim głosem znudzone ekspedientki w piekarniach pytały go, czy chce, żeby mu pokroić chleb.

– Nieczyste dzieci Ewy, nieczyste pranie, nieczysta mąka, nieczyste pieniądze, siła nieczysta, nieczyści w Indiach. Ale nie sądzę, by to się w jakikolwiek sposób mogło wiązać z tymi tu aktami wandalizmu.

Dagny nawet powieka nie drgnęła. Znów podniosła aparat do oczu i nacisnęła spust. Nie wiadomo, co to zdjęcie miałoby wnieść. Za każdym razem dokładnie przyglądała się zdjęciu na niedużym wyświetlaczu, by upewnić się, że wyszło, więc nie miała raczej powodu przypuszczać, by wykonane do tej pory się nie udały. Przyszło mu do głowy, że Dagna traktuje aparat jak maskę, za którą się chowa.

– Myślałam, że psychiatrów uczą takich rzeczy. Chyba musicie wiedzieć, co się kryje za tym, co ludzie piszą w afekcie?

– Tak, ale przeważnie mamy więcej danych niż pojedyncze słowo. Może nie było mnie na zajęciach, kiedy omawiano włamanie do przedszkoli, w których wszystko niszczone i pisano tajemnicze hasła na ścianie? – Gdy tylko skończył, natychmiast zaczął żałować, że to powiedział. Dlaczego jej profesjonalna oschłość tak go drażniła? On sam też przecież nie jest żadnym wesołkiem, a i sytuacja nie skłania do żartów. – Proponuję, byście poszukali winnego, stosując wasze tradycyjne metody, a kiedy już go znajdziecie, pogadam z nim i spróbuję określić, jaki cel mu przyświecał. Ale póki co na niewiele mogę się przydać. – Tak naprawdę nie miał pojęcia, po co go tu ściągnęła, zakres jego obowiązków w Szpitalu Okręgowym w Isafjördur nie obejmował współpracy z policją, a jej postępowanie nie wskazywało na to, że liczy, iż jego opinia spowoduje przełom w śledztwie. – Chyba że chcecie, bym zbadał podobne przypadki w innych miejscach i wyciągnął z nich wnioski. Ale nie wiem, czy coś by to dało.

– Nie, nie. – Głos Dagny brzmiał beznamiętnie i oschle, lecz ocieplił się, kiedy szybko dodała: – Dzięki, ale nie trzeba.

Przez okna wdzierał się hałas dzieciarni. W normalnych okolicznościach

przebywałyby bez wątpienia w 6rodku i bawiły si6 lub rysowały kolejne obrazki maj6ce ozdobi6 6ciany 6wietlicy, lecz dzisiejszy poranek by6 szczeg6lny. Przedszkolanka, kt6ra przysz6a pierwsza, a6 si6 przerazi6a. Natychmiast zadzwoni6a na policj6 i podniesionym g6osem zg6osi6a w6amanie. Na miejsce wys6ano Dagny wraz ze starszym funkcjonariuszem. Freyr podejrzewa6, 6e po prostu zjawi6a si6 najwcze6niej w pracy i dlatego to w6a6nie j6 oddelegowano. Zazwyczaj policjanci zaczynali dy6ur dopiero o 6smej, ale Dagny wstaw6a oko6o sz6stej, niezale6nie od tego, czy pe6ni6a porann6 s6u6b6, czy nie. Jedyna r66nica polega6a na tym, 6e gdy mia6a porann6 s6u6b6, wychodzi6a z domu oko6o si6dmej. Najwyra6niej brakowa6o jej motywacji, by siedzie6 d6u6ej w czterech 6cianach. Doskonale o tym wiedzia6, bo 6e zajmowa6a dom naprzeciwnko niego, a jego poranna rutyna niewiele r66ni6a si6 od jej. Pod tym wzg66dem byli tacy sami, 6adne nie lubi6o traci6 czasu. I to go tak w niej oczarowa6o. W nielicznych d6u6szych zwi6zdkach w jego 6yciu kobiety zawsze usi6owa6y zacz6c dzie6n z op66nieniem. Nie rozumia6y jego potrzeby wczesnego wstawania, w zasadzie tu6 po otwarciu oczu, najlepiej jeszcze zanim gazeciarz przyniesie porann6 pras6. Potrafi6 sobie wyobrazi6, 6e kobieta dotrzymuje mu towarzystwa w kuchni, podczas gdy na dworze panuj6 jeszcze ciemno6ci i spok6j, a inni ludzie wci66 6pi6. Ale dalej jego wyobra6nia nie si6ga6a. Nie mia6 po66cia, czego oczekiwa6 od partnerki. Nie wiedzia6 ju6, czy wspomnienia poprzedniego zwi6zku, zanim naznaczony zosta6 tragedi6, realnie opisuj6 to, czego w nim szuka6, czy te6 widzi wszystko w zbyt r66zowych barwach. Tak naprawd6 to zna6 odpowied6, tyle 6e nie chcia6 spojrze6 prawdzie w oczy.

Podszed6 do okna i pierwsze, co zobaczy6, to w6asne odbicie w szybie. Wydawa6 si6 m6odszy, ni6 by6 w rzeczywisto6ci, co mia6o niew66tpliwie zwi6zek z tym, 6e stara6 si6 zachowa6 dobr6 form6 i nie dopuszcza6, by pojawia6y si6 dodatkowe kilogramy, kt6re ju6 widzia6 u swoich koleg6w z medycyny. Uwaza6, 6e to sprawiedliwe, poniewa6 podczas studi6w nie cieszy6 si6 r66wnie wielkim powodzeniem u kobiet, co oni. Na szcz66cie teraz kobiety zdawa6y si6 ceni6 jego wyraziste rysy twarzy i budow6 ci66a. Pomny tego, 6e chc6c zwr6ci6 na siebie uwag6 jakiej6 atrakcyjnej kobiety, musia6 za ka6dym razem chr66ka6, wo66a6 zbyt szybko nie traci6 zdrowego wygl6du. Kiedy6 oczywi6cie dojdzie do tego, co nieuchronne, ale do czterdziestki zosta6o mu kilka lat, wi6c nie sta6 jeszcze tu6 nad grobem.

Dzieciaki rozbieg6y si6 po placu. W ocieplanych kombinezonach wygl6da6y troch6 sztywno i przypomina6y kulki. Mimo 6e zima nale6a6a do cieplejszych, i tak by6o zimno i pod czapeczkami z pomponem rumieni6y si6 b6yszcz6ce policzki. Freyr potrafi6 doskonale wyobrazi6 sobie, 6e to zdarzenie spowoduje wzrost liczby wizyt w przychodni. W powietrzu szala6a grypa, a zbli6a6 si6 sezon na zapalenie uszu. Je6li dzieciaki nie zostan6 wpuszczone do 6rodka, zanim wn6trze zostanie posprz6tane, b6d6 musia6y sp6dzi6 reszt6 dnia na podw6orku.

- Kiedy dzieci wejd6 do budynku? - Freyr obserwowa6 dziewczynk6, kt6ra, potkn6wszy si6 o piaskownic6, upad6a.

– Jak skończymy. – Dagny pstrykała kolejne zdjęcia. Błysk w szybie świadczył o tym, że przesunęła się bliżej tanich półek leżących teraz na tym, co jeszcze niedawno mieściły. – Za chwilę pewno skończą zabezpieczanie odcisków palców na wszystkich obiektach, których wandal mógł dotykać, ale nie spodziewam się, aby to cokolwiek dało. Zdaje się, że każdy centymetr kwadratowy pokryty jest odciskami linii papilarnych. Nie ma więc sposobu, aby odgadnąć, które należą do sprawcy.

Freyr milczał i przyglądał się dzieciom. Gdyby zmrużył oczy, mógłby sobie wyobrazić, że cofa się o kilka lat w czasie, a to jest plac zabaw jego synka. I jedno z dzieci mogłoby nim być, po boisku biegało kilku chłopców poruszających się w podobny do niego sposób, a gdy spojrzeć na nich zza rzęs, łatwo siebie oszukać. Ale Freyr nie poddał się pokusie. Zbyt bolesny mógłby się okazać powrót z krainy marzeń do zimnej rzeczywistości, gdzie jego synek nie odgrywał już żadnej roli.

Otworzyły się drzwi i na salę wszedł Veigar, starszy policjant, który przybył na miejsce razem z Dagny.

– Jak leci? – Rozejrzał się wokół i potrząsnął głową. – Okropne. – Przyzwyczał się do pracy z Dagny, więc nie przeszkadzało mu, że nie odpowiada. Zamiast powtórzyć pytanie, zwrócił się do Freyra: – A może ty rozwiązałeś już za nas tę sprawę, doktorku?

Freyr oderwał się od okna i uśmiechnął do policjanta.

– Nie, niczego nie rozwiązałem, ale z pozostawionych śladów wysnułbym wniosek, że sprawcą jest zapewne osoba chora.

– Tak, żeby dojść do takiego wniosku, niepotrzebny nam specjalista ze stolicy. – Veigar schylił się, by podnieść złamaną nogę od krzesła. – Jakim człowiekiem trzeba być, żeby dopuścić się czegoś takiego? Nie mam ochoty wnikać w motywy tego szaleńca, chcę tylko wiedzieć, jak on to zrobił.

– Niczego nie oszczędził? – Freyr z grubsza obejrzał wcześniej salę, a po drodze do niej widział szatnię dzieciaków przy wejściu, która została zniszczona, wieszaki powyrywane ze ściany, podobnie jak półki nad nimi.

– Niewiele. Kuchnię na przykład kompletnie zdemolował.

– I to jest jedyne przesłanie?

Veigar podrapał się w głowę.

– Tak. Może chciał jeszcze coś napisać, ale zabrakło mu czasu. Pewno wykończyło go czynienie zniszczenia.

– Nie wiemy nawet, czy to był facet, czy kobieta. – Dagny nie podniosła wzroku. Chowała aparat do czarnej torby. – A równie dobrze mogła to być para albo i kilka osób. Jedna by sobie nie dała rady, nawet gdyby miała cały weekend do dyspozycji.

– Ale z całych sił musiał się starać, to pewne. – Freyr przesunął nogą stertę szyn od drewnianego pociągu, który został doszczętnie połamany. – Nikt nic nie

zauważył? Sąsiedzi albo przechodnie? Pewno musiał trochę hałasować.

– Nic nam o tym nie wiadomo. Nie udało nam się skontaktować z mieszkańcami wszystkich okolicznych domów, ale ci, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że niczego podejrzanego nie zauważyli, a w każdym razie niczego, co by ich zaalarmowało. Posesja jest dość duża i spora odległość od budynku do najbliższych zabudowań – odparł Veigar.

Czerwona łopatka z plastiku uderzyła lekko o szybę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Freyr. Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli po sobie.

– Pewno zaczyna im się nudzić na dworze – zauważył Veigar. – Trzeba podjąć jakieś decyzje, jeśli nie uda się ich wpuścić do środka. Do obiadu została tylko godzina, a jedyna ubikacja, do jakiej mają dostęp, jest w chwili obecnej zajęta.

– Rozmawiałaś z dyrektorką? – Dagny dość gwałtownie upchnęła aparat, by móc zamknąć torbę.

– Tak, i nie bardzo ją to cieszy. Rozumie sytuację i tak dalej, ale jest rozdrażniona. Dzieciakom zaczyna być zimno.

Freyr czekał, aż Dagny stwierdzi, że biedactwa mają to po prostu przeczekać, ale nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, przejawiała niezwykłą wręcz delikatność.

– Powinny dostać mniejszą salę za jakiś kwadrans. Była prawie pusta, więc nie ma dużo sprzętania. Zjedzą z talerzami na kolanach, bo żadnych całych mebli nie zauważyłam.

– Dam jej znać. Ucieszy się. – Veigar zniknął za drzwiami. Zostawił je jednak otwarte, tak że mieli doskonały widok na zniszczony korytarz.

– Chyba powinienem się zbierać. Myślę, że nie będzie ze mnie większego pożytku, jeśli w ogóle na coś się przydam. – Freyr skierował wzrok ku oknu i dzieciom bawiącym się na zewnątrz. Teraz zdawały się jeszcze bardziej znudzone niż wcześniej. Pewno głód zaczynał dawać znać o sobie. Freyr zwrócił szczególną uwagę na trzy-, może czteroletniego chłopca. Nie z tego powodu, że przypominał mu synka, lecz dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałych dzieci tkwił nieruchomo i patrzył na stojącego w oknie Freyra. Mina chłopca świadczyła o tym, że uważa go za przestępcę, który zniszczył przedszkole. Wprawdzie usiłowano nie zdradzać dzieciakom, co się stało, ale przecież musiały wyczuć, że coś jest nie w porządku. Chłopiec zdawał się niczego nie obawiać, ale jego wzrok i zacięty wyraz twarzy świadczyły o wewnętrznej wściekłości, skierowanej na Freyra. Freyr usiłował się uśmiechnąć i dać mu do zrozumienia, że to nie on jest winowajcą. Ale nic nie wskórał. Skamieniała twarz dziecka ani drgnęła.

– Machasz do tego tam? – Dagny stanęła obok i wskazała chłopca w zielonym kombinezonie. – Dziwny dzieciak. – Rozmasowała sobie ramię, jakby jej zmarzło, pomimo iż znajdowała się w ogrzewanym pomieszczeniu.

– Chyba uważa mnie za sprawcę. W każdym razie tak się na mnie gapi. A może

zesztywniał ze strachu?

Dagny wolno skinęła głową.

– Dziwne, że pozostałe dzieciaki się nie boją.

– Niewątpliwie jest kilkoro takich, które się przejęły, ale pewno zapomniały o lęku na placu zabaw. Większość dzieci posiada niezwykłą zdolność odsuwania od siebie przykrości, jeśli tylko stworzy się im po temu okazję. Ale ten mały z pewnością do nich nie należy. – Freyr nie mógł oderwać wzroku od chłopca. Inne dzieci natychmiast zareagowały na polecenie przedszkolanki, by iść na obiad. Chłopiec także musiał je słyszeć, ale nawet nie drgnął. Nagle zjawiła się obok niego przedszkolanka i zaciągnęła go do środka. Odchodząc, odwrócił się, by nie stracić Freyra z oczu. Stracili kontakt wzrokowy, dopiero gdy zniknął za rogiem.

– A to dopiero. – Dagny uniosła brwi i odwróciła się od okna. – Gdybym nie spotkała cię w weekend, musiałabym sprawdzić twoje alibi. – Uśmiechnęła się, co należało do rzadkości, a było grzechem w świetle tego, jak piękny i szczery miała uśmiech. Jego była żona uśmiechała się często i wyjątkowo pięknie, dopóki życie nie pozbawiło jej powodu do radości. Freyr odwzajemnił jej uśmiech, szczęśliwy, że w ogóle raczyła go zauważyć. Ale natychmiast znów spoważniała. – Może mam coś nierówno pod sufitem, ale to wszystko jakoś bardzo mnie niepokoi.

Frejr rozejrzał się po zdemolowanym pomieszczeniu.

– Nie. Skądże znowu. Masz pełne prawo się niepokoić, a nawet zastanawiać, co ów osobnik jeszcze wymyśli.

– Nie o to mi chodzi. Mam jakieś dziwne uczucie, jakbym o czymś zapomniała albo coś przeoczyła, jakby za tym wszystkim stała jakaś inna przyczyna niż chora chęć niszczenia, której dano upust. Miałam nadzieję, że będziesz mógł mi to wyjaśnić.

Frejr milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nie miał ochoty występować w roli jej psychiatry. Oględziny weekendowych zniszczeń w charakterze współpracownika policji to jedno, a stawianie jej klinicznej diagnozy to zupełnie co innego. Jednym z głównych powodów, dla których przyjął posadę w Isafjörður, była możliwość równoległego prowadzenia praktyki lekarza domowego. Nie potrzebowano tu psychiatry na pełen etat, a to bardzo mu odpowiadało. Dość miał kłopotów z samym sobą i nie potrzebował zagłębiać się w duchowe problemy innych przez wszystkie dni tygodnia. Zauważył, że Dagny przestępuje z nogi na nogę, niecierpliwie czekając na odpowiedź, więc szybko przemówił:

– Podejrzewam, że chodzi o splot różnych czynników, pierwszy to ten okropny widok, który u każdego wywołałby niesmak, drugim jest chęć odnalezienia winnego. Odczuwasz presję, żeby zakończyć oględziny na miejscu, więc dodatkowo stresujesz się, że możesz przeoczyć coś istotnego. Myśli jednocześnie krążą wokół tego wszystkiego, a efektem jest uczucie, które opisałaś. – Zatrzymał potok słów, choć spokojnie mógł jeszcze to ciągnąć.

– Rozumiem. – Nie wyglądała na przekonaną, ale nic więcej nie powiedziała, ponieważ na salę wrócił Veigar.

– Dagny, musimy się zbierać. Gunni i Stefan przyjechali, żeby to dokończyć, bo musimy jechać gdzie indziej. – Spojrzał na nią, dając do zrozumienia, że chodzi o coś o wiele poważniejszego niż profanacja przystani dzieciństwa, która miała tu miejsce.

Dagny szybko się pożegnała i wyszła za Veigarem. Freyr zdążył wykrzyknąć tylko głośne „cześć”, po czym drzwi się zatrzasnęły.

Został sam w pustym przedsionku, otoczony ogromną liczbą dzieci i przedszkolankami, które wprawnymi ruchami zdejmowały z maluchów kombinezony. Jedna z nich poprowadziła czwórkę dzieci na korytarz i powiedziała im, że zaraz dostaną jeść w małej salce gimnastycznej. Freyr puścił oko do kilkorga mijających go przedszkolaków i pożegnał się ze skupionymi na wykonywanych czynnościach pracownikami, które odpowiedziały na pożegnanie, nie podnosząc wzroku. Kiedy chwycił za klamkę drzwi wejściowych, poczuł silne szarpnięcie za nogawkę. Z uśmiechem spojrzał w dół. To chłopiec, którego obserwował na zewnątrz. Wciąż miał na sobie zielony kombinezon. Patrzył w milczeniu na Freyra uczepiony nogawki. Z jakiegoś powodu Freyr poczuł się skrępowany, choć przywykł do niewygodnych sytuacji ze swoimi pacjentami. Nachylił się do chłopca:

– Widziałeś tu policjantów? Pomagam im schwycić bandytę. – Chłopiec wciąż wpatrywał się w niego bez słowa. – Policja zawsze łapie złych ludzi.

Chłopiec wymamrotał coś, czego Freyr nie dosłyszał. Zanim jednak zdążył poprosić dziecko, by powtórzyło, jedna z opiekunek zawołała małego do siebie. Freyr wyprostował się i wyszedł. Najwyraźniej cały czas pozostawał pod wrażeniem zniszczenia, które tu zastał, bo zdało mu się, że dziecko szepnęło: NIECZYSTY.

Katrin siedziała na krawędzi niskiego tarasu na tyłach domu, przymknęła oczy i rozkoszowała się czystym powietrzem. Drewniana konstrukcja w jednym rogu się zapadła, więc musiała nachylić się w kierunku budynku, by utrzymać równowagę. Słońce wisiało nisko na niebie, jakby było osłabione. Zdawało się, że nie wytrzyma tam do końca dnia. Jego promienie nie były gorące, lecz chłodne. Katrin nie narzekała jednak, że spędziła noc w wychłodzonym domu. Nie wymagała też zbyt wiele od północnego słońca w środku zimy, człowiek cieszył się po prostu tym, co przyroda oferuje. Bryza delikatnie owiewała jej twarz, a świeży powiew przeganiał woń farby, którą przesiąknęły jej ciuchy i włosy. Czuła się nieskończenie wspaniale, oddychała tak głęboko, jak tylko pozwalały jej płuca. Zapach substancji lotnych zawsze wzbudzał w niej lęk, bowiem każdy oddech przypominał o mycie pobieranym od każdego tchnienia w postaci pewnej ilości komórek mózgowych. To pewne, że kiedy dziś zajmowała się malowaniem, musiała ich trochę stracić.

Otworzyła oczy i wyprostowała się. Jeśli nie liczyć szumu strumyka oddzielającego dom od reszty wyludnionej osady, wokół panowała absolutna cisza. Mało przyjemny bezruch. Skoncentrowała się na nasłuchiowaniu, ale nic to nie dało. Oboje z Gardarem poprzedniego wieczoru nie mogli długo zasnąć właśnie z powodu tej ciszy, i to mimo że byli wykończeni przenoszeniem rzeczy z nabrzeża do domu. Lif, która nie bardzo nadawała się do pomocy po chorobie morskiej, spała natomiast jak kamień. A ponieważ nigdzie nie znaleźli taczek, o których wspominał szyper, i wszystko musieli nosić sami, jej pomoc przydałaby się im. Katrin z początku postanowiła liczyć kursy z nabrzeża, lecz pogubiła się, gdy tylko zmęczenie dało znać o sobie. Nie pamiętała już, czy pokonywała ten dystans dwadzieścia, pięćdziesiąt, czy może sto razy. Problem z zakwasami to zupełnie inna historia. Na samą myśl o kolejnej wyprawie na nabrzeże bolały ją ramiona. Masowała więc obolałe mięśnie. Najbardziej rozczarowana była tym, że kilka lat męki i ćwiczeń na siłowni najwyraźniej niewiele dały. Zresztą już dawno podejrzewała, że tak będzie.

Rozsiała się wygodniej na podłodze tarasu i usiłowała dojrzeć Gardara i Lif na zboczu na zachód od osady, lecz zeschnięte łądygi arcydziegiela przesłaniały jej widok. Poprzez pozostałe rośliny nie sposób było dojrzeć krawędzi wzniesienia. Gardar twierdził, że zbocze powinno dosyć łagodnie wznosić się przez większość drogi, a za szczytem jest gwałtowny spadek i zaczyna się równina sięgająca prawie następnego fiordu na północ od nich. Katrin podejrzewała, że Gardar nie bardzo wie, jak wygląda rzeźba terenu. Ale teraz, gdy czuła się tak dobrze, nie chciało jej się wstać i rozglądać za nimi. Na pewno zaraz wrócą. Nie bardzo się orientowała, jak dawno wyruszyli, od wielu lat nie nosiła zegarka i zadowalała się wyświetlaczem w komórce. Niestety, bateria telefonu była zbyt cenna, by

włączać aparat. Jednak nie było ich już tak długo, że aż czuła satysfakcję, iż z nimi nie poszła. Szyper twierdził, że na szczycie wzgórza jest zasięg, ale może mylił się tak samo jak w sprawie taczek. Być może należało pokonać o wiele większy dystans w poszukiwaniu zasięgu. Wykończyłaby się, gdyby musiała biegać wte i wewte. W końcu Gardar sam może zapytać agenta nieruchomości, czy znalezione w domu kartony należą do masy spadkowej. Katrin uważała, że nie powinien teraz zaprzętać sobie tym głowy, zwłaszcza że komórki powinny pozostawać naładowane, na wypadek gdyby nastąpiło załamanie pogody lub gdyby trzeba było dzwonić po pomoc, ale jak już wbił sobie coś do głowy, to nie było sposobu, by go od tego odwieść. Dlatego nie protestowała. Nawet kiedy Lif, która była zbyt słaba, by pomagać im przy remoncie, oświadczyła, że chętnie się przejdzie, Katrin się nie odezwała, choć miała ochotę powiedzieć jej, żeby raczej spróbowała coś pomalować. Lif pewno tak bardzo chciała iść z Gardarem, bo doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdy tylko zostaną same, Katrin znajdzie dla niej jakieś zajęcie. Katrin nie była tak wyrozumiała jak Gardar, który powiedział Lif z rana, żeby po prostu sobie odpoczęła, dopóki nie poczuje się lepiej.

Katrin znów wyteżyła wzrok, wpatrując się w morze pożółkłych roślin w nadziei, że ich zobaczy. Może coś się im stało? Nie należeli do doświadczonych piechurów, a Lif była dodatkowo straszną niezdara. Uśmiechnęła się pod nosem. Przecież nic złego im się nie stało. Bo niby co mogło się stać? Poza ich trojgiem nie ma tu nikogo, a nie licząc licznych ptactwa, szarawy lis był chyba jedyną żywą istotą w okolicy. Krótkonogi obserwował ich z oddali, jak wieczorem przynosili swoje rzeczy, ale dziś jakoś lisa nie zauważyła, pewno obecność Puttego go wystraszyła. Katrin miała teraz wrażenie, że jest sama na świecie, tym bardziej że piesek postanowi pójść razem z Gardarem i Lif, pomimo że jego krótkie nóżki nie wyglądały na nadające się do górskich spacerów. Po raz pierwszy w życiu poczuła się aż tak samotna. Otoczenie i pusty dom za plecami zdawały się ją przytłaczać. Dlatego pragnęła towarzystwa choćby i lisa. Tyle że nigdzie nie było go ani widać, ani słyhać. Katrin nie miała pojęcia, czy lisy czuwają głównie nocą, czy w dzień. Miała nadzieję, że zwierzę się pokaże, ale wołałaby, żeby Gardar już wrócił. Lif oczywiście też. Katrin podniosła się i choć teraz całe zбочe miała przed sobą jak na dłoni, nigdzie ich nie widziała. To oczywiście nic nie znaczyło, oboje mieli na sobie ubrania w kolorach zlewających się z otoczeniem. Wyglądała jakiegoś ruchu na ścieżce, którą poszli. I wtedy nagle za swoimi plecami, w domu, usłyszała skrzypnięcie podłogi. Przeszedł ją dreszcz i podświadomie odsunęła się od źródła dźwięku. Najchętniej pobiegłaby na zбочe, tam gdzie oni teraz pewnie są. Rozluźniła się jednak równie szybko, jak spięła.

Ależ ona głupia! Przecież to stary dom. Takie pojedyncze trzaski nie są niczym szczególnym. Drewno pracuje na słońcu. Tyle że nie przywykła do panującej tu przygniatającej ciszy. Jednak krzyknęła, kiedy ktoś złapał ją mocno za ramiona i wrzasnął: Bu!

– Debil! – Katrin odepchnęła jego ręce i tupnęła nogą z wściekłości. – Przecież mogłam dostać zawału! – Nie lubiła, jak ktoś ją w ten sposób straszył, od

dzieciństwa. To była wściekłość także na tych, którzy przez lata tak z niej zartowali. – Nienawidzę, kiedy to robisz.

Zdumiony Gardar opuścił ręce.

– Sorry. Nie wiedziałem, że tak zareagujesz. – Jego mina świadczyła o tym, że żałuje tego, co zrobił, i Katrin przypomnieli się wszyscy malarze, którzy uwiecznili takie właśnie miny na swoich nieśmiertelnych płótnach.

– Strasznie mnie wystraszyłeś. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Nie jesteś debilem. Tylko nie mogłam się opanować. – Gardar wyglądał jak zranione dziecko, a ona poczuła ukłucie w sercu na myśl o tym, jak bardzo drażliwy stał się po długotrwałym okresie bezrobocia. – Dopiero co się podniosłam, licząc, że może was zobaczę na zbroczu, i zupełnie się nie spodziewałam, że podejdiesz od tyłu. – Pewno to Gardar spowodował skrzywienie podłogi w domu, kiedy przezeń przechodził. Nie dało się ukryć, że niejedna deska jest luźna lub zeschnięta; informowała o tym trzaskiem, gdy tylko się na nią stąpnęło. – Ale bardzo się cieszę, że już wróciłeś. Gdzie Lif?

Wyglądało, jakby Gardar zastanawiał się, czy jeszcze coś dodać, czy poprzestać na tym, co już powiedział, ale w końcu postanowił znów być wesoły. Uśmiechnął się i pogłaskał ją po włosach. Znów zobaczyła starego, dobrego Gardara; Gardara, który szybko piął się po szczeblach kariery w jednej z największych firm inwestycyjnych w kraju; Gardara, którego życie rozpieszczało; Gardara, którego pokochała.

– Jest w środku. Chce przygotować nam coś do jedzenia. – Pocałował ją w policzek. – Nie zamierzałem zachodzić cię od tyłu, nie miałem po prostu pojęcia, że jesteś taka szybka.

– Co? – Katrin nie rozumiała, o co mu chodzi. – Jestem jak ślimak, ledwo się ruszam przez te zakwasy.

– Niech będzie ślimak. Widzieliśmy cię przed domem, ale kiedy się zbliżyłem, wyrwałaś do środka z taką prędkością, że pomyślałem sobie, że właśnie wybuchł pożar. – Gardar znów pocałował ją w policzek. – Poszedłem za tobą i znalazłem za domem. Co się właściwie stało?

Uniosła brwi.

– Nie byłam przed domem. Skończyłam malować ścianę i wyszłam na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozglądałam się za wami. Może wam się przywidziało?

Gardar wzruszył ramionami. Wyglądał na równie zdumionego jej wyjaśnieniami, co ona jego opowieścią.

– Może i tak. Zjawił się tu ktoś, gdy nas nie było? Jakaś łódka?

Katrin potrząsnęła głową.

– Zgubiliśmy wczoraj coś, co mógłby porwać wiatr? Ciuch jakiś, koc? Słońce stoi tak nisko, że trudno cokolwiek rozróżnić. To na pewno był jakiś śmieć. A

może lis.

– Może. – Lekko kopnął sfatygowane deski tarasu. – Muszę to naprawić. Gdziekolwiek człowiek spojrzy, wszędzie coś do remontu.

– Przynajmniej moja ściana nie wymaga już roboty. – Katrin uśmiechnęła się szeroko. – Jest biała i piękna, gotowa na przyjęcie pierwszych gości. – Była mu wdzięczna, że zmienił temat rozmowy. Nie miała ochoty zastanawiać się, co Gardar i Lif widzieli czy nie widzieli. Sama myśl o tym, że ktoś jeszcze jest w okolicy, była absurdalna, a na dodatek nieprzyjemna. Po prostu nie przywykli do takiego spokoju i wyludnionego otoczenia. – Może najlepiej zabrać się za kolejną ścianę, póki widno? – Przypomniała sobie, po co Gardar poszedł na wzgórze. – I co powiedział agent? Dodzwoniłeś się?

– Nie odebrał. Trzeba jeszcze spróbować pod koniec dnia, przecież może gdzieś na mieście oglądać nieruchomości albo zajęty jest gdzie indziej. – Gardar obejrzał się na dom. – Zajrzemy do kartonów i jeśli się okaże, że to ewidentne śmieci, wtedy je po prostu wywalimy. Jeśli jest w nich coś cennego, a nie uda nam się z facetem skontaktować, to wszystko stąd zabierzemy. Wątpię, żeby mi się chciało co rusz wchodzić na górę i próbować do niego dzwonić. O wiele łatwiej znieść pudła na nabrzeże, kiedy będziemy wyjeżdżać.

Katrin westchnęła.

– Nie wspominaj przy mnie o noszeniu. – Nachyliła się do niego, objęła go oburącz w pól i oparła na nim swój ciężar. – Może to mnie będziesz musiał nieść. Czuję się gorzej niż rano.

– Ale na pewno nie dzisiaj. Nie ty jedna masz zakwasy. – Pocałował ją w głowę zamyślony, po czym się wyprostował. – Umieram z głodu. Skorzystajmy z tych naszych prześwietnych zapasów, z których Lif właśnie przyrządza coś do jedzenia.

Myśl o produktach z puszki, o chlebie i innych wiktuałach kupionych specjalnie na wyjazd wzbudziła w niej umiarkowany apetyt.

– Mam straszną ochotę na pizzę.

– Nie ma w ofercie. – Gardar uśmiechnął się bez przekonania. Uwolnił się z jej objęć i chyba miał zamiar wejść do środka. – W każdym razie mnie się nie chce iść znowu na wzgórze, żeby ją zamówić. Chodź, uraczymy się kanapkami, dopóki chleb jest jadalny. Strach pomyśleć, co nam zostanie do żarcia pod koniec pobytu, więc powinniśmy teraz jeść jak najbardziej urozmaicone posiłki, bo potem zostaną nam tylko chińskie zupki.

Przez okno widzieli, jak Lif krząta się w kuchni, gadając jednocześnie do siebie lub do psa. Katrin zadawała sobie pytanie, czy ta jej nagła decyzja, żeby sprawić sobie jakiegoś zwierzaka, może mieć coś wspólnego ze śmiercią Einara. Po jego odejściu Lif oczywiście nie miała w domu do kogo ust otworzyć, co musiało być trudne. Włożyła swoją dłoń w dłoń Gardara i oplotła swoimi palcami jego solidne, silne palce. Choć są już razem od ponad pięciu lat, dziwiła się czasem, jak do tego

doszło. Przez połowę podstawówki i całe liceum chodzili razem do szkoły, a on nigdy nie okazał jej cienia zainteresowania. Podziwiała go na odległość i tylko o nim marzyła. Należał do towarzystwa, do którego ona wstępu nie miała: przystojni, inteligentni młodzi ludzie z przyszłością nie mieli zbyt wiele wspólnego z dziewczyną, która nie była ani królową piękności, ani Einsteinem. Tamten świat należał do Gardara, Lif, Einara i innych, których życie w każdym aspekcie rozpieszczało. Ale dwa lata po tym, jak ich drogi się rozeszły, Gardar wpadł na nią w klubie nocnym i już jej nie puścił pomimo jej całkiem zwyczajnego wyglądu, pomimo że musiała zbijać dodatkowe kilogramy i poświęcać bardzo dużo czasu na naukę. Tego samego wieczoru Lif i Einar stali się parą i właśnie z powodu tych powiązań Katrin dostawała lekkiej gęsiej skórki na myśl, że Einara nie ma już wśród żywych, a Lif jest wdową. Wciąż musiała utwierdzać się w przekonaniu, że jej samej nie czeka taki los, mimo że ich związki rozpoczęły się tego samego dnia.

Gardar wyplątał swoją dłoń z jej dłoni i usiadł na podłodze tarasu. Kiedy zdejmował buty, które, jak twierdził, przyrosły mu do stóp, Katrin poszła do Lif. Zastała ją w kuchni, gdzie przechowywali zapasy jedzenia, choć nie było ani lodówki, ani bieżącej wody. Znajdował się tu wprawdzie zlew, najprawdopodobniej, jak podejrzewał Gardar, zasilany wodą ze strumienia, ale żadne nie miało pojęcia, jak sprawić, by woda zaczęła płynąć. Lif, odwrócona do niej plecami, kroїła chleb na wygiętej desce, którą znaleźli w jednej z szuflad. Przy każdym naciśnięciu noża deska uderzała w blat stołu. Katrin stanęła w drzwiach i przez ten stukot musiała podnieść głos:

– Jak było?

Tym razem to Lif się przestraszyła. Krzyknęła cicho i zadrżała, odrywając się od deski, która kołysała się na stole. Potem odwróciła się z nożem trzymany na płask na wysokości piersi, bo tam powędrowała jej ręka.

– Dżizas!

Katrin zrobiło się przykro, że nie była bardziej ostrożna. Cała złość na Lif za to, że się objażyła podczas remontu, minęła.

– Boże, przepraszam. Myślałam, że wiesz, że tu weszłam.

Lif przez chwilę wyrównywała oddech, po czym uśmiechnęła się i przemówiła:

– To nie twoja wina. – Opuściła nóż. – Jestem jakaś taka otumaniona od śmierci Einara. Wtedy nie umiałam być sama, teraz nie potrafię się znaleźć w towarzystwie. – Ponownie się uśmiechnęła. – Trochę to niefajne.

– Wyobrażam sobie. – Katrin nie miała pojęcia, jak zareagować. Lif była o wiele bardziej otwarta i wielokrotnie próbowała rozmawiać na temat śmierci Einara, ale Katrin wtedy zamykała się w sobie z obawy, że okaże się zbyt zimna, nienaturalnie serdeczna albo zrobi z siebie idiotkę w jakiś inny sposób. Nie potrafiła sobie oczywiście z tą sytuacją poradzić. Ale inaczej być nie mogło, Lif

musiała zauważyć, jak zgrabnie udaje jej się unikać rozmów o śmierci Einara. Natomiast Gardar był świetny, ku jej zdumieniu zachowywał się całkiem swobodnie, kiedy po największym szoku zmuszony był kontaktować się ze spuchniętą od łez Lif. Być może tak dotkliwie odczuł tę stratę, bo byli sobie bliscy. Najlepsi przyjaciele od podstawówki. Katrin szybko postanowiła nie postępować jak kretyńka. Mają mieszkać razem przez najbliższy tydzień i nie sposób cały czas unikać tego tematu, a kiedy już się pojawi, nie zmusi Gardara, by to wyłącznie on się odzywał. – To musiał być dla ciebie koszmar. I oczywiście nadal jest.

– Owszem. – Lif wróciła do krojenia chleba. – Wiesz, że pewna kobieta tu w Hesteyri widziała, jak w wodach fiordu toną jej mąż i syn?

– Nie. – Katrin nic nie wiedziała o dawnych mieszkańcach osady. Nie miała pojęcia, czy ta historia jest typowa dla tutejszych losów ludzkich, i interesowało ją to w dość ograniczonym stopniu.

– Ponownie wyszła za mąż, a jej drugi mąż też utonął. – Lif z pokrojonym chlebem odwróciła się do Katrin. – Moja żałoba przy tym blaknie.

– Człowiek wcale nie czuje się lepiej, kiedy innym jest gorzej.

– Nie. Ale sama myśl o tym, że inni brali się za bary z większymi problemami i jakoś je przewyciężyli, pomaga. – Odłożyła chleb na mały stolik kuchenny będący na wyposażeniu domu, po czym oparła ręce na biodrach i dość zadowolona przyjrzała się temu, co przygotowała. – Nie rozumiem, co się stało z szynką. Na pewno kupiliśmy kilka opakowań. – Spojrzała na Katrin. – Ale i tak niebywale eleganckie przyjęcie. Prawda? – Sięgnęła po paczkę sera w plastrach i położyła ją obok chleba.

Katrin skinęła głową.

– Jeszcze jak. – Uśmiechnęła się do Lif. – Pytanie, czy przy pensjonacie nie powinniśmy także otworzyć jakiejś stołówki.

Do kuchni wszedł Gardar, ciężko stąpając.

– Ale mnie nogi bolą. Te buty są kompletnie do bani. Nic dziwnego, kupiłem je na wyprzedazy.

– Głuptasie, zanim człowiek wyruszy w góry, to takie buty trzeba najpierw rozchodzić. – Lif pokręciła głową. – Nawet ja o tym wiem. – Podała Puttemu kawałek pasztetu, który ten wziął do pyszczka i zaniósł w kącie, gdzie się położył i go zjadł.

– Dzięki, że teraz mi o tym mówisz. – Gardar usiadł ostrożnie na zniszczonym fotelu, a one w napięciu patrzyły, czy ten udźwignie jego ciężar. Gdy się okazało, że nie zwałił się na podłogę, uśmiechnęły się do siebie.

Na płycie stał zniszczony czajnik, należący do poprzedniego właściciela staroświeckiej kuchni.

– Ciekawe, czy w tym piecu da się palić arcydzięgielem? – zastanawiała się Katrin, otwierając drzwiczki paleniska. Patrzyła w czarną pustkę pachnącą

popiołem. – Chętnie napiłabym się kawy, ale pewno nie ma sensu marnować na nią drew?

– Nie mam pojęcia. Może jakby go jakoś sprasować. – Gardar wyprostował bose stopy i poruszał palcami. – A może za szybko się pali, żeby zagotować wodę? Zawsze można spróbować. – Posmarował sobie chleb. – Ale i tak nie ma szansy, żebym włożył te buty i poszedł zbierać opał. Nie teraz. – Siedział wpatrzony w deski przy ścianie naprzeciwko. – Co z tą podłogą?

Obie spojrzały w miejsce, na które zwrócił uwagę. Lif wzruszyła ramionami.

– Plama, nic wielkiego. Przecież to stary dom, nie? – Sporych rozmiarów nieregularna plama zdobiła spojenie drewnianej podłogi i ściany.

– Podłoga jest nowa. Poprzedni właściciel ją położył. Stara na pewno była zbyt zniszczona, żeby dało się ją uratować, ale jeszcze nie całkiem do niczego. – Gardar zmarszczył brwi. – Jeszcze jedna usterka, którą musimy usunąć. A może listwa by to przykryła?

Katrin odwróciła wzrok od plamy, chwilowo nie interesowały jej dalsze naprawy.

– To lecę. Mam większą ochotę na kawę niż na jedzenie. – Szczelniej otuliła się grubym zapinającym swetrem. – Arcydzięgiel rośnie tu wszędzie, więc zaraz będę z powrotem. – Przyciągnęła do siebie czajnik. Wprawdzie jeszcze była woda w baniaku, który napełnili poprzedniego wieczoru i wspólnymi siłami wnieśli do domu, ale rozsądniej było wypłukać czajnik, zanim zaczną pić z niego wodę. Dla pewności poprosiła Gardara, by zerknął do środka i sprawdził, czy czasem nie ma w nim jakiejś zdechłej myszy czy czegoś równie obrzydliwego.

Ciemnym, ciasnym korytarzem poszła do tylnych drzwi. Słońce wciąż pozostawało na niebie, ale na dworze ochłodziło się trochę, pewnie głównie dlatego, że wiatr się wzmógł. Katrin zastanawiała się nawet, czy nie zrezygnować z wyprawy, ale chęć wypicia kawy zwyciężyła.

Nad strumykiem było jeszcze zimniej. Szczypały ją palce, gdy raz za razem zanurzała czajnik w wodzie. Kucnęła, oparłszy jedną nogę na kamieniu pośrodku strumienia, a drugą na podmokłym brzegu. Niewiele brakowało, a byłaby straciła równowagę i wleciała plecami do wody. Sama myśl o tym sprawiła, że uznała, iż czajnik jest już wystarczająco czysty. Napełniła go, podziwiając jednocześnie piękno wody przepływającej przed jej oczami. Nie była w stanie wyobrazić sobie niczego czystsze niż jej lśniąca powierzchnia. Zupełnie jakby strumień był z ciekłego metalu szlachetnego. W rwącej toni zobaczyła własne odbicie i dziękowała Bogu za szkwał. Nie miała ochoty oglądać plam farby na twarzy i we włosach. Czajnik był pełen. Katrin wyprostowała się. Ostrożnie, żeby nie rozlać wody. Nagle w tafli strumienia zauważyła kogoś za swoimi plecami.

– Lif? Gardar? – Odwróciła ostrożnie głowę, aby nie stracić równowagi. Ale ujrzała jedynie opadający teren przedzielony na dwie części przez strumyk płynący do morza. Potrząsnęła głową. Paranoja. To jasne, że Lif jest w kuchni i

szuka szynki, a bosa Gardar pochyla się nad odciskiem na pięcie. Poza tym nie jest przecież aż takim debilem, żeby wystraszyć ją drugi raz. Znowu spojrzała w toń strumyka i ponownie zobaczyła te same rozmyte kontury tuż za swoimi plecami. Nie sposób było stwierdzić, co to jest ani co powoduje to złudzenie. Odwróciła się, ale podobnie jak za pierwszym razem nic nie zauważyła. Na pewno słońce mamało ją w tak dziwny sposób, ale była zbyt zmęczona, by szukać dokładnego wyjaśnienia. Może to coś znajdowało się w strumieniu, a nie za jej plecami, jakieś kamyki na dnie albo roślinność wodna budząca się do życia. Przestała zastanawiać się nad tą zagadką – jeśli będzie tak tu ślęczeć, usiłując ją rozwiązać, nigdy nie napije się kawy.

Wróciwszy pod dom, delikatnie odstawiła czajnik na krzywy taras, bacząc, by naczynie się nie wywróciło, po czym zajęła się arcydzięgielom. Wyrывая pierwsze zeschnięte, pożółkłe rośliny, przypominała sobie nagle jednego ze swoich uczniów, który ostatniego dnia przed rozpoczęciem ferii zimowych żegnał ją jakiś taki smutny. Jak na swój wiek był niewielkiego wzrostu i niełatwe miał życie w klasie. Pierwszy rok nauki często bywa trudny, ale ten chłopiec nieprędko dopasuje się do grupy. Był ładnym, jasnowłosym, wielkookim dzieckiem; gdy weszła do klasy, stał bez ruchu w kurtce, ze zbyt dużym tornistrem na wąskich plecach. To właśnie jego oczy przykuły jej uwagę. Wyrażały smutek tak głęboki, że nie mógł mieć żadnego związku z nudnym dniem szkolnym. „Nie jedź, Katrin”. Odłożyła długopis na koślawe litery zapisane w zeszycie jego koleżanki, który właśnie miała zamiar sprawdzić, i uśmiechnęła się doń przyjaźnie. „O co ci chodzi? Przecież jeszcze nie wybieram się do domu. Mam tu trochę pracy”. Chłopiec chudymi rękami złapał za paski tornistra. „Nie jedź do złego miejsca. Bo nie wrócisz”. Katrin pomyślała sobie wtedy, że może jest chory i bredzi, ale jego blade policzki wcale o gorączce nie świadczyły. „Ja nie jadę do żadnego złego miejsca. Nie lubię złych miejsc i wolę być tam, gdzie jest mi dobrze”. Chłopiec dalej stał jak wmurowany, uchylił do połowy czerwone usta, obnażając białe, zbyt duże górne siekacze. A potem powtórzył z tą samą niechęcią w głosie: „Nie jedź do domu. Bo nie wrócisz”. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z klasy. Katrin nic mądrego nie wpadło do głowy, więc się nie odezwała. Już dawno zamknęły się za nim drzwi, kiedy przypominała sobie, że w klasie ani słowem nikomu nie wspomniała o planowanej podróży. Może ta krótka, acz dziwna rozmowa wywarła na nią większy wpływ, niż chciała przyznać, i dlatego teraz tak trudno zaakceptować jej to miejsce.

Skoncentrowała się na arcydzięgielu. Nie chciała pozwolić, by wyobraźnia zawiodła ją na manowce. Przyjazd tutaj to było marzenie Gardara i nie ma sensu przysparzać jemu i sobie zmartwień, wyobrażając sobie jakieś niestworzone rzeczy. Wyrывała jedną zeschniętą roślinę po drugiej i szybko zebrała ich całe naręcze. Nie na długo ich jednak wystarczy, nawet jak je jakoś ubiją. Położyła więc urobek obok czajnika i poszła dalej wyrывać. Coraz bardziej oddalała się od domu, wydeptując ścieżkę przez chwasty. Zdążyła już zebrać sporą ich ilość, kiedy nagle jej uwagę przykuło coś białego, połyskującego w niedużym

wgłębieniu. Zielsko porastało to miejsce jeszcze gęściej, więc musiała się nachylić i odgarnąć uschnięte rośliny. Natychmiast jednak cofnęła się, upuszczając zebrany do tej pory opał. O co tu, do diabła, chodzi?

– Gardarze! Lif! Chodźcie tu! Musicie to zobaczyć!

– Jeszcze o tym pogadamy, Saro. – Freyr miał ochotę odłożyć słuchawkę, upozorować brak połączenia. Przywołano go do telefonu. Ostatnim, czego potrzebował w tym długim dniu pracy, była rozmowa z jego byłą. A już na pewno nie w czasie dyżuru, kiedy ludzie ciągle wchodzą do pokoju i wychodzą. Temat rozmowy okazał się tak trudny, że nie sposób przeprowadzić jej tak, by osoby postronne się nią nie zainteresowały. W tej chwili nie było tu nikogo poza nim, więc chciał skończyć pogawędkę z Sarą, zanim w pomieszczeniu pojawi się kolejna osoba. – Wiesz, co sędzę na temat rozmów telefonicznych w godzinach pracy. – Mógł dodać, że zawsze uważał je za coś potwornego, ale nie chciał jej zbyt denerwować.

W słuchawce usłyszał przyspieszony oddech.

– Ale ty mnie w ogóle nie słuchasz. Gdybyś słuchał, nie musiałabym tego tak często powtarzać. – Głos miała słaby i wyższy niż zwykle.

Freyr zamknął oczy i rozmasował powieki. Zaczynała go boleć głowa, co charakteryzowało ostatni rok ich pożycia; tego nabrzmiałego pulsowania w skroniach nie łagodziły żadne środki przeciwbólowe.

– Słyszę wszystko, co mówisz, Saro. Tylko że nie wierzę w takie rzeczy, o czym ty doskonale wiesz. Ale dzięki, że mi o tym powiedziałaś. – Ostatnie zdanie wyrzucił wbrew sobie. Wolałby, aby zatrzymała dla siebie swój sen, w którym pojawił się ich synek z jakimiś wieściami z zaświatów.

– On źle się czuje tam, gdzie teraz jest. – Można było się spodziewać, że za chwilę Sara się rozpłacze.

– Saro. – Freyr coraz zapalczywiej tarł powieki. – Przestań. Nic na to nie poradzimy. Wtedy też nic więcej nie mogliśmy zrobić. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Benni już nie wróci. – Pod koniec jego głos załamał się trochę. Opuścił rękę i szeroko otworzył oczy. W swojej obsesji Sara tak często rozdrapywała ledwo zasklepioną ranę w sercu, że aż wykształciła się gangrena. Gdyby nie podjął decyzji, żeby od niej odejść, bez wątplenia zapiłby się na śmierć albo w jakiś inny sposób dokonał samozagłady. Pragnął uporać się z żałobą na własnych zasadach i nie miał ochoty, by Sara zakłócała mu ten proces obłędem, w który stopniowo popadała. Zanim wyprowadził się od niej, bał się powrotów z pracy do domu i opóźniał je, jak tylko mógł. To zresztą akurat nadal robił, co świadczyło tylko o pustce w jego domu w mieście, którego nie udało mu się poznać po półrocznym pobycie. – Musisz się pogodzić z rzeczywistością, dla samej siebie. Dla wszystkich. Ale teraz muszę się pożegnać.

– Przyszedł do mnie we śnie. Benni źle się czuje tam, gdzie jest, i chce, żebyś go odnalazł.

Freyr ledwie stłumił krzyk w gardle.

– Dzięki. Później się usłyszemy. – Odłożył słuchawkę i przez głowę przeleciały mu te same pytania, które sprawiały, że nie sypiał po nocach. Jak ich sześćioletni synek mógł zniknąć bez śladu w biały dzień? Gdzie się podział? Dlaczego go nie znaleziono? Freyr wstał i przez chwilę przyglądał się brzydkiemu, klockowatemu telefonowi, jakby spodziewał się w nim znaleźć odpowiedź.

– – –

Słabowite ciało poruszało się w górę i w dół.

– Nie chcesz czegoś na kaszel? – Freyr odłożył kartę starsuszka. – Jedna pigułka robi ci różnicę?

Mężczyzna w białej koszuli nocnej oznaczonej logo szpitala uśmiechnął się. Fioletowe wargi upodobniły się do dwóch cienkich kresiek. Sztuczna szczeka od dawna już była o numer za duża. Zdominowała twarz.

– Chyba nie. – Nader ostrożnie położył drżącą rękę na piersi poruszającej się w górę i w dół w słabym oddechu. – Połykam wszystko, co mi podajecie, kochanieńki.

– Skoro tak mówisz. – Freyr wiedział równie dobrze, co on, że dni mężczyzny są policzone. Miał grubo ponad dziewięćdziesiąt lat i cierpiał na raka żołądka. Ale Freyr był zbyt zmęczony, by dyskutować z nim o życiu i śmierci. – Ładna dziewczynka. – Wziął ze stolika zdjęcie w ramkach przedstawiające dziewczynkę z ciemnymi warkoczykami. – To twoja wnuczka, ta, która odwiedziła cię dzisiaj rano? – Jak tylko skończył mówić, dotarło do niego, że to się nie może zgadzać. Dziecko na zdjęciu było starsze niż mała, która wcześniej tego dnia przysłała tu ze swoją mamą.

Mężczyzna zaśmiał się krótko gardłowym śmiechem.

– Aleś ty bystry. Zdjęcie przedstawia Swanę, moją wnuczkę, ponad dwadzieścia lat temu. Teraz sama ma małą córeczkę. Obie cudowne i chętnie mnie odwiedzają. – Mężczyzna zmrużył rozbiegane oczy, koncentrując wzrok na dłoniach Freyra. – Nieżonaty? – Kolejny atak kaszlu zdusił śledztwo w zarodku.

– Rozwiedziony. – Freyr wyciągnął stetoskop. – Osłucham cię raz-dwa. Ten kaszel nie brzmi najpiękniej.

– A jaki brzmi pięknie? – Stary człowiek nie czekał na odpowiedź i kontynuował: – To wszystko bez sensu, przyjacielu, jeśli nie zamierzasz ożenić się ponownie i wolisz być sam, marnując życie.

Freyr skinął głową, przyznając starszuskowi rację.

– Liczę, że to się zmieni. Tylko że nie mam kobiety. Jakoś nie ustawiają się do mnie w kolejce. – Odkrył klatkę piersiową starsuszka i rozpiął koszulę. – Będzie ci trochę zimno, ale przecież doskonale o tym wiesz.

– Svana, moja wnuczka, która była u mnie wcześniej, jest sama. – Mężczyzna spojrzął Freyrowi w oczy. – To dobra kobieta i piękna. Dziecko jest z tej samej gliny.

Freyr uśmiechnął się do niego.

– Nie wątpię. Ale obie z pewnością są dla mnie za dobre. – Spojrzął na wielki zegar na ścianie nad drzwiami. – Ja tylko pracuję i pracuję. – Przyłożył końcówkę stetoskopu do pomarszczonej piersi mężczyzny. – Ile mała ma lat?

– Trzy. A jaka wygadana! – Stary zamilkł, kaszłąc na życzenie Freyra. – Przedszkole dziś rano było zamknięte, tak że moje światółko miało wolne i odwiedziło pradiadka. W nocy miały tam miejsce jakieś akty wandalizmu. To strasznie przykre. – Mężczyzna zamilkł i skupił się na głębokim oddychaniu, wdech i wydech, zgodnie z życzeniem. Gdy tylko Freyr schował stetoskop z powrotem do kieszeni, kontynuował: – Niektórych rzeczy, niestety, nigdy nie da się zmienić. Zawsze znajdują się jakieś łobuzy, które z radością uprzykrzą życie innym. W takim niszczeniu jest coś naprawdę przerażającego. Kiedy uczyłem w tutejszej szkole podstawowej, raz też zetknęliśmy się z podobnym aktem wandalizmu. Ależ mieliśmy koszmarny dzień! Bardzo współczuję pracownikom przedszkola, jeśli skutek był podobny.

– Wezwano mnie tam rano i widziałem, jak to wszystko wygląda. Rozumiem, o co ci chodzi. – Freyr zapiął mężczyźnie koszulę i przykrył go. – Pozostaje tylko mieć nadzieję, że złapią winnego.

– W to akurat nie za bardzo wierzę. Nigdy nie złapano tego, który wtedy zbezczeszczył szkołę. W tym życiu nie został rozliczony. – Stary człowiek smutno potrząsnął głową. – A niech to diabli, nic już dzisiaj nie pamiętam, ale nigdy nie zapomnę tamtego zniszczenia. W owych czasach wszystko miało o wiele większą wartość, nie można było pójść do najbliższego sklepu i kupić tego, czego akurat brakowało. Zatem straty były o wiele większe niż tylko moralne. Cała działalność szkoły jeszcze przez kilka lat mocno przez to szwankowała. – Staruszek dostał gwałtownego ataku kaszlu, po czym ciągnął bardziej schrypniętym głosem: – Musieliśmy nawet oszczędnie gospodarować farbą, zamalowując napisy, które wandal pozostawił na ścianie. Ale litery znikły całkiem, dopiero kiedy zdecydowano się odnowić całą szkołę.

Freyr grzecznie czekał, aż mężczyzna skończy mówić, by zająć się następnym pacjentem, lecz opowieść brzmiała podejrzanie znajomo. W południe usiłował skontaktować się z Dagny, żeby uzyskać informacje, czy coś się wyjaśniło, ale bez skutku. Nie było sposobu dowiedzieć się, czy dochodzenie posuwa się naprzód, czy też śledczy błędzą tak samo jak z rana. Wprawdzie niewykluczone, że Dagny oddzwoniła, ale Freyr trzymał swoją komórkę w szafie, by mu nie przeszkadzano w czasie pracy. Sara jednak niestety go przejrzała i wydzwaniała bezpośrednio na oddział.

– Mówiłeś, że na ścianach były jakieś napisy?

– Tak. Zupełnie niezrozumiałe. Autor z pewnością uznał ten przekaz za jasny, ale całkiem zrównoważony ten człowiek raczej nie był.

– I co to był za napis?

– Pojedyncze słowa, ale wielokrotnie powtórzone na ścianach w całym budynku. – Stary człowiek chrząknął, ale nie zakaszał, ku wielkiej uldze Freyra. – W mojej klasie napisano „brzydki”. Cokolwiek by to miało znaczyć.

– Brzydki?

Wodniste oczy starca spotkały się ze wzrokiem Freyra.

– Tak. Wolałem uznać, że wandal ma na myśli samego siebie i czyn, który popełnił. I dlatego przez te wszystkie lata miałem ów napis przed oczami, pomimo że ledwo prześwitywał przez farbę. – Mężczyzna podciągnął kołdrę pod brodę. – Trudniej było mi pogodzić się z tym, co napisał w auli.

– Co takiego? – Freyr skończył już swój dyżur i chciał jak najszybciej pójść do domu, wziąć ibufen na ból głowy i się położyć. Ale uległ pokusie, by jeszcze zadać to pytanie; poranne wydarzenia wywarły na nim większe wrażenie, niż się spodziewał czy skłonny był przyznać przed sobą.

– „Nieczysty”. – Głos starego zabrzmiał mocniej niż przed chwilą, jakby ciemny baryton z minionych lat obudził się do życia. Staruszek chyba poczuł ów przyływ energii i usiadł na łóżku. – W samej auli. Myślisz, że ktoś chce mieć taki napis przed oczami podczas uroczystości?

– Powiedziałeś „Nieczysty”? – Freyr sądził, że się przesłyszał. – Jesteś pewien, że nie mylisz tego z tym, co dziś rano twoja wnuczka powiedziała ci o przedszkolu?

Stary spojrział na niego z dezaprobatą i oburzeniem.

– Oczywiście, że nie. Mówiłem ci, że pamiętam tamto, jakby zdarzyło się wczoraj, a nie dziś rano. Na ścianie nabazgrano to właśnie słowo. Nieczysty.

Mina Dagny niewiele różniła się od miny starego, tyle że dezaprobatą zdawała się na stałe przyrośnięta do jej lica.

– I co? Wandal, który włamuje się do szkół raz na sześćdziesiąt lat? – Pokręciła głową. – Nie ma możliwości, żebym to kupiła. W takim razie facet, który działał dziś w nocy, miałby teraz co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. To się nie zgadza. Stary musiał usłyszeć o napisach podczas odwiedzin wnuczki dziś rano.

– Twierdzi, że jest inaczej. – Freyr usiłował ukryć rozdrażnienie. Jak tylko opowiedział o tym Dagny, zorientował się, jak idiotycznie brzmią jego słowa. Niemniej upierał się przy swoim, mimo że logika była po stronie policjantki. Dziwne uczucie opowiadać historię, którą trudno logicznie uargumentować. Tu akurat odgrywał rolę Sary.

- A czy czasem staruszek nie zbliża się do setki? - Na jej twarzy zagościł uśmiech, co się rzadko zdarzało. - Strzelam, że coś mu się pomieszało.

Freyr przyglądał się przepelnionym półkom na komisariacie.

- Nie zechciałabyś sprawdzić, czy istnieją jakieś akta tej starej sprawy? Rozwiałyby się wszelkie wątpliwości, czy facetowi pomieszał się rozum, czy nie. Wydawał się pewien tego, co mówi.

- Ty masz pojęcie, ile my tu mamy roboty? Cięcia nie nastąpiły wyłącznie w funduszu zdrowia. Jest nas zbyt mało i póki co włamanie do przedszkola nie jest priorytetem. - Dagny podniosła stos papierów z biurka, po czym położyła go na miejsce. - Mamy na tapecie wiele śledztw. W tej sytuacji w zasadzie możemy tylko przesłuchać ewentualnie związane z włamaniami osoby. Jeśli będziemy mieć szczęście, to sprawca się przyzna, a my porównamy jego odciski palców z zebranymi na miejscu i go przygwoździmy. Jeśli tak się nie stanie, pozostaje mieć nadzieję, że sprawca był już aresztowany za coś zupełnie innego i pobrano od niego odciski. Albo że był notowany. Jednak minie wiele czasu, nim coś ustalimy. - Lekko wzruszyła ramionami. - Tyle tych odcisków znaleźliśmy w przedszkolu.

Freyr pocił się w grubej kurtce, ale nie chciał jej prosić o otwarcie okna, obawiając się, że wiatr zwieje stos papierów z biurka na podłogę.

- Jak dużo czasu, mówisz, wam to zajmie?

- Tydzień albo i dwa. To się dopiero okaże. - W jej głosie pobrzmiwał ton rezygnacji. - Gdyby budżetówka ubezpieczała swój majątek, mielibyśmy sprawę o odszkodowanie i ubezpieczyciel przejąłby od nas śledztwo. Tak, niestety, nie jest i wygląda na to, że śledztwo zostanie szybko zamknięte, chyba że pojawi się coś nowego albo uda nam się podsłuchać jakąś rozmowę na temat naszego włamania. Jak zapewne się domyślasz, nikt nie będzie czytał starych akt w poszukiwaniu... - Zamilkła na chwilę, szukając właściwych słów. - Tak, właściwie to nie wiem czego.

Freyr, który siedział na twardym, niewygodnym krześle, również milczał. Sam nie miał pojęcia, w jaki sposób sześćdziesięcioletnie akta policyjne miałyby się im dzisiaj przydać. Zrozumiał, że Dagny ma rację, przestępstwo nie było na tyle poważne, by wymagało zakrojonych na szeroką skalę działań. Warstwa świeżej farby z pewnością przykryje napis na ścianie, zniszczenia zostaną naprawione i tak sprawa się zakończy. Postanowił przestać się w to mieszać, sam przecież nie byłby zadowolony, gdyby Dagny pouczała go w sprawach medycznych. Poinformował ją o wszystkim i więcej nic nie mógł uczynić.

- Dzisiaj rano stało się coś poważnego? Tak bardzo się spieszyliście.

Dagny nieświadomie się skrzywiła i pogładziła po twarzy, jakby zastanawiała się nad czymś lub czekała ją podjęcie trudnej decyzji.

- Aj, właściwie mogę ci powiedzieć. I tak dowiesz się o tym jutro w pracy. Sądziłam zresztą, że już wiesz.

- O czym? O niczym szczególnym dziś nie słyszałem. - Freyr z pełną premedytacją zanurzył się w swoje obowiązki, żeby odgonić od siebie nachodzące go po rozmowie telefonicznej z Sarą myśli, toteż nie dotarły do niego żadne plotki. Może i szpital huczał od nich, lecz on tego nie zauważył.

- Dziś w nocy w Sudaviku pewna osoba popełniła samobójstwo. Zwłoki znaleziono rano w kościele, gdy zajął do niego pastor. Musieliśmy tam jechać.

- Młoda? - Freyr miał nadzieję, że nie, zwłaszcza że młodzi ludzie często pozbawiali się życia seryjnie. Niektórzy z nich uznawali samobójstwo za akt odwagi, kładący kres codziennym kłopotom i zmaganiom z życiem. Wtedy wystarczyło, by zaczęła jedna osoba, i ziarno zostało zasiane.

- Nie, starsza - Dagny wzięła kartkę z wierzchu stosu na biurku i przeczytała: - Miała sześćdziesiąt dziewięć lat. - Spojrzała na Freyra. - Może trudno jej się było pogodzić z przejściem na emeryturę. Niektórzy żyją pracą. Albo była poważnie chora i nie chciała walczyć z chorobą.

Freyr w zamyśleniu skinął głową. Nie od razu skojarzył, że chodzi o kobietę, co nie świadczyło dobrze o jego bystrości. Choć kobiety stanowiły jedynie dwadzieścia pięć procent samobójców w Islandii, nie było nic dziwnego w tym, że taki przypadek zdarzył się akurat we Fiordach Zachodnich, a nie gdzie indziej. Samobójstw zdarzało się jakieś siedemdziesiąt-osiemdziesiąt rocznie, większość w Reykjavíku i okolicach, ale może teraz przyszła kolej na północno-zachodnią część kraju.

- Częstotliwość samobójstw rośnie wraz z wiekiem. Nie zapoznawszy się ze sprawą, mogę tylko się domyślać, że zakończenie kariery zawodowej raczej nie miało tu znaczenia. To przeważnie mężczyznom trudno jest pogodzić się z taką zmianą. Może jej krewni znają przyczynę? - Freyr rozpiął kurtkę. - Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego wybrała kościół. Ludzie zazwyczaj robią to w zaciszu domowym albo na łonie natury, kiedy chcą uchronić swoich bliskich przed dodatkowym szokiem po znalezieniu ciała. A to miejsce jest niezwykle.

- Może była bardzo wierząca i w chwili śmierci chciała znaleźć się bliżej Boga. Nie była żadną fanatyczką religijną, to wiemy od jej męża. Jeśli nas oczywiście nie okłamał, sam może być fanatykiem i stąd ocenia to inaczej niż inni.

- Miała zatem męża?

Dagny skinęła głową.

- Tak. I trójkę dzieci. Pięcioro wnucząt. Wprawdzie wszystkie mieszkają w stolicy, ale to nie ma znaczenia. Samotna nie była.

- A czy mąż nie potrafił wskazać ewentualnego powodu? Zaskoczyło go to?

- Wyglądało na to, że tak. Bardzo był zszokowany i najwyraźniej nie spodziewał się, że coś takiego może się wydarzyć. Jeśli wiedział o dokuczającej jej depresji lub innym schorzeniu, to nie zechciał się z nami tym podzielić. Prawdę mówiąc, wspominał, że ostatnio miała jakieś zmartwienia, czuła się samotna, ale

nie aż tak, żeby wszczynać alarm. Ot, kiepskie samopoczucie z niewiadomego powodu, jakie od czasu do czasu się zdarza, a potem znika bez jakiejś konieczności przeciwdziałania, o ile dobrze zrozumiałam. – Dagny spojrzała w oczy Freyra. – Ale nie tym razem.

– Jak umarła? – Freyr nie wiedział, czy Dagny zechce odpowiedzieć. Było to bez znaczenia, bo jutro miała się odbyć autopsja.

– Powiesiła się. – Dagny bacznie obserwowała twarz Freyra. – I dużo się przy tym namęczyła. Sklepienie kościoła jest dość wysokie.

– Tak. – Freyr wiedział, że taka śmierć nie jest piękna. O ile pamiętał, najczęściej szyja wisielców bywa zryta głębokimi ranami. Ofiary dochodziły do spóźnionego wniosku, że być może życie nie jest łagodne, ale obchodzi się z człowiekiem o wiele delikatniej niż śmierć. – A zostawiła jakiś list czy wiadomość? – spytał wbrew logice, bowiem tylko co czwarty wybierający tę drogę zostawia pożegnalną wiadomość. Wszak niełatwo usprawiedliwić taką decyzję i bez wątpienia nie da się powiedzieć nic na jej obronę.

– Nie wolno mi o tym mówić. – Dagny odwróciła wzrok.

– Rozumiem. – Freyr uśmiechnął się do niej. – Nie będę zadawał więcej pytań. Chciałem tylko przekazać, co powiedział mi staruszek w szpitalu, sądziłem, że to ważne. – Zasuwał zamek kurtki.

Dagny rozparła się wygodnie w okazałym biurowym fotelu, który zdawał się o wiele wygodniejszy niż mebel, na którym siedział Freyr.

– Nie powiedziałaś, co jeszcze zostało wtedy nabazgrane na ścianach w podstawówce. Zdaje się, że coś więcej niż „Nieczysty”?

– Tak. Było coś więcej, choć nie wiem dokładnie ile i co, ale staruszek pamiętał jeszcze jedno słowo napisane w jego klasie. „Brzydki”. Może na innych ścianach w szkole nabazgrano jakieś inne słowa. Mogę szczegółowiej go o to wypytać, jeśli chcesz.

Komputer Dagny zasygnalizował, że dostała maila, ale zdawała się tego nie zauważać. Policzki miała bardziej rumiane niż wcześniej. Może robiło się tu coraz cieplej. Po chwili nabrzmiałej zakłopotaniem ciszy swobodnie rzekła:

– Tak, tak. Proszę. Nie zaszkodzi, jak się dowiemy, co ma do powiedzenia.

— — —

Kiedy Freyr się pożegnał i zamknął za sobą drzwi, Dagny wzięła arkusz papieru w plastikowej koszulce. Dokument spoczywał do góry rewersem. Ostrożnie uniosła koszulkę i wbiła wzrok w dokument. Precyzyjna kobieca ręka wypełniła całą kartkę drobnym pismem, tak że nie dałoby się na niej zmieścić ani jednej dodatkowej litery. Patrząc na tekst, podniosła słuchawkę i na chwilę odwróciła wzrok, żeby wykręcić numer.

– Veigarze, gdzie przechowywane są stare akta policyjne?

Pomalowane na biało drewniane krzyże, usmarowane błotem, leżały jeden obok drugiego na niedużym stole kuchennym. Ten ponury widok kłócił się ze wzorzystym i bezgustownie przyjaznym blatem.

– To nie ma żadnego związku z domem. – Gardar zapomniał już o rozdrażnieniu spowodowanym koniecznością ponownego wżucia butów, gdy z zewnątrz dobiegły go krzyki Katrin, ale nie krył, że ten temat zaczyna go męczyć. Gdyby nie protesty Katrin, dawno wyrzuciłby krzyże na stos drew przed domem. – Sama widzisz, że one odpadły albo zostały ułamane z jakichś grobów i przeniesione tutaj. Gdyby groby znajdowały się gdzieś blisko, z pewnością z trawy wystawałyby jakieś kikuty.

– Dlaczego ktoś miałby usuwać krzyże z grobów i podrzucać je pod dom? – Katrin nie była w stanie oderwać oczu od zniszczonych desek pokrytych białymi plamami farby.

– Zgadzam się. – Lif stała w kącie, tak daleko od stołu, jak to tylko możliwe. Skrzyżowała ręce na piersiach, a jej mina wyrażała ogromną dezaprobatę dla znaleziska Katrin. U jej stóp leżał Putti. Zasnął, zjadłszy dwa kawałki pasztetu. Od czasu do czasu jego ciało drgało, jakby prowadził jakieś istotne dyskusje w krainie snów. – Kto by miał coś takiego zrobić?

– Więc sędzicie, że jakieś dziecko i jakaś kobieta, być może jego matka, zostali pochowani tuż za domem? Niby dlaczego? Nie, moim zdaniem w coś takiego trochę trudniej uwierzyć niż w to, że krzyże zostały podrzucone na dworze. Gdyby tkwiły na grobach od ponad pół wieku, byłyby w dużo gorszym stanie. Ktoś przez te lata musiał o nie dbać, a przecież dom stał pusty. – Gardar odszukał niewyraźne napisy na mosiężnych tabliczkach na krzyżach. „Hugi ur. 1946 – zm. 1951” i „Bergdis ur. 1919 – zm. 1951”. Rozmasował oczy. – Zapomnijmy o tym. Odnieśmy krzyże na miejsce, a kiedy wrócimy do Isafjördur, popytamy wśród mieszkańców, może ktoś coś wie na ten temat. Podejrzewam, że krzyże zostały zastąpione przez murowane nagrobki, a ludziom szkoda było je wyrzucić. Nie mam pojęcia, czy ci zmarli mieli jakiś związek z naszym domem, ale niepotrzebnie robimy z tego aferę.

Katrin w zamyśleniu zagryzła górną wargę.

– Może i tak. – Wyglądała przez brudne okno. – Ale nic na to nie poradzę, że czuję się teraz jakoś nieswojo. Choć pewno uważasz, że mówię głupio, to jest w tym coś nienormalnego. Odniosłam bardzo silne wrażenie, że coś tu nie gra, jak tylko zauważyłam krzyże wystające z zielska. One nie zostały po prostu wrzucone do dołka. Ułożono je tam.

– Ale niby dlaczego? – Lif jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt. – Ja sędzę, że ci ludzie są tam pochowani.

– Nie wiem dlaczego, ale gdybym miała zamiar pochować nie jedną, lecz dwie osoby tu na parceli, wybrałabym raczej równy teren, a nie jakiś dół. Może facet chciał ukryć zwłoki? – Katrin nie podobało się, że brzmi trochę płacziwie.

– I udekorował mogiłę krzyżami? – Gardar uśmiechnął się zmęczony. – Uwierź mi, te krzyże nie są stąd. Szukałem ułamanych fragmentów, które pozostałyby na grobach, ale ich nie znalazłem. W tym dole nie ma żadnych grobów.

– Spróbujemy wbić tam łopatę? – Katrin spojrzała na niego w nadziei, że się nie zgodzi. Nie miała ochoty znaleźć trumny albo kości w odległości mniejszej niż sto metrów od domu. – A może te groby znajdują się w innym miejscu działki?

– Powinniśmy sprawdzić. Jeśli są tu jakieś groby, to wyjeżdżam. – Głos Lif z każdym słowem stawał się coraz bardziej podniecony. Jej reakcja zaskoczyła Katrin, bo choć Lif z natury była bardzo pobudliwa, nigdy nie wykazywała oznak znerwicowania. Może zbyt mało czasu minęło od zgonu Einara, by przypominać jej o śmierci w tak dziwny sposób. – Mogę nawet popłynąć wóław.

– Przestań bredzić – zdenerwował się Gardar. – Nikt nigdzie nie wyjedzie i nie będziemy szukać żadnych grobów przy domu. Wy naprawdę chcecie, żebym rozkopał ziemię dookoła? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Nie ma nawet mowy. Po pierwsze, niczego tam i tak nie znajdziemy, a po drugie, stracilibyśmy mnóstwo czasu na tę bezsensowną robotę. – Podniósł się skrzywiony z bólu. – I tak wolno nam idzie po spacerze. Nogi mi odpadają. – Przysunął się w kierunku ściany przy drzwiach i zaczął rozciągać mięśnie łydki. – Jeśli mamy skończyć w planowanym terminie, to musimy ostro wziąć się do roboty. A to będzie niemożliwe, jeśli przez zakwasy i odciski powstałe w czasie poszukiwania starych grobów będę się ledwo ruszał, a wy będziecie wrzeszczały za każdym razem, kiedy uderzę łopatą w byle kamień.

Katrin wiedziała, że on ma rację, choć mógł przecież powiedzieć to w jakiś delikatniejszy sposób. Powstrzymała się od uwag na temat jego braku wrażliwości. Ostatnie, co im było potrzebne na tym odludziu, to wzajemne anse.

– Okej. Ale to wszystko jest jednak bardzo dziwne. Musisz przyznać.

– Dziwne? To bardziej niż dziwne – wtrąciła Lif. – To niezwykle dziwne. – Nie wyglądała na zadowoloną z doboru słów, więc szybko dodała: – A może poprzedni właściciel domu był jakiś nienormalny? Możemy się jeszcze czegoś podobnego spodziewać?

Gardar nigdy nie opowiedział Katrin historii tego domu, a przecież kiedy go kupował, musiał otrzymać jakieś informacje. Ona miała jednak świadomość, że część winy leży po jej stronie. Wykazywała ograniczone zainteresowanie tym nabytkiem i pozwalała, by Gardar gadał ciągle tylko o remoncie, drewnie czy wkrętakach, o sprawach najważniejszych nie opowiadając. Zwróciła się do niego:

– Czy mógł mieć coś wspólnego z krzyżami? Jaki to był właściwie człowiek, ten poprzedni właściciel?

Gardar zostawił prawą łydkę i zajął się lewą. Musiał odczuwać jakąś poprawę,

bo zdobył się na odrobinę entuzjazmu.

– W tym temacie nie mam właściwie już nic więcej do powiedzenia. To był po prostu zwyczajny gość i nie może mieć nic wspólnego z tymi krzyżami. Został właścicielem nieruchomości wiele lat po tym, jak postawiono owe krzyże na grobach, jeśli sędzić po datach. – Przerwał rozciąganie i odsunął się od ściany. – Poza tym był to raczej samotnik, człowiek niezonaty i bezdzietny, więc nie mógł przywieźć krzyży ze sobą z Reykjavíku. A ani tutaj, ani w Isafjörður nigdy nie mieszkał.

– A może miał żonę, o której nikomu nie powiedział? – Głos Lif lekko drżał. – Zrobił jej dziecko, a potem zabił?

Zrezygowany Gardar podniósł wzrok.

– Jakoś w to wątpię. Musiałby być ponad wiek rozwinięty płciowo, bo miał jakieś dziesięć lat, kiedy urodził się ten Hugi. – Westchnął. – Krzyże nie mają nic wspólnego z domem i pewno jakiś turysta albo Bóg wie kto je tam pozostawił.

– Dzisiaj w nocy obudziłam się, bo usłyszałam jakiś głos. – Lif zacisnęła wargi, aż pobladły. – Nie wiem, dlaczego rano wam o tym nie powiedziałam, ale dochodził z parteru. Coś z tym domem nie tak.

– Przestań się wygłupiać. – Gardarowi nie podobała się ta rozmowa. Niewątpliwie żałował, że nie ma z nim Einara czy jakiegokolwiek innego faceta, któremu można by spojrzeć głęboko w oczy i zacząć rozmowę na temat gwoździ. – Musiało ci się przyśnić. Z tym domem rzeczywiście nie wszystko jest w porządku, ale to dotyczy stanu, w jakim się znajduje, a myśmy tu przyjechali po to, by go wyremontować. – Potrząsnął głową i wymamrotał: – Głoso. Dżizas.

– Wiem, co słyszałam. To był tylko jeden głos. Głos dziecka. – Drewniana konstrukcja domu zatrzeszczała głośno, gdy tylko Lif skończyła zdanie. Przestraszyła się.

– Widzisz. – Gardar zdawał się triumfować. – To właśnie słyszałaś. Domy wydają różne dźwięki, zwłaszcza takie stare, drewniane. A w nocy wyraźniej się je słyszy, bo panuje większy spokój.

– To nie był taki trzask jak teraz. To był głos.

Katrin nie chciała już słuchać o snach Lif. Nie chciała, by rozpalano jej własną wyobraźnię, nie chciała, by każdy szmer czy trzask zdawał się jej ludzkim głosem czy szeptem.

– Lif, zgadzam się z Gardarem. Wszystko ci się przyśniło. Wiesz, jak to jest, kiedy człowiek się przebudzi w nocy. Od razu zaczyna sobie wyobrażać niestworzone rzeczy. – Nim Lif zdążyła jej odpowiedzieć, zwróciła się do Gardara. – Ale jeśli nawet facet nie miał rodziny, to musiał mieć jakichś spadkobierców. Dlaczego nie chcieli zostawić sobie domu? – Pytanie było dość bezsensowne. Dom znajdował się w ruinie, a sądząc po słowach szypra, który ich tu przywiózł, posesje w tej okolicy nie cieszyły się wzięciem.

– Myślisz, że ja coś wiem o nich? Może to byli starzy ludzie, którzy i tak by tu nie przyjeżdżali. Przecież nie ma prądu, a chata wymaga solidnych napraw. Nie każdy ma ochotę na remont. A może ci ludzie bardziej potrzebowali pieniędzy niż domku letniskowego? Powodów można znaleźć miliony. Nie wypytywałem agenta nieruchomości o zmarłego, choć wy byście się przed tym pewno nawet nie zawahały.

– W każdym razie ja nie. – Katrin jakoś nie uwierzyła Lif. Przyjaciółka nie była skora do analizowania czegokolwiek, rzeczy albo były zajefajne, albo popaprane, a wszelkie decyzje podejmowała bez jakiegokolwiek refleksji. Być może to dobra sytuacja finansowa jej i Einara była przyczyną takiego podejścia do życia, a skutki podejmowania decyzji na chybił trafił nigdy nie okazały się na tyle fatalne, by trzeba było je zmienić.

Rozmowa na temat domu uspokoiła trochę ich myśli i Katrin zaczęła żałować, że w ogóle rozpętała aferę z krzyżami. Zwłaszcza przykro jej było, że zmusiła męża, by z obolałymi nogami kuśtykał na dwór, i że zdenerwowała Lif. Głupio postąpiła, że po prostu sama nie wzięła tych krzyży i nie przyniosła ich do domu. Ale co się stało, już się nie odstanie. Pozostało jej tylko uwolnić się od przykrego uczucia, jakie wywoływało w niej to odludzie, i nie dać niczego po sobie poznać. Wyglądało na to, że najmniejsze choćby objawy niepokoju u Katrin wzbudzały od razu strach w przyjaciółce. Wstała i podeszła do Gardara.

– Nie cieszysz się, że nie poszliśmy razem z tobą na spotkanie z agentem? Z pewnością odstąpiłby od sprzedaży. – Objęła go i oparła się na jego ramieniu. Poprzez grube ubrania czuła jego ciepło i miała nadzieję, że on czuje to samo, choć zdawał się nieobecny i nie odwzajemnił jej uścisku. Niewątpliwie przeszkadzała mu obecność Lif, bo nigdy nie lubił okazywać czułości przy ludziach. Niemniej gdzieś tam pod skórą czaiło się podejrzenie, że chodzi o coś jeszcze i że Gardar wie więcej, niż chce im powiedzieć.

– Bardzo się cieszę. – Gardar odsunął kosmyk włosów sprzed oczu Katrin. Puścił oko do Lif i uśmiechnął się do niej. Katrin nie widziała, jak ta to przyjęła, ale miała nadzieję, że okazana w ten sposób serdeczność trochę ją uspokoi. Gardar ponownie zwrócił się do żony i objął ją. – Może byśmy przestali już gadać i wzięli się do roboty?

Katrin jęknęła.

– Więcej dziś pewno nie pomaluję. Czy jest coś, co moglibyśmy robić z zamkniętymi oczami? – Zbyt dobrze czuła się w ramionach Gardara, by pozwolić mu teraz odejść. Od posiłku słońce zdążyło zejść nad horyzont i nagle jakby się ściemniło. Kuchnia zdała się mniej nieprzyjemna, poóżółkła farba na ścianach zrobiła się gładza, plamy pozostałe po minionych latach wyblakły.

Gardar uściśnął ją nieco zakłopotany, po czym puścił.

– Lepiej wykorzystamy światło dzienne, jeśli weźmiemy się za jakąś robotę na zewnątrz. Możemy zacząć od zerwania zgniłych desek na tarasie. Robota trochę

nas też rozgrzeje. Chodź, Lif, lepiej się poczujesz na świeżym powietrzu.

– Sama w środku na pewno nie zostanę. – Głos Lif stał się mocniejszy i brzmiał naturalniej. Uśmiechnęła się do nich i opuściła swój ką. – Poza tym na dworze jest niewątpliwie cieplej niż w środku. Zaraz zamarznę na kość. – Szturchnęła stopą Puttego. Ten się ocknął, najwyraźniej wystraszony, że nie czuwał. Wstał na cztery łapy, ziewnął i się przeciągnął.

Jak tylko Lif skończyła mówić, Katrin poczuła zimno rozpełzające się po kuchni niczym dym. Podświadomie zaciągnęła pod szyję zamek polara i schowała dłonie w rękawach. Harówka na zewnątrz z pewnością ich rozgrzeje.

– Też tak uważam. A kiedy wrócimy do środka, to oczywiście napalimy pod kuchnią. Precz z oszczędzaniem. – Im bardziej zwlekali z rozpaleniem pieca, tym lepiej. Kiedy przywieźli drewno nazbierane na nabrzeżu, pomyśleli, że nigdy się nie skończy, ale kiedy wczoraj wieczorem poszli do drewnutni po szczapy, stos wydawał się nieprzyjemnie mały. Żadne z nich nie miało ochoty dygotać z zimna przez ostatnie dni, dlatego zgodzili się co do tego, by palić tak rzadko, jak to tylko możliwe. – Obiecuję, że będę zasuwać, jakby sam diabeł siedział mi na karku, jeśli odniesiesz krzyże na miejsce. Nie wyobrażam sobie, żeby mogły pozostać w domu przez noc. – Coś sobie obiecała, ale o tym nie potrafiła zapomnieć. Choć bardzo zbierała się na odwagę, by sama je zanieść, na przeszkodzie stało głębokie uczucie lęku.

– Zgadzam się. – Lif zdawała się odzyskiwać dawną radość dzięki słowom Katrin. – Nawet oka bym nie zmrużyła, gdyby zostały w środku.

Gardar otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, może zapytać, kiedy zrobiły się tak znerwicowane, ale machnął ręką i skinął głową. Poszedł po krzyże i zabrał je do niewielkiego holu znajdującego się między kuchnią a tylnymi drzwiami. Ktoś kiedyś postawił tam toporne półki na zapasy. Teraz w większości świeciły pustką, a oni na najniższej z nich umieścili swoje narzędzia. Poza tym stało tam jedynie kilka zakurzonych pustych skrzyń i kartony z rzeczami poprzedniego właściciela, co do obecnego stanu prawnego których mieli niejakie wątpliwości. Udało im się włożyć na siebie okrycia wierzchnie w wąskim holu, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Gardar wziął krzyże, Katrin łom i młotek, a Lif jedynie puszkę napoju, którą zdążyła zabrać z kuchni. Powietrze na zewnątrz było nieskończenie czyste i przejrzyste, więc Katrin zatrzymała się i nabrała go w płuca, pozwalając odpocząć umęczonym mięśniom przed ostatnim etapem pracy tego dnia. W tym czasie Gardar pobiegł na koniec działki odłożyć krzyże. Putti pognął za nim, a Lif usiadła na tarasie i popijała colę. Kobiety w milczeniu przyglądały się, jak brnie przez pole arcydzięgiela. Putti utonął w zielsku, gdy tylko w nie weszli. Po chwili Gardar również zniknął im z oczu, gdy pochylił się, by odłożyć krzyże do dołu. Serce szybciej zabiło w piersiach Katrin, gdy przez dłuższy czas się nie pojawiał. Co zrobiłaby, gdyby przepadł na dobre? Lif cały czas odbija i kto wie, czy jej też by nie odbiło, gdyby spotkał ją podobny los.

Nie musiała się jednak długo nad tym zastanawiać, bo po chwili na polu

chwastów ukazała się granatowa kurtka, którą kupiła mu w prezencie pod choinkę dwa lata temu, sporo przepłacając. Gardar zsunął kaptur, uśmiechnął się do nich i uniósł kciuk w górę. Katrin poczuła ulgę, choć w środku trawiła ją jakiś niepokój. Nie potrafiła uwolnić się od myśli, że zostanie tu sama, zupełnie jak ostatnie zeschnięte liście krzewu rosnącego obok domu, które nie chciały opaść. Odwzajemniła jego uśmiech i pomachała mu, zdecydowana towarzyszyć mężowi, kiedy następnym razem pójdą z Lif szukać zasięgu. Spacer nie powinien być bardziej nieznośny niż uczucie, które by ją dopadło, gdyby coś im się stało lub gdyby zgubili się tam na wzgórzu.

- No i mamy sprawę z głowy. - Para buchała mu z ust, a mniejszy słupek z pyszczka psa u jego stóp. - To co, zabieramy się za taras, póki jeszcze coś widać? - Kopnął narożnik, który wisiał tuż nad ziemią. Siedząca obok Lif aż się zatrzęsała. - Wszystko tu na pewno przegniło.

- Więc będziemy musieli rozebrać cały? - Katrin zeszła z tarasu na porośniętą zielskiem ziemię. Lif znów się zatrzęsała i tym razem trochę coli ulało się z puszki. - W takim razie brakuje nam desek.

- Gdybyśmy zabrali wszystko, co potrzebne do remontu, to jeszcze byśmy znosili rzeczy z nabrzeża. Nie wykluczam, że będziemy musieli wrócić później, może nawet z jakimś cieślą. - Wyjał łom z rąk Katrin.

- Z cieślą? Nie stać nas na cieślę. Sądziłam, że materiały i narzędzia, które już kupiliśmy, wystarczą. - Katrin skoczyło ciśnienie. Byli o krok od bankructwa, cały majątek, jaki Gardar zgromadził w postaci papierów wartościowych, okazał się teraz kompletnie bezwartościowy. Zostały im tylko długi. Zresztą formalnie rzecz biorąc, byli już bankrutami, ale system bankowy utrzymywał ich na powierzchni dzięki jakimś sztuczkom, z którymi Katrin nie miała ochoty się zapoznawać; te sprawy należały do Gardara. Ale owe zabiegi reanimacyjne jedynie przedłużały agonię, w oczach opiekuna konta można było wyczytać, że zegar tyka i niebawem z koła ratunkowego zostanie spuszczone powietrze. Może i jej dochody oraz zasiłek Gardara starczyłyby, gdyby nie mieli długów i przemieszczali się na rowerze. Pieniądze przeznaczone na spłatę rat w najbliższych miesiącach wydali na remont tej chaty. Nie została im ani korona. Wynajęcie cieśli do pracy na tym odludziu za pełną stawkę godzinową było zatem równie realne, co rozebranie domu i wybudowanie go na nowo. - Nie stać nas na to. Wiesz dobrze.

Jak zwykle Gardar pozostawił jej słowa bez komentarza, tym bardziej że nie chodziło jedynie o niemożność najęcia fachowca do pracy. Ni mniej, ni więcej, tylko cała ich przyszłość wystawiona została na szwank. Nadzieje i marzenia obojga obracały się wniwecz, nawet jeśli ich plany nie były nadmiernie ambitne. Kupić dom, dwa auta, mieć potem dzieci. Nic ponad to, co normalne. Katrin, choć z pewnym żalem, potrafiła sobie wyobrazić życie bez tych luksusów. Gorzej, że Gardar miał kłopoty z zaakceptowaniem rzeczywistości. Zaczęła nawet podejrzewać, że on uważa, iż każda wzmianka na temat ich stanu majątkowego to naigrywanie się z ich nędznego losu.

– Spróbujmy po prostu zerwać ten spróchniały narożnik, a potem zobaczymy co dalej. – Gardar wpełchnął łom pod zniszczoną deskę i stanął na tarasie. Trzask i skrzypienie zagłuszyły dalsze rozmowy, podczas gdy on wyłamywał kolejne deski.

Katrin stała opodal i przyglądała się pracy, zbyt wściekła, by znaleźć dla siebie jakąś robotę przy rozbiórce. Znow spadło jej ciśnienie.

– Nie przejmuj się pieniędzmi. – Lif wstała, nachyliła się ku niej i wyszeptała jej te słowa do ucha. – Jeśli potrzebny będzie cieśla, ja to załatwię. Wszyscy siedzimy w tym razem, a mnie forsy nie brakuje. – Położyła dłoń na ramieniu Katrin, lecz zakłopotana opuściła ją po chwili. – Einar przewalutował większość naszych zasobów na euro tuż przed kryzysem, a na dodatek okazało się, że jest ubezpieczony na życie, tak że niczego mi nie brak. Poza tym dużo nie wydaję.

Katrin spojrzała na nią z uśmiechem. Znała niewiele kobiet, które wydawałyby równie dużo na ubrania, fryzjera, torebki, buty i inne artykuły pierwszej potrzeby. Choć Lif może i stała nieźle finansowo, należało wątpić, czy będzie w stanie utrzymać wystawny styl życia, do jakiego przywykła. Na pewno nie na dłuższą metę. Einar przed kryzysem miał ogromne dochody jako członek zarządu jednej z największych firm w kraju. Kiedy nastąpiła zmiana właściciela, otrzymał na dodatek wielką odprawę, która starczyłaby mu na beztrudne życie. Jednak majątek to jedno, a stałe dochody co innego. Majątek wyczerpuje się, zwłaszcza jeśli nikt nie dba o inwestowanie, a Katrin nie potrafiła sobie jakoś wyobrazić Lif w roli inwestora. W roli pracownika najemnego także nie.

– Dzięki za ofertę. Ale powinniśmy spróbować poradzić sobie sami. Tak będzie dla nas lepiej. Dla ciebie też. – Uśmiechnęła się ciepło, bo też Lif przyświecały bardzo szlachetne intencje. Katrin zaś nie miała ochoty brać od niej pieniędzy, jeśli ich nie stać byłoby na to, by wyasygnować taką samą kwotę. I mimo tak dobrych intencji przekonana była, że Gardar też nie zechce przyjąć jałmużny od wdowy po Einarze.

– Zobaczymy. Jeśli wszystko zacznie się walić, pamiętaj, że moja propozycja jest aktualna. – Lif popiła coli. Zdawała się całkiem spokojna i śledziła poczynania Gardara, który z wielkim zapałem wziął się do rozbiórki tarasu. – Niezwykle się cieszę, że mogę być z wami. Nie cierpię być cały czas sama.

– I nie jesteś. – Zimny wiatr powiał wzdłuż domu i Katrin poczuła chłód wślizgujący się pod kurtkę. Szybko jednak zapomniała o dreszczach, kiedy długa deska, z którą walczył Gardar, puściła, odkrywając nietkniętą od dziesiątek lat glebę pod tarasem. A może i przez cały wiek. Z początku nie zauważyła niczego szczególnego, tylko czarną pustkę, ale po chwili dostrzegła żółtawe kreski w ciemnej ziemi. – Co to jest?

Gardar odłożył odłamany kawałek deski i zajrzał do dziury.

– Nie mam pojęcia. – Schylił się i dotknął gleby. – Kości. Wydaje mi się, że ptasie. – Strząsnął suchy pył i wyciągnął dwie maleńkie kostki, wielkości palca od

ręki.

– Nie, to niemożliwe. – Katrin pochyliła się obok Gardara. Kości były brudne i wyglądały na stare. – Za grube są. To muszą być kości owcy. Ale co one tu robią? – Czowała ten sam niepokój, który obudził się w niej, gdy znalazła krzyże. W ogóle nie знаła się na kościach, ale potrafiła się domyślić, że te są zbyt grube jak na kości ptaka. Nagle zaświtało jej w głowie, że mogą być ludzkie. To by dopiero ożywiło nastrój, gdyby mogły, których tak bardzo się lękała, znajdowały się pod domem.

– Oj. Żartujesz? – Lif odstawiła puszkę i zajrzała przez ramię Katrin w ciemną czeluść.

– To pewno jakieś szczątki zarcia, które wpadły pod dom, albo może lis przywłókł je tutaj. Dom jest stary, a i kości na świeże nie wyglądają. – Nadal ostrożnie odgarniał ziemię i natknął się na kolejne kości, tym razem był to cały szkielet, zapewne lisi. – O! Widzicie? A nie mówiłem?

– Skąd pod tarasem wziął się martwy lis? – Katrin usiłowała zajrzeć jak najgłębiej pod podest, ale widziała jedynie czarną pustkę. – Zazwyczaj chyba zdychają w swoich norach?

– Pewno i tam, i gdzie indziej. Może zwierzątko padło tu z głodu. – Wzruszył ramionami. – Kości, na które natrafiliśmy, odłamawszy deskę, też należały pewno do tego samego lisa. – Gardar unióśł dwie znalezione wcześniej kości, które najwyraźniej nijak nie przystawały do szkieletu spoczywającego pod nimi. Ale nikt się nie odezwał. Jedynym dźwiękiem, jaki unosił się nad grupką w mroźnym powietrzu, był skowyt Puttego, który po obwąchaniu trzymanyh przez Gardara kości natychmiast cofnął się wystraszony.

Dopiero kiedy leżeli w szczelnie zasuniętyh śpiworach, jedno tuż obok drugiego, do Katrin dotarło, że Gardar zupełnie nie ma racji. Lisy trzymają się z dala od ludzkich siedzib i na pewno żaden nie wygrzebałby tu sobie nory. Gardar już usnął, a Katrin nie chciała go budzić, żeby podzielić się swym spostrzeżeniem. Tym bardziej nie chciała niepokoić śpiącej niczym suseł Lif; leżącej obok nich ze zwiniętym w kłębek, lecz czuwającym psem na środku śpiwora. Wolała puścić wodze wyobraźni i zastanowić się, w jaki sposób kości znalazły się pod zniszczonym tarasem. Zasnęła, nie doszedłszy do żadnych wniosków.

Oddech Katrin dawno już stał się regularny, kiedy z parteru odezwał się niewyraźny ludzki głos, cichy jęk dziecka jakby w kółko powtarzającego te same słowa. Byli zbyt zmęczeni, by ich to zbudziło. Ciche warczenie Puttego też nie było w stanie zakłócić ich snu.

Staruszka wyglądała jakoś lepiej. Nie była równie niespokojna, co podczas ostatniej wizyty Freyra. A poza tym wszystko było dokładnie takie samo jak poprzedniego dnia. Kobieta siedziała na tym samym krześle, patrzyła przez to samo okno, a w powietrzu unosił się ten sam zapach cynamonu, jakby serwowano tylko ten sam kleik ryżowy. Podniszczony szal wydziergany na drutach przechylił się nieco w lewo na jej ramionach i zapomniała zapiąć ostatni guzik bluzki, tak że widać było kremowe ramiączko stanika. Wszystko jak wczoraj. Nawet oczko w grubych nylonowych pończochach wyzierało spod tej samej spódnicy.

– Słyszałem, że wczoraj nie chciałaś iść na dwór. Pamiętasz, że się zgodziłaś, kiedy o tym rozmawialiśmy? Chodzi o to, żeby wykorzystać pogodę, póki jest niezła. – Freyr mówił głośniej niż zwykle. Kobieta miała aparat słuchowy i często zasypiała. – Mówiłem ci też, jakie to ważne, byś chodziła na spacer. Taki spacer nie musi być długi, jeśli jesteś zmęczona albo źle usposobiona, ale jak się przejdiesz po świeżym powietrzu, choćby tylko przez chwilę, od razu poczujesz się lepiej, Ursulo.

– Nie chcę wychodzić. Nie teraz. Nie chcę tu być.

Freyr nie wiedział, co odpowiedzieć. Ursula miała niecały rok, aby przyzwyczaić się do nowego domu, ale najwyraźniej opornie jej to szło. Zresztą nie należało się spodziewać, by całkiem przystosowała się do nowych warunków, choć początkowo Freyr żywił nadzieję, że uda mu się więcej osiągnąć. Zmiana miejsca zamieszkania nastąpiła gwałtownie. Kiedy wszystkie inne rozwiązania wzięły w łeb, postanowiono przewieźć ją do Isafjördur. Była osobą samotną, urodziła się w 1940 roku, i poza zniedołężniałym starszym bratem nie miała nikogo bliskiego. A ten mieszkał w Isafjördur i to pewnie zadecydowało o przeprowadzce do tego miasta. Wzięto również pod uwagę fakt, że zanim kobieta, będąc jeszcze nastolatką, zachorowała i umieszczono ją w szpitalu w Reykjavíku, tu właśnie była zameldowana. Od ponad pół wieku nie odwiedzała jednak tego miejsca; gdy przewieziono ją do stolicy, cierpiała już na poważną chorobę psychiczną – miała przywidzenia, nękały ją lęki i fobie, a gdy wróciła do domu, jej życie w zasadzie się już kończyło. Była stara i niewiele czasu jej pozostało.

Biorąc pod uwagę jej stan, nie dało się przewidzieć, czy kiedykolwiek zaakceptuje nowe otoczenie. Już jako dziecko pozostawała poza społeczeństwem i wszelkie kontakty towarzyskie sprawiały jej trudności. Choroba bez wątpienia dawała znać o sobie, chociaż nikt specjalnie tego nie zauważał, więc dziewczynka uchodziła za samotnego i nudnego dzieciaka. Dlatego nie miała pięknych wspomnień z dzieciństwa, w ciepłe których mogłaby się ogrzać. Mimo to przeniesiono ją do krainy dzieciństwa. To właśnie takie decyzje powodowały, że Freyr nie chciał skupiać się wyłącznie na swojej specjalizacji, psychiatrii.

Medycyna rodzinna jest daleka od tej biurokracji i niekończącego się stresu. Owa kobieta była jaskrawym przykładem na bezdusność i niezrozumienie człowieka przez system. Znalazła się w grupie dwunastu pensjonariuszy, dla których należało znaleźć nowe miejsce pobytu, gdy zlikwidowano siódmy oddział stołecznego Szpitala Psychiatrycznego przy Kleppsvegur. Oddział przez dziesiątki lat służył jako specjalistyczne miejsce hospitalizacji dla ludzi z długotrwałymi zaburzeniami psychicznymi i poważnymi zakłóceniami osobowości. Niektórych pacjentów leczono tam całe lata, a nawet dziesięciolecia, i do nich właśnie należała Ursula. Freyrowi trudno było zgodzić się z argumentem, że stały pobyt w szpitalu nie współgra ze współczesną opieką medyczną czy definicją humanizmu. Bez wątplenia dotyczyć to mogło niektórych, lecz nie tych, którzy dożyli sędziwego wieku i uważali oddział za swój dom. Podejrzewał jednak, że te niecałe trzydzieści etatów, które oszczędzono na zamknięciu oddziału, ważyło więcej niż humanizm.

– Nie ma w tym nic dziwnego, że przez jakiś czas będziesz się przyzwyczajając do nowego miejsca pobytu. Mam nadzieję, że niebawem polubisz Isafjördur.

– Nie.

Odpowiedź była tak błyskawiczna, że Freyr wołał się staruszcze nie sprzeciwiać.

– Wiesz oczywiście, że zawsze jestem w pobliżu i jak będziesz chciała, możesz mnie zawołać. Pielęgniarki też czasem są na miejscu, więc jeśli dasz nam znać, postaramy się, byś poczuła się lepiej. – Zwrócił się do pielęgniarki. – Ale myślę, że na dzisiaj wystarczy. – Położył rękę na dłoni kobiety i poczuł, jak się kurczy, reagując na jego dotyk. Sucha skóra wyziębła. Przygnębiająca była myśl o tym, jak niewielki odsetek poważnie chorych psychicznie miał szansę na widoczną poprawę. Ursula na przykład zawsze żyła w niezachwianym przekonaniu, że coś jej zagraża, ktoś ją śledzi i chce jej wyrządzić krzywdę. Żadne argumenty i wyjaśnienia nie były w stanie uwolnić jej od tych urojeń, zaś gdy nie brała leków, bała się, że zaraz dostanie się w szpony jakiejś nieokreślonej siły. Jej karta szpitalna liczyła setki stron i stanowiła smutną lekturę, bo trudno wyobrazić sobie bardziej ponure życie. Tego roku czekały ją okrągłe urodziny, siedemdziesiąte, ale ta uroczystość pewno będzie wyglądać równie koszmarnie, jak inne; kawałek ciasta od personelu, który być może zaśpiewa także „sto lat”. Freyr postanowił pamiętać, żeby dać jej ładny prezent. Wiedział, co może sprawić jej radość. Kilka razy słyszał, jak narzeka, że nie miała okazji przystąpić do konfirmacji, a on ubolewał, że swego czasu nikt nie pomyślał, by naprawić ten błąd. Cztery miesiące przed datą konfirmacji po raz pierwszy znalazła się w szpitalu i mimo iż była chora i często traciła kontakt z otoczeniem, najwyraźniej miała nadzieję dostąpić tego zaszczytu. Niewątpliwie jako nastolatka długo i z utęsknieniem na konfirmację czekała. Być może gdyby teraz zrobić to dla niej, uradowałaby się. Choć oczywiście byłaby to nieco inna uroczystość.

– Leki przyjmuje bez protestów. – Pielęgniarka wyszła za Freyrem. – Sądzę, że

to się może udać. Dopóki nie dostanie poważnego ataku. Nie możemy oczywiście czuć przy niej przez całą dobę, ale zaglądamy do niej i siedzimy z nią, kiedy tylko czas na to pozwala. Człowiek czułby się lepiej, gdybyśmy mieli tu nocne dyżury, ale póki bierze wieczorem leki nasenne, dajemy radę.

Freyr skinął głową. W Isafjörður nie było żadnego specjalistycznego ośrodka, w którym kobieta mogłaby zamieszkać, pozostawał jedynie Dom Spokojnej Starości. Jego pracownicy zajmowali się także starymi ludźmi żyjącymi we własnych domach w Isafjörður i okolicy, więc mieli pełne ręce roboty. Nie było powodu obarczać ich dodatkowo odpowiedzialnością za kobietę, która całe życie spędziła na oddziale psychiatrycznym. Gdy zatrudniano go w Szpitalu Okręgowym, wiedział już, że ta przeprowadzka ma dla niej ogromne znaczenie. W Isafjörður nie było żadnego psychiatry, w całym okręgu także nie, a lekarzom bez specjalizacji trudno byłoby fachowo zajmować się pacjentką. Po przyjeździe do miasta nałożono nań obowiązek poprowadzenia szkolenia z opieki nad chorymi psychicznie dla nielicznych pracowników Domu Spokojnej Starości i choć nie dało się tego porównać do kilkuletniej specjalizacji, jakiś efekt przyniosło. Ale wcale niekoniecznie dzięki niemu; personel podszedł do tego bardzo ambitnie i okazał ogromne zainteresowanie.

Umówił się na następny dzień, pożegnał i poszedł do samochodu. Zanim do niego wsiadł, spojrzął w górę na szpitalny budynek i zauważył głowę staruszki w oknie, przy którym uparcie siedziała. Na jej twarzy nie było żadnych emocji. Patrzyła nań, śledząc każdy jego ruch. Zdziwiony zwlekał z wejściem do auta. Ich oczy się spotkały. Uniósł brwi, gdy otworzyła usta i zaczęła mówić do niego przez podwójną szybę. To, że jej nie słyszał, zdawało się kobiecie nie przeszkadzać, pogrążona była w monologu nawet wtedy, gdy przestał na nią patrzeć i wsiadł do samochodu. Do tej pory zawsze była w jego obecności raczej milcząca, wypowiadała się rwanymi zdaniami i nigdy nie wygłaszała oracji takich jak ta, której przed chwilą był świadkiem. Nie znał przyczyny, ale z doświadczenia wiedział, że podobna odmiana nie zwiastuje niczego dobrego. Może oznaczać, że niebawem znów jej stan się pogorszy. Odjeżdżając z parkingu, zadzwonił do pielęgniarki i podzielił się z nią swoimi troskami. Poprosił, by ją bacznie obserwowano. Nie chciał myśleć, w jakiej sytuacji znajdują się ci sumienni ludzie, jeśli znów wepchnie sobie drut do ucha. Zdarzenie to miało miejsce przed wielu laty i Freyr znał je jedynie z raportów, ale to mu starczyło. Chciała uciszyć głos sączący groźby do jej ucha, głos, który nie był realny i równie dobrze mógł płynąć z brzucha lub palców u stóp. Próba uciszenia go mogłaby się więc okazać jeszcze bardziej krwawa niż ta, która kosztowała ją utratę słuchu. W każdym razie istniał poważny powód, by zachować daleko idącą ostrożność.

Kolejna wizyta też nosiła znamiona kontroli. Poproszono Freyra, by zajrzał do wdowca po samobójczyni z kościoła w Sudavíku. Lekarz rodzinny mężczyzny skontaktował się z nim poprzedniego wieczoru i wyraził swoje obawy co do stanu zdrowia staruszka. Powiedział, że jest wdzięczny, iż może poprosić o pomoc specjalistę, który lepiej zna się na meandrach psychiki niż on sam. Freyr

kilkakrotnie składał podobne wizyty w stolicy i prowadził terapię z ludźmi, którzy mieli kłopot z pogodzeniem się ze stratą bliskich, choć odkąd przeprowadził się na północny zachód, nie miał do czynienia z żadnym samobójstwem. W każdym razie wiedział, czego się może spodziewać i jak najsensowniej pomóc pogrążonemu w żałobie i zagubionemu mężczyźnie. Zgodnie z informacjami uzyskanymi w szpitalu u jego żony nie rozpoznano nigdy depresji ani innych ciężkich chorób i nie miała ona najmniejszych problemów z psychiką. Innymi słowy, nie było nic, co mogłoby wyjaśnić ten drastyczny krok. W takich przypadkach nawet najbliżsi rzadko potrafią rozpoznać oznaki jakichkolwiek zmian w zachowaniu przyszłego nieboszczyka i twierdzą, że to spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Często zdarza się jednak inaczej. Osoba, która postanowiła zakończyć swe życie, powoli daje się uwieść pokusie śmierci. Ponieważ taki rozwój wypadków bywa bardzo niespieszny, najbliżsi nie zauważają, że dzieje się coś niedobrego, albo po prostu nie rozpoznają dzwonek alarmowych dzwoniących coraz natarczywiej.

W tunelu panował niewielki ruch, toteż Freyr jechał szybciej niż zwykle. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że konstrukcja tunelu jest bezpieczna, a góra nie runie zaraz na niego, niemniej zawsze się cieszył, kiedy już widział wyjazd po drugiej stronie. Zawsze też, gdy wjeżdżał do tunelu w świetle dziennym, dokuczala mu kurza ślepotą. Nigdy podczas sześciokilometrowej jazdy tunelem nie udało mu się przyzwyczać do sztucznego światła, ale czuł, że te kłopoty są raczej natury psychicznej niż fizjologicznej. Sama myśl o znalezieniu się w miejscu, którego natura nie przeznaczyła do podróży, budziła w nim pierwotny lęk, na który nic nie potrafił poradzić. Tym razem jednak to nie ciężar monumentalnej skały nad nim i nie sztuczne światło go zadręczały. Prześladował go obraz Ursuli gadającej z nim bezdźwięcznie przez szybę i gryzące go poczucie, że zawiódł, że powinien był opóźnić wyjazd do wdowca we Flateyri, zawrócić na parkingu i wysłuchać, co staruszka ma mu do powiedzenia. Nie miał pojęcia, o czym mogła mówić, ale to jeszcze bardziej wzmagало jego ciekawość i żal, że nie zbadał sprawy, kiedy jeszcze miał okazję. Pewno nigdy się już nie dowie, co jej leży na sercu. Idiotyczna myśl zagnieździła się w jego głowie: kobieta chce mu powiedzieć coś na temat jego synka. Wiedział doskonale, że ona nie ma prawa znać jego losu, ale to poczucie tkwiło w nim, przypominając o rozmowie telefonicznej z byłą żoną.

W końcu pojawił się wyjazd z tunelu i kiedy tylko Freyr wyzwolił się z lęku przed wiszącą nad nim skałą, jakby poweselał. Podejrzenia co do treści monologu Ursuli za szybą przybrały bardziej rozsądny kształt. Gdyby nawet pospieszył do niej na górę, niczego by to nie zmieniło, ujrzawszy go, kobieta z pewnością natychmiast schowałaby się do swojej skorupy. Nawigacja samochodowa zapiszczała z radości, że znów ma kontakt z satelitą, i zaczęła instruować go, jak dojechać do domu wdowca w tej rzadko zamieszkanym osadzie rozpostartej nad morzem u stóp góry Eyrarfjall.

Ogromne zabezpieczenia przeciwlawinowe rozciągały się na zboczach góry i

milcząco przypominały o tragedii sprzed piętnastu lat, kiedy to całe domy wraz ze śpiącymi w nich mieszkańcami zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Teraz na zboczach leżało bardzo mało śniegu, więc ciemne zabezpieczenia widoczne były nader wyraźnie. Freyr przyjrzał się im. Może Halla, kobieta, która popełniła samobójstwo, straciła odchowane dziecko lub wnuka podczas tamtej lawiny i nigdy nie doszła do siebie? Wiele osób po takim szoku nie potrafi odzyskać równowagi. To potwornie przygnębiające, gdy człowiekowi wciąż coś przypomina o takiej stracie. Sam wiedział to najlepiej.

Okazało się jednak inaczej. GPS doprowadził go pod sam dom pogrążonego w żałobie wdowca. Zaparkował auto, rozpiął spokojnie pas i przez nikogo niezauważony przyjrzał się domowi i ogrodowi. Nieciekawo, betonowy, jednopiętrowy budynek był sporo mniejszy niż pałace w nowych dzielnicach Reykjavíku. Zdawał się dość zadbany, w oknach czyste firanki i kilka żywych kwiatków w doniczkach. Krzewy – obecnie łyse gałęzie – nosiły oznaki jesiennych postrzyżyn. Innymi słowy – nic nie wskazywało na poważną depresję gospodyni. Oczywiście nie można wykluczyć, że to mąż denatki zajmował się domem i ogrodem w nadziei, że jeśli wszystko dobrze będzie wyglądać, to jej stan się poprawi. Porządek i ład bywają zaraźliwe. Zresztą to się okaże podczas rozmowy z wdowcem, choć nie wiadomo, czy zechce szczerze odpowiadać na pytania dotyczące podziału obowiązków domowych. Niektórzy w jego wieku uważają, że wkładanie gumowych rękawic nie licuje z ich godnością.

W oczekiwaniu, aż ktoś otworzy mu drzwi, przeczytał mosiężne tabliczki z imionami małżonków: Halla i Bjarni. Poniżej widniały też imiona ich dorosłych dzieci: Unnsteinn, Larus i Petra. Już dawno opuścili gniazdko, choć na wizytówce pozostały ich imiona. Ale to nie była jedyna mosiężna ozdoba przy wejściu. Po obu stronach drzwi wisiały krzyże, o wiele mniej skorodowane niż tabliczka pod dzwonkiem. Zaś trzeci krzyż został przytwierdzony do samych drzwi. Chrześcijańskie symbole świadczyły o głębokiej wierze i być może współgrały z miejscem, które nieboszczka wybrała, by zakończyć swe życie. Z drugiej jednak strony czyn ten pozostawał w sprzeczności z duchem i literą Biblii – stanowił ingerencję w bożą wolę. Sam Freyr nie był człowiekiem wierzącym i miał nadzieję, że wdowiec nie zapaści się w te rejony.

Było bezwietrznie i panowała tak absolutna cisza, że Freyr słyszał kroki zbliżające się do drzwi. Otworzyły się wolno i cicho. Gospodarz pojawił się w wejściu. Ubranie wisiało na nim, zupełnie jakby włożył je automatycznie i nie zadbał o to, by przylegało do ciała. Białe, rzadkie włosy od jakiegoś czasu najwyraźniej nie zaznały grzebienia. Oczy spuchnięte.

– Ty jesteś ten lekarz? – Głos miał schrypnięty, jakby po raz pierwszy odezwał się tego dnia.

Freyr przytaknął i wyciągnął rękę. Stary człowiek zrazu przyglądał się jej zdziwiony, ale potem skojarzył. Uścisk miał słaby. Coś wymamrotał, że zaprasza Freyra do środka. I że nie musi zdejmować butów.

W holu do niebios wzrok wznosił Jezus Chrystus w cierniowej koronie na głowie, z cierpieniem wymalowanym na twarzy. Obraz tkwił w solidnych ramach. Była to ewidentnie kopia i choć Freyr nie był znawcą, wyciągnął wniosek, że i obraz, i ramy są raczej nowe. Idąc za Bjarnim w głąb domu, zauważył gromnicę z połączonym krzyżem i cytatem z Biblii, tabliczkę z drewna z wygrawerowanym napisem głoszącym chwałę Pana i kilka krzyży podobnych do tych wiszących przy wejściu. Oprócz wizerunku Jezusa reszta dewocjonaliów najwyraźniej została rozlokowana w sposób przypadkowy. Może małżonkowie kupili to wszystko na wyprzedazy w domu bożym i potem mieli kłopot z rozmieszczeniem poszczególnych nabytków. Poza tym w domu nie było nic niezwykłego, tylko pod wrzutnią na listy spoczywał mały stos gazet i kopert.

– Jesteś wierzący? – Freyr zajął miejsce na kanapie naprzeciwko gospodarza, który rozsiadł się w sfatygowanym fotelu.

Patrzył nieobecny wzrokiem na stolik między nimi, po czym rzekł:

– Tak. Nie, może nie w tej chwili. – Jego głos pozbawiony był emocji. Freyr dobrze znał z pracy ten obojętny ton i nie potrafił zliczyć, ile razy widział pocieranie dłoni o dłoń, tak jak czynił to teraz wdowiec.

– A Halla? Wierząca była?

– Nie. Tak. Odwrotnie niż ja. Nie była, ale potem była.

– Pytam, bo wystrój o tym świadczy. W każdym razie daje powód do przypuszczeń, że mieszkają tu chrześcijanie. Dziś nieczęsto spotyka się coś takiego. – To było białe kłamstwo. Freyr chciał się dowiedzieć, czy nieboszczka owładnięta była religijnym fanatyzmem, który czasem jest oznaką problemów psychicznych, a nawet choroby. Choroby psychiczne charakteryzują się zmianami w myśleniu, zachowaniu lub nastroju albo tym wszystkim po trochu i Freyr był przekonany, że coś z tego dotyczyło denatki. Musiał tylko dowiedzieć się co.

– Halli jakiś czas temu wróciło zainteresowanie wiarą. Nie bardzo mnie to obeszło, ale też jej nie przeszkadzałem. Poza tym, że czytała Biblię zamiast kryminałów, nic się u niej nie zmieniło.

– Wydaje mi się jednak, że rozbudzone zainteresowanie wiarą było u niej trochę głębsze. – Freyr przyjrzał się religijnym bibelotom. – A kiedy jej pobożność stała się zauważalna?

Mężczyzna podniósł wzrok do góry, jakby tam wisiał kalendarz.

– Jakies trzy, cztery lata temu. Dokładnie nie pamiętam.

Freyr zmienił metodę.

– Z tego co wiem, żona nie miała żadnych ewidentnych problemów, nie borykała się z chorobą alkoholową ani nie była fizycznie chora. Mam rację? – Stary człowiek skinął głową, chyba szczerze.

– Czy w waszym małżeństwie lub warunkach bytowych pojawiły się jakieś problemy, które mogłyby ją pozbawić chęci do życia?

- Nie. Byliśmy zadowoleni. A nawet szczęśliwi ze sobą. Tak w każdym razie sądziłem. - Zamilkł. - Nie mieliśmy żadnych kłopotów finansowych, nigdy nie byliśmy specjalnie bogaci ani szczególnie ubodzy. Zadowoleni byliśmy z losu i to się teraz raczej nie zmieni. Tylko wydatki w niektórych przypadkach zmaleją o połowę.

To krótkie zdanie na zakończenie świadczyło o tym, że choć mężczyzna znajduje się na uczuciowym obszarze tektonicznym, to posiada w głowie mapę owego obszaru, co najprawdopodobniej pozwoli mu przejść bez szwanku. Potrafił patrzeć na swój los z neutralnego punktu widzenia; wprawdzie czarny humor starsuszka nie bardzo śmieszył, ale oznaczał, że w głębi jego duszy nie kryje się wyłącznie mrok.

- Przyjechałem tu, jak wiesz, żeby ci pomóc. Wiele rzeczy pewno ci teraz dokucza, a jeśli masz jakieś pytania, to sądzę, że jestem na tyle dobrze przygotowany, by spróbować na nie odpowiedzieć. Mogę też sam mówić, jeśli uznasz, że tak będzie lepiej.

Mężczyzna prychnął.

- Ja chcę tylko wiedzieć, dlaczego ona to zrobiła. Ale ty chyba nie znasz na to odpowiedzi, nie?

- Nie, może i nie, ale uważam, że mogła być chora. Choroba psychiczna potrafi sprawić, że człowiek cierpi nieznośny ból i nie widzi innego sposobu, by uwolnić się od cierpienia. Kiedy tak się dzieje, nie ma sensu kogokolwiek obwiniać, bo ani ty, ani inni niczego nie byliście w stanie dla niej zrobić. Pamiętaj o tym.

Mężczyzna spojrział na Freyra z powątpiewaniem.

- Halla nie cierpiała żadnego nieznośnego bólu. Zauważyłbym to.

- Może wiara łagodziła jej cierpienie albo ukrywała je przez wzgląd na ciebie.

Mężczyzna potrząsnął głową i już nie zdawał się równie przekonany o swojej winie.

- Niemal bez przerwy siedzę tu od chwili, gdy to się stało, i usiłuję przypomnieć sobie w jej zachowaniu coś, co powinienem był zauważyć albo rozpoznać. Coś, co by pozwoliło mi temu zapobiec. Ale niczego takiego nie widzę.

Freyr nie miał ochoty wyliczać najważniejszych objawów skłonności samobójczych. Jedną z najwyraźniejszych oznak byłaby oczywiście jakaś wcześniejsza próba. Ale podobno nic takiego nie miało miejsca. W tym momencie nie byłoby korzystne, gdyby jego rozmówcę przepełnił żal, a wymieniając niektóre z objawów, Freyr mógłby wywołać u niego jeszcze gorsze samopoczucie. Zwłaszcza gdyby się okazało, że któryś z objawów pasuje do zachowania Halli. Wolał tak pokierować rozmową, by zorientować się, w jaki sposób Bjarni powinien zająć się swoimi sprawami, jeśli chce pogodzić się ze stratą żony. Mężczyzna zdawał się słuchać uważnie, zadawał nawet pojedyncze pytania, co także dobrze rokowało. Freyr poczuł ulgę, usłyszawszy, że ich jedyna

córka, Petra, mieszka nadal w osadzie, choć synowie już dawno wyprowadzili się w okolice stolicy. W takim razie stary człowiek nie był sam i Freyr namawiał go, by nakłonił córkę do jak najczęstszych odwiedzin, chodził do niej na obiady i przyjmował z otwartymi ramionami towarzystwo, jakie ona i jej rodzina mu zaoferują. Zapytany, Bjarni odparł, że osobiście nie ma zamiaru iść w ślady swojej małżonki, co też zwiastowało dobrze, choć oczywiście jego słowa nie musiały wykluczać takich myśli. Freyr był dość zadowolony z obrotu spraw, gdy zorientował się, że powinien już iść. Mężczyzna zresztą też wyglądał na zmęczonego i nie chłonał już wszystkiego, co Freyr do niego mówił.

– Zajrzę do ciebie jutro, jeśli nie masz nic przeciwko temu. I możesz zadzwonić, kiedy tylko zechcesz. – Wyciągnął wizytówkę i obserwował, jak staruszek wpatruje się w drobne litery. Znów ucieszyła go jego reakcja, bo zauważył u wdowca pewne objawy zainteresowania.

Pożegnawszy się, poszedł do samochodu. Wyjmując kluczyki, zobaczył wieżę kościoła, którego nie zauważył, gdy jechał przez osadę. Zdziwiony wrócił do domu starego.

– Jedno pytanie na koniec: czy Halla nie chodziła do kościoła we Flateyri? – rzucił, kiedy mężczyzna pojął się w drzwiach.

– Chodziła. – Freyr wyczytał z oczu tamtego, że doskonale rozumie jego intencje. – Ani nie należała do parafii w Sudaviku, ani nie uczęszczała na msze do tamtejszego kościoła. – Hardość pojawiła się w jego głosie, kiedy na koniec dodał: – Po prostu wybrała tamto miejsce na śmierć, ale ja nie rozumiem ani tego czynu, ani wyboru miejsca. – Zamilkł na chwilę i patrzył na osadę rozciągającą się za plecami Freyra. – Jak u wszystkich, tak i u niej wraz z mijającymi latami rosło zainteresowanie przeszłością. Ostatnio zdarzało się jej coraz częściej odwiedzać dawnych przyjaciół, interesowała się również genealogią. – Zauważył, że Freyra zaciekały jego słowa i nie chciał, aby zostały źle zrozumiane czy odczytane w inny niż zgodny z intencjami sposób. – Podobne zainteresowania stały się też moim udziałem, ale ja sobie życia nie odebrałem.

W drodze do Isafjördur Freyr zastanawiał się już tylko nad tym, dlaczego kobieta udała się do odległej gminy, żeby skrócić sobie życie. Niewątpliwie chciała oszczędzić swoim przyjaciołom i bliskim widoku śmierci, ale mogła przecież wybrać kościoły w Sudureyri, Thingeyri albo Isafjördur, które znajdowały się o wiele bliżej. Niewątpliwie musiał istnieć jakiś powód, ale Freyr nie potrafił nic wymyślić. Wiedział, że to ważne, choć nie zdawał sobie sprawy dlaczego.

Oziębilo się, lecz pot ciurkiem ściekał po plecach Katrin. Bawełniany podkoszulek kleił się do skóry i nieprzyjemnie kępował wszystkie ruchy. Najbardziej niemiłe było zimno rozchodzące się po odkrytych policzkach, podczas gdy na całym ciele było jej gorąco. Można przyzwyczaić się do zimna albo gorąca, ale nie jeśli zdarzają się naraz. To jakby jeść słony cukier. Katrin wyprostowała się, oparła rękę na biodrach i przyjrzała swoim dokonaniom z ostatniej godziny. Silny zapach farby wygonił ją z wnętrza, gdy poczuła, że wielkimi krokami zbliża się ból głowy. Wyszła na świeże powietrze i podjęła przerwane wczoraj dzieło naprawy tarasu. Niespecjalnie było się czym szczycić, postępy okazały się dość mizerne i jeśli cokolwiek się jej udało, to zrobić większy bałagan. Wszędzie walały się deski, a nieregularne krawędzie tej części tarasu, którą Gardar uznał za niewymagającą naprawy, wyglądały jeszcze gorzej. W jednym miejscu złamała długą deskę sięgającą niezniszczonej części tarasu. Z pewnością wkurzy to Gardara, gdy się tu zjawi. Lif zaś dostrzeże wesołą stronę rzeczy. Wiele razy dziś naśmiewała się dyskretnie z ich poczynań, ale także i z własnej nieudolności. Nie była to jedyna robota, jaka wymknęła się im spod kontroli. W całym domu można się było natknąć na ślady niedokończonych prac, które rozpoczęli, lecz szybko zarzucili. Nie zastanawiali się, kiedy te roboty dokończą, Lif nie interesowało nic poza tym, czym akurat była zajęta, a Katrin i Gardar oboje pilnowali się, by ani słowem nie wspominać o organizacji pracy. Zresztą nie po raz pierwszy zdarzało im się nie podejmować rozmowy o własnych problemach. Wiedzieli oczywiście, że taka metoda tylko pogarsza stan rzeczy i pewno zaowocuje jedynie wzmożoną nerwowością przed samym wyjazdem, a wtedy zaczną rozpaczliwie szukać jakichś rozwiązań, uciekając się do zastępczych działań.

Katrin najchętniej głośno dałaby upust swemu zniechęceniu, ale się powstrzymała. Nie chciała przerywać tej niewiarygodnej ciszy, do której zdążyli już przywyknąć, a która zdawała się narastać. Opuściła tylko rękę i głęboko westchnęła. Jakoś to będzie. Rozciągający się pod jej stopami taras rozdziawiał się na świat, jakby się dziwiąc, że zakłócono mu spokój i nie pozwolono butwieć, jak to czynił od dziesięcioleci. Poprzez wielką dziurę prześwitywała ciemna gleba. Poza zwierzęcymi kośćmi, które tam znaleźli, to ciemne miejsce zdawało się równie pozbawione roślinności i życia, co księżyc. Katrin czuła mdłości spowodowane odorem dobywającym się spod tarasu, choć nie był on szczególnie obrzydliwy czy intensywny. Może to znalezienie kości tak głęboko ją poruszyło. Wprawdzie trudno jej było pojąć, dlaczego na samą myśl przechodzą ją dreszcze, w końcu nie była wegetarianką i kości nie powinny wzbudzać w niej jakichś specjalnie przykrych uczuć, niemniej pilnowała się, by nie zaglądać pod deski, które jeszcze tkwiły na swoim miejscu. Być może obawiała się, że natknie się na ludzkie kości, doczesne szczątki kobiety i chłopca, którym postawiono krzyże.

– Faj. – W drzwiach pojawił się Gardar. Wyglądał mało atrakcyjnie. Twarz miał pokrytą plamami białej farby. Ciemny zarost nie przypominał już cienia, wyglądał raczej jak nieregularnie porastający, zaniedbany mech. Gardar sprawiał przez to wrażenie skacowanego albo nieumytego i kiedy Katrin zmrużyła oczy, pomyślała, że wygląda jak człowiek, któremu własne życie wymyka się z rąk. Przekrwione oczy dopełniały obrazu. – Tyle brakowało, a bym się udusił. – Gardar zbliżył palec wskazujący do kciuka, tworząc wąziutką szczelinę. – Zapomniałem, jak trujący potrafi być rozcieńczalnik. – Ostatnio, kiedy musieli malować swój dom, zatrudnili malarza, tym bardziej że pieniądze nie stanowiły żadnego problemu i nie było powodu czymś takim się kalać. I gdyby ktoś wtedy powiedział, że w ciągu kilku zaledwie miesięcy znajdą się na krawędzi bankructwa, skwitowałiby jego uwagę pełnym politowania śmiechem i przypomnieli tej osobie, by wzięła leki. – Nasza Lif maluje i maluje. Kończy już drzwi i stolarkę okienną na górze w pokoju z sękami. – Gardar oparł się swobodnie o futrynę. – Tyle że chyba nigdy nie widziałem równie kiepsko pomalowanej stolarki. W słońcu będzie wyglądała na kiepski żart. – Postąpił naprzód. – Co tu się stało? – Gardar zauważył złamaną deskę. Ale nie sprawiał wrażenia, jakby go to szczególnie rozdrażniło.

– Okazało się, że jestem silniejsza, niż myślałam. – Katrin uśmiechnęła się do niego. – To stało się właściwie dlatego, że nie bardzo wiem, co robię. Musiałam wyjść na zewnątrz i od razu zabrałam się za tę robotę.

– Powiniennem być wyjść z tobą. Najgorzej, że już za późno, smród zagnieżdził się w ubraniach i pewno zapaści korzenie i we mnie. – Gardar przesunął dłonią po włosach, wzbudzając czuprynę, by uwolnić ją od zapachu. – Zastanawiałem się, czyby nie iść na krótki spacer, muszę się trochę przewietrzyć. Nie wybrałabyś się ze mną?

– Zdecydowanie. – Katrin podniosła się, szczęśliwa, że nie musi zastanawiać się nad tym, jak ratować taras. Najchętniej wypełniłaby przestrzeń pod podestem piaskiem lub drobnymi kamykami, a potem przykryła dziurę zdrowymi deskami, ale coś podpowiadało jej, że takie tarasy nie bez powodu stawiano na drewnianej konstrukcji. – Pójdę tylko po Lif. Przechadzka dobrze jej zrobi.

– Dom też zyska na tym, jak ona zrobi sobie przerwę. – Podest zatrzeszczał srodze, kiedy Gardar pochylił się i postukał w krawędzie zniszczonych desek. – Wygląda na to, że i taras skorzysta na tym, że odłożymy robotę. – Wyprostował się i wszedł za Katrin do środka. – Chodziłaś dzisiaj nad morze? – spytał, wkładając kurtkę w przedśionku. Katrin ruszyła na górę zawołać Lif. Wkładając rękę w rękaw, zahaczył dłonią o półkę i zaklął siarczyście.

Katrin odczekała, aż się uspokoi. Odwróciła się na schodach.

– Czy chodziłam dzisiaj nad morze?

– No. Widziałem ślady mokrych butów i muszelki na podłodze w salonie. Mam nadzieję, że nie chcesz dekorować nimi domu. Mam pełne ręce roboty z prostymi naprawami, więc wolałbym, byś nie dokładała mi muszelek.

Katrin uśmiechnęła się.

- Nie znosiłam do domu żadnych muszelek. Od razu zajęłam się rozbiórką tarasu. - Bardziej rozsunęła zamek kurtki. Zimne powietrze ją chłodziło, ale wnet poczuła dreszcze, więc znów go zasunęła. - To pewno jakieś śmiecie, które były tu, kiedy przyjechaliśmy.

- Wątpię. Nie pamiętam, bym je tam widział.

- Nie przyniosłam żadnych muszelek i jeśli ty tego nie zrobiłeś, musiały tu być wcześniej. Chyba że przyniosła je Lif.

Mina Gardara świadczyła o tym, że jest zaskoczony.

- Ona nigdzie nie wychodziła. Pracowałem na górze w pokoju obok niej i wysłuchiwałem jej ciągłego biadolenia.

Katrin wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, by lis je tu przyniósł. Czy Putti.

- Nie. Raczej nie. Cały ranek przespał jak zabity. No i te muszelki ułożono w litery, a z tego co wiem, psy nie są mistrzami ortografii.

- I co było napisane?

- Żegnajcie. - Gardar zamasyżycie zasunął zamek kurtki. - Pewno one tam leżały, tyle że po prostu ich nie zapamiętałem. Może to przez ten cały rozcieńczalnik.

- Żegnajcie? - Katrin wzdrygnęła się. - Spacer naprawdę dobrze nam zrobi.

- - -

Ruszyli we trójkę, a za nimi włókł się z ociąganiem Putti. Nie ustalili, dokąd pójdą. Żadne z nich nie chciało iść pod górę, ale w takim byli też stanie fizycznym, że nie musieli nawet tego mówić. Słońce stało tak wysoko, jak tylko mogło o tej porze roku, rzucając długie cienie na ziemię, i odkształcało kontury wszystkiego, na co padły jego promienie. Chrząst żwiru pod stopami brzmiał nieobco po przenoszeniu rzeczy pierwszego dnia. Gardar szedł bardzo wolno jak na niego i widać było, że każdy krok kosztuje go dużo wysiłku. Zatrzymał się na chwilę przy pierwszym domu, chcąc niby sprawdzić wykończenie rynny na dachu. Katrin jednak wiedziała, że po prostu musi dać odpocząć obolałej pięcie.

- Dlaczego wszystkie okna zostały zabite? - Lif przystawiła twarz do desek, którymi zakryto szyby obok drzwi wejściowych. W ten sposób zresztą zabezpieczono okna we wszystkich domach. Wyglądało to, jakby zostały oślepione. Jedynym wyjątkiem był ich dom. Tam brudne szyby wystawione były na działanie niepogody i wiatru, ale szczęśliwie to wytrzymały.

- Z pewnością żeby zapobiec zniszczeniom, w razie gdyby pękła szyba. - Gardar mocno chwycił za rurę rynny i potrząsnął nią.

- A dlaczego szyba miałaby pęknąć? Przecież tu nikogo nie ma. - Lif odsunęła

się od domu.

- Nie wiem, może z powodu kiepskiej pogody. A może ptaki je wybijają. - Gardar zdawał się zadowolony, że potrafił udzielić Lif odpowiedzi. Ani ona, ani Katrin nie miały o tym zielonego pojęcia i nie mogły stwierdzić, czy ma rację. Przyjrzał się opadającej pionowo rynnie jeszcze uważniej i zaczął zastanawiać się nad mocowaniami.

- Ale to jakieś strasznie dziwne. - Katrin patrzyła na osadę.

- Odpływ? - spytał Gardar zdziwiony.

- Nie, ta cała osada. Ciekawe, jak się żyło w takiej małej i odciętej od świata wiosce? I jak reagowali mieszkańcy, kiedy przeprowadzili się stąd do miasta po latach życia na odludziu? - Przyjrzała się odremontowanym domom. Sprawdziwszy na własnej skórze, ile pracy trzeba włożyć w naprawę takiego domu, dopiero teraz potrafiła docenić wysiłek innych. - Ciekawe, jak się czuli, opuszczając swoje domy na zawsze?

- Na pewno koszmarne. - W głosie Gardara pobrzmiwał smutek. Jeśli nie zdarzy się cud, znajdą się w tym samym położeniu co ci ludzie w połowie ubiegłego wieku, stracą swój dom w mieście i zmuszeni będą zamknąć za sobą drzwi po raz ostatni. Jedyna różnica polegała na tym, że gdy będą jechać przez swoją dzielnicę, ich obecny dom stał im będzie przed oczami, a ludzie z Hesteyri wyprowadzili się daleko stąd i dlatego rzadko przypominały im się utracone strony rodzinne. Katrin jakiś czas temu postanowiła sobie, że będzie unikać starej dzielnicy, kiedy już zostaną wyrzuceni na bruk. Nie miała ochoty oglądać auta innej rodziny na podjeździe, innych zasłon w oknach kuchennych, innych mebli w ogrodzie. I wiedziała, że Gardar też tak uważa.

Lif zajęła miejsce obok Katrin i także przyglądała się okolicy.

- A co oni mieli zrobić? Gdy zamknięto tutejszą przetwórnię, nie można było znaleźć pracy i nie było nawet mowy o tym, żeby tu dłużej mieszkać, choć oczywiście ktoś tu jeszcze przez jakiś czas wegetował.

Zupełnie tak jak ona i Gardar. Katrin nie odezwała się, lecz słowa dźwięczały jej w głowie. Cud, którego potrzebowali, by zachować nieruchomość, nie następował i będą mogli uważać się za szczęśliwców, jeśli zatrzymają dom, dopóki nie zostanie uchwalona ustawa, która ostatecznie zmusi ich do oddania bankowi kluczy.

- Co to jest? - Katrin pokazała palcem na zbocze nieco na południe od osady. Znajdował się tam kamień albo kopiec, z pewnością ustawiony tam ludzkimi rękami.

Gardar odwrócił się i spojrzał w kierunku, w którym wskazywała Katrin. Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. A może się tam przejdziemy? Po drodze będziemy mogli obejrzeć domy, może podpatrzymy coś, co nam się przyda.

– Mnie by się najbardziej przydała łaźnia albo spa. – Lif zamarzyły się luksusy.
– Nie miałabym teraz nic przeciwko masażowi.

– To ci nie grozi. – Katrin sama oddałaby jedną rękę za choćby kąpiel w pianie. Już dawno przestała myśleć o drogich kąpielach zdrowotnych.

Szli spokojnie ścieżką, ale co chwilę musieli się zatrzymywać, ponieważ Gardar albo podciągał skarpetkę na rannej stopie, albo ją związał, żeby ochronić odcisk na pięcie. Ani jedno, ani drugie nie pomagało dłużej niż przez moment i kiedy znaleźli się na terenie, który wzbudził zainteresowanie Katrin, poważnie już utykał. Po drodze podziwiali domy, nie dostrzegając jednak niczego, co mogłoby zainspirować zmiany w ich domu. Gdyby nie odcisk Gardara, podchodziliby bliżej, aby lepiej im się przyjrzeć, ale wtedy znacznie wydłużyliby spacer. Osada została tak rozplanowana, że domy dzieliły spore odległości. Z drugiej strony wioska nie bardzo mogła się rozrosnąć, bo nie starczyłoby miejsca.

– Jeśli bardzo cię boli, to nie musimy dalej iść. – Katrin skrzywiła się, gdy Gardar zsunął skarpetkę z wielkiego czerwonego odcisku. Krzyknął, kiedy ciekawski piesek obwąchał mu obolałe miejsce. Usiłowała przypomnieć sobie, czy wzięli plastry albo apteczkę samochodową, ale pewność miała jedynie co do tego, że postanowiła zabrać ją ze sobą. Nie pamiętała jednak, czy tak zrobiła. – Straszna ta twoja stopa.

– Jutro wszystko będzie w porządku. Mam inne buty, które nie sięgają tak wysoko nad kostkę. – Gardar ściągnął skarpetkę na śródstopie i oparł stopę na bucie. – Jaki ze mnie idiota, że ich teraz nie włożyłem.

– To naprawdę okropnie wygląda. – Lif skrzywiła się, a potem uśmiechnęła. – Trzeba będzie ci amputować nogę. Szkoda.

Gardara to nie rozbawiło, chociaż usiłował się uśmiechnąć. Już miał zamiar się odezwać, ale ubiegła go Katrin:

– Poczekaj tu chwilę. Pójdziemy tam z Lif i rzucimy na to okiem. Niech w tym czasie twoja noga odpocznie, a potem spokojnie sobie wrócimy.

Gardar nie potrafił ukryć, jak bardzo się cieszy, że może usiąść.

– Świetny pomysł. Wątpię, czy udałoby mi się wrócić, gdybym teraz postawił choć jeden krok więcej. – Klapnął na belę siana znajdującą się tam jakby specjalnie po to, by ludzie mogli wspierać na niej umęczone kości. – Dobrze mi robi, jak ostudzę trochę piętę. – Wyprostował obnażoną częściowo nogę i potrząsnął nią. Można było odnieść wrażenie, że wiatr tylko czekał na to hasło, bo zaraz się ochłodziło.

– Ja też zaczekam. – Lif usiadła obok niego. – Właściwie to mam już dość łożenia na całe życie. – Opadła na plecy i patrzyła w niebo. – Tylko nie siedź tam zbyt długo.

Wspinając się po łagodnym zboczu, Katrin musiała bez przerwy odgarniać włosy z twarzy, bo wiatr ciągle robił jej na złość i nawiewał kosmyki na oczy.

Zatrzymała się na chwilę, aby poszukać gumki do włosów w kieszeniach kurtki, ale jej nie znalazła. I dopiero teraz zorientowała się, co znajduje się na tym równym terenie. Odwróciła się i zawołała do Gardara i Lif: „To cmentarz! Może krzyże stąd pochodzą!”. Nie wiedziała, czy wiatr nie zagłusza jej głosu, ale Gardar do niej pomachał. Zamiast krzyknąć głośniejsze, weszła na teren cmentarza, gdzie znajdowało się kilka okazałych, ale zaniedbanych grobów. Będzie miała dość czasu, by im opowiedzieć o tym, co odkryła, w drodze do domu. Pośrodku stał usypany z kamieni pomnik i to on właśnie przyciągnął uwagę Katrin.

Sądząc po liczbie grobów, których było zaledwie kilkadziesiąt, niewiele osób żyło i zmarło w okolicy. Wygląd większości kwater świadczył o tym, że zima swobodnie hasała wśród nagrobków, a jeśli wierzyć szyprowi, od końca sierpnia do wiosny nikt tu w zasadzie nie przyjeżdżał. Pewno też o część tych grobów nigdy nie dbano. Potomkowie niektórych zmarłych wyjechali do stolicy albo nawet do odległych krajów, inni mieszkańcy odeszli w samotności. Widać było, że w niektórych miejscach roślinność bujnie porasta nagrobki. Teraz trawy leżały zwiędłe i suche pomiędzy kwaterami. Tylko skorodowane krzyże i mniej czy bardziej krzywe płyty nagrobne zaświadczały, że są tu pochowani ludzie. Katrin miała świadomość, że pozwala wyobraźni sobie manipulować, ale wydawało jej się, że tutaj roślinność jest bardziej martwa niż gdzie indziej, a łodygi i uschnięte resztki traw skrzypią pod jej nogami wyjątkowo głośno. Wiatr zdawał się zimniejszy i jakby szeptał coś, czego dokładnie nie słyszała. Szybko zrobiło się jej zimno. Pomyślała, że już zawsze będzie marzła. Zasuńawszy zamek pod szyję, poczuła się nieco lepiej, chociaż ciepło jej nie było. Podeszła kilka kroków do ogrodzonej kwatery ozdobionej okazałym krzyżem, który kiedyś się ułamał i teraz leżał na ziemi. Swego czasu ogrodzenie musiało wyglądać bardzo elegancko, ale obecnie artystycznie kute żelazne pręty tu i ówdzie były równie przerdzewiałe, co krzyż. Strasznie ponury widok.

Odwróciła się na pięcie, by sprawdzić, czy Gardar i Lif nadal są na swoich miejscach. Oczywiście, że byli, i zdawali się pochłonięci rozmową. Najchętniej zawróciłaby i pobiegła do nich. I przyszła tu znowu wtedy, kiedy oni będą w stanie jej towarzyszyć. Ale wiedziała, że jak tylko znalazłaby się na ścieżce, zaczęłaby robić sobie wyrzuty. Przecież musi sprawdzić, czy tamte krzyże pochodzą z tego cmentarza. Przemogła się i szybkim krokiem podeszła do pierwszego grobu. Napis na sporej płycie informował, że małżonkowie zmarli w 1949 roku. Ani data, ani imiona się nie zgadzały. Na krzyżach znalezionych koło domu widniały imiona *Hugi* i *Bergdis*, a datą śmierci obojga, jak wydawało się Katrin, był 1951 rok. Dziwne, ale jakoś to pamiętała, choć zazwyczaj miewała kłopoty z zapamiętywaniem liczb. Odwróciła się do następnego grobu, ale tu napis był tak wytarty, że nie dało się go odczytać. To samo tyczyło dwóch kolejnych płyt. Stojąc tak i zastanawiając się, czy jest sens łączyć od jednego grobu do drugiego, zauważyła tabliczkę na usypanej z ziemi mogile.

Podeszła do bezpretensjonalnie pięknego kopca. Na samym szczycie tkwił krzyż, a we wgłębieniu na froncie umieszczono stary dzwon i tabliczkę, która

zainteresowała Katrin. Uśmiechnęła się, ujrzawszy na niej mapę z lokalizacją grobów i listę osób spoczywających na tym cmentarzu. Przytwierdzono do niej także czarno-białe zdjęcie małego kościółka z ogólnymi informacjami na jego temat. Okazało się, że kiedyś w tym miejscu stał kościół zbudowany w 1899 roku w darze od Norwega M.C. Bulla, który prowadził bazę wielorybniczą Hekla w Stokksejri, tuż za rogatkami osady. Zanim wzniesiono kościół, przez kilka wieków w osadzie funkcjonował dom modlitewny. W roku 1960 kościół został przeniesiony do Sudaviku. Zaznaczono, że dzwonek umieszczony w pomniku pochodzi z kościoła, a odlany został w 1691 roku. Tę informację Katrin uznała za ważną, zwłaszcza że wisiał tu niestrzeżony i dostępny dla odwiedzających. Krótki tekst kończyły zdawkowe informacje na temat Hesteyri. Wszak żyło tu wiele ciężko harujących osób, ze swoimi kłopotami i radościami, które dozował im los. Może historia owego miejsca nie zasługiwała na kwieciste, piękne opisy, więc porzeczono na tym, że Hesteyri otrzymało prawa osady kupieckiej w roku 1881, że w najlepszym okresie mieszkało tu na stałe około 420 osób i że w osadzie znajdował się telegraf, potem centrala telefoniczna, jak również gabinet lekarski. Na temat jej upadku napisano tylko, że od roku 1940 zaczęła się wyludniać, a ostatni mieszkańcy wyprowadzili się w 1952 roku.

Więcej można się było dowiedzieć z listy osób spoczywających na cmentarzu. Uszeregowano je według dwóch kategorii, z jednej strony ci, o których wiedziano, że zostali tu pochowani, ale miejsce ich spoczynku było nieznane, z drugiej ci, którzy leżeli w konkretnych grobach. Osoby z tej pierwszej kategorii w większości zmarli, gdzieś około 1900 roku. Katrin przyszło do głowy, że w tamtych czasach mieszkańców nie stać było albo nie mieli możliwości, by oznaczyć miejsca spoczynku, potem zapomniano, gdzie kto został pochowany, a natura zadbała, by te groby całkiem znikły. Zdziwiło ją bardzo, że najświeższy grób na cmentarzu pochodził z 1989 roku, jak również i to, że leżały w nim trzy osoby, o których można się było tylko dowiedzieć, jakiej byli narodowości: dwóch Norwegów i jeden Niemiec. Taki pochówek na obczyźnie to ponury los. Nikt nie znał nazwisk cudzoziemców, dat ich narodzin, a nawet śmierci.

Ale to nie obcokrajowcy wzbudziły największe zainteresowanie Katrin. Ludzie, których imiona były wypisane na znalezionych koło domu krzyżach, znajdowali się na liście tych, którzy spoczywają w znanych grobach. Hugi Pjetursson i Bergdis Jonsdottir, oboje zmarli w roku 1951, ona w wieku trzydziestu dwóch, on niespełna pięciu lat. Katrin patrzyła na imiona, a krótkie życie tych osób nie dawało jej spokoju. Wyglądało na to, że Bergdis była matką chłopca, ale na nagrobku nie wymieniono ojca. Na żadnej z list nie znalazła Pjetura. Była zadowolona, że Lif została z Gardarem, niezręcznie by się czuła, mając ją obok siebie. Przecież Einar tak niedawno odszedł. Śmierć miał spokojną i cichą, położył się spać i już się więcej nie obudził. Natomiast ci tutaj, matka z synem, z pewnością opuścili ziemski padół wskutek wypadku lub choroby zakaźnej, skoro odeszli w tym samym roku, jeśli nie tego samego dnia. Śmierć Einara wydawała się mniejszym złem, jednakże nie człowiek tu decyduje. Bez wątplenia Lif by się z

tym nie zgodziła, ona obudziła się obok zimnego, martwego męża. Ciarki przeszły Katrin po plecach.

Mapa cmentarza doprowadziła ją do grobu Hugiego i Bergdis, odgradzonej, lecz bezimiennej kwatery. Gdyby spojrzała na mapę, pomyślałaby, że to jakieś zarezerwowane miejsca spoczynku, których nie wykorzystano przed wyludnieniem się osady. W przeciwieństwie do innych kwater tu nie było żadnej roślinności, a ziemię pokrywał czarny wulkaniczny pył. Gdzieś waleły się białe kamyki, ale ani śladu chwastów, trawy czy żdźbeł. Niziutkie groby obłożono kamieniami, które w paru miejscach się osunęły. Gdy Katrin doszła do grobów, wiatr się wzmógł, podobnie jak nieprzyjemny szept, choć już nie tak nieokreślony jak wcześniej. Musiała przytrzymać włosy, by baczenie przyjrzeć się otoczeniu. Dwie ułamane drewniane listwy sterczały z ziemi u wezgłowia grobów. Bingo. Choć to nie wyjaśniało, dlaczego krzyże zostały podrzucone w okolicach domu, ulżyło Katrin, że przynajmniej wie, skąd pochodzą. Może jacyś niespełna rozumu lub pijani turyści zniszczyli krzyże i porzucili je akurat przy ich chacie. Jednak natychmiast uświadomiła sobie, że to dość głupia hipoteza. A jej zadowolenie prysło jak bańka mydlana, gdy odkryła, że białe, owalne kamyki to muszelki.

Katrin podniosła jedną z nich i przyjrzała się jej dokładnie. Była wyblakła, pofałdowana, a mięczaka wydrapano lub usunięto ze środka w jakiś inny sposób. Rozejrzała się za kolejnymi muszelkami, które mogły kryć się w trawie wokół kwatery. Nie zauważyła ani jednej. Przyszło jej do głowy, że naznosiły je ptaki, ale wtedy leżałyby rozrzucone na większym obszarze. Poza tym niemożliwe, by ptaki powtykały muszelki w ziemię, wszystkie w taki sam sposób, wypukłą stroną do góry. Wiatr rozdmuchał piasek i muszelki już nie były tak wyraziście białe. Kolejny podmuch sprawił, że kilka z nich zupełnie zniknęło. Katrin ścisnęła muszelkę, którą trzymała w ręku, odwróciła się na pięcie i szybko ruszyła do Gardara i Lif. Niemożliwe, by muszle tkwiły tu od jesieni. Nie przetrwałyby nawet od rana, zważywszy, jak szybko wiatr je zasypywał. Ale kto je tu poutykał? Musiała zbadać, czy są takie same jak tamte, które Gardar znalazł w salonie. Może był w okolicy ktoś, komu zależało na tym, by go nie zauważyli?

Kiedy opuściła teren cmentarza, poczuła ulgę. Zauważyła głowy Gardara i Lif. Właśnie wtedy dotarło do niej, co też wiatr ciągle szeptał jej do ucha.

„Biegnij, Kato”.

Zdjęcie synka stało na swoim miejscu na biurku w skromnym szpitalnym pomieszczeniu, któremu jeszcze nie zdążył nadać osobistego charakteru. Poza tym zdjęciem właśnie. Podobne fotografie znajdowały się wszędzie tam, gdzie zwykł spędzać trochę więcej czasu; jedno na ladzie kuchennej w domu obok ekspresu, drugie na stoliku nocnym, trzecie na stoliczku obok fotela, w którym zasiadał przed telewizorem. Zdjęć było więcej, nie liczył ich i nie miał ochoty wiedzieć, ile ich jest. Wszystkie ramki były jednakowe, tanie i marnej jakości. Kilka się już nawet rozpadło i zostały wymienione na inne, solidniejsze. Pierwsze kupił w jednym sklepie, gdy odbierał powiększone odbitki fotografii dziecka. Zdjęcia wybrał w pośpiechu, ramki też. Doskonale pamiętał ten dzień; obudził się i nie potrafił przypomnieć sobie twarzy syna, bez względu na to, jak intensywnie starał się przywołać ją w pamięci. Majaczyła zawsze w pewnej odległości, jakby za chwilę już miała się ukazać, ale do tego nie dochodziło. By zapobiec takim właśnie momentom, chciał odtąd mieć koło siebie jego zdjęcie w ramkach, ale od razu zrozumiał, że liczba fotografii będzie rosła, aż w końcu przekroczy stan alarmowy.

– Kto jest na fotografii? – Dagny wskazała brodą na ramkę, zauważywszy, że się zagapił na zdjęcie. Wyglądała na strasznie zmęczoną, ale to nie czyniło jej mniej atrakcyjną. Za to bardziej ludzką. Krótko przyszczyżone włosy nie były tak błyszczące jak zwykle i oklapły nieco po długim dniu pracy. Bez wątplenia własna sofa kusiła ją bardziej niż wizyta u niego, ale przecież to nie wina Freyra. Sama chciała się z nim zobaczyć. – Ktoś, kogo znam?

– To mój synek, Benni. – Przez chwilę przyszło mu nawet do głowy, żeby odwrócić zdjęcie tak, by je widziała, ale tego nie zrobił.

– Nigdy go nie znaleziono, prawda? – Dagny zarumieniła się, ledwie skończyła zdanie. – Słyszałam o tym, kiedy tylko się tu sprowadziłeś. Zresztą nie musiałam wysłuchiwać szczegółów. Dobrze tę historię zapamiętałam. W Islandii dzieci nieczęsto znikają.

– Nie. Na szczęście. Ale nie jest to jedyny przypadek. Dwóch nastolatków zaginęło piętnaście lat temu w Keflavíku. Nigdy ich nie odnaleziono. – Freyr obserwował, jak Dagny niecierpliwie wierci się na krześle, bo chęć poznania szczegółów okazała się większa niż jej wrodzona delikatność. Jemu to nie przeszkadzało, wolał, aby ludzie pytali go wprost, miast krążyć niczym kot wokół gorącego mleczka za każdym razem, kiedy w rozmowie pojawiała się jakaś aluzja do tamtego wydarzenia. W najgorszym przypadku ludzie rumienili się, gdy tylko ktoś wspominał przy nim o dziecku, i starali się skierować rozmowę na inne tory. Nie, w takich przypadkach o wiele lepiej uciąć wszelkie spekulacje i dać rozmówcy do zrozumienia, że on się nie załamuje wspomnieniem swej bolesnej

straty. – W tej sytuacji nie mam już nadziei, że on się kiedyś odnajdzie, minęły trzy lata i zdążono przeczesać każdy kąt, gdzie ewentualnie można by go znaleźć.

Dagny najwyraźniej ulżyło, gdy zrozumiała, jak łatwo Freyrowi o tym rozmawiać. Patrzyła mu prosto w oczy, zamiast błędzić wzrokiem po ścianach gabinetu, i następne pytanie zadała bardziej zdecydowanym tonem:

– A jak sądzisz, co się stało? Dziwne, że dotąd niczego nie wyjaśniono.

Freyr skinął głową; poza jego była żoną nikt nie zastanawiał się nad tym równie dużo co on. Ale owe rozważania nie doprowadziły do żadnych wniosków.

– Po prostu nie wiem. To, że zaginął podczas zabawy w chowanego ze swoimi kolegami, wcale nie ułatwia sprawy. Może wszedł do studzienki albo innej dziury, która w jakiś sposób została zamknięta, ale i to oczywiście sprawdzono. Szukano w garażach, domach, autach, komórkach w całej dzielnicy, wszędzie tam gdzie mogło się ukryć dziecko. Policja uważa, że musiał wpaść do morza, chociaż ze wzgórza Artunsholt, gdzie mieszkaliśmy, wcale nie jest blisko do plaży. Zawsze uważałem tę wersję za mało prawdopodobną. Oczywiście nie można wykluczać, że przebył taki dystans, tyle że nie podczas zabawy w chowanego. Dzieciaki mówiły, że nigdy nie chowają się zbyt daleko, bo przecież chodzi o to, żeby w końcu się znaleźć. Zresztą znamy to z własnego dzieciństwa, nie uciekało się do innej dzielnicy w poszukiwaniu kryjówki. Poza tym chłopaki wiedzieli, że nie wolno im się zbliżać do ulicy ze względu na ruch, czego akurat przestrzegali. Nie sądzę aby Benni złamał ten zakaz. – Freyr skrzyżował ręce na piersiach. – Ale pewności oczywiście mieć nie mogę.

– A psy? Na pewno ich użyto. Nie podjęły żadnego tropu?

– Podjęły, ale nic to nie dało. Urywał się przy ulicy Straumur na północ od dzielnicy. Niedaleko jest duża stacja benzynowa, a o tej porze na wyjeździe z miasta panuje ogromny ruch. O ile dobrze zrozumiałem, chodziło o to, że psy zgubiły trop z powodu spalin. A w dodatku wieczorem zerwała się ulewa.

– Czy to możliwe, że go porwano? Jeśli ruch był tak duży, to przecież niewykluczone, że ktoś go wciągnął do auta. Choćby na stacji benzynowej.

– Nie można niczego wykluczyć, ale tę wersję także sprawdzano. Na stacji zamontowanych jest wiele monitorujących kamer, ale żadna z nich nie zarejestrowała niczego podejrzanego. Nie obejmują oczywiście całego terenu, ale prawie, i rejestrują każdy samochód, który odjeżdża ze stacji. Spisano numery wszystkich aut, które tego dnia stamtąd odjechały, i skontaktowano się z ich właścicielami, ale nic to nie dało. Podobnie jak inne metody.

Dagny patrzyła na niego zamyślona.

– Ale może jeszcze żyć, prawda?

Freyr odczekał chwilę z odpowiedzią. Wiedział, że ona ma dobre intencje, że chce podtrzymać w nim nadzieję. Lecz rzeczywistość była inna. Najgorsze, co mógł sobie wyobrazić, to że chłopiec nadal żyje i znajduje się w rękach jakiegoś

świra, bo przecież żaden normalny człowiek w ten sposób nie adoptuje dzieci. Pogodzenie się z najkorzystniejszą, a zarazem najtrudniejszą do zniesienia wersją, że chłopiec nie żyje, bardzo dużo go kosztowało. Jego była żona Sara wciąż nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią dziecka i wolno, acz uparcie pogrążała się w duchowej otchłani.

– Nie, on nie żyje. Benni chorował na wrodzoną cukrzycę. Nie przeżyłby długo bez insuliny, tym bardziej że miał dostać zastrzyk za jakąś godzinę po tym, jak zniknął. Sprawdzano także, czy nie było jakichś podejrzanych zakupów insuliny. Gdyby ktoś go porwał, musiałby regularnie zaopatrywać się w insulinę. Wszyscy lekarze i farmaceuci zostali na to wyczuleni, tak że jestem prawie pewien, iż cokolwiek podejrzanego natychmiast by wykryto. Najprawdopodobniej choroba przyczyniła się do smutnego końca. Jeśli Benni doznał szoku insulinowego w kryjówce, nad morzem czy gdzie tam się znajdował, to nie warto nawet pytać o finał. Zapadł w śpiączkę i nie był w stanie w żaden sposób sobie pomóc. – Freyr uśmiechnął się niemrawo do Dagny. – Choć może brzmi to idiotycznie, jest w tym pewne pocieszenie. Taka śmierć jest zupełnie bezbolesna.

– Rozumiem. – Dagny wyprostowała się i skrzyżowała nogi. – To straszne. Współczuję ci. Zawsze chciałam to powiedzieć, ale dotąd nie zdobyłam się na odwagę. Nie przywykłam do takich sytuacji. Szczęśliwie.

– Dziękuję – odpowiedział Freyr szczerze. Sara uważała, że współczucie innych jest powierzchowne, że nikt nie jest w stanie postawić się na jej miejscu i zrozumieć, co ona czuje. On miał inne zdanie. Sądził, że człowiek sam nie musi dotknąć piekła, by móc wyrazić swoje współczucie temu, kto się tam znalazł. – To wszystko razem jest koszmarnie, ale w końcu człowiek się przyzwyczaja. Najgorsze mam już za sobą.

– A czy śledztwo było dla was ciężkim doświadczeniem? – Dagny znów się zarumieniła i spieszenie dodała: – Chodzi mi o to, czy było trudniejsze, niż powinno być. Często się zastanawiam, jak ludzie przeżywają kontakt z policją, czy uważają nas za zimniejszych, niż jesteśmy w rzeczywistości.

Frejr zastanowił się chwilę, bo nigdy wcześniej tego nie rozważał.

– Nie wiem, do diaska. Najtrudniej pewno było przełknąć to, że mnie i Sarę, moją ówczesną żonę i matkę Benniego, traktowano z początku jak podejrzanych. Człowiek oczywiście miał świadomość, że niczego nie wolno wykluczyć, co jednak nie zmienia faktu, jak bardzo czuliśmy się tym dotknięci.

Dagny skrzywiła się.

– Ale to chyba długo nie trwało, co?

Frejr potrząsnął głową.

– Nie, w istocie. Ja szczęśliwie byłem w stanie udowodnić, że w tym czasie pojechałem do szpitala po lek dla Benniego, gdzie przy okazji załatwiłem kilka spraw, a Sarę z samego rana odwiedziła siostra i razem przygotowywały przyjęcie urodzinowe dla ich matki. Sprawdzone wszystko i jak już przestano nas

podejrzewać, stosunek policjantów do nas ocieplił się nieco. – Uśmiechnął się do niej na dowód, że nie żywi żadnych pretensji do policji.

Nie wiedział, czy uznała za niestosowne odwzajemnić jego uśmiech. W każdym razie nie uczyniła tego.

– Może już czas, żebym przeszła do sprawy. – Położyła na biurku nieduże pudełko z kartonu w kolorze łososiowym. – Tu są dowody związane z włamaniem do przedszkola i bardzo bym chciała, żebyś się im przyjrzał. Wiem, że niezbyt entuzjastycznie zareagowałam, kiedy zasugerowałeś, by zająć się dawnym włamaniem do szkoły podstawowej, ale zmieniłam zdanie i kazałam odnaleźć stare raporty. – Chrząknęła, bardzo delikatnie jednak. – Te sprawy są uderzająco do siebie podobne, co sam zresztą zauważysz, gdy się z tym zapoznasz. Otrzymałam zgodę przełożonego, żeby przekazać ci te materiały, ponieważ można się tu dopatrzeć defektu psychicznego, jako że włamanie nie zostało popełnione w celu wzbogacenia się. Większość to kserokopie, ale oczywiście dopilnujesz, by się nie porozchodziły po ludziach.

Freyr wbił wzrok w łososiowe pudełko, którego kolor stał w krzyczącej sprzeczności z zawartością, i zastanawiał się, kto je mógł wybrać. Wielki biały sticker został krzywo naklejony na wieczku, ale pełnił swoją rolę: „Zawartość jest własnością policji w Isafjördur. Poufne”.

– Czego się po mnie spodziewacie? Chcecie, żebym wyjaśnił tę sprawę?

Dagny parsknęła.

– Niezupełnie. – Spuściła wzrok. – W pudełku znajduje się coś jeszcze. Materiały dotyczące Halli, tej, która odebrała sobie życie w Sudaviku.

– Jak to? – Freyr przyciągnął do siebie pudełko. – A w tej sprawie coś się wyjaśniło? Uważacie może, że nie popełniła samobójstwa?

– Nie, nic na to nie wskazuje. Ale są inne rzeczy, które nasuwają pytania.

– Pytania zawsze nieuchronnie towarzyszą samobójstwom, ale rzadko padają na nie odpowiedzi. Uderzyło mnie na przykład, że ona wybrała sobie kościół w Sudaviku, a nie gdzieś bliżej, ale nic z tego nie wywnioskowałam. Wyczytałem w necie, że kościół został tam przeniesiony z Hesteyri, kiedy osada się wyludniła, przy protestach byłych mieszkańców. Przyszło mi do głowy, że może owe spory miały jakiś wpływ na decyzję co do wyboru miejsca, ale na to nikt nigdy mi nie odpowie. A może istnieje jakiś inny związek z Sudavikiem? Albo i z Hesteyri?

Dagny milczała chwilę, patrząc na pudełko.

– Ale nie to mnie zaniepokoiło. – Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. – Czy ta kobieta cię znała?

– Co? – Freyr nie potrafił ukryć swego zaskoczenia. – Chodzi ci o to, czy była moją pacjentką? Mówiłem już o tym, kiedy samobójstwo wyszło na jaw.

– Nie, nie o to, ale o ewentualny jej związek z tobą lub twoją byłą żoną. Czy była z wami spowinowacona?

– Nie. – Freyr miał świadomość, że Dagny w końcu powie mu, o co chodzi, ale nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. – Przedwczoraj po raz pierwszy usłyszałem o tej kobiecie. Czy może jej mąż twierdzi inaczej? Przy mnie ani słowem o czymś takim nie wspomniał.

– Nie, on twierdzi to samo co ty, nie kojarzy żadnego związku. Zadzwoiłam do niego, zanim do ciebie przyszedłam. – Poczekała chwilę, by to skomentował, ale ponieważ się nie odezwał, ciągnęła dalej: – Z pozoru te dwie sprawy, włamanie i samobójstwo, łączą się w jakiś sposób ze sobą. Ale ja, niestety, nie widzę tego związku. Zresztą nie chcę mówić zbyt dużo, żeby nie popsuć ci przyjemności z przeglądania tych materiałów.

– A może powiesz mi, skąd ci przyszło do głowy, że ja ją znałem? – Freyr nauczył się czytać ludziom w myślach, tak że miał pełną świadomość, iż Dagny krąży wokół tego tematu.

Hałas dobiegający z korytarza dał jej dodatkowy czas do namysłu. Rozwożono właśnie kolację po oddziałach. Brzęk talerzy i sztućców na chwilę zagłuszył wszystko, ale potem się oddalił i zapanowała cisza.

– Czy to możliwe, że swego czasu brała udział w poszukiwaniach twego syna? Szukano go we Flateyri albo w Isafjördur?

Freyr miał wrażenie, że w gabinecie zrobiło się nieznośnie gorąco. Poluźnił krawat i rozpiął ostatni guzik koszuli.

– Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: nie. Nie szukano go w całym kraju, chociaż zwracano się do ludzi, by mieli oczy otwarte, a media publikowały jego zdjęcia. Natomiast nie znam nazwisk wszystkich tych, którzy prowadzili poszukiwania w Reykjavíku, ale uważam, że to wykluczone, by wśród nich była Halla. Poszukiwaniami zajmowała się policja i służby ratownicze, a ona ani nie była policjantką, ani raczej nie należała do oddziału ratunkowego, choćby z uwagi na wiek. – Zanim zdążył zapytać, skąd coś takiego przyszło jej do głowy, Dagny zadała pytanie równie niezrozumiałe, co poprzednie.

– Czy imię „Bernodus” z czymś ci się kojarzy?

– Nie. – Freyra świerzbiły ręce, by dorwać się do zawartości pudełka. Sądząc po pytaniach Dagny, musiała być arcyciekawa. – Zapamiętałbym. To niezwykle rzadkie imię.

Dagny skinęła głową, jakby nie spodziewała się innej odpowiedzi.

– Rozumiem.

Freyr oparł dłonie na pudełku, uśmiechnął się do Dagny i rzekł:

– Ja tego powiedzieć nie mogę. Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Otwórz pudełko i przejrzyj jego zawartość. Jak już mówiłam, uważam, że tamto włamanie sprzed lat i to ostatnie, jak również samobójstwo Halli mają coś wspólnego. – Zawahała się chwilę, po czym kontynuowała, ale tak cicho, że prawie szeptała. Pilnowała się, by nie patrzeć mu w oczy. – A także zniknięcie

twojego synka.

Freyr otworzył usta, by zaprotestować, ale z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Zupełnie jakby stracił zdolność oddychania. Szybko jednak doszedł do siebie.

- To niemożliwe. - Głos jego brzmiał zdecydowanie i bynajmniej nie przyjaźnie, wbrew zasadom, jakie starał się przyswoić sobie z pracy. - Skąd takie przypuszczenie?

- Jak już powiedziałam, najlepiej będzie, jeśli sam się temu przyjrzysz. - Wstała i zdjęła kurtkę z oparcia krzesła. - Porozmawiamy, jak wyrobisz sobie pogląd na sprawę. Wybacz, że to wszystko wygląda tak idiotycznie, ale nic nie poradzę. - Podeszła do drzwi, a on śledził uważnie każdy jej ruch. Gdy je otworzyła, odwróciła się do niego. - Chciałabym tylko podkreślić, że nie wiedziałam, iż na tym zdjęciu jest twój synek, gdy o to zapytałam. Mam nadzieję, że nie uważasz, iż próbowałam wyciągnąć z ciebie informacje. To nie tak. - Zamknęła za sobą drzwi, nie dając mu okazji do odpowiedzi ani pożegnania. Temperatura w pokoju wciąż zdawała się rosnać, więc Freyr zdjął krawat. Rzucił go ponad biurkiem na krzesło, na którym jeszcze przed chwilą siedziała Dagny. Następnie zdjął fartuch lekarski i cisnął w tę samą stronę. Śnieżnobiały, wylądował dokładnie tam, gdzie powinien, ale potem zsunął się po oparciu na podłogę.

- - -

Jakieś pół godziny później udało się Freyrowi zapoznać z materiałami. Większość przejrzał tylko pobieżnie, ale to wystarczyło, by zrozumieć, dlaczego Dagny uważała, że znalazła związek między oboma włamaniami a samobójstwem Halli. Czarno-białe kserokopie zdjęć zrobionych swego czasu w szkole nieprzyjemnie przypominały bałagan pozostawiony przez włamywacza w przedszkolu. Były wprawdzie niewyraźne, ale ukazywały najważniejsze rzeczy. W porównaniu z niezliczoną ilością zdjęć, jakie podczas jego obecności zrobiła w przedszkolu Dagny, tych starych było żałośnie mało. Oczywiście nie można wykluczyć, że dostarczono mu tylko część z nich, ale podejrzewał raczej, że ich bardzo ograniczona liczba świadczyła wyłącznie o tym, jak drogie w swoim czasie było wywoływanie fotografii. Najbardziej uderzyło go zdjęcie, które przedstawiało bazgroły na ścianie szkolnej auli. Dagny dołączyła do zbioru jedno zdjęcie z przedszkola, na którym były takie same bazgroły. Że napisane zostało to samo słowo, to już Freyr wiedział, natomiast zupełnie go zaskoczyło, kiedy zobaczył, że napisy wyglądają identycznie. Pomijając różne tła, odnosiło się wrażenie, że to są dokładnie te same litery. Chętnie powiększyłby oba zdjęcia i przyjrzał się bazgrołom w lepszej rozdzielczości, umieszczając jedno obok drugiego, ale takimi możliwościami nie dysponował, w każdym razie nie tu i teraz. Może Dagny później to załatwi.

Kolejną wspólną cechą obu włamań był fakt, że ani w jednym, ani w drugim przypadku nie udało się ustalić, jak wandal dostał się do środka. Wszystkie okna

były pozamykane od wewnątrz, szyby całe, żadne drzwi nie wyglądały na wylamane. W starej sprawie policja sprawdziła, kto posiadał dostęp do szkolnych kluczy, ale wniosek był taki, że żadna z tych osób nie miała najmniejszego związku z włamaniem, żadne klucze nie zostały zgubione ani pożyczone. Raport policyjny dotyczący włamania do przedszkola opisywał dość podobną historię, wykluczono, by sprawca posłużył się przedszkolnymi kluczami. Tak więc nie wyjaśniono, w jaki sposób dokonano włamania do szkoły w 1953 roku i teraz do przedszkola. Freyr nie miał ani wyobraźni, ani wiedzy, by tę zagadkę rozwiązać.

Więcej rzeczy zwróciło jego uwagę, na przykład ksero starego zdjęcia klasowego, które, jak sądzono, mogło rzucić nieco światła na to, kto był ewentualnym sprawcą włamania przed laty. Nie wyjaśniono, dlaczego – choć to akurat było dość ewidentne – twarze niektórych dzieci wymazano przez wielokrotne drapanie. Szkło w ramce zostało stłuczone, a zdjęcie odwieszono na swoje miejsce w klasie. Żadnego innego zdjęcia klasowego nie spotkał podobny los, ciśnięto je po prostu w kąt jak inne sprzęty. Dlatego uważano, że sprawca mógł mieć na pieńku z dziećmi z fotografii. Ale z materiałów nie wynikało, by ten trop do czegoś doprowadził. Oczywistym wytłumaczeniem mógł chyba być wiek dzieciaków na zdjęciu. Miały po jakieś jedenaście–dwanaście lat. Trudno wyobrazić sobie, by tak małe dzieci mogły sprawić, by ktoś posunął się do podobnych czynów. Ale Freyr wiedział także, że już w tej grupie wiekowej są dzieci, które potrafią okazywać spore okrucieństwo wobec swoich rówieśników, choć ofiary dziecięcego okrucieństwa raczej nie uciekają się do aktów wandalizmu, takich jak ten popełniony w szkole.

Na samym dole zdjęcia umieszczono listę dzieci z klasy, ale kopia była niewyraźna i Freyr nie potrafił odczytać nazwisk. Odnalazł też spis sześciorga, które wzbudziły szczególny gniew wandala, i zdumiał się wielce, gdy okazało się, że jest wśród nich Halla. Obok nazwisk wpisano odręcznie daty śmierci tych osób, tak przynajmniej było w przypadku Halli. Przy nazwisku niejakiego Larusa Helgasona nie widniała żadna data. Freyr podejrzewał, że mężczyzna jeszcze żyje. Pięcioro, których Freyr uznał za zmarłych, dwóch mężczyzn, Halla i jeszcze dwie kobiety, dokonało żywota raczej przedwcześnie, w ciągu ostatnich trzech lat. Jeśli wyciągał właściwe wnioski. Żadne z tych nazwisk nic mu nie mówiło, poza Hallą. Co to miało mu powiedzieć, nie wiedział, ale ze statystycznego punktu widzenia uderzał fakt, że cała ta grupa odeszła w krótkim czasie, poza jedynym pozostającym przy życiu. Oczywiście to się miało prawo stać, ludzie ci mieli od sześćdziesięciu siedmiu do siedemdziesięciu lat, kiedy umierali, a śmierć w tym wieku nie jest czymś niezwykłym. Ale jednak. Ciekawe będzie dowiedzieć się, jak każde z nich skończyło. Jeśli kilka osób popełniło samobójstwo, wówczas będzie to ciekawy materiał badawczy, zwłaszcza że takie przypadki zdarzały się właściwie tylko wśród nastolatków.

Najwięcej jednak dał mu do myślenia list, który zostawiła Halla. Został on oznakowany żółtą karteczką post-it przyklejoną do kartki, bo z treści niekoniecznie wynikało, że jest to list pożegnalny. Ksero najwyraźniej nie

skopiowało całości, gdyż niektóre słowa na początku i na końcu linijek zostały obcięte. Wyglądało na to, że Halla do końca wykorzystała kartkę, nie zostawiając żadnych marginesów. Ale to nie miało znaczenia, gdyż kontekst słów i tak pozostawał niezrozumiały. Tekst został napisany w stylu charakterystycznym dla ludzi, którzy kompletnie stracili kontakt z rzeczywistością. A znał takich wielu. Wątek spajający myśli i uczucia rwał się co chwilę. Wiadomość, jaką Halla chciała za wszelką cenę po sobie zostawić, była kompletnie niezrozumiała dla innych, a targając się na własne życie, kobieta sprawiła, że nigdy już nie będzie wiadomo, o co jej chodziło. Sądząc po kartce, albo Halla doznała szoku w dniu, w którym postanowiła działać, i to właśnie stało się przyczyną zaburzeń psychicznych, które znalazły tak tragiczny finał, albo jej mążzonek okłamał Freyra co do zdrowia psychicznego żony. W każdym razie list świadczył o tym, że nie dałoby się ukryć, iż nie wszystko z nią jest w porządku. Niemniej po lekturze listu najbardziej dała mu do myślenia zupełnie inna sprawa: ciągłe odwoływanie się do jego syna.

Muszę znaleźć Benniego, muszę znaleźć Benniego Freyssoną, muszę znaleźć Benniego, muszę znaleźć Benedikta. Nie mogę znaleźć Benniego, nie znajduję Benniego, gdzie jest Benni? Przepraszam, Bernodusie, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie znajduję Benniego, nie znajduję go, nie znajduję go. Przepraszam, Bernodusie, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Przepraszam, Bernodusie.

Freyr odłożył list, oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. Patrzył na kartkę bez mrugnienia, dopóki nie rozboleły go oczy i zmuszony był je zamknąć. I kiedy otoczyła go ciemność, w końcu poczuł się znośnie.

Przez okna sączyło się łagodne światło. Białe, odnowione ściany rozjaśniały pokój i Katrin była szczęśliwa, że Gardar postawił na swoim i nie wybrali koloru fioletowego, przy którym obstawała. Wszystko, co ograniczało oddziaływanie ciemności, było mile widziane. Zdecydowali się spędzić wieczór w tym pokoju, ponieważ tu było najwidniej i tylko to pomieszczenie udało im się pomalować w całości. Nie narzekali na silny zapach farb i trujące opary, choć wszystkim kręciło się w głowach. Ale światło było tego warte. Choć chwilowo trochę się ściemniło, bo Lif zasłoniła sobą okno, wyglądając na zewnątrz.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wrócić do domu. – Odwróciła się do Katrin i Gardara starających się usiąść jak najwygodniej na materacach pełniących teraz rolę sofy. Putti leżał skulony u stóp Katrin, która poprzez grube wełniane skarpety czuła ciepło emanujące od drobnego stworzonka. – Jeszcze dziś. – Lif upięła jasne włosy i mimo że makijaż prawie zniknął z jej twarzy, wyglądała niewiarygodnie dobrze, jakby cały dzień zażywała masaży w spa, o którym ciągle mówiła, a nie walczyła z remontem odludnego domu. – Gdyby człowiek, który się tu gdzieś kręci, był w porządku, toby się z nami przywitał, a nie rozrzucił muszelki po pokojach czy świnił wszędzie swoimi mokrymi kaloszami.

Gardar popijał napój z puszki.

– Weź przestań. Jakieś logiczne wyjaśnienie na pewno istnieje, choć chwilowo go jeszcze nie odkryliśmy. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać, muszelki na pewno znajdowały się tam wcześniej, tylko ich nie zauważyliśmy, a podłoga zmokła, bo na nią pociekło. Jak może zauważyłaś, wiele rzeczy szwankuje w tym domu.

– Przestań bredzić. Żeby ciekło, musi padać. Nie. Mamy tu w okolicy walniętego faceta, który kryje się w jednych z tych domów. Człowiek dostaje gęziej skórki na samą myśl, co oznacza to jego pożegnanie. – Rozmasowywała ramiona. – Żegnajcie! O co mu chodzi? Chce, żebyśmy stąd wyjechali, czy ma zamiar nas pozabijać, ale najpierw żegna się z nami? – Lif ponownie odwróciła się do okna i wyjrzała na zewnątrz. – Czy zauważylibyśmy, gdyby przypłynął tu statek w nocy albo wczesnym rankiem? – Patrzyła na wody fiordu, jakieś sto metrów poniżej domu, i na pełne morze. – Żadnego statku nie widzę, ale może zakotwiczył gdzieś dalej.

– Oczywiście, że usłyszelibyśmy statek. Pamiętasz warkot łajby, która nas tu przywiozła? – Gardar pociągnął kolejny łyk. – Poza nami nie ma tu nikogo.

Katrin nie była równie przekonana, co Gardar, choć nie poparła Lif. Poprzedniego wieczoru byli tak wykończeni, że nie zauważyliby nawet, jak przez domem lądują helikoptery. Teoria Lif zdawała się jej całkiem prawdopodobna, ale nie przyszło jej do głowy, że statek mógł zacumować gdzie indziej niż przy

ruchomym molo. Tymczasem nie można było wykluczyć takiej ewentualności, przecież szyper mówił, że czasem trzeba ludzi przewozić ze statków na łąd pontonami. W ten sposób dałoby się oczywiście pominąć Hesteyri, zakotwiczyć w jakimś zakątku gdzieś na wodach fiordu i powiosłować na łąd gumową dingi, którą łatwo ukryć. I człowiek znalazłby się na miejscu przez nikogo niezauważony.

– Daj łyka. – Wzięła od Gardara puszkę. Choć było chłodno, napój okazał się ciepławy. Nie rozpalili jeszcze pod kuchnią na dole, ale ona zasiląca jedynie kaloryfer w pokoju, w którym spali. A w tym pomieszczeniu siedzieli okutani w grube wełniane swetry i szale. – Może poczekamy z tym do jutra rana? W dzień wszystko wydaje się o wiele łatwiejsze niż wieczorem czy w nocy. Nie wiem, czy wytrzymam dalszą rozmowę na ten temat.

– Nie mogę spać, jak tu się kręci jakiś świr. – Lif się odwróciła, pozostawiając zaparowaną szybę. – A jeśli zjawi się dziś w nocy? To na pewno jego słyszałam, kiedy się obudziłam.

Gardar wstał. Putti podniósł łeb, ale natychmiast wtulił go pod siebie i spał dalej.

– Poza nami nikogo tu nie ma, uwierz mi. Nie ma się czego obawiać, a ja udowodnię wam to, idąc po piwo. Może odzyskacie dobry humor, kiedy alkohol zacznie krążyć wam we krwi.

Katrin zachłysnęła się colą. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by miał zostawić je same i wyjść po nocy. Kiedy wrócili ze spaceru, skierowała się prosto do salonu, żeby przyjrzeć się muszelkom, o których opowiadał Gardar. Gdy wolnym krokiem szła do domu, ścisnęła w rękę tak mocno muszelkę zabraną z grobu, że aż głębokie, chropawe fałdy odcisnęły się na jej dłoni. Nie poluźniła uścisku, dopóki nie stanęła przez białutki, dokładnie takimi samymi muszelkami ułożonymi na podłodze w koślawe litery składające się na napis „Żegnajcie”. Pożegnanie. Żadne z trójki nie przyznało się do tego. Katrin odniosła wrażenie, że Gardar podejrzewa Lif. Jej zdawał się wierzyć, gdy stanowczo zaprzeczyła. Nie bez znaczenia był fakt, jak wstrząśnięta była, patrząc na krzywo ułożone słowo. Miała niemal całkowitą pewność, że żadne z ich trojga nie ma nic wspólnego z ułożeniem napisu z muszelek. Do tej pory nie udało się jej uwolnić od niepokoju, jaki ogarnął ją tam w salonie. W życiu nie pozwoli, by Gardar włóczył się sam po nocy, w każdym razie dopóki nie ma pewności, że na dworze nikt się nie czai. Na przykład jakiś szaleniec, jak uważa Lif.

– Samego nigdzie cię nie puszczę. – Katrin otarła krople coli z brody i piersi. – Albo nie idziesz po żadne piwo, albo ja idę z tobą. – Nie miała ochoty na piwo, a tym bardziej na spacer w ciemnościach. Pies znów podniósł łeb i spojrzał na nią ufnie, jakby szczerze się z nią zgadzał.

– Ja tutaj sama nie zostanę. – Głos Lif podkreślał wagę jej słów. – Idę z wami. – Kiedy tylko Lif skończyła mówić, odnieśli wrażenie, że białe ściany zbladły, podobnie jak żółtawa poświata księżycy. Jedyna chmura na niebie zasłoniła

księżyc. Zupełnie jakby rzucali monetą. Albo Gardar nigdzie nie pójdzie, albo one pójdą z nim. Gdyby Lif, bojąc się, że zostawią ją samą, zasugerowała, by dali sobie spokój z piwem, Gardar z pewnością by się zgodził i zostaliby w domu. Ale Katrin nigdy nie miała szczęścia i sama mogła się winić za to, że dała dwie możliwości do wyboru. Jeśli człowiek chce, aby wybrano konkretne rozwiązanie, nie powinien podsuwać dwóch.

Kiedy znaleźli się na dworze, księżyc zdawał się świecić słabiej, pomimo że chmura, która chwilowo go zasłaniała, zdążyła już zniknąć. Na szczęście niedaleko mieli do strumyka, w którym Gardar chłodził piwo. Putti leniwie włókł się za nimi. Zatrzymał się na moment, aby obsikać ścianę domu, po czym przyspieszył i ich dogonił. W pewnym miejscu ścieżka stawała się równa i szło się łatwiej. Było coraz mroźniej i aż buchała z nich para. Przygniatała ich ponura atmosfera, zupełnie jakby wydarzyło się coś nieprzyjemnego, acz przewidywalnego, coś znanego jedynie przyrodzie.

Gardar usiłował ożywić nastrój, z niewielkim jednak skutkiem.

– Umówmy się. Jeśli przestaniecie gadać o tej sprawie z muszelkami, to ja się jutro skupię i podłączę szambo, żebyśmy mogli uruchomić kibel. – W maleńkiej komórce przy wejściu któryś z byłych właścicieli umieścił muszlę i umywalkę, lecz nie mogli z nich korzystać, ponieważ były niepodłączone, jakby budowlaniec w ostatniej chwili zrezygnował. Wiele wysiłku włożono także we wkopanie zielonego plastikowego szamba w sporych rozmiarów dół na działce. Niestety, i ono nie zostało podłączone.

– To byłaby uczciwa propozycja, gdybyś wiedział, jak wszystko uruchomić. – Katrin zauważyła, jak Gardar drapał się w głowę, przyglądając się szambu, kiedy usiłował wykombinować, gdzie podłączyć do szamba różne rury i dokąd która z nich powinna prowadzić. – Myślę, że pozostało nam sikanie na zewnątrz. – Kiedy tylko skończyła, natychmiast pożałowała, że po prostu nie przystała na jego ofertę. Może wtedy skupiłby się na robocie i załatwił tę sprawę. Konieczność wychodzenia samej w nocy za potrzebą na dwór wcale nie była miłą rzeczą.

Gardar przyjął jej słowa z rozdrażnieniem, co świadczyło o stanie, w jakim cała trójka się znajdowała. Zazwyczaj więcej było trzeba, żeby go rozzłościć.

– A skąd ty możesz wiedzieć, czy umiem sobie z tym poradzić, czy nie?

– Przestań gderać, zabieraj piwsko i wracamy do domu. – Lif niecierpliwiła się na krawędzi skarpy nad potokiem, podczas gdy Gardar ostrożnie schodził tyłem w dół. Katrin przysunęła się do Lif, a Putti wcisnął się pomiędzy nie, żeby niczego nie przegapić. Trudno mu się było zdecydować, czy iść za Gardarem, czy zostać przy kobietach. Widoczność była kiepska i niewykłuczone, że brzegi strumienia zdążyły już pozamarzać. W takich warunkach łatwo było się poślizgnąć i wylądować w lodowatej wodzie. Nie bez znaczenia dla tempa schodzenia był

także fakt, że jednak zapomnieli wziąć plaster. Lif z uśmiechem pociągnęła Katrin za rękaw i zawołała do Gardara:

– Ale byłyby jaja, jakbyś wpadł do wody.

– Ha, ha. – Zatrzymał się na brzegu strumienia i wytarł brudne dłonie o suchą kępę trawy, zwisającą nad wodą. Odwrócił się w kierunku nurtu i zaczął wypatrywać piwa. – To chyba jakieś żarty?

– Co? – Katrin usiłowała zrozumieć, co go tak rozzłościło, ale widziała jedynie plecy Gardara i srebrzący się strumień.

– Piwo zniknęło. – Gardar podniósł głowę i popatrzył na dziewczyny. – Zabrałyście je?

Obie przysięgły, że nie.

– Na pewno gdzieś tam jest. Może po prostu włożyłeś je do wody w innym miejscu, wyżej albo niżej? – Katrin spojrzała w górę i w dół strumienia, lecz nigdzie nie zauważyła białej plastikowej torby.

– Ktoś je zabrał – szepnęła Lif do Katrin, na tyle głośno, by Gardar usłyszał. – Teraz mi wierzysz? – Uczepiła się mocno ramienia Katrin.

Putti zdawał się wyczuwać wzburzenie Lif i cicho powarkiwiał. Obrócił się w koło i raz zaszczekał w ciemność oddzielającą strumyk od domu.

– Chodź już, Gardarze. – Miała ochotę sprawdzić, czy ktoś nie czai się za nimi, ale nie zdobyła się na odwagę, by się odwrócić. – Poszukamy jutro. – Bolało ją ramię od uścisku Lif. – Nie wygłupiaj się.

Gardar w skupieniu przemieszczał się w dół strumienia.

– Jest torba. – Spojrzał na nią nie bez pewnego zadowolenia. Ze swego miejsca Katrin niczego nie była w stanie dostrzec. – Prąd ją porwał. Powiniennem docisnąć ją większym kamieniem. – Zatrzymał się, nachylił ku wodzie i wyciągnął ociekającą torbę. – Cholera. – Gardar trzymał ją tak daleko od siebie, jak tylko mógł, by się nie ochlapać. Kiedy woda wyciekła z torby, wrócił do dziewczyn i podał im ją. Była pusta. – Przejdę się trochę wzdłuż brzegu i poszukam puszek.

Katrin chciało się wyć. Wzięła od Gardara torbę i rzuciła na ziemię między sobą a Lif. Wtedy dopiero Lif puściła jej ramię i Katrin ruszyła za Gardarem.

– Idę z tobą. Sam nigdzie nie pójdziesz. Co ci strzeliło do łba? – Szukając stałego oparcia dla stóp, zrozumiała, dlaczego Gardar tak wolno schodził; woda podmywała zbocze i przypominało mokrą gąbkę.

– Wszystko u was w porządku? – Lif przestała szeptać i nie czekając na odpowiedź, ruszyła za Katrin. Tak bardzo się spieszyła, że niewiele brakowało, a obie straciłyby równowagę. Lif jednak jakby nigdy nic bajtlowała: – Wracajmy do domu. To może być pułapka. Ktokolwiek tu jest, zabrał piwo, bo wiedział, że będziemy go szukać jak idioci. – Putti przestał warczeć, zorientowawszy się, że zaczął się jakiś ruch, i szybko dołączył do kobiet. Jemu niepewny grunt nie przeszkadzał. Minał je pewnym krokiem. Obwąchał brzeg i znów zaczął warczeć.

– Widzisz? – Lif wyciągnęła palec w kierunku psa. – On czuje, że ktoś tu jest. Widzieliście? Obwąchał miejsce, gdzie było piwo.

– Lif, on ciągle szczeka na dworze. Nawet w mieście. Nic szczególnego wcale nie musi się dziać. – Gardar przesunął się nieco, by zrobić im miejsce na wąskim brzegu. – Przejdziemy się kawałek w kierunku fiordu i potem trochę plażą. Nic się nie stanie i dobrze wam zrobi, jak się przekonacie, że za żadnym kamieniem nic złego się nie kryje. Może potem przestaniecie mnie drażnić swoją głupią gadaniną. – Putti zagapił się na Gardara i kiedy ten zamilkł, pies zaczął szczekać. Trudno było się zorientować, czy zgadza się z przedmówcą, czy protestuje.

Ruszyli w milczeniu, a cisza została przerwana dopiero wtedy, kiedy Katrin zauważyła puszkę piwa leżącą na brzegu u ujścia strumienia. Wszyscy przyspieszyli kroku i nawet Putti zdawał się odzyskiwać radość życia. Podniósł ogon, który pozostawał zwieszony od momentu, gdy wyszli z domu. Gardar triumfalnie wyłowił puszkę z wody. Kontynuowali marsz plażą, weselsi niż przed chwilą. Zapach morza orzeźwiał, a Putti radośnie ich wyprzedzał, by zaraz zawrócić, zostać z tyłu i całą zabawę zacząć natychmiast od nowa. Ale to Gardar cieszył się najbardziej, rozpierała go radość, że miał rację z piwem, a ta radość zdawała się promieniować także na nogi, bo niemal przestał utykać. On pierwszy zauważył kolejną puszkę leżącą wśród wodorostów nieopodal ujścia strumienia i włożył ją do kieszeni, stwierdzając, że mogli jednak wziąć torbę. Łatwo się mówi, że się będzie nieść w rękach dziesięć piw. Trudniej to wykonać. Następne dwie leżały niedaleko, ale zanim natknęli się na piątą, musieli przejść spory kawałek. Lif ją znalazła i z radości zapomniała na chwilę o strachu. Wybiegła naprzód, żeby przynieść złotawą puszkę migoczącą w świetle księżyca. Kiedy zadowolona odwróciła się do nich z piwem w ręku, Katrin mogła się do niej jedynie uśmiechnąć. Wszystkie jej zmartwienia odleciały nad ocean wraz z zimną bryzą. I wtedy Putti stanął w miejscu jak wryty i znów zaczął warczeć. Choć Katrin nie potrafiłaby powiedzieć, czym to warczenie różni się od poprzedniego, to jednak było zdecydowanie inne, zdawało się pełne powagi i strachu; jakby pies czuł, że coś mu zagraża. Albo im wszystkim.

Katrin zatrzymała się i chwyciła Gardara za ramię. Krzyknęła na psa, starając się go uspokoić, ale Putti tylko krótko zawył, usiłując znaleźć sobie miejsce. Wtulił się w jej stopy. Potem zamilkł. Zrazu słychać było jedynie chrzęst kamyków pod stopami wracającej Lif, lecz po chwili do jej uszu dobiegł cichy płacz. Nie mogła się zorientować, z której strony dochodzi. Jeszcze mocniej uczepiona Gardara szepnęła:

– Słyszysz?

Lif znajdowała się dobre kilka metrów od nich, ale na tyle blisko, by się zorientować, że coś jest nie w porządku.

– Gdzie? Co się stało?

– Chodź tu, Lif. Nie zatrzymuj się. – Gardar usiłował zachować spokój, ale Katrin widziała, że jednak się przestraszył. Choć jej nie odpowiedział, było jasne,

że także słyszał ten płacz. – Chodź do nas, szybko. – Lif ani drgnęła. Z puszką piwa w dłoni wyglądała absurdalnie, jakby znajdowała się na jakimś letnim koncercie plenerowym. – Nie stój tam jak kołek, rusz się! – Musiał krzyknąć, by go usłyszała, bo Putti szczeakał, ile miał sił w płucach. Hałas zagłuszał płacz.

Lif wreszcie ruszyła biegiem w ich kierunku. Katrin zrozumiała, co było przyczyną reakcji Gardara; wcale nie cichy płacz, lecz nieduża istota ludzka stojąca na plaży niedaleko miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą leżała puszka. Zamurowało ją. Pomimo nieprzyjemnych podejrzeń, że ktoś jeszcze przebywa w okolicy, pewne wątpliwości sprawiały, że udawało się powściągnąć strach. Ale teraz na wątpliwości nie było już miejsca. Ciemność nie pozwalała Katrin widzieć wyraźnie, ale dostrzegła, że osoba ta jest w kapturze i trzyma głowę opuszczoną na piersi, a jej ramiona luźno zwisają wzdłuż ciała; nigdy wcześniej nie widziała, by ktokolwiek tkwił w takiej pozycji. Zupełnie jakby ów człowiek skapitulował przed niesprawiedliwością świata. Nie zastanawiała się nad tym specjalnie, ale wiedziała, że płacz dochodził od tej biednej istoty. Tyle że w żaden sposób nie była w stanie zrozumieć, dlaczego stoi ona tam samotnie i płacze. Bezkształtne kontury kurtki przeciwdeszczowej sprawiały, że nie wiadomo było, czy to mężczyzna, czy kobieta. Nagle ten ktoś się poruszył i wtedy Katrin zorientowała się, że stoi nieco bliżej, niż początkowo jej się zdawało.

– Jezu. – Z całych sił ścisnęła ramię Gardara. – To dziecko.

Gardar uwolnił ramię, wyszedł naprzeciwko Lif, złapał ją za ramiona i zdecydowanie postawił obok Katrin. Wciąż trzymała puszkę z piwem.

– Zaczekajcie tu. – Nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku dziecka tak szybko, jak tylko luźne kamyki na brzegu pozwalały, nie dbając o bolącą nogę. Katrin nie zdążyła go powstrzymać. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to obserwować, jak gna po plaży w stronę dziecka. Ale kiedy się doń zbliżył, odwróciło się na pięcie i znikło w ciemnościach. A Gardar razem z nim. Chrzęst kroków cichł, w miarę jak się oddalali. Teraz słychać było wyraźnie szloch Lif. Putti milczał. Leżał na brzuchu pomiędzy nimi w akcie wielkiej uległości.

Chcąc zrobić cokolwiek, Katrin przyłożyła dłonie do ust i wykrzyczała w rozpacz imię Gardara. Ale wiatr poniósł je nad wody fiordu.

– Wracaj. – Opuściła ręce. Nie było sensu krzyczeć wniebogłosy. Pozostawało im tylko czekać na zimnej plaży na powrót Gardara. Będąc wielką miłośniczką dzieci i osobą towarzyską, Katrin miała jednak nadzieję, że mąż wróci bez towarzystwa.

Z tym dzieckiem było coś nie tak. A rozwiązanie jego problemów na pewno nie leży w ich gestii.

Wbrew wszelkim prognozom pogoda stawała się coraz gorsza. Ale to akurat Freyra nie dziwiło. Jeśli już coś, to to, że ostatnie dni były nadzwyczaj łagodne. Zanim podjął decyzję o przeprowadzce na północny zachód, właśnie nad pogodą zastanawiał się najdłużej. Nigdy nie był miłośnikiem sportów zimowych, ale wiedział, że Isafjördur jest prawdziwym rajem dla narciarzy; po upadku systemu bankowego i dewaluacji korony jego znajomi ze stolicy zaczęli tu przyjeżdżać, by cieszyć się życiem, zamiast uciekać w austriackie czy włoskie Alpy. Tyle że z powodu niezwykle jak na tę porę roku ciepłej aury jego kolesie dotąd się nie pokazali, choć zapowiadali się z wizytą, zanim jeszcze Freyr przybył tu jesienią. Sam nie wiedział, czy to opóźnienie sprawia mu zawód czy ulgę. Z początku, gdy tu zamieszkał, cieszył się, że przyjadą do niego przyjaciele, ale wraz z upływem czasu zaczynał się denerwować perspektywą odwiedzin. Będzie musiał rozpamiętywać swoje poprzednie życie, wracać do niego wspomnieniami, a przecież chciał to wszystko zostawić za sobą, raz na zawsze. Regularne rozmowy ze znajomymi oznaczały też niewygodne pytania na temat przyszłości i jego życia w najbliższych latach. A w najczarniejszych myślach widział siebie w pustym domu należącym do szpitala w Isafjördur, gapiącego się do późnych godzin nocnych w telewizor. Samotnie.

Deszcz walił o przednią szybę ze wzmożoną siłą, wycieraczki pracujące pełną parą nie nadążały zgarniać strug wody. Freyr zbyt kurczowo trzymał kierownicę, ale podświadomie poluźnił uchwyt, znalazłszy się w granicach miasta. Samochód był stary i tani, po rozwodzie nie stać go było na lepszy. Zostawił Sarze wszystko, czego zdążyli się dorobić. Zaczynał od zera i z czasem zdobędzie wszystko, czego mu brakuje, a Sara raczej już nigdy się nie dźwignie i nie będzie w stanie podjąć stałej pracy. Dzięki jego szczodrości uniknie więc największej presji, choć przecież i tak jest jej ciężko. Jedyne warunek, jaki jej postawił, gdy dzielili majątek, był taki, że musi sprzedać dom. Zdawał sobie sprawę, że nie powinna mieszkać samotnie w pustej willi, gdzie wszystko cały czas przypomina jej Benniego i życie, którego już nie ma. Sara kupiła fajne mieszkanie w centrum, ale ostatnio dowiedział się od jej zatroskanej przyjaciółki, że ma zamiar je sprzedać i kupić inne w Artunsholt – niedaleko ich dawnego domu. Bez wątplenia po to, by kontynuować poszukiwania synka w okolicy. Ale przecież niewiele mógł na to poradzić.

Dyskusja w radiu dobiegała końca, całą drogę słucał jakiegoś smętnego wywiadu z nurzającym się w czarnych wizjach krajowej gospodarki ekonomistą. A kiedy przypadkiem pojawiło się trochę optymizmu, obaj rozmówcy zdawali się zaskoczeni i natychmiast zaczynali się przekrzykiwać, by przywrócić dyskusji dołujący charakter. Freyr nie miał pojęcia, dlaczego słuca tych bredni, przecież rozgłośni radiowych nie brakuje. Teraz jednak nie było sensu zmieniać stacji,

szpital był tuż za rogiem. Postanowił wpaść tu na chwilę po uprzedniej bezcelowej przejażdżce wzdłuż fiordu. Nie chciał wracać do domu. Wyszedł wyłącznie po to, by rozjaśnić umysł. A telewizor nie przykuwał jego uwagi, nie miał też ochoty wcześniej kłaść się spać, gdyż mógłby się obudzić w środku nocy i potem przewracać z boku na bok do bladego rana, roztrzásając obecną sytuację.

Jazda nad fiordem pomogła mu rozjaśnić umysł. Jeszcze nigdy w życiu nie był równie zdenerwowany, co po przejrzeniu dokumentów otrzymanych od Dagny. Sam niebezpiecznie zbliżał się do krawędzi, z której jego była żona Sara już skoczyła. Jeśli nie liczyć pierwszych tygodni po zaginięciu Benniego, Freyrowi udało się nie dopuszczać do siebie najgorszych myśli. Może od czasu do czasu pozwalał im poszaleć, ale nigdy na dłużej. Nie był w stanie nic na to poradzić i Sara też nie. Musiał wziąć się w garść, bo zaczęło nim targać poczucie winy, że udawczy się po insulinę tamtego ranka, gdy zniknął Benni, zbyt długo zabawił w szpitalu. Przecież nawet gdyby wrócił do domu godzinę wcześniej, niczego by to nie zmieniło. Niczego. Chyba że... Wątpliwości dość często dochodziły do głosu, ale zawsze potrafił schować je gdzieś w jakimś głębokim zakamarku głowy, i to zazwyczaj zanim poczucie winy zdążyło się rozpanoszyć. Sara nie miała takiego daru, ale nie mógł jej za to winić. Niewielu wiedziało równie dobrze, co on, jak trudno ujarzmić bolesne myśli, a Sara nigdy nie była silna psychicznie. Różniła się od niego. Teraz znowu udało mu się przezwyciężyć desperację, zmusić się, by spojrzeć problemowi w oczy i skupić się na jego rozwiązaniu.

Pytanie, jakie przed nim stało, było niezaprzeczalnie wyjątkowe: jak to się stało, że kompletnie nieznaną kobietą z Flateyri wymieniła imię Benniego w swoim liście pożegnalnym? Uzyskanie odpowiedzi zdawało się niemożliwe, ale on to wyjaśni. Zawsze istnieje jakieś wytłumaczenie. Jego zadanie polegało po prostu na znalezieniu odpowiedzi. Zdecydował się wrócić do szpitala, zabrać materiały otrzymane od Dagny i natychmiast wziąć się do poszukiwania. Nie chciał czekać do jutra. Wykluczone, by był w stanie usiąść przed telewizorem albo zająć się czymkolwiek. Nie dziś wieczorem i nie w najbliższych dniach.

Uwolnił się z ociekającej wodą kurtki i sprawdził, czy raporty lekarskie dotyczące Halli już dotarły. Dostał polecenie sprawdzenia jej historii medycznej w celu przygotowania i przeprowadzenia sekcji zwłok, a wszystkie materiały przechowywane były w przychodni w jej rodzinnej osadzie Flateyri. W ferworze dnia nie zdążył sprawdzić, czy wysłano je do Isafjördur, ale może, zważywszy na bliskość tych dwóch miejscowości, zdążyły już dotrzeć na miejsce. Przeczucie go nie zawiodło. Gruba koperta z jego nazwiskiem czekała na opuszczonym biurku sekretarki, więc zabrał ją, zostawiwszy na małej karteczce wiadomość, że wziął dokumenty. Nie chciał narażać się kapryśnej asystentce, za to miał nadzieję, że karteluszek wystarczy, skoro jej nie było.

W części administracyjnej szpitala panowała grobowa cisza. Po drodze do gabinetu nie natknął się na nikogo i cieszył się, że nie musi się tłumaczyć z tak późnej obecności. Przecież dzisiaj nie ma dyżuru. Dla pewności zamknął za sobą

drzwi, by nie było widać światła, jeśli komuś akurat zdarzy się przechodzić obok. Kiedy wreszcie usiadł za biurkiem, czuł się niczym włamywacz.

Halla od urodzenia mieszkała w tej samej okolicy, stąd cała jej historia medyczna znajdowała się w jednym miejscu. Poza świadectwem zgonu, którego jeszcze nie wydano, znajdowały się tu jej karty chorobowe od kołyski aż po grób. Gdyby kiedykolwiek cierpiała na zaburzenia psychiczne, informacje o tym by się tu znalazły, pod warunkiem oczywiście, że poskarżyła się lekarzom, a ci ów fakt odnotowali. Postanowił zacząć od pieca i uważnie przeczytać każdą stronę. Chciał mieć pewność, że nic mu nie umknie. Chciał się przekonać, czy nie miała problemów natury psychicznej, i tu poszukać ewentualnych wyjaśnień tego dziwnego listu. Przyszło mu do głowy, że zaburzenia psychiczne mogły u niej wystąpić mniej więcej w czasie, gdy zaginął Benni, i wrzawa medialna związana z jego zniknięciem wmieszała się w jej chorobę. Podobne rzeczy się zdarzały. Ponadto pamiętał, że jej mąż wspominał, iż minęły mniej więcej trzy lata od czasu, gdy pojawiło się u niej zwiększone zainteresowanie wiarą. I to świetnie wpisywało się w ramy czasowe. Wszak Benni zaginął trzy lata temu.

Ale w jej historii medycznej znalazł właściwie tylko wykaz codziennych dolegliwości i corocznych szczepień przeciwko grypie. Kiedy miała jedenaście lat, wycięto jej migdałki, raz złamała rękę na nartach, miała trzy naturalne ciążę i urodziła, raz poroniła, skaleczyła się tasakiem i tym podobne. W ciągu ostatnich pięciu lat zwiększyła się liczba wizyt lekarskich, ale wszystkie miały związek z nadciśnieniem i z podwyższonym poziomem cholesterolu. Nie było tam nic, co świadczyć by mogło o chorobie psychicznej. Jedyne wpisy, jakie dotyczyły jej zdrowia psychicznego, pochodził z czasów, gdy miała trzynaście lat. Matka przyprowadziła ją wtedy do lekarza, uznawszy, że córka zachowuje się dziwnie, boi się czegoś i szuka samotności, co jest do niej zupełnie niepodobne. Wniosek lekarza był taki, że ten stan ma związek z okresem dojrzewania, który akurat zaczął się u dziewczynki, i choć Freyr czytał ów fragment kilkakrotnie, nie znalazł nic, co mogłoby podważyć tę diagnozę, choć dzisiaj z pewnością zwrócono by baczniejszą uwagę na jej problemy. Natomiast jego zainteresowanie wzbudził fakt, że wizyta miała miejsce w tym samym roku i mniej więcej w tym samym czasie co włamanie do szkoły. Raport lekarski pochodził z grudnia 1953 roku. Aby to potwierdzić, jeszcze raz sprawdził raport policyjny ze zbioru otrzymanego od Dagny. Wszystko się zgadzało – włamania dokonano pod koniec listopada 1953 roku. Związku między tymi wydarzeniami wprawdzie nie widział, niemniej zbieg okoliczności wydał mu się wart zainteresowania. Ktoś włamuje się do szkoły i Hallę dopada depresja, ktoś włamuje się do przedszkola i Halla popełnia samobójstwo. Może niezbyt silny kontekst, ale czegoś się można ucześcić.

Kiedy jasne się stało, że niczego więcej w raportach medycznych nie znajdzie, przejrzał ponownie papiery od Dagny. Tu natknąć się można było na rzeczy o wiele ciekawsze, zwłaszcza że sporo z tych dokumentów stanowiły formalne raporty policyjne i inne materiały powstałe po to, by czytali je inni. Zwrócił uwagę na raport policjantki opisujący zawartość torebki Halli, znalezionej na

kościelnej posadzce. Przeglądając wcześniej papiery, nie zwrócił nań zupełnie uwagi. W torebce nie było niczego niezwykłego: kosmetyczka, portfel, mała szczotka do włosów, opakowanie ibufenu, guma do żucia, klucze i telefon komórkowy. Uwaga na temat telefonu aż kłuła w oczy. Jego pamięć pełna była wiadomości tej samej treści: Znajdź mnie. Znajdź Benniego. Numer nadawcy pozostawał nieznanym, pomimo prób Dagny, by go ustalić. Ostatnia wiadomość w skrzynce pochodziła sprzed trzech miesięcy. Trudno więc powiedzieć, czy przestano je wysyłać, czy też skrzynka była już przepełniona i po prostu nie przyjmowała więcej esemesów. Freyr w kółko czytał te uwagi i miał coraz większy mętlik w głowie, te dwa krótkie zdania i list, jaki zostawiła Halla, współbrzmiały ze sobą. Choć z drugiej strony trudno budować taką zależność na czterech słowach. Freyr czuł, że serce bije mu szybciej na widok imienia synka w kontekście samobójstwa tej kobiety. Rozboleła go głowa. Odłożył kartkę i usiłował się uspokoić.

Zajął się zdjęciem klasowym, które zostało zniszczone podczas włamania. Dzieci ustawiono w trzech rzędach i kazano im patrzeć przed siebie. Wszystkie miały raczej zdziwione miny, jakby fotograf je zaskoczył. Twarze dzieciaków, które wandal wydrapał, nie były oczywiście widoczne, ale Freyr nie spodziewał się, by ich miny specjalnie różniły się od min reszty klasy albo by miały mniej uśmiechnięte buźki. Większość dzieci ubrana była w odświeżone ciuchy, chłopcy w koszulkach pod krawatem, a dziewczynki w spódniczkach i szykownych, zapinanych sweterkach. Jedyne wyjątkiem stanowił niski chłopiec stojący na końcu środkowego rzędu. Nie był ani odświeżony ubrany, ani zdziwiony. Sprawiał wrażenie wyjątkowego ponuraka, wielkie ciemne oczy nie patrzyły przed siebie, lecz uciekały w bok od grupy i przez to sprawiał wrażenie dziecka wyalienowanego i nadwrażliwego. Ponadto stał w pewnej odległości od reszty, a nie ramię w ramię jak inni, i to jeszcze wzmocniało teorię Freyra, że albo chłopak od niedawna chodził do tej klasy, albo z jakichś innych powodów nie czuł się przynależny do grupy. Miał na sobie stare ubranie, zbyt krótkie spodnie i sfilcowany, postrzępiony sweter, nie do końca nań pasujący. Freyr znów się zdenerwował, że dysponuje tylko kserokopią, na której trudno odczytać nazwiska dzieci. Posiadał jedynie listę tych, których twarze wandal zdrapał ze zdjęcia. Nie wiedząc nic o żadnym z nich poza Hallą, pragnął ustalić dane innych dzieci z klasy w nadziei, że któreś z nich nadal mieszka w Isafjördur. Nie wykluczał, że jakiś były uczeń może udzielić mu informacji, które nie trafiły do policyjnych raportów. Może dzieciaki wiedziały, kto był sprawcą, chociaż nie ujawniły tego ani policji, ani w szkole.

Freyr rozparł się wygodnie w fotelu i przyglądał niezrozumiałym dokumentom, które nie wyjaśniały związku Halli z zaginięciem jego syna. Jeśli już, to tylko bardziej mieszały mu w głowie. Być może wyjaśnienie polegało po prostu na tym, że nie ma żadnego wyjaśnienia? Chwilowo nie potrafił wyciągnąć innego wniosku. Ale jeszcze nie pora składać broń. Jeśli teraz odpuści, ta sprawa będzie go prześladować niczym koszmarne sen, niezależnie od tego, jak nikłą ma nadzieję

na jej wyjaśnienie. Zauważył, że zrobiło się zbyt późno, by dzwonić do Dagny. Niewykluczone, że ona ma więcej informacji albo że nie przekazała mu wszystkich dokumentów. Posiadała też oryginał zdjęcia klasowego, na którym widniały nazwiska uczniów. Postanowił wysłać jej maila, tak by otworzyła go z samego rana.

Gdy uruchomił komputer, drzwi na korytarz głośno zaskrzypiały. Podniósł wzrok. Uchyłały się wolno, zupełnie jakby przybysz niósł coś oburącz i musiał popchnąć drzwi barkiem. Zanim jednak otworzyły się na tyle, by przeszedł przez nie człowiek, zatrzymały się.

– Halo? – Freyr znieruchomiał. – Kto tam? – Żadnej odpowiedzi. Jedynie ciche trzaski słabej świetlówki na korytarzu. – Halo?

Freyr wstał zaniepokojony i szeroko otworzył drzwi. Za nimi nie było nikogo. Spojrzał wzdłuż korytarza. Nic. Pewno wcześniej niezbyt dobrze je zamknął. Wzruszył ramionami i zatrzasnął za sobą drzwi. Tym razem jednak chwycił za klamkę, by się upewnić, że są zamknięte. Następnie usiadł przed komputerem i otworzył skrzynkę mailową. Znalazł w niej wiadomość od kolegi po fachu ze Szpitala Krajowego w stolicy. W temacie widniało imię Halli, więc Freyr natychmiast ją otworzył, przekonany, że w tej sytuacji już nic go nie może zdziwić. Sprawa była bardzo prozaiczna. Nadawcą był lekarz z Oddziału Patologii, który miał przeprowadzić autopsję samobójczyni. Chciał powiadomić Freyra, dokąd ten ma wysłać jej dokumentację medyczną, ale na końcu wiadomości umieścił prośbę o natychmiastowe wysłanie informacji o lekach psychotropowych i innych, jakie Halla zażywała. Najwyraźniej uważał za pewnik, że kobieta leczona była psychiatrycznie. To zaś zrodziło kolejną myśl, czy mianowicie Freyr nie zechciałby przygotować także raportu na temat ogólnego stanu jej zdrowia, zwłaszcza pod kątem genezy blizn na jej plecach. Freyr uniósł brwi ze zdziwienia, sięgnął po raporty medyczne. Szybko je przejrzał w poszukiwaniu opisów urazów, po których mogłyby pozostać blizny na plecach kobiety. Może wcześniej coś mu umknęło? Ale nic nie znalazł. Żadnych wypadków, chorób czy czegokolwiek, co mogłoby coś takiego sugerować. Freyr odpisał lekarzowi, że otrzymał już raporty medyczne i szybko przygotowuje streszczenie. Po krótkim namyśle dodał, że pewnie rano zadzwoni. Najprościej będzie pogadać z nim po prostu o tych bliznach i poinformować go, że Halla nie brała żadnych leków poza tymi na obniżenie ciśnienia i poziomu cholesterolu.

Zanim zamknął skrzynkę, otworzył jeszcze jedną wiadomość. Od Sary. Z początku chciał odłożyć to do jutra, ale potem zdecydował, że przykrą sprawę lepiej mieć szybko z głowy. Kiedy zapoznał się z krótkim tekstem, natychmiast pożałował swojej decyzji. Sara wciąż była w tym samym nastroju, prosiła, by do niej zadzwonił, bo nie chce znowu przeszkadzać mu w pracy. Musi koniecznie z nim porozmawiać, ponieważ ma przeczucie, że Benni go nawiedzi, a ona chce przygotować go na to doświadczenie. Westchnął. Była żona twierdziła, że od czasu do czasu słyszy i widuje Benniego. Ze wszystkich urojeń, jakie jej

dokuczały, najtrudniej mu było pogodzić się z omamami wzrokowymi i słuchowymi. Z problemami pacjentów dawał sobie radę, ale to zupełnie co innego, gdy własna żona ma podobne objawy. Zamknął wiadomość z silnym postanowieniem, aby nie dzwonić ani dziś, ani jutro. Minie kilka dni i Sara zapomni o tym, gdy pojawią się nowe urojenia, które łatwiej mu będzie u niej zwalczyć.

Rozległ się cichy dźwięk, sugerujący, że ktoś chwycił za klamkę, i Freyr zadrżał lekko. Drzwi otworzyły się ponownie, równie wolno, co przedtem, i zatrzymały, gdy powstała nieduża szpara. Znów usłyszał trzaski świetlówek, tym razem powstała z większą częstotliwością.

– Halo? – Freyr rozciągnął się na biurku, by wyjrzeć przez szczelinę. Widział jedynie miganie zepsutej żarówki. – Halo? – Ciarki go przeszły, kiedy znajomy głos szeptem odpowiedział na jego wołanie. Głos, który zawsze niósł ze sobą życie, ciepło i radość, teraz zionął chłodem i śmiercią. Głos tak bliski, a jednocześnie tak nieskończenie daleki.

– Tatusiu.

Ulewa nie odpuszczała. Przez okno sypialni na piętrze przyglądali się, jak od południa nadciąga nawałnica. Wyglądało to jak czarna, pionowa zasłona, przez którą słabe światło księżycy nie miało siły się przebić. Przed tą ścianą niebo było gwiaździste, za nią zaczynała się czerń. Tuż zanim deszcz uderzył w dom, wątle światło dobiegające z zewnątrz całkiem zostało zasłonięte. Ich oczy długo przyzwyczajały się do całkowitych niemal ciemności. Teraz widzieli wyłącznie okno i deszcz walący o szybę. I zarysy własnych sylwetek. Ale leżeli tak blisko siebie, że nie musieli się niepokoić, że kogoś brakuje. To dobrze.

– Chyba nigdy nie zasnę – wymamrotała Lif spod grubego śpiwora, który naciągnęła na głowę. – Po co myśmy tutaj przyjeżdżali?

Katrin nie odpowiedziała, tym bardziej że pogorszyłaby tylko nastrój, przypominając, że to właśnie Lif i Gardar odpowiedzialni są za ich obecną sytuację. On również milczał. Miała jednak nadzieję, że to nie oznacza, iż zasnął. Najuczciwiej byłoby, gdyby jako ostatni oddał się w objęcia Morfeusza. Choć wydarzenia dnia i w nim pozostawiły głęboki ślad, to Katrin i Lif bardziej ucierpieli. Szturchnęła go w bok i gdy jęknął, poczuła ulgę. Nie spał. Ulewa waliła w szybę coraz mocniej, a nieszczelne okno przepuszczało chłodne podmuchy wichury.

– Wie ktoś może, czy kaloryfer jest jeszcze ciepły? – spytała Katrin, choć miała nadzieję usłyszeć tylko jedną odpowiedź: że wciąż jest gorący, a drewna pod kuchnią starczy na całą noc. Bo na to, żeby ktoś zszedł na dół i dorzucił do ognia, nie było co liczyć. Ale ona i tak była w najlepszej sytuacji – Putti położył się na jej nogach, więc przynajmniej stopy miała ciepłe.

– Tak sądzę – odparł Gardar nieprzyjemnie sennym głosem. – Ale długo to nie potrwa.

– Więc zamarzniemy. Wolę zamarznąć na śmierć, niż zostać zadżgana przez jakiegoś walniętego bachora włóczącego się po okolicznych wioskach Bóg wie po co. – Lif wystawiła głowę spod śpiwora, żeby nie było wątpliwości, co ma na myśli. – Zamek w drzwiach wejściowych jest do niczego.

– Zamek jest w porządku, i ten w drzwiach frontowych, i ten w tylnych. Nikt tu nie wejdzie, chyba że się włamie. – Nie brzmiało to specjalnie przekonująco. Ale po chwili Gardar kontynuował już z większą pewnością siebie: – A zresztą to dziwne dziecko wcale się do nas nie wybiera. Nie wiem, gdzie zniknęło, ale jeśli nie weszło do któregoś z domów, to podejrzewam, że teraz właśnie zamarza.

– Nie mów tak. – Katrin jeszcze nie wyrobiła sobie poglądu na przyczynę obecności tego brzdąca w tak odludnej okolicy, ale miała nadzieję, że przebywa tu pod opieką dorosłych. Chociaż widziała dzieciaka z daleka i ledwie przez chwilę, dzięki pracy w szkole poznała dzieci na tyle, by się zorientować, że ten

egzemplarz nie był całkiem zdrów. Myśl o tym, że umyślowo niesprawne dziecko znalazło się w wyludnionej osadzie w niewyjaśniony sposób, a teraz zgubiło drogę w niepogodę, wcale nie była przyjemna. – Na pewno nie powinniśmy iść go poszukać?

– A jesteś pewna, że to chłopak? Ja nie mam pewności, a goniłem bachora dość długo. – Gardar ziewnął. – Ale niezależnie od tego, czy to chłopak, czy dziewczyna, jedno jest jasne: nie zamierzam dzieciaka szukać. On nie chce mieć z nami nic wspólnego, a kiedy będzie mu bardzo zimno, schowa się do któregoś z domów. Strasznym byłby niezdarą, gdyby nie potrafił zerwać kilku desek z jakiegoś okna.

Lif znowu ukryła głowę pod śpiworem i musiała podnieść nieco głos, by ją usłyszeli.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy współczuć temu bachorowi, Katrin. Nie obchodzi mnie, czy jesteś nauczycielką, czy nie, ale po prostu nie ma takiej opcji.

Czasem można uprościć sobie życie, poddając się nakazom i zakazom, i to właśnie była taka chwila. Katrin posłuchała Lif i dała sobie spokój z empatią. Teraz Lif powinna jeszcze zabronić jej się bać i wtedy Katrin dobrze by się poczuła. Zamknęła oczy i po raz pierwszy od czasu, kiedy się położyli, nie wykluczyła, że będzie mogła zasnąć.

Ale wtedy Putti gwałtownie podniósł łeb i cicho zawarczał. Palce u stóp Katrin drżały wraz z kłatką piersiową psiaka. Nie wytrzymała i usiadła, choć w tej ciemności wcale nie chciała niczego zobaczyć.

– Dlaczego on warczy? Słyszeliście coś?

Lif zakopła się jeszcze głębiej w śpiwór i wydała z siebie cichy krzyk, który zaraz zdusiła. Gardar westchnął.

– Ten pies jest beznadziejny. Warczy, bo chce mu się żreć. Albo szczać. Jak do tej pory wcale nie musiał niczego słyszeć, żeby warczeć. – Na parterze zatrzeszczała drewniana podłoga, co uratowało honor Puttego. Wszyscy znali już ten dźwięk, którego źródłem była luźna deska w kuchni. Gardar zebrał się w sobie i usiadł obok Katrin.

– Do diabła! – Lif ponownie odezwała się ze śpiwora.

Katrin chwyciła Gardara mocno za ramię.

– Czy to możliwe, że deski ruszają się od wiatru? – Zauważyła, jak żałośnie brzmi jej głos, ale było jej wszystko jedno. – Słyszelibyśmy chyba, gdyby ktoś wszedł, prawda?

Gardar nie odpowiedział ani na jedno, ani na drugie pytanie.

– Gdzie latarka? – Obmacywał podłogę wokół materaca i znalazł to, czego szukał. – To tylko... – Uwolnił się ze śpiwora i poszukał swoich ciuchów. – Zajrzę na dół. To na pewno nic takiego, ale przy okazji dorzucę pod kuchnię. Kiepską będziemy tu mieli temperaturę w nocy, jeśli pogoda się nie poprawi. – Sądząc po

odgłosach, nie najlepiej szło mu wkładanie ciuchów na grubą piżamę. Warczenie Puttego zmieniło się w przeciągłe wycie, jakby jemu także nie podobały się zamiary Gardara. Lif natomiast milczała, nieruchoma i spokojna, jakby zemdląca. Katrin najchętniej poszłaby za jej przykładem, zakryła się śpiworem, zamknęła oczy i liczyła minuty pozostałe do końca nocy. Ale nie była w stanie. A jeśli Gardar nie wróci? Myśl o leżeniu w ciemnościach, mając oparcie jedynie w Lif i Puttim, okazała się bardziej nieznośna niż ta, by pójść z nim i być może spotkać się z dzieckiem. Bo co takiego mogłoby się stać? Jak do tej pory dzieci nie wzbudzały w niej lęku, więc nie ma sensu i teraz histeryzować. Wstała, jednocześnie zmuszając Puttego do zerwania się na nogi. To zaś sprawiło, że umilkł, i słychać było jedynie jego zmęczony oddech.

– Może byś zapalił latarkę? Nie mogę znaleźć swetra. – Była zadowolona, że jej głos brzmi tak spokojnie. – Pomogę ci przy kuchni. – Postawiła bose stopy na lodowatej podłodze.

Gardar nie zaprotestował. Towarzystwo w zasadzie było mu na rękę. Blask latarki oświetlił pokój i przez chwilę przyzwyczajali się do jasności. Katrin szybko włożyła sweter i wskoczyła w kaptcie. Gdy wreszcie odizolowała się od zimna pod stopami i wreszcie coś widziała, wróciła jej odwaga i opuścił ją strach przed zejściem na dół.

– Jestem gotowa. – Putti przysunął się do niej i pocierał bok o jej łydki. Tym sposobem chciał jej powiedzieć, że i on jest gotowy do działania. Spojrzała na podłużny wałek na podłodze. – Poczekasz, Lif. To zajmie nam tylko chwilę. Mamy latarkę, więc nic złego się nie stanie. – W jaki sposób latarka, nawet najsilniejsza, miałyby uchronić ich od wszelkich nieszczęść, nie wiadomo, ale Lif ani o to nie zapytała, ani w inny sposób nie dała do zrozumienia, że dotarły do niej słowa Katrin. Ta wzruszyła więc tylko ramionami i udała się za Gardarem w stronę schodów.

Mimo że mieli latarkę, bardzo ostrożnie schodzili po stromych stopniach na parter. Przecież w tych warunkach łatwo o wypadek. Na dole światło latarki zdawało się nieco słabsze niż w ciasnej sypialni. Padające na ścianę długie cienie poruszały się w takt szybkich ruchów ręki Gardara. Zupełnie jakby wszystko w domu pływało. Katrin trzymała się tuż za jego plecami, starając się opanować uczucie strachu, jakie ją nachodziło.

– Tutaj nie ma nikogo. – Gardar zatrzymał się w drzwiach do salonu. Światło latarki odbijało się w oknie na przeciwległej ścianie. Na chwilę go oślepiło i musiał zasłonić oczy. – Sprawdźę drzwi wejściowe, ale jestem przekonany, że te trzaski spowodowane były wichurą. – Pozwolił Katrin stanąć obok siebie i przekonać się, że nikt się w salonie nie kryje. Uważał jednak, by nie kierować światła na szybę. – To po prostu jakaś paranoja. – Sztorm znowu zawył z całych sił po chwilowym uspokojeniu. Po raz pierwszy od chwili, gdy znaleźli się na dole. Dom zatrzeszczał i Katrin podświadomie otuliła się szczelniej swetrem.

– Sprawdźmy drzwi i dorzucmy drew pod kuchnię. Strasznie zmarzłam i nie

mogę się doczekać, kiedy wrócimy na górę. – Spojrzała na Puttego. Drżał cały, wcisnąwszy się pomiędzy nich i skuliwszy pod siebie ogon. – Widzisz Puttego, biedaczka? On zaraz zamarźnie.

Gardar zerknął na psa, a grymas na jego twarzy sprawiał wrażenie jeszcze bardziej groteskowego w dziwnym świetle latarki. Przypominał aktora z niemego filmu odgrywającego zdziwienie.

– Moim zdaniem raczej się boi, niż marźnie. – Nachylił się, by pogłaskać psiaka po głowie. Ten jednak skulił się i uniknął dotyku jego ręki. – Tak, panicznie się czegoś boi. – Wyprostował się. – Nie przywykł do takiej pogody, biedaczysko. W domu rzadko spotyka go coś podobnego i dlatego tak się nie zachowuje.

Katrin żywiła nadzieję, że Gardar ma rację i Putti czuje strach przed nieokiełznaną zawieruchą. Druga możliwość była taka, że czuł obecność nieznaney osoby, co gorzej rokowało.

– A może chce się wysikać? – Koniecznie chciała dodać swoje prozaiczne wyjaśnienie. Dla odmiany.

– Więc ma problem. – Gardar skierował latarkę na podłogę, by oświetlić drogę do przedpokoju. – W taką pogodę nie wyjdzie, a jak się zleje w środku, to będzie miał ze mną do czynienia. – Ruszył powoli naprzód. Wzdłuż ścian na korytarzu nagromadzili rozmaite materiały budowlane i Gardar sprawdzał wszystkie zakamarki, w których mogłoby się zmieścić dziecko. Dlatego strasznie długo pokonywali ten niewielki dystans. Katrin czuła ogromną ulgę za każdym razem, kiedy okazywało się, że za poustawianymi materiałami nikt się nie kryje. A jeszcze bardziej ucieszyła się, gdy dotarli do drzwi i te okazały się zamknięte. – Nie mówiłem? – Gardar szarpnął za klamkę, by ostatecznie przekonać się, że są dokładnie zamknięte. Puścił klamkę i skierował światło na podłogę. – Co do diabła? – Włazł w kałużę. – Ten cholerny kundel się zeszczał?

Przecież Putti był cały czas tuż przy Katrin, chodził za nią, jakby stanowili jedno ciało.

– On mnie nie odstępował ani na krok. To nie on to zostawił.

Gardar przykucnął i skierował latarkę na kałużę.

– Nie, to tylko woda. – Oświetlił korytarz prowadzący do kuchni. Zauważył kolejne kałuże. Tak szybko się zerwał, że Katrin ledwo zdążyła usunąć się na bok. – Dżizas. – Zniżył głos do szeptu, a serce w jego piersiach waliło jak nigdy dotąd. Putti czuł, że coś wisi w powietrzu, i zawył.

– Co? – szepnęła Katrin. Najchętniej zamknęłaby oczy, uwiesiła się ramienia Gardara i pozwoliła mu zaprowadzić się aż do śpiwora. Lif w ogóle nie dawała znaku życia i Katrin zazdrościła jej, że nie przebywa z nimi tutaj na dole. Teraz uznała, że tamten pomysł, by zagrzebać się w śpiworze, pozwolić Gardarowi wszystko załatwić i czekać na szczęśliwy finał, był lepszy.

– To są ślady. Ktoś tu chodził. – Gardar zmienił ustawienie latarki i światło

nieco przygąsło. – Prowadzą do kuchni. – Ostatnie zdanie powiedział tak cicho, że ledwo zdołała rozróżnić słowa.

– Wracajmy na górę. – Pociągnęła go, choć wiedziała, że on jej nie usłucha; nie miało to żadnego sensu, bo jeśli jakiś obcy kręcił się na parterze, to przecież w każdej chwili mógł też pójść na górę. – A co zrobimy, jeśli w kuchni ktoś jest?

Gardar z pewnością by odpowiedział, gdyby znowu nie zatrzeszczała tamta deska. Katrin tak się złękła, że wypuściła całe powietrze z płuc i skryła twarz w polarze Gardara. Czuła, że każdy mięsień jego pleców jest napięty niczym łuk, a jego serce wcale nie bije wolniej niż jej.

– Kto tam? – Mimo wszystko ciemny głos Gardara sprawiał wrażenie zdecydowanego i pozbawionego strachu. – Proszę się pokazać. Możemy zaproponować ci schronienie, ale nie mamy ochoty, żebyś przebywał tu bez naszej wiedzy.

Żadnej odpowiedzi. W korytarzu zawisła nabrzmiała i gęsta cisza, taka, jakiej człowiek mógł się spodziewać w głębokiej dziurze. Ale Katrin mimo to miała ochotę zasłonić uszy. Jeśli usłyszy kolejny trzask deski, wrzaśnie z całych sił. Nagle ciszę przerwał dźwięk z zupełnie innej strony. Lif usłyszała wołanie Gardara i krzyknęła coś niezrozumiałego, pewno nakazując im powrót na górę. Ocknęli się z odrętwienia, w którym się pogrążali, i Gardar ruszył naprzód korytarzem.

– Proszę się natychmiast ujawnić. – Znowu nikt nie odpowiedział.

– A co, jeśli ma nóż? – szepnęła Katrin Gardarowi do ucha, wciąż stojąc blisko i trzymając się go kurczowo. Mogła albo postępować za nim krok w krok, albo zostać w tyle, a z całego serca nie chciała znaleźć się sama w ciemnościach. – Na stole leży nóż do chleba i nóż do mięsa.

Gardar milczał. Szedł zdecydowanym krokiem. Nagle stanął i Katrin zorientowała się, że dotarli do drzwi kuchennych. Zastanawiała się, czy otworzyć oczy, czy nie. Kolejny trzask deski, dochodzący z wiadomego miejsca, przyspieszył jej decyzję. Jeszcze mocniej zacisnęła powieki. Dźwięk dobiegał z kuchni i jedyne, co ich oddzielało od jego źródła, to stara, zniszczona płyta drzwi. Może intruz zbliża się do nich z drugiej strony z nożami w rękach? Katrin musiała się zmusić do oddychania, tak bardzo przerażała ją ta wizja. Putti warczał cicho i wściekle.

– Nie otwieraj. – Nie wspięła się na palce, by sięgnąć jego ucha, lecz mówiła prosto w miękkie plecy polara. Jej słowa nie odniosły zamierzonego skutku, bo czuła, jak jego prawe ramię unosi się w kierunku drzwi. Znowu usłyszeli trzask, lecz zanim przeciągły i natrętnie nieprzyjemny dźwięk zdążył wybrzmieć do końca, urwał się w połowie w chwili, gdy rozległ się pisk klamki i zawiasów.

Gardar z początku nic nie mówił, a Katrin nie miała odwagi otworzyć ust, by spytać go, co widzi. Następnie postąpił dwa kroki naprzód, a ona razem z nim; poczuła próg pod swoimi stopami.

– Co tu się do cholery dzieje? – Gardar zdawał się zdziwiony i wściekły. Ale nie wystraszony.

– Co? – Katrin ledwo udało się to wystękać. Nie chciała usłyszeć odpowiedzi, niemniej pytanie jej się wypsnęło. Może intruz sam dźgnął się nożem, skoro Gardar poczuł ulgę?

– Nikogo tu nie ma. – Gardar wszedł do kuchni bardzo szybko, pozostawiając Katrin na progu. Rozsunąwszy nieco powieki, widziała, jak usiłuje otworzyć jedyną szafę mogącą pomieścić człowieka, ale znalazł w niej tylko kij od miotły, który zresztą rzucił się na niego. Następnie podszedł do okna. Okazało się zamknięte od środka na haczyk. – O co tu chodzi, do diabła? – Zwrócił się w jej kierunku. – Słyszałaś ten trzask, zanim otworzyłem drzwi? Ktoś tutaj był.

– No. – Katrin opłotła się ramionami, by uchronić się przed zimnem, które teraz odczuwała dotkliwiej, niż gdy była wtulona w ciepłe plecy Gardara. W panice usiłowała zorientować się w sytuacji. Weszła do kuchni i poczuła, że Putti za nią nie idzie. Cały dygotał, maleńki i biedny, nastroszywszy brązową sierść. Nachyliła się, chcąc go zabrać ze sobą, ale piesek stał na progu, niewzruszony. Wyprostowała się więc i odwróciła do Gardara. Putti uspokoił się, jak tylko wróci na górę. – A może to był szczur?

– Bez sensu. Pod ciężarem takiego małego zwierzęcia podłoga aż tak nie trzeszczy. Nawet Putti łązi tu cichutko i choć nie jest jakiś wielki, to pokaż mi szczura równie dużego, jak on. – Gardar jednak otworzył tych kilka szuflad, które znajdowały się w lichych meblach kuchennych, i w każdą z nich kierował latarkę. – Zresztą nie mam pojęcia, gdzie to zwierzę mogłoby się znajdować. – Uklęknął na jedno kolano i zajrzał pod szafkę i pod kuchnię. Zlustrował całą podłogę. W świetle połyskiwały takie same kałuże jak na korytarzu. – Tutaj nic nie ma. – Snop światła padł na najodleglejszą ścianę kuchenną. – A co to jest? – Wstał i podszedł bliżej. – Wcześniej tak to chyba nie wyglądało? Prawda?

Katrin zbliżyła się do niego ze wzrokiem wbitym w czarną plamę, która zdecydowanie się powiększyła i rozprzestrzeniła.

– To od wilgoci? Może ona stanowi wyjaśnienie obecności tych kałuż. I tylko przez przypadek przypominają ślady?

Gardar znów uklęknął i oświetlił krawędź plamy.

– To przypomina grzyb. – Podniósł się. – Kolor jest moim zdaniem bardziej zielony niż czarny. Chociaż żaden ze mnie specjalista od wilgoci i szkód przez nią powodowanych. Może takie plamy miewają różny kolor. – Kilka razy wciągnął powietrze. – Ale nie czuć zapachu pleśni. Raczej zapach morza.

Teraz to Katrin schyliła się, by przyjrzeć się płynnym śladom stóp na podłodze. Wciągnęła powietrze ostrożnie przez nos i poczuła woń przypominającą jej plażę.

– Te kałuże pachną morzem. To z pewnością woda morska. A ona nie cieknie do domu.

Gardar podszedł do niej i także powąchał kałużę. Nie poprzestał jednak na tym i włożył palec do wody, po czym posmakował, zanim Katrin zdążyła go powstrzymać. Splunął na podłogę i odepchnął Puttego, gdy ten wystawił język, by zlizać ślinę.

– To woda morska. – Kiedy się prostował, światło skakało w górę i w dół. – Nic z tego nie kumam, ktoś tu musiał wejść. Tylko nie mam pojęcia jak.

Katrin nie miała ochoty patrzeć na mokre ślady, więc podniosła głowę i przyjrzała się stołowi kuchennemu, przy którym przed snem pili kakao. Brązowy naciek po filiżance Lif, która rozlała napój, był wciąż na swoim miejscu. Ale na stole znajdowały się różne rzeczy. Na przykład gazeta, która, jeśli przyjrzeć się dokładnie, coś jakby przykrywała.

– Gardarze. – Katrin znieruchomiała, dumna, że udało jej się wydobyć z siebie choć jedno słowo. – Gardarze – powtórzyła. – Dlaczego krzyże tu wróciły?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, usłyszeli, jak osuwa się szczapa w palenisku, i oboje zeszytnieli. Drżącą ręką Gardar skierował niezwłocznie latarkę ku kuchni. Migocący snop oświetlał teraz żeliwną płytę koloru koksu. Katrin dziękowała Bogu, że żadne z nich nie choruje na serce. Podejrzewała, że gdyby Einar żył, to w tej chwili doznałby zaburzeń pracy serca, które niechybnie doprowadziłyby do jego śmierci.

– Jezu, ale się wystraszyłam. – Westchnęła ciężko, ale zatkało ją, gdy mała, zniszczona piłeczka, którą Lif zabrała dla Puttego do zabawy, wolno wytoczyła się spod kuchni. Znów przywarła do Gardara. Przez polar czuła, że jego serce wali równie szybko, jak jej. – Co tam jest pod spodem? – Zauważyła, że Putti zaszył się w kącie, skąd cicho warczał, wgapiiony w zabawkę. Zazwyczaj piłeczka wzbudzała w nim radość.

– Po prostu podłoga zadrzała, kiedy szczapa się osunęła. – Rzadko brzmiał równie mało przekonująco. – Jeśli mam zajrzeć pod piec, to musisz mnie puścić. Tak dla pewności. Przecież tam nie może być żadnej żywej istoty, bo jest za gorąco. – Katrin zrobiła, co chciał, ale wiele ją kosztowało, by rozluźnić palce. Gardar niemal oparł głowę o podłogę, zaglądając pod kuchnię. – Nic tu nie ma. Chociaż to dziwne, bo podłoga zdaje się pochylona w kierunku ściany, a nie odwrotnie. – Wstał i wytarł dłonie w nogawki spodni.

– Ja muszę na górę. – Głos Katrin drżał. – Dłużej tu nie wytrzymam. – Piskliwym głosem zawołała Puttego. Zbliżył się do nich bardzo ostrożnie, co nie było do niego podobne. – Pliz, chodźmy. – Gardar otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Niewątpliwie i on nie za bardzo chciał tu dłużej przebywać. Z góry dobiegł ich głos Lif pytającej, co się dzieje.

– Już idziemy. – Ze względu na stan psychiczny Katrin jej głos raczej nie był na tyle donośny, by dotrzeć na piętro, ale ponieważ Lif nie odpowiedziała, uznała, że ta usłyszała jej słowa.

Gardar omiół światłem całe pomieszczenie, w tę i z powrotem, dopóki nie

nabrał pewności, że nikogo tu nie ma. Odwrócił się do Katrin i puścił ją przodem. Pokierował nią w korytarzu ku schodom. – Idź na górę. Ja tu zaczekam. – Katrin nie znalazła w sobie dość energii, by spytać, dlaczego chce czekać na dole. – Tylko trzymaj się poręczy, bo latarka będzie mi potrzebna. Chcę się upewnić, że nikogo nie ma i że nikt nie polezie za nami na górę. – Więcej nie musiał wyjaśniać i Katrin szybko zniknęła w ciemnościach na schodach. Kiedy został jej jeszcze jeden stopień do pokonania, poczuła w powietrzu coś dziwnego i zwolniła. Nie widziała nic poza mrocznym, pustym korytarzem. Coś jej się oczywiście uroiło, niemniej kiedy weszła na ostatni stopień klatki, włoski na rękach stanęły jej dęba. Zanim zdążyła uświadomić sobie, co się dzieje, drzwi tuż obok schodów otworzyły się z wielkim impetem. Uderzenie sprawiło, że upadła do tyłu. Czuła, jak traci równowagę i jak schody uciekają jej spod stóp.

W nocy sztorm nad Isafjörður ucichł, przemieszczając się na północ ku wyludnionym osadom nad fiordem Jökull. Freyr mógłby określić czas nadejścia lepszej pogody co do minuty, bo ani na chwilę nie zmrużył oka. Dopóki nie włożył słuchawek iPoda do uszu i nie pozwolił muzyce przejąć pałeczki, powtarzające się uderzenia deszczu w okno sypialni nie dawały mu zasnąć. Dotarło do niego, że przestaje panować nad własnym życiem, a biorąc pod uwagę tradycyjne metody diagnostyczne, które stosował wobec swoich pacjentów, to właściwie już przestał. Słyszał głosy i miał zwidy, stracił kontakt z rzeczywistością, ze swoim otoczeniem. Zawsze obawiał się, że może do tego dojść. Przykro było myśleć, że zostawił Sarę, nie chcąc, żeby spotkało go to, co mimo wszystko okazało się nieuniknione. Być może nie rozwiódł się z nią dość wcześnie, nasiona choroby psychicznej zdążyły już zapuścić korzenie w jego duszy, gdy pakował do kartonów swój nieliczny dobytek. W istocie nie dziwił go taki akurat rozwój wypadków. To, co zdumiewało go bardziej, to to, jak rzeczywistą jawiła mu się nierzeczywistość. Teraz lepiej rozumiał ludzi, którzy siadali naprzeciwko niego w gabinecie i bez mrugnięcia okiem wygadywali niestworzone rzeczy, przekonani, że ich urojenia stanowią integralną część terażniejszości. Całe życie sądził, że ludzie przeżywają urojenia jakby w transie, że są one niczym podstępnie sącząca się rzeczywistość, którą łatwo odróżnić od tego, co uważa się za normę – w każdym razie kiedy człowiek się ocknie. Ale się mylił. Głos Benniego dotarł do jego uszu dokładnie tak samo jak głosy jego kolegów z pracy.

Widok także wywarł na nim wielkie wrażenie. Poprzedniego wieczoru, gdy zebrał się w końcu w sobie i wyjrzał na korytarz, zobaczył, jak jego syn ucieka, ubrany tak jak w dniu, w którym zaginął. I był dokładnie tego samego wzrostu. Choć rozsądek podpowiadał mu, że to niemożliwe, był przekonany, że jego oczy nie kłamią. Powtarzał sobie, że Benny na pewno nie żyje, a nawet jeśli cieszy się życiem, to przez te trzy lata od zaginięcia musiał bardzo urosnąć. Ale to nic nie pomogło. Przyszło mu więc do głowy, że widział zupełnie inne dziecko, tyle że z takimi samymi włosami i w podobnym ubraniu. Ale ów dziwny zbieg okoliczności i sposób, w jaki chłopiec zniknął mu z oczu, nie dawały mu spokoju. Po długiej ucieczce, zawsze jednak znajdując się daleko poza jego zasięgiem, chłopiec wbiegł na oddział i przepadł. I gdy zdyszany Freyr znalazł się w tym miejscu, nikt z obecnych nie kojarzył, by ktokolwiek się tam zjawił. Dwaj pielęgniarze, których Freyr nieomal wywrócił, wybiegając z za rogu, nie potrafili ukryć zdziwienia wyglądem Freyra i jego silnym podnieceniem. Był zziębnięty, rozczochrane włosy sterczały na wszystkie strony. Nie bardzo potrafił wyjaśnić, o co chodzi. A sprawę komplikował jeszcze fakt, że nie figurował tego dnia w grafiku dyżurów i nie bardzo wiadomo było, co robi w szpitalu. Gdy nie był już w stanie znieść porozumiewawczych spojrzeń pielęgniarzy, przeprosił ich i się pożegnał. Wtedy

po raz pierwszy pomyślał, że traci kontakt z rzeczywistością. Przecież tu nie było żadnego dziecka, a cóż dopiero jego dawno zmarłego synka.

Teraz znowu był w pracy. Stał przed lustrem w toalecie dla personelu. Oderwał wzrok od swego odbicia i głęboko wciągnął powietrze. Żółtawe, błyszczące kafelki na ścianie zawsze działały mu na nerwy, a teraz dodatkowo zdawały się stanowić wyjątkowo nieznośne ramy dla jego zmęczonego wizerunku. Oczy nabrzmiąte krwią, twarz spuchnięta po bezsennej nocy. Zanim wyszedł do pracy, zastanawiał się głęboko nad tym, czy już zwariował, i zapomniał się ogolić. Ciemnawy zarost dopełniał więc obrazu. Był przekonany, że zarówno pacjenci, jak i współpracownicy podejrzewają, że nieźle wczoraj zabalował. Ale nic na to nie mógł poradzić. Miał tylko nadzieję, że dzień minie bezboleśnie. Zdążył się przyzwyczaić do nieprzerwanej pracy przez dwie doby, więc zasadniczo niczego się nie obawiał. Zawsze to lepsze, niż leżeć w domu i myśleć w koło o tym samym. Tu przynajmniej mógł skupić się na pracy, a dopóki ją wykonywał, nie miał czasu zastanawiać się nad jakimiś bzdurami. Tyle że jedna myśl co rusz nachodziła go podstępnie, ale natychmiast ją od siebie odsuwał. Gryzło go sumienie. Oczywiście, że powinien zgłosić przełożonemu, iż martwi się swoim zdrowiem psychicznym. Ale Freyr wiedział, jak to się skończy. Kazano by mu pójść na dziesięciodniowe zwolnienie, co oznaczało dodatkowe obowiązki dla współpracowników. Chodziło zatem nie tylko o to, że zostałyby w domu sam ze swoimi myślami. Przyrzekł jednak sobie solennie, że uda się na spotkanie z przełożonym, jak tylko uzna, że nie może wykonywać swojej pracy, a zdrowie pacjentów jest zagrożone.

Ale na razie, sprawy zdawały się zasadniczo toczyć normalnym torem. Nie słyszał ani nie widział niczego, co można by uznać za nienaturalne. Ale tu znów wracał do źródeł, bo jeśli cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne, nie mógł przecież decydować, co jest normalne, a co nie. Pomimo swojej specjalizacji psychiatrycznej i doświadczenia, jakie nabył, opiekując się pacjentami z poważnymi zaburzeniami postrzegania rzeczywistości, był przekonany, że jego samego to nie dotyczy. To niemożliwe. Bacznie przyglądał się pielęgniarsce towarzyszącej mu na korytarzu, ale ona nie zdradzała żadnych oznak wskazujących na to, że uważa, iż Freyr zachowuje się dziwnie. Dla pewności rzucił głupią uwagę na temat stanu jednego z pacjentów i ucieszył się, kiedy kobieta zdziwiona uniosła brwi i spojrzała na niego pytająco. To napełniło go nadzieją, że wczorajsze wydarzenia były tylko odosobnionym przypadkiem i teraz już zachowuje się tak jak powinien.

Poszedł do gabinetu zadzwonić do anatomopatologa, który miał kroić Hallę. Rano dzwonił już dwa razy, ale gdy połączył się z centralą, powiedziano mu, by spróbował później, bo pan doktor jest w szpitalu, ale wyszedł z gabinetu. Idąc pustym korytarzem, Freyr przystanął na chwilę. Po chwili ruszył dalej, lecz przez moment coś mu się zdawało i pomyślał, że zaraz zobaczy lub usłyszy coś nienaturalnego. Nagle drażniący chrząst kapci stał się bardzo wyraźny. Linoleum na podłodze błyszczało niemiło. Świetlówka wciąż mrugała, głośno stukając. Musi powiedzieć konserwatorowi, by ją wymienił. Tak naprawdę kładąc dłoń na

klamce, cieszył się, że świetlówka jest zepsuta. Myśli o czymś równie przyziemnym, co jej wymiana, sprawiały, że w jego głowie nie pojawiał się obraz synka biegnącego korytarzem, a tego się przecież obawiał.

Gdy zamykał za sobą drzwi, przypomniał sobie, jak dwukrotnie otworzyły się wczoraj same, ale machnął na to ręką. Oczywiście, że mogły być uszkodzone, że słabe zawiasy albo popsuty zamek mogły sprawić, iż się otworzyły i uruchomiły lawinę omamów, które tylko czekały na okazję, by się uzewnętrznić po długotrwałym napięciu psychicznym i zmęczeniu. Kiedy zbliżał się do biurka, wszystko układało się w logiczną całość, lecz wtedy za jego plecami z hukiem zatrzasnęły się drzwi. Dopóki głośno się nie zatrzasnęły. Przeszedł go zimny dreszcz. Przełknął ślinę. Szedł dalej w kierunku biurka jak gdyby nigdy nic. Jeśli drzwi potrzebowały naprawy, to dlaczego nie miałyby się same zatrzaskiwać, tak jak same się otwierały? Usiadł. Teraz mógł tylko wbić wzrok w brązową płytę. Każdy nerw i każdy mięsień były napięte, gotowe zareagować, gdyby drzwi znów się otworzyły. Ale nic się nie wydarzyło. Nie odrywając od nich wzroku, sięgnął po słuchawkę, wybrał numer centrali i kazał się łączyć z konserwatorem. Ulżyło mu, gdy usłyszał, że jego własny głos brzmi naturalnie. Wyglądał dość kiepsko i nie chciał również brzmieć piskliwie.

Konserwator odebrał po szóstym sygnale, kiedy Freyr chciał już odłożyć słuchawkę. Starszy człowiek, spokojny i miły. Zdziwił się, gdy Freyr przedstawił mu sprawę. Twierdził, że rano wymieniał świetlówkę. Dobrą chwilę zajęło Freyrowi przekonanie konserwatora, że nie dalej jak minutę temu widział mrugającą żarówkę. Wreszcie z niejakim ociąganiem zgodził się zajrzeć do części administracyjnej. Zdziwił się także, gdy Freyr spytał go, czy wie coś o popsutych drzwiach na korytarzu w części biurowej, może budynek jest przechylony albo coś innego powoduje, że samoczynnie się zamykają. Z początku fachowiec nie zrozumiał pytania. Freyr dodał więc, że drzwi jego gabinetu otwierają się lub zatrzasniają bez wyraźnego powodu. Konserwator odparł, że o ile wie, budynek jest porządnie zbudowany, a wszystkie kąty proste. Dodał, że gdyby był przechylony, to drzwi albo by się same zamykały, albo otwierały, ale nie jedno i drugie. Chyba że gmach by się kołysał.

Freyr pożegnał się pąsowy na twarzy i zadzwonił w kolejne miejsce. Choć był pewien, że Dagny czeka na jego opinię na temat przekazanych mu materiałów, na razie nie miał ochoty z nią rozmawiać. A jeszcze mniejszą na spotkanie z nią, zwłaszcza w obecnym stanie. Zobaczysz, jak się będzie czuł pod koniec dnia, i jeśli starczy mu sił, wykręci do niej. Wybrał więc bezpośredni numer do anatomopatologa w stolicy, który natychmiast odebrał. Przedstawił się. Wymienili uprzejmości, po czym przeszli do sprawy Halli czekającej w chłodni na stalowym stole na sekcję.

- Najlepiej byłoby, gdybyś tu wpadł. - Lekarz miał na imię Karl. Był najwyraźniej zdziwiony, że Freyr nie znalazł żadnej wzmianki o bliznach na plecach Halli w jej medycznym dossier. - Może to obrażenia, które zadała sobie

sama, i mają związek ze stanem jej umysłu? Żaden ze mnie specjalista, tak że chętnie skorzystam z pomocy.

– Poranny samolot już odleciał, więc przed kolacją nie dam rady. A to chyba za późno, nie? – Freyr poczuł, że ma nieodpartą ochotę uciec od tego wszystkiego. – Ale mogę być u ciebie jutro z samego rana, jeśli chcesz.

Karl zastanowił się chwilę, a potem oznajmił, że druga wersja bardziej mu odpowiada.

– Wdrożyliśmy program oszczędnościowy i prosektorium zamykamy o piątej. Moglibyśmy się oczywiście zakraść i przeprowadzić autopsję, pomimo że jest zamknięte, ale ostatnio nie mam specjalnej ochoty pracować dla państwa za darmo.

Inaczej rzecz miała się z Freyrem. Nie zamierzał nawet prosić o zwrot kosztów za przelot z obawy, że skomplikowałyby to sprawę i straciłby okazję trochę się przewietrzyć. Co więcej, wzięłby dzień urlopu, jeśli przełożony wymagałby tego.

– W takim razie widzimy się rano o ósmej.

– Więc chowam Hallę z powrotem do lodówki.

Stan starego nauczyciela pogorszył się. Nikogo to szczególnie nie zdziwiło, najmniej jego samego. Worki pod oczami pożółkły i mimo że organizm trawiła gorączka, twarz miał bladą. Nawet kaszel nie był w stanie wywołać rumieńców na policzkach. Tyle że przeszkadzał mu w płynnym mówieniu.

– Przepraszam. – Podniósł chudą rękę do ust i z fioletowej wargi wytarł chusteczką kropelkę śliny. – Doskonale pamiętam te dzieciaki. Uczyłem w ich klasie rok po wykonaniu tej fotografii. Wychowawczyni miała wypadek i wskoczyłem w zastępstwo, ponieważ moja klasa akurat skończyła naukę na wiosnę. – Położył zdjęcie na kołdrze i głowę na poduszce. Łóżko ustawione było tak, że raczej siedział, niż leżał. – Długo zastanawiano się nad tym, dlaczego wandal wybrał akurat to zdjęcie. Na ścianie wisały też inne, ale tamtych nie tknęła.

– Czy dzieciaki, których twarze zdrapał, miały ze sobą coś wspólnego?

– Freyr zabrał ze sobą listę i teraz wyczytał ich nazwiska. – Przyjaźniły się jako szczególnie, tworzyły team czy coś takiego?

– Tegośmy nigdy dokładnie nie wiedzieli. Na przerwach nie dało się zauważyć, by tworzyły jakąś szczególną grupę, choć dosyć się z sobą kolegowały. Większość z nich miała jakiegoś przyjaciela, takiego najlepszego. Człowiek to oczywiście zauważał, dzieciaki chciały koniecznie siedzieć w jednej ławce, a poza lekcjami zachowywały się jak papużki nierozłączki. Poza tym nie śledziliśmy ich życia prywatnego. W owych czasach obowiązywała większa dyscyplina i szkole zależało na tym, by ich nauczyć jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Nie kładło się nacisku na naukę przez zabawę, czy jak tam się nazywa to, co niszczy

dzisiejszy system oświatowy. Na pewno tworzyły jakieś grupy, ale my, nauczyciele, przeważnie mieliśmy dość roboty z własnymi dziećmi, więc nie interesowaliśmy się uczniami, gdy wyszli poza próg szkoły. Nie wkraczaliśmy w domenę rodziców.

Freyr skinął głową.

– Czy któreś z tych dzieci nadal mieszka w Isafjördur lub okolicy? Najchętniej porozmawiałbym z Larusem Helgasonem. – Postanowił nie wspominać o tym, że jest jedyną żyjącą osobą spośród tych, które wandal zdrapał ze zdjęcia. Istniało prawdopodobieństwo, że ma jakieś informacje, które wcześniej nie wyszły na jaw.

Staruszek zastanowił się chwilę.

– O ile wiem, to już dawno wyprowadził się z Isafjördur. W młodym wieku pojechał do stolicy uczyć się na mechanika samochodowego i już tu nie wrócił. Ale mogę się mylić.

– Z pewnością znajdę go w książce telefonicznej. – Freyr uśmiechnął się do rozmówcy. – A pamiętasz może Hallę? Chodziła do tej klasy, ale przez całe dorosłe życie mieszkała we Flateyri.

Starzec znów musiał się zastanowić, zanim udzielił odpowiedzi:

– Tak, tak. Taka mała czarna. O ile pamiętam, bardzo sprytna. – Patrzył rozwodnionymi oczami na Freyra. – Jej ojciec był lumpem. Źle traktował żonę i dzieciaki. I zważywszy na warunki, dziewczyna wyszła na ludzi. Bystrą, choć nie uważano jej za szczególnie inteligentną. Na szczęście żadne z rodzeństwa nie odziedziczyło charakteru po ojcu. Jedno porządniejsze od drugiego.

– To świetnie. – Sądząc z opisu, ojciec Halli mógł cierpieć na chorobę psychiczną. Ludzie wtedy często sięgają po butelkę. Jeśli tak było, rosło prawdopodobieństwo, że Halla również miała problemy psychiczne, chociaż udawało jej się skrywać objawy przed najbliższymi.

– Mieliśmy w mieście kilku takich. Teraz chyba ich mniej. Ludzie są bardziej świadomi szkód, jakie może spowodować alkohol. – Staruszek znów uniósł zdjęcie. – Tata tego małego miał ogromne problemy z alkoholem. Odrażający typ.

Freyr spojrział na fotografię i zauważył, że krzywy palec starca wskazuje marnie ubranego chłopca stojącego nieco z boku, na końcu środkowego rzędu.

– Wyszedł na ludzi, biedaczek?

– Bernodus? Nie, nie powiedziałbym. Niestety.

Usta Freyra wyschły nagle tak bardzo, że z pożądaniem spoglądał na szklanekę z wodą, w której nocą spoczywała sztuczna szczęka staruszka.

– Powiedziałaś Bernodus?

– Tak, tak miał na imię biedaczek. O ile pamiętam, nie chodził do klasy, kiedy ją przejąłem. Spotkał go taki los, że człowiek nie jest w stanie go zapamiętać.

- Stoczył się? - Nauczyciel odłożył zdjęcie i Freyr je podniósł. Oczy chłopca patrzyły na niego z marnej odbitki, ale wyglądało na to, że kopiując jego twarz, kopiarka bardzo się postarała. Bernodus.

- Nie, skądże. Nigdy nawet nie miał takiej szansy. Zniknął. - Stary człowiek znowu zakaszał. - Bez śladu.

Wichura i deszcz ustały, ale pozostawiły po sobie wilgoć w domu, tak że ziąb panował nieznośny. Lif zawzięcie usiłowała włożyć czwarty sweter, lecz pomimo długiej walki nie udało się jej naciągnąć go na pozostałe trzy. Cała dygotała. Narzekała, że jest tak uczulona, iż swędzą ją nogi od wełnianych skarpet, chociaż pod spodem ma bawełniane. Z dwojga złego uważała jednak, że lepiej jak ją swędzi, niż kiedy marznie. Coraz częściej drapała się starym drutem, który Gardar znalazł pomiędzy luźnymi deskami podłogi. Katrin ledwie mogła na to patrzeć. Siedziała na kuchennym taborecie i cała się trzęsła, ale nie umiała sobie uświadomić, czy to z zimna, czy z powodu szoku, jakiego doznała poprzedniego wieczoru. Cała była sina i potłuczona po upadku i jeśli wziąć pod uwagę, jak to wszystko mogło się skończyć, i tak nie mogła narzekać.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak upadła, która część ciała w który stopień uderzyła i kiedy walnęła głową tak mocno, że straciła przytomność. Sądząc po tym, jak niewiele pamięta, i po opisie, którym uraczył ją Gardar, musiała stracić równowagę i potoczyć się jak szmaciana lalka. Według niego, kiedy spadała ze schodów, jej ciało było bezwładne i to ją uratowało. Gdy się ocknęła, leżała pod schodami, patrząc błędnym wzrokiem na zatroskane twarze Gardara i Lif. Ich słowa docierały do niej jak przez mgłę. Lif myślała, że ona nie żyje, i w swoim dziwnym położeniu Katrin także tak uważała. Poczowała nawet, jak ogarnia ją smutek przed ostatecznym odejściem. Kiedy Gardar powiedział, że wyczuwa puls, doznała wielkiej ulgi i już nic innego nie miało znaczenia, ani ból, ani pulsowanie w głowie, które wciąż jej dokuczało, choć w pewnym sensie zdążyła się do niego przyzwyczaić.

– Na pewno cię nie mdli? – Gardar patrzył na Katrin, a z wyrazu jego twarzy można było odczytać, jak ona musi kiepsko wyglądać. – Jeśli masz wstrząśnienie mózgu, musimy coś przedsięwziąć. – Nie proponował nic konkretnego, zwłaszcza że Katrin żywiła wątpliwości, czy on ma w ogóle pojęcie, co w tej sprawie można zrobić. Doszli do wspólnego wniosku, że zadzwonią do szypra i poproszą go, by po nich przyptynał. Bo sami w zasadzie w żaden sposób nie mogli jej pomóc.

– Nie. To jedyne, co mi w tej chwili akurat nie dolega. – Katrin miała schrypnięty głos, niewiele się odzywała, odkąd się zbudziła. Zasnęła, słuchając własnego głosu, przeżywać zaczęła dopiero po tym, jak Gardar i Lif pomogli jej zagrzebać się w śpiworze. Nie zrozumieli nic z tego, co mówiła, zwłaszcza że słowa wydobywały się z niej albo bełkotliwym potokiem, albo pojedynczo, przerywane szlochem. Była to dla Gardara i Lif, którzy z całych sił starali się ją pocieszyć, trudna próba cierpliwości i wyrozumiałości. I w końcu sen dał jej ukojenie, którego bardzo pragnęła. W jednej chwili jęczała, nie mogąc zasnąć, a za moment szybowała w krainie snów, gdzie właśnie pobrali się z Gardarem i z grubsza byli szczęśliwi. Chociaż nie potrafiła przypomnieć sobie szczegółów snu,

pamiętała, że gdy się obudziła, spodziewała się, iż stoi nad nią pokurczona, mała istota ludzka, gapiąc się z czeluści kaptura z twarzą owianą mrokiem. Nie miała odwagi otworzyć oczu, lecz gdy w końcu zdecydowała się, nic takiego nie zobaczyła, a jedyne, na czym mogła zawiesić wzrok, to zniszczony i brudny sufit w pokoju.

Katrin potarła czoło.

– Lif, masz może lusterko? – Zasadniczo nie miała ochoty widzieć, jak wygląda, gryzła ją jednak ciekawość. Gdy już nieduże lusterko znalazło się w jej dłoniach, przełknęła dwa razy ślinę i podniosła je do twarzy. Wyglądała lepiej, niż się spodziewała; tylko zadrapanie na policzku i lekko podbite oko. Uniosła lusterko wyżej i dotknęła palcem wielkiego czerwonego stłuczenia pod włosami.

– Te obrażenia nie są groźne. – Lif stała nad Katrin i niewesoło się uśmiechała. – Wszystko będzie dobrze. – Odwróciła się do Gardara. – To znaczy jeśli chłopakowi nie uda się ciebie zabić.

Gardar usiłował ukryć, jak bardzo denerwuje go ta cała gadanina, ale Lif nie mogła się powstrzymać od monologów i sugestii na temat rozwoju wydarzeń, pomimo że już zapadła decyzja, by opuścić osadę. Była przekonana, że to ten chłopiec jest sprawcą wypadku, a swoją opinię opierała na opowieści Katrin o tym, jak nagle i niespodziewanie drzwi uderzyły ją w piersi. Gardar z kolei usilnie twierdził, że to musiał być przeciąg, mimo że przecież wszystkie okna były zamknięte. Katrin nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić, w każdym razie nie wypowiadała się na głos. Gdzieś w głębi była przekonana, że to nie wiatr otworzył drzwi. Z drugiej strony podziwiała cierpliwość Gardara i jego zdolności do negocjowania tego, co oczywiste, lecz niewygodne.

– Przestań bredzić, Lif, i nie myśl już o tym. Takie gadanie niczemu nie służy. – Przeciągnął ostrzem noża po brązowej taśmie klejącej na jednym z kartonów, które pozostawił były właściciel. – Czekaając, aż się porządnie rozwidni, przejrzymy te kłamoty, a potem pójdziemy na górę i zadzwonimy do gościa od łajby. Zdaje się, że już wszystko ustaliliśmy.

– Ale dopiero po tym, jak powiedziałaś nam, co się stało z byłym właścicielem. Nie rozumiem, dlaczego to przed nami ukrywałaś. – Lif ułożyła usta w ciup. – Gdybym o tym wiedziała, nigdy nie pozwoliłabym się tu zaciągnąć.

Katrin nie przejmowała się jej gadaniem. Lif już taka była, że słyszała za każdym razem tylko to, co chciała usłyszeć. Nie było wcale takie pewne, że Einar nie powiedział jej o tym, kiedy kupił dom. Choć Katrin aż gotowała się z wściekłości na Gardara za to, że wszystko przed nią zataił, uważała, że musi stanąć w jego obronie. Dotychczas słuchała tylko, jak na ten temat dyskutują, ale teraz, obejrawszy się w lustrze i zorientowawszy się, że urazy na jej twarzy wcale nie upodabniają jej do człowieka słonia, czego się obawiała, nabrała nowych sił.

– Masz absolutną pewność, że facet tu zniknął? Nie był na przykład na łódce

czy w jakimś zupełnie innym miejscu?

– Według tego, co mówił Einar, tu kończy się jego ślad. – Gardar otworzył karton. – Przybył w tym samym celu co my. Remontował dom. Ale kiedy przyjechali po niego, nikogo nie zastali. Nie mam oczywiście pojęcia, czy zaginął gdzieś w czasie spaceru, nie wiem, co się mu dokładnie stało. Ale nigdy go nie znaleziono. Nie chciałem denerwować was, ale teraz, w świetle wczorajszego włamania, nabrało to znaczenia.

– To on go zabił. – Nie było powodu zaprzeczać Lif, jej słowa i tembr głosu nie zachęcały do dyskusji. – Zepchnął go ze schodów, a potem udusił.

– Nie ma żadnego znaczenia, w jaki sposób zginął. Przejrzymy te rzeczy na wypadek, gdyby zostawił coś, co pomoże nam ustalić, co tu właściwie jest grane. – Gardar nie patrzył im w oczy. – Zgodziłyście się na to, prawda? – Katrin ani nie zgodziła się z jego decyzją, ani przeciwko niej nie protestowała, ponieważ została podjęta, zanim odzyskała mowę. Samo zejście ze schodów sprawiało jej wiele trudności, ledwo doczłapała do kuchni, gdzie usiadła i dygocąc, przysłuchiwała się rozmowie. Zresztą zesłała na dół, dopiero kiedy Gardar wyrzucił krzyże i zapewnił ją, że nie ma żadnych nowych śladów na podłodze.

– Nie mówiłeś, że zniknął trzy lata temu? – Katrin miała szczerą nadzieję, że obie sprawy nie łączą się w żaden sposób, ale im dłużej się zastanawiała, tym bardziej wydawało się to nieprawdopodobne. – Moim zdaniem dzieciak nie ma więcej niż jedenaście, dwanaście lat. Trzy lata temu mógł mieć osiem, dziewięć może. Nie kupuję, że takie małe dziecko jest w stanie zabić mężczyznę, a co dopiero ukrywać go tu żywego przez cały ten czas.

– Chyba że ktoś mu pomaga – rzeczowo zauważyła Lif. Nie potrafiła ukryć radości, że udało jej się wymyślić tak inteligentną teorię.

Gardar nic nie odpowiedział i zaczął grzebać w kartonie.

– Może znajdziemy tu radiostację. Kto wie? Nie musielibyśmy wtedy wspiąć się na wzgórze. Nie wiem, jak wam, ale mnie się to nie bardzo uśmiecha.

Katrin wyjrzała przez okno. Wszystko wyglądało inaczej niż wcześniej. Zamiast ziemistych kolorów uśpionej roślinności wszędzie widziała biel. Deszcz w nocy zmienił się w opady śniegu i wszystko przykryła cienka warstwa puchu. Teraz wprowadzie trochę się rozjaśniło, ale i tak cała sztywniała na myśl o wspinaczce. Nie była wystarczająco sprawna, poza tym pod śniegiem mogą kryć się zamrożone kałuże, a oni przecież nie mają raków. A ponieważ było ich troje, nie mogli podzielić się na dwie grupy. Muszą trzymać się razem. Ona na przykład nie miała najmniejszego zamiaru zostawać tu sama. Nie potrafiła także wyobrazić sobie, że Gardar idzie sam. Podmuch wiatru wzbudził śnieżny puch przed okaleczonym tarasem. Lekkie płatki wirowały na wietrze. Potem nagle zapadła cisza. Katrin ponownie skierowała wzrok na kuchenny stół i pokryte kurzem kartony piętrzące się obok niego w dwóch piramidach. Gardar wyjął kilka rzeczy z pierwszego, ale żadna nie rzuciła nowego światła na sprawę. Dwie książki,

młotek, portfel i latarka. Sięgnęła po nią i spróbowała zapalić, ale baterie były wyczerpane.

– A radiostacja nie potrzebuje prądu? – Lif podeszła do Katrin, przycupniętej na taborecie, i podniosła portfel.

– Nie wiem, ale jeśli tutaj jest radiostacja, to z pewnością taka na baterie. Inaczej nie byłoby sensu jej tu przywozić. – Gardar przesunął rzeczy w kartonie, żeby sięgnąć głębiej. – Cholerne śmieci.

– Ciekawe, kto to spakował? – Katrin odłożyła latarkę i w zamyśleniu szarpała taśmę klejącą. – Właściciel na pewno nie zapakował tego wszystkiego przed zniknięciem.

– Może ratownicy, którzy go szukali? Albo ktoś odpowiedzialny za masę spadkową. – Gardar wyciągnął dwie ścierki i przyglądał się im. – Te rzeczy najwyraźniej zostały wrzucone do kartonów bez ładu i składu, więc wątpię, by zrobił to osobiście on czy nawet ktoś z jego bliskich. Ja bym w każdym razie w ten sposób swojego dobytku nie pakował. Wszystko jest wymieszane. – Włożył kraciaste ścierki z powrotem do pudła i wyciągnął zeń plastikowy talerz we fluorescencyjnym kolorze. – Brakuje jakiegokolwiek porządku, a poza tym każda rzecz z osobna jest źle zapakowana. Sądzę, że właściciel lepiej dbałby o swoje rzeczy.

– Nazywał się Haukur. Haukur Gretarsson. – Lif pomachała kartą kredytową, którą wyjęła z portfela.

– O tym doskonale wiedzieliśmy. – Gardar zabrał jej kartę i przyjrzał się jej. Potem oddał ją Lif i dalej grzebał w kartonie.

– Ktokolwiek pakował te rzeczy, musiał myśleć, że wkrótce zostaną odesłane do stolicy. Portfel pełen kart, potwierdzeń transakcji i drobnych. – Obejrzała wydruki. – Ale jeśli facet sam wszystko spakował, to popełnił samobójstwo. Nikt nie wrzuca własnego portfela do kartonu.

– A co kupował? – Katrin wzięła od Lif część paragonów, które tamta już przejrzała. Wszystkie rachunki miały nieco ponad trzy lata, były raczej niskie, kilka tysięcy w dyskoncie Hagkaup, strzyżenie w zakładzie przy placu Hlemmur, Domino's Pizza, Subway i benzyna. Kolejny plik zawierał podobne wydruki, wyblakłe kwitki przechowujące nic niewarte wspomnienia błahych czynności dnia codziennego. Na rękach Katrin pojawiła się gęsia skórka. – Rachunki dowodzą, że ten cały Haukur był samotnikiem. Większość z nich dotyczy zakupów spożywczych i w fast foodach i wszystkie są jakieś niskie.

– Pochodzą sprzed trzech lat, a od tego czasu wszystko podrożało. Ale z pewnością też nie miał zbyt wielu znajomych, których mógłby zaprosić na obiad. W każdym razie fakt, że nie miał żadnych bliskich krewnych ani partnera ułatwił sprzedaż części masy spadkowej. – Gardar wyciągnął poskładane karki i rozłożył je. Przeczytał, co na nich napisano, i uśmiechnął się od ucha do ucha. – Świetne! – Odwrócił obie kartki do nich i pokazał rachunek z supermarketu budowlanego

BYKO i odręczny rysunek ołówkiem z objaśnieniami. – Oto schemat podłączenia szamba. – Katrin i Lif patrzyły na niego bez zrozumienia i ekscytacji. – Nie rozumiecie? Będziemy mogli podłączyć kibel. – Jego radość osłabła jednak nieco. – No, może nie teraz, ale podczas następnej wizyty.

– Następnej wizyty? – Lif zdecydowanie pokręciła głową, po czym wybuchła pozbawionym wesołości śmiechem. – To, że tu jeszcze przyjadę, jest tak samo pewne jak moja kąpiel w szambie, kiedy się już napełni.

Gardar odłożył kartki.

– Okej. Może wy się nie wybieriecie, ale ja mogę przyjechać. – Rozczarowała go ich reakcja. – Możemy podnieść cenę za pokój, jak będzie tu kibel. – Zamknął karton i otworzył następny. – Na wiosnę wszystko minie jak zły sen. Obiecuję wam. – Ani Lif, ani Katrin słowem nie zaprotestowały. Ale nie wyraziły też aprobaty, choć Katrin wiedziała swoje. Nigdy w życiu nie pozwoli mu tu przyjechać bez niej, nawet w towarzystwie innych osób. Ten dom to złe miejsce i wisi nad nim nieszczęście. Gardar w milczeniu grzebał w kolejnym kartonie. Jedyne, co zeń wyjął, to lornetka, którą Lif szybko mu zabrała i podniosła do oczu. Zbliżyła się do okna i podziwiała widoki.

– Jedno moglibyśmy zrobić. – Katrin patrzyła, jak Gardar bierze trzecie pudło i kładzie na stole. – Moglibyśmy przenieść się do domu lekarza. Stamtąd można obserwować naszą chatę przez lornetkę i gdy będziemy czekać na łódź, może uda nam się zobaczyć to dziecko i zorientować się, w jaki sposób wchodzi do środka. – Prawdę mówiąc, specjalnie jej to nie interesowało. Po prostu chciała opuścić ten dom i schronić się gdzie indziej. Najchętniej oczywiście odpłynęłaby natychmiast do Isafjördur, a stamtąd odleciała do Reykjavíku, ale najpewniej szyper będzie potrzebował trochę czasu, nim wyruszy w drogę. Na pewno nie rzuci wszystkiego od razu i nie przyplynie tu jak błyskawica. Obmacała kieszenie swetra i wyczuła kształt komórki. Wyjęła ją i aparat spoczął w jej dłoni. Niebawem staną na szczycie wzniesienia. I zadzwonią do szypra. Odruchowo włączyła telefon. Ale był martwy.

– Jak już mówiłem, najlepiej, jeśli będziemy się trzymać pierwotnych planów. – Gardar wyciągnął z kartonu kilka zeszytów i kartkował je. – Wkrótce zrobi się na tyle widno, że będziemy mogli wyruszyć.

Katrin wpatrywała się w martwy wyświetlacz.

– W moim telefonie bateria nie działa. Musiałam go niechcący włączyć i się wyczerpała. – Potrząsała komórką jak idiotka, sama nie wierząc w swoje słowa.

– Co? – Gardar strzepnął kurz z dłoni i podszedł do niej. – Dziwne. – Wyciągnął swój telefon i włączył go. Odsunął aparat nieco od oczu i patrzył z niedowierzaniem. – Jaja sobie ze mnie robisz? – spytał sam siebie, zanim zaczął potrząsać komórką, tak jak Katrin przed chwilą. Ponownie nacisnął guzik, bardziej zdecydowanie niż za pierwszym razem. Ale niczego to nie zmieniło. Telefon nie działał. – Weź przestań – zwrócił się do zamyślanej Lif, wpatrującej

się przez okrągłe szkła lornetki w okno. – Lif. Spróbuj włączyć swoją komórkę. Z naszymi dzieje się coś dziwnego.

Lif odwróciła się wolno, opuszczając jednocześnie lornetkę. Dobrze znali przerażenie malujące się na jej twarzy.

– Nie. – Zawzięcie potrząsała głową. – Nie chcę. Wejdzmy na wzgórze i tam spróbujmy. Jestem pewna, że mój aparat działa.

– Podaj mi telefon, Lif. – Gardar wyciągnął rękę. – Nigdzie nie pójdziemy, jeśli nie będziemy mieć sprawnego telefonu. – Kiedy zorientował się, że Lif znów bliska jest ataku hysterii, szybko dodał: – Jeśli także nie działa, coś wymyślimy. Nie ma powodu do paniki.

Lif dwukrotnie otworzyła i zamknęła usta, nic nie mówiąc. Z wahaniem podała Gardarowi swój jaskraworóżowy składany telefon, ozdobiony błyszczącym sercem z cyrkonii. – Tylko mi nie mów, że nie działa. Nie chcę tego wiedzieć. – Zaciśnęła powieki, ale nie mogła się powstrzymać i podglądała przez szparki.

Katrin zaciśnęła palce wokół kciuków, choć wcale nie miała zamiaru tego robić. Może oni także wpadli na to, bo równie gorąco, co ona, pragną się stąd wydostać. Ale ani jej, ani ich pragnienia się nie spełniły.

– Kurwa, nie wierzę! – Gardar tak się wyżywał na telefonie, że aż jeden świecący kamyczek odpadł.

– Jak to możliwe? – Katrin poluźniła palce i wzięła od niego telefon, żeby się przekonać na własne oczy. Wyświetlacz niezwykle pstrokatego aparatu Lif też był martwy. – Jak to możliwe, żeby wyczerpały się baterie w trzech telefonach, które były cały czas wyłączone?

Lif wymamrotała coś niezrozumiałego, po czym oparła się bezwładnie o ścianę. Granatowe źrenice odcinały się wyraźnie od bladej twarzy.

– Po co próbowałeś go włączyć? Może by zadziałał, gdybyśmy stąd wyszli i włączyli go na w gorzu. To przyniosło nam pecha.

Gardar zasłonił oczy i wolno wypuścił powietrze. Potem przez chwilę stał bez ruchu, aż w końcu opuścił rękę, głośno wzdychając.

– Okej. Wyszło trochę inaczej, niż chciałem. – Popukał delikatnie dwoma palcami w karton. – Chwilowo nic nie potrafię wymyślić. Mam ochotę wybić dziurę w ścianie i w ten sposób dołożyć jeszcze roboty do remontu, ale się ograniczę i przez chwilę będę udawać, że ta historia z telefonami nie miała miejsca. – Spojrzał na Lif, a następnie na Katrin. Ona jednak zbyt dobrze знаła tę jego reakcję. Nie umiał radzić sobie z wielkimi problemami, tak jak teraz. Ból głowy się zwiększył, czuła silny ucisk w czaszce. – Może... może w kartonach znajdę coś, co zmieni nasze położenie.

Lif chciała wtrącić kilka słów, ale zrezygnowała. Bez wątpienia ich wydźwięk byłby raczej negatywny. Katrin nie przychodziło do głowy nic, co mogłoby rozładować atmosferę, która w tej chwili była taka, jaka musi panować na

pokładzie łodzi podwodnej uwięzionej pod górą lodową. Dlatego poszła za przykładem Lif i ze swojego taboretu patrzyła, jak Gardar przegląda zawartość kartonu. Nagle dotarły do nich dźwięki, na które w czasie rozmowy w ogóle nie zwrócili uwagi: cichy szum wiatru, pojedyncze trzaski i skrzypnięcia domu budzące u Katrin irytujący niepokój, wywołujących histerię u Lif.

– Widzicie? – Gardar wyjął z kartonu czarną torbę fotograficzną. – To chyba kamera wideo? – Ostry podmuch wiatru wpadł z zewnątrz, w momencie gdy rozpinał zamek. – Tak. – Zgrabna kamera wysunęła się z torby. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. – Błagam, niech bateria pasuje do któregoś z telefonów.

– Nikt mi nie wmówi, że ona jeszcze działa. – Głos Lif nie był już taki nerwowy jak zazwyczaj. – To by dopiero był absurd.

Przyjrząwszy się kamerze, Gardar zorientował się, jak ją uruchomić, ale oczywiście okazało się, że bateria nie działa. Poza tym był to gruby klocek, zbyt duży, by zmieścić się w którymkolwiek telefonie. Pomysł od początku był kompletnie bez sensu i wynikał raczej z bezradności niż logiki. Nie odłożył jednak kamery, tylko dalej dokładnie ją oglądał i w końcu otworzył małą klapkę. W środku znajdowała się karta pamięci.

– Ciekawe, czy da się to obejrzeć w aparacie fotograficznym?

– Do mojego nie pasuje. Moja karta jest o wiele mniejsza od tej, a bateria za duża. Zresztą pewno jest wyczerpana. Jak inne.

Katrin wyciągnęła dłoń po kartę.

– Ona jest taka jak w naszym aparacie. – Kupili go pięć lat wcześniej. Wtedy należał do najmodniejszych, ale dziś wyglądał blado w porównaniu z lśniąącym cackiem Lif. – Ale nie wiem, czy da się oglądać w nim filmy z takiej kamery. Przecież to filmy, a nie zdjęcia.

Gardar wyszedł do przedpokoju, nie odpowiadając na zaczepkę Lif, że to nie ma sensu, bo bateria i tak jest wyładowana. Wrócił ze swoim aparatem, wyjął kartę pamięci i włożył tę drugą. Uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy aparat zaczął działać.

– No! – Obrócił w ich kierunku nieduży wyświetlacz i pozwolił obejrzeć filmiki z pierwszej ramki znajdującej się na karcie. Na większości klipów widać było dom lub jego otoczenie. Wydawały się nakręcone po to, by rejestrować postępy remontu. – Pewno chciał udokumentować pracę, jaką włożył w ten dom. Jakby mało mu było samego remontu. – Gardar wyświetlił następną ramkę zawierającą początkowe kadry. – Tu mamy kilka zupełnie czarnych filmów. – Uniósł brwi i spróbował puścić jeden z nich. Lif i Katrin stanęły za jego plecami, żeby lepiej widzieć. Ból głowy Katrin zelżał nieco, kiedy wstała, ale inne części ciała bolały ją strasznie przy każdym ruchu.

Patrzyli na ciemny ekran, wyteżając słuch, by zidentyfikować dźwięki dochodzące z niedużych głośniczków wbudowanych w aparat. Znajome trzaski i skrzypienia domu powtórzyły się kilkakrotnie, zanim nagranie niespodziewanie

się skończyło. Gardar puścił kolejny filmik, na którym również widzieli tylko ciemność, ale wyglądało na to, że po prostu wyświetlacz jest wyłączony. Już miał zatrzymać odtwarzanie i puścić kolejny klip, kiedy w aparacie rozległo się miarowe skrzypienie drewnianej podłogi, takie, jakie czasem słyszeli tu na żywo. Tylko cud sprawił, że Gardar nie upuścił aparatu, gdy dobiegł go szept przerażonego operatora:

- Właśnie wszedł do domu.

Czym jest zbieg okoliczności? Freyr zastanawiał się nad tym w drodze na posterunek policji, gdzie miał się spotkać z Dagny. Dyżur bardzo się dłużył, jakby Freyr tkwił w próżni, która wypełniła się miodem. Udało mu się jakimś cudem wykonywać swoje obowiązki w taki sposób, że współpracownicy nie zauważyli, iż jest jakiś nieswój. Ale nie był w stanie się powstrzymać i po skończonym dyżurze wybiegł ze szpitala. Znalazłszy się w aucie, drżącą ręką włożył kluczyk do stacyjki. Dagny obiecała mu sprawdzić akta dotyczące zaginięcia chłopca w Isafjördur przed prawie sześćdziesięciu laty i dopóki miał się czym zajmować, nie zastanawiał się, jaki to może mieć związek ze sprawą jego syna. Skupienie się na przyziemnych sprawach pacjentów przez cały dzień wiele go jednak kosztowało. W drodze na policję wreszcie miał okazję, by się nad tym zastanowić, nadzieja, że uda się wyjaśnić zaginięcie Benniego, osłabła.

Oba zaginięcia były do siebie uderzająco podobne, ale minęło zbyt wiele czasu, by mógł istnieć między nimi jakikolwiek związek. Jednak nie bardzo wierzył w zbiegi okoliczności, bo często po głębokiej analizie można je w jakiś sposób wyjaśnić. Ale czym jest zbieg okoliczności? Czy nie zachodzi wtedy, gdy podobne wydarzenia mają miejsce w krótkich odstępach czasu? A czy sześćdziesiąt lat to krótki odstęp czasu? Gdyby w to samo miejsce na ziemi uderzyły dwa meteoryty w odstępie kilku wieków, a może nawet i tysięcy lat, uznano by to za zbieg okoliczności. A jeśli chodzi o wydarzenia w ludzkim życiu? Czy kilka dziesięcioleci, rozciągających się poza dwa pokolenia, to okres zbyt długi, by uznać, że wystąpił tu zbieg okoliczności? Nie był pewien. Dzieci tylko sporadycznie znikają bez śladu, choć to się zdarza częściej niż pojawienie się meteorów w tym samym miejscu atmosfery okołozemskiej. Im rzadziej coś się dzieje, tym więcej czasu pewno może upłynąć pomiędzy zdarzeniami, by uznano je jeszcze za zbieg okoliczności. Czy więc był to zbieg okoliczności? Freyr wahał się w swoich poglądach, a tym przyptywom i odpływowom myśli towarzyszyło poczucie beznadziei, więc nie potrafił na czymkolwiek się skupić.

Wiedział, że pomogłoby mu, gdyby głośno się nad wszystkim zastanowił, ubrał myśli w słowa i posłuchał, jak brzmią. Pytania innych osób pewnie także zbliżyłyby go do odkrycia prawdy, ale milczał. Siedząc już na komisariacie obok Dagny, również nie zdobył się na to, by przewietrzyć swoje myśli. Zaciśnął tylko rękę na rancie biurka, które bez wątpienia zostało wybrane z myślą o wieloletnim użytkowaniu, a drugą przerzucał karty starych raportów policyjnych. Zmuszał się do skupienia nad nimi. Dagny, sądząc po ponurej minie, była całkowicie skupiona. Ale nie udało jej się ukryć zmęczenia długim dniem pracy. Gdyby nie chęć wyświadczenia przysługi koledze, już dawno poszłaby do domu.

– Sądzę, że nie znajdziemy nic więcej. – Dagny odłożyła ostatnią poźólkłą kartkę na leżący przed nią stos. Staroświecki kształt czarnych czcionek przywołał

w pamięci Freyra cichy stukot maszyny do pisania. – Niewykluczone, że w jakichś dokumentach pojawia się nazwisko chłopca, bo jego zniknięcie nie przeszło przecież bez echa, ale nie ma sensu przeszukiwać wszystkich starych raportów policyjnych w Isafjördur. – Uśmiechnęła się lekko do Freyra. – Pytałam o to mojego kolegę, który odchodzi na emeryturę. Pamiętał, że mówiono o tym zdarzeniu, kiedy jeszcze był mały, i jest absolutnie przekonany, że chłopca nigdy nie odnaleziono. Nie mamy czego szukać.

– Nie. – Freyr po raz kolejny przeczytał ostatni chyba raport, jaki napisano w tej sprawie. Nosił datę 23 grudnia 1953 roku, niecałe dwa miesiące po zaginięciu chłopca. Jakiś mężczyzna twierdził, że widział zbłąkane, marnie przyodziane dziecko nad morzem niedaleko portu późnym, chłodnym wieczorem, a opis zgadzał się z opisem zaginionego. Chłopiec miał stać nieruchomo i patrzeć na swoje nogi zanurzone w zimnej wodzie morskiej. Gdy mężczyzna zawołał i wykonał ruch w jego kierunku, dziecko zniknęło mu z oczu i facet pomyślał, że pewnie utonęło. Kiedy jego poszukiwania okazały się bezowocne, zgłosił się na policję. Śledztwo nie było ani długie, ani intensywne, bo też i w tej sytuacji niewiele można było zrobić. Dziecka nie odnaleziono i na żadne ślady jego obecności nie natrafiono ani tego wieczoru, ani następnego dnia, kiedy wznowiono poszukiwania. Poproszono też mężczyznę, by dokładnie opisał chłopca, i wygląda na to, że bystry policjant zorientował się, iż ubranie dziecka było podobne do ubrania chłopca, który zaginał jesienią.

– Najwyraźniej nie przykładano się do wyjaśnienia tej sprawy. A w każdym razie śledztwo po zaginięciu Benniego prowadzono o wiele dokładniej i bardziej sumiennie. Mam nadzieję, że to wynika z ogólnego postępu, a nie odzwierciedla różnicy w pozycji społecznej obu chłopców. – Bernodus, zaginiony w 1953 roku, był wychowywany przez samotnego ojca, uzależnionego od alkoholu i zmagającego się z chorobą psychiczną, natomiast Benni miał stosunkowo dobre oparcie w obojgu rodzicach, którzy nie wyobrażali sobie, by policja nie poprowadziła bardzo drobiazgowego śledztwa i zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań.

– Pewnie trochę z tego i trochę z tego. Metody pracy w policji zmieniły się, zresztą jak i wszędzie. – Dagny zebrała papiery, które przeglądali, i wstała, by je skopiować. – Gdybyście z żoną nie wykazali się taką determinacją, niewykluczone, że dochodzenie zamknięto by wcześniej. Ale i podejrzenia bardziej skierowałyby się w waszą stronę, gdybyście wykazywali mniej zainteresowania, niż uważa się za naturalne. Niezależnie jednak od wszystkiego, zachowanie bliskich w taki czy inny sposób zawsze ma jakiś wpływ. – Wyrównała plik kartek na blacie. – Prawdę mówiąc, przejrzałam materiały ze śledztwa w sprawie twojego synka, gdyż wydaje się w jakiś dziwny sposób związana z naszą sprawą; muszę też przyznać, że przez jakiś czas policja uważała cię za głównego podejrzanego. – Z uwagą obserwowała jego reakcję.

Freyr nie odwrócił nawet wzroku, bo nie było powodu.

- Mówiłem ci przecież o tym. Przeżywałem wtedy koszmar, szalałem z rozpaczy po utracie synka, a co więcej, bolało mnie niesłuszne podejrzenie. Ale tak naprawdę to wszystko miałem chyba gdzieś, a sprawił to żal po zniknięciu Benniego.

- Rozumiem. - Dagny wciąż stała wpatrzona w niego. - Nigdy nie wyjaśniono, co się stało z insuliną? Tą, której brakowało w opakowaniu?

Freyr poluźnił palce zaciśnięte na krawędzi blatu i podrapał się po skroni.

- Nie, nigdy. Ani na moment nie straciłem leku z oczu i doskonale rozumiem ówczesne podejrzenia policjantów, ale wszystko, co wtedy mówiłem, się potwierdziło. Mam nadzieję, że w raporcie tak to przedstawiono, jestem przekonany, że policja mi uwierzyła. Ja leku z pudełka nie wyjąłem. - Gdyby dostawał stowę za każdy raz, kiedy się nad tym zastanawiał, byłby bardzo bogatym człowiekiem, chociaż, niestety, nigdy nie doszedł do żadnego sensownego wniosku. Najbardziej skłaniał się ku wersji, że po prostu w szpitalnej aptece dostał niepełne opakowanie, zawierające tylko jeden dozownik. Było to bardziej prawdopodobne, niż że pozostałe wypadły z opakowania. Pojechał do szpitala po lek, dostał go w pudełku zapakowanym w niedużej torebce, i więcej o tym nie myślał. Zależało mu, żeby szybko znaleźć się w gabinecie, gdzie spędził jakieś dwie godziny, zanim się zorientował, że musi wracać do domu.

Jeszcze dziś czuł ostre ukłucie w sercu na samą myśl o tym, co tam robił, zamiast od razu wrócić do domu. Jasne, że to, co czekało na niego w biurze, było bardziej kuszące niż pomoc Sarze i jej siostrze przy wypiekach i przygotowaniach do przyjęcia urodzinowego. Nieczęsto żałował czegokolwiek, choć teraz już i tak nic nie mógł poradzić na to, co się stało. Najlepiej wyprzeć to wspomnienie albo przesunąć je na odległy plan.

- To był pod każdym względem koszmarny dzień. - Jeszcze bardziej się spóźnił, bo w drodze do domu miał kolizję z przyczepą, i dodatkowo się zestresował przed czekającym go powitaniem ze strony Sary. Nie zauważył przyczepy za autem, które chciał wyminąć, by skręcić na zjazd z Artunsbrekki. Jego samochód nie doznał żadnych uszkodzeń, ale przyczepa została wgnieciona i obluzowało się mocowanie. To był jeden jedyny moment, kiedy stracił z oczu papierową torebkę z lekiem: gdy wysiadł z auta na parkingu przy stacji benzynowej, by porozmawiać z wściekłym kierowcą i wypełnić papiery dla ubezpieczyciela, a facet oglądał szkody. Wtedy torebka spoczywała na przednim siedzeniu pasażera, a on nie miał głowy, żeby o tym pomyśleć. - Moim zdaniem albo od początku w opakowaniu było za mało leku, albo skradziono go na stacji benzynowej, choć to drugie jest raczej mało prawdopodobne. Na pewno zauważyłbym, gdyby ktoś zakradł się do wozu, podczas gdy ja stałem obok. Coś takiego jest w ogóle nie do pomyślenia.

- Nie widać tego na zdjęciach z kamer na stacji?

- Niestety, nie. Stanęliśmy na samym końcu parkingu, gdzie w zasadzie nie było miejsca dla dwóch samochodów, i na zdjęciach widać tylko ten drugi wóz z

przyczepą. Jak już powiedziałem, to mało prawdopodobne, żeby ktoś wsiadł do auta, bobym zauważył, a nawet jeśli, to złodziej zabrałby całą torebkę, a nie wyciągał z opakowania kilka dozowników z lekiem.

– Tak. Z pewnością. – Wyraz twarzy Dagny nie zdradzał, co myśli o sprawie. – Zresztą teraz to nie ma żadnego znaczenia. Ciekawa tylko byłam. To mnie uderzyło podczas lektury.

Obserwując Dagny wychodzącą na korytarz, usiłowałem wyobrazić sobie, jakim człowiekiem trzeba być, by tak mało interesować się zaginięciem własnego dziecka jak ojciec Bernodusa. Z perspektywy własnych doświadczeń nie potrafiłem tego zrozumieć. Ojciec nawet nie zgłosił zaginięcia dziecka. Na szczęście zrobiła to szkolna pielęgniarka. Przyszła z pretensjami do nauczycielki, że chłopak nie stawiał się u niej na kontroli, i dowiedziała się, że w ogóle nie przyszedł do szkoły. Wtedy zadzwoniła do niego do domu, a ojciec odpowiedział, że chłopaka nie ma w łóżku. Powiadomiła policję, która niezwłocznie się tam udała. Podczas pierwszego przesłuchania facet utrzymywał, że nie zauważył, iż poprzedniego dnia chłopak nie wrócił ze szkoły do domu. Zasnął po prostu na skutek nadużycia alkoholu, a kiedy się obudził, sądził, że syn już poszedł do szkoły. Dopiero gdy pielęgniarka zadzwoniła z pytaniem, czy chłopiec czasem nie zachorował, zorientował się, że coś jest nie w porządku. Zajrzał do jego pokoju i zauważył, że syn tej nocy nie spał w łóżku.

Sporządzający raport najwyraźniej przykładał wagę do doboru słów. Nie ferował żadnych ocen, ale wyczuwało się, że gardzi nieodpowiedzialnym ojcem. Zresztą nie dało się ukryć, że mężczyzna w pełni na to zasłużył. W końcu ani nie miał pojęcia, gdzie jest chłopiec, ani niespecjalnie zależało mu na tym, by się tego dowiedzieć. W raporcie z ostatniego przesłuchania ojca, przeprowadzonym dwa tygodnie po zaginięciu syna, tolerancja policjanta najwyraźniej się wyczerpała. Zacytował słowa tatuśka, który między innymi miał powiedzieć, że może to i dobrze, że chłopaka nie znaleziono, bo nie będzie musiał wykosztowywać się na pogrzeb. Freyr nie wierzył własnym oczom i jeszcze raz przeczytał zeznanie policjanta, by się upewnić, że dobrze zrozumiał. Sam oddałby wszystko, by odzyskać kości swojego syna i złożyć je w poświęconej ziemi.

To oczywiste, że facet był chory. Jako psychiatra Freyr chętnie zapoznałby się z historią jego choroby, ale wątpliwe, by istniały jakiegokolwiek raporty medyczne. W aktach sprawy nie znalazł żadnej informacji o matce chłopca. Nie miał pojęcia, czy była taką samą kupą nieszczęścia jak ojciec. Niewątpliwie Freyr mógłby dowiedzieć się czegoś, wypytując starszych mieszkańców miasta, i natychmiast przyszedł mu do głowy jego leciwy pacjent, nauczyciel. Tyle że ojciec z synem mieszkali w Isafjördur niezbyt długo, a w aktach nie było informacji, skąd się sprowadzili. Pozostawało mieć nadzieję, że staruszek przypomni sobie historię chłopca, o której z pewnością dyskutowano w szkole po jego zniknięciu. Freyrowi nie przyszło do głowy rozmawiać o tych sprawach, kiedy rano zajrzał do niego po obchodzie, ale przecież jutro też jest dzień.

Stukot maszyny do pisania dobiegający do salki konferencyjnej ucichł.

– Może napijesz się kawy? – Dagny ukazała się w drzwiach, trzymając w rękach dwa pliki dokumentów, poźółkłe oryginały i ich bieluśkie kopie. – Nie muszę zaparzać. Mamy tu automat.

Freyr przecząco pokręcił głową.

– Nie, dzięki. – W tej chwili nie miał ochoty ani pić, ani jeść. Nagle w jego głowie pojawiło się wspomnienie o tym, jak Sara bardzo schudła po zniknięciu syna. Jadła tylko wtedy, gdy jej kazał, a ich współżycie ostatecznie się skończyło. Wpadła w straszną apatię. Poczł silny skurcz serca, gdy przypomniał sobie krągłą Sarę pełną radości życia i cień, który żył wyłącznie z przyzwyczajenia. Choć raczej nie było obaw, że on zmierza tą samą drogą, musiał mieć świadomość takiego zagrożenia. Sara nie zdawała sobie sprawy, czym się to wszystko skończy, kiedy odmówiła pierwszej filiżanki kawy. Freyr wyprostował się. – A właściwie tak. – Zmusił się, by patrzeć, jak Dagny odwraca się w drzwiach, żeby pójść po kawę. Podziwiał jej biodra i kobiece kształty, których niezgrabny mundur policyjny nie był w stanie ukryć. Dzięki temu poczuł się nieco lepiej, a jeszcze bardziej się odprężył, gdy wypił pierwszy łyk mocnej kawy.

– Z tego da się wyciągnąć tylko taki wniosek, że jedyny związek między Hallą a Bernodusem polegał na tym, że chodzili do jednej klasy. – Dagny znów usiadła obok i zaczęła wkładać stare raporty do segregatora. – A w każdym razie ci, którzy wtedy prowadzili śledztwo, nic szczególnego nie zauważyli. – Potrząsnęła głową, jakby chciała uaktywnić mózg i zmusić go do wytężonej pracy. – Ale coś musiało sprawić, że Halla tak bardzo się tym przejęła. – Dagny wzburzyła krótko ostrzyżone włosy. – Z którejkolwiek strony bym sprawę analizowała, nie jestem w stanie ustalić, jaki związek mógł łączyć dzieciaki w tym wieku i przetrwać dziesięciolecia po śmierci jednego z nich. Nawet jeśli byli najlepszymi przyjaciółmi, co uważam raczej za mało prawdopodobne. Według informacji pochodzących ze szkoły chłopak był mało towarzyski i trzymał się z boku. Gdyby miał bliskiego przyjaciela, na pewno by o tym wspomniano.

Freyr podzielał jej opinię. Wiedział też, że dzieci takie jak Bernodus, niemające żadnego wsparcia w krewnych, bywały zaniedbane fizycznie i psychicznie, a i towarzysko często wyobcowane. Bardzo rzadko miawały „najlepszego przyjaciela” i mogły się uważać za szczęśliwe, jeśli inne dzieci okazywały im zainteresowanie w innym celu niż dokuczanie.

– Można oczywiście założyć, że przeżyła wielki szok i że wróciły do niej złe wspomnienia, gdy zaczęła mieć kłopoty ze zdrowiem psychicznym. Dzieci w tym wieku są wrażliwe, a brzemiennie w skutki wydarzenia z okresu dojrzewania mogą pozostawić w ich duszach głębokie rany. – Spojrzał na Dagny. – Oczywiście możliwe też, że ktoś przyczynił się do śmierci Bernodusa, a ona o tym wiedziała.

– Nie, do diaska. – Dagny skrzywiła się. – W takim razie dlaczego by o tym nie powiedziała?

– Powodów mogło być wiele. Obawa, że jest następna w kolejce, wstyd, że nie powiedziała od razu, bo dopiero później, kiedy już było po wszystkim, zorientowała się, co widziała, zażenowanie, że nie pomogła Bernodusowi... A może po prostu chciała uchronić tego, kto przyczynił się do jego zniknięcia?

– Na przykład kogo? – Dagny zdawała się bardziej wierzyć w teorię Freyra niż jeszcze przed chwilą.

– Jakiegoś bliskiego krewnego. Tata Halli podobno też nadużywał alkoholu. A może i znęcał się nad rodziną?

Dagny w zamyśleniu skinęła głową. Wzburzona czupryna falowała, ale ten ruch zaczynał się z lekkim opóźnieniem, jakby włosy potrzebowały chwili czasu na zastanowienie.

– To by oczywiście wiele wyjaśniało. Nie chciałabym żyć z taką tajemnicą z dzieciństwa. – Poprawiła się na krześle i założyła nogę na nogę. – Czy istnieje możliwość, że wyparła wspomnienie o tym, a ono później odżyło i doprowadziło ją do samobójstwa?

Freyr uśmiechnął się.

– Jeśli coś takiego się zdarza, to bardzo rzadko, a nauka nie jest pewna, czy to w ogóle możliwe, choć wyparte wspomnienia są częstym tematem w mediach, na przykład w związku z przestępstwami seksualnymi wobec dzieci. W każdym razie nigdy nie udowodniono, że coś takiego ma miejsce. Ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby się zdarzało.

– Zastanawiałeś się, w jaki sposób to się może wiązać z twoim synkiem? – Dagny spojrzała mu w oczy. Wyglądała na nieco spiętą, dlatego utrzymywała kontakt wzrokowy trochę zbyt długo. Freyr czuł się, jakby zdawał egzamin ustny. – Chodzi mi o to, czy natknąłeś się na coś, co mogłoby wyjaśnić zainteresowanie Halli twoim synem, bo wydaje mi się, że równie często myślała o nim, co o Bernodusie.

– Niczego takiego nie znalazłem i mam wrażenie, że ona nie ma nic wspólnego z moim synem, ze mną i moją rodziną. – Freyr przyciągnął do siebie kserokopie dokumentów. – Jej związek z Bennim istniał jedynie w jej umyśle i trudno zgadnąć, jak go sobie wyobrażała.

– Trochę to jednak dziwne. Nie uważasz? – Dagny wciąż patrzyła w jego oczy. – Twój syn znika, przeprowadzasz się tutaj i nagle pojawia się stara sprawa, w której w podobny sposób zaginał chłopiec.

Najprościej byłoby zaprzeczyć, powiedzieć, że to niewiarygodny zbieg okoliczności, i skierować rozmowę na inne tory. Ale skoro Dagny o to zapytała, postanowił wykorzystać okazję i ulżyć sobie.

– Moim zdaniem to bardziej niż dziwne. To po prostu szalone. Gdybym nie był tak zaskoczony, być może myślałbym jaśniej i zauważył jakiś związek. Ale to jest takie dziwne i wielowarstwowe, że nie wiem, od czego zacząć. – Freyr napił się

kawy, która zdążyła już wystygnać, i kontynuował: – Wygląda na to, że mój syn i Bernodus nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że obaj zaginęli. Jedno wydarzenie dzieli od drugiego dziesiątki lat. Nie byli spokrewnieni, sprawdziłem to dziś w spisie powszechnym. Minęło zbyt wiele czasu od zniknięcia Bernodusa, by ten sam człowiek mógł ich obu porwać. Wszystko wskazuje na to, że te przypadki nie są ze sobą związane, czego ja jednak jakoś nie potrafię przyjąć do wiadomości. Zwłaszcza że zarówno imię Benniego, jak i Bernodusa pojawia się w liście, który zostawiła Halla, i esemesach zapełniających jej skrzynkę odbiorczą. Moim zdaniem nie może to być zbieg okoliczności, chociaż brakuje mi wyobraźni, by te dwa wydarzenia ze sobą sensownie połączyć.

Dagny uśmiechnęła się smutno.

– Absolutnie się z tobą zgadzam. Oczywiście miałam większe nadzieje, ale raczej nie dziwię się, że nic nie znalazłeś. Między nami mówiąc, my też rozpatrywaliśmy wszelkie możliwości związane z Hallą, rozmawialiśmy z jej mężem i dziećmi, przesłuchaliśmy byłych współpracowników, ale nikt nic nie wie i wszyscy tak samo się dziwią, gdy rozmowa schodzi na twojego syna, a co dopiero, gdy wspominamy Bernodusa. – Sięgnęła po kilka kartek, które przyniosła ze sobą do sali konferencyjnej, a których nie dotykała od chwili, gdy położyła je na biurku. – Zarówno jej mąż, jak i córka twierdzą, że w ostatnich latach nie utrzymywała żadnych kontaktów ze swoimi przyjaciółkami. W zamian starała się odbudować przyjaźnie z dzieciństwa. Kilka osób z tego grona wyprowadziło się stąd, więc sporo rozmawiała przez telefon i małżonek bardzo narzekał na wysokie rachunki. Jedna z kobiet mieszkała w Isafjörður, ale zmarła na krótko przed pojawieniem się u Halli tego zainteresowania. Mąż i córka są przekonani, że to właśnie po jej zgonie Halla postanowiła wrócić do dawnych przyjaźni. Pewno dotarło do niej, że nie ma już za dużo czasu. Mąż powiedział także, już po rozmowie z tobą, że sporo myślał na temat jej zainteresowania wiarą i uważa, że to śmierć owej kobiety je w niej wzbudziła. W miarę zbliżania się końca chciała zapewnić sobie miejsce w niebie.

– A jaki związek ze sprawą może mieć jej chęć odnalezienia starych przyjaciół? – Freyr miał nadzieję, że Dagny zdradza mu wszystkie szczegóły śledztwa, jakie udało się policji ustalić. Sprawa i tak była dość skomplikowana, czy trzeba mieszać w nią jeszcze staruszków z różnych zakątków kraju?

Dagny podsunęła mu dwie kartki. Na jednej znajdowała się kopia zdjęcia klasowego, które Freyr kojarzył bardziej, niż sobie życzył, na drugiej lista z notatkami. Przeleciał ją wzrokiem. Larus Helgason, Vedis Arngrimsdottir, Silja Konradsdottir, Jon Avarsson i Steinn Gunnbjörnsson.

– Jak widzisz, dawni przyjaciele Halli to ci uczniowie, którym przed laty wydrapano twarz na zdjęciu. Większość z nich, o czym wiedzieliśmy, nie żyje. Gdy Halla zaczęła ich szukać, umierali jedno po drugim.

Freyr odsunął listę w kierunku Dagny. Zdjęcie leżało przed nim i marny wygląd Bernodusa rzucał się w oczy.

- Udało wam się porozmawiać z tym Larusem, jedynym żyjącym?

- I tak, i nie. - Dagny złożyła kartkę. - Rzucił słuchawkę, kiedy przedstawiliśmy mu sprawę, a ponieważ mieszka w Reykjavíku, nie możemy sprawdzić, czy przyjmie nas lepiej, kiedy do niego zapukamy. A nie chcę na razie mieszkać w to policji stołecznej. Nie sądzę, żebym potrafiła im wszystko logicznie wyłuszczyć.

Freyr oderwał wzrok od zdjęcia, które niemal go hipnotyzowało.

- A w jaki sposób umarły pozostałe osoby? Kiedy człowiek ma siedemdziesiątkę na karku, wszystkiego się można spodziewać, ale to jednak spora umieralność jak na tak krótki okres.

Dagny chrząknęła.

- Nikt nie zmarł na skutek złego stanu zdrowia, co w jakiś sposób by wyjaśniało tę wysoką umieralność. Ani na nagłą czy chroniczną chorobę. Vedis wykrwawiła się po nieszczęśliwym wypadku, Jon zmarł z powodu ran oparzeniowych, Silja zaginęła, Steinn został przejechany przez samochód, a przypadek Halli to ewidentne samobójstwo.

Podczas gdy Freyr na podstawie smutnych danych statystycznych usiłował wyciągnąć jakieś wnioski dotyczące tej grupy, słowa Dagny sączyły się do jego głowy. Żałował, że nie ma przy sobie kartki i długopisu, by wszystko zapisać.

- Ktoś może przeanalizował te przypadki? Sprawdził, czy istnieje powód, aby jakoś je łączyć?

- Nie, nikt. Żeby zbierać takie informacje, potrzebny jest specjalny nakaz, a ponieważ sprawa dotyczy policji w różnych częściach kraju, uzyskanie go zajęłoby strasznie dużo czasu. Ludzie ci mieszkali w różnych zakątkach Islandii. Nie sądzę, abyśmy byli w stanie uruchomić tę procedurę. Trudno byłoby uzasadnić, po co owe dane są nam potrzebne. Przecież nic nie wskazuje na to, że popełniono przestępstwa, więc nie bardzo mamy na czym się oprzeć. - Dagny zamilkła na chwilę, wciągając głęboko powietrze. - Ale jest jeszcze jedna rzecz.

To nie zwiastowało niczego dobrego, niemniej Freyr zapytał:

- Co?

- Pierwsza, która zmarła z tego grona przyjaciół, Vedis... - Dagny nie dokończyła zdania, lecz podała Freyrowi kolejną kartkę, która wyglądała jak wstęp do raportu z sekcji zwłok. - Mieszkała tu, w Isafjörður, więc mogłam sprawdzić, w jaki sposób zmarła. Jak widzisz, stało się to przed trzema laty. Uległa wypadkowi w przydomowym ogródku. - Dagny oblizwała zeschnięte wargi. - Przewróciła się na rozwarty sekator i przecięła tętnicę szyjną oraz tchawicę i inne narządy. Nie pytaj mnie, jak można mieć takiego pecha, ale wszystko zostało opisane w raporcie i nie ma cienia wątpliwości, że to był wypadek.

- Podobne rzeczy się zdarzają. - Kawa była już zbyt zimna, by Freyr ryzykował kolejny łyk, jednak się skusił. - Znałaś ją?

- Nie osobiście, ale ją pamiętam. Była bardzo szczegółna, czasem u siebie w domu urządziła seanse spirytystyczne. Zresztą to nieistotne. - Dagny skrzywiła się nieco. - Chciałam zwrócić twoją uwagę na coś innego... kiedy wypadek miał miejsce.

Freyr poszukał daty w raporcie. Dla pewności musiał przeczytać ją dwukrotnie, choć widział ten układ cyfr niezliczoną ilość razy. Z suchymi ustami wymamrotał: - To jest dzień, w którym zniknął Benni.

- I jeszcze to. - Dagny wskazała linijkę ponad datą. - Mieszkała w tym domu, w którym ty teraz mieszkasz. Czyli że umarła w twoim ogrodzie. - Patrzyła mu głęboko w oczy, jak nigdy dotąd. - Zbieg okoliczności?

Putti zdawał się orientować, że noc i to, co jej nieuchronnie towarzyszy, niebawem minie. Leżał obok Katrin, a ona siedziała na złożonym wełnianym kocu, razem z Lif i Gardarem wpatrzona w mrok. Wciąż dokuczał jej ból w całym ciele, chociaż zdążyła już do niego przywyknąć. Poza tym głowa już tak nie ćmiła, więc można powiedzieć, że czuła się przyzwoicie. Od czasu do czasu pies unosił się na krótkich łapach, zadzierał łeb i obnażał zęby. Nie wiadomo, dlaczego to robił. Nie wiadomo, co wzbudzało w nim taką reakcję, ale nie było też sposobu zmusić go, by się ponownie położył, dopóki sam nie chciał. Szum strumyka i plusk fal zalewających coraz większy obszar plaży w normalnych warunkach działałby uspokajająco, ale teraz drażnił ich, gdyż zagłuszał inne, złowrogie dźwięki. Ktoś mógł podejść do domu od tyłu, wolno i spokojnie przecisnąć się wzdłuż ścian do miejsca, gdzie siedzieli, a oni niczego by nawet nie usłyszeli. Ale uważali, że tak jest lepiej, niż gdyby znajdowali się wewnątrz i czekali, aż zaszeleści sucha trawa, a potem zatrzeszczą deski podłogi.

– Pozwól mi to jeszcze raz zobaczyć. – Lif wyciągnęła rękę przed twarzą Katrin w nadziei, że Gardar poda jej aparat. – Pliz.

– Nawet mowy nie ma. – Gardar sprawdził, czy aby na pewno kieszeń kurtki jest zamknięta, żeby Lif nie mogła do niej sięgnąć. – I tak nie zobaczysz nic innego, niż wszyscy widzieliśmy. A bateria jest na wyczerpaniu.

– A po co nam bateria w aparacie? – Głos Katrin brzmiał spokojnie. Zupełnie jakby miała zamiar pogodzić się z losem, który być może ją czeka. Nie miała pojęcia, jak długo zachowa ten spokój ducha, ale dopóki trwał, miała zamiar cieszyć się nim do końca. Trochę wprawdzie przeszkadzało jej, że opuścił ją strach, gdyż pogodziła się z nieuniknionym: oni skończą tak jak poprzedni właściciel domu, znikną z ludzkich oczu i nikt się nie dowie, jaki spotkał ich los. – Ja nie mam zamiaru robić żadnych zdjęć.

Gardar spojrział na nią dość wkurzony.

– Oczywiście, że nie. A jeżeli znajdziemy drugą kartę pamięci? Może będzie na niej coś, co nam pomoże. Musimy jeszcze przeszukać dwa kartony.

– Na żadnej karcie pamięci nie ma niczego, co nam pomoże. Gdyby facet wiedział coś, co może nam się przydać, to myślisz, że sam by się nie uratował? – Kartin zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć sznury na bieliznę. Wiedziała, że gdzieś tam są, ale ich nie zobaczyła.

– Nie bądź taka obrzydliwa. – Lif odsunęła się nieco od Katrin, ale się rozmyśliła i wróciła na miejsce. Uderzyła w Puttego, który wściekły podniósł wzrok, potrząsnął łbem, aż uszy się zatrzęsły, ziewnął i opuścił łepetynę. Nie zamknął jednak brązowoczarnych ślepiów, tylko patrzył spod gęstej sierści na kraciasty wzór koca. – Nie wytrzymam, jak będziesz cały czas tak negatywnie

nastawiona. Dość mamy kłopotów.

– Wcale nie jestem negatywnie nastawiona. – Katrin złapał lekki skurcz, więc rozciągnęła ścierpniętą nogę. Nie wiedziała, czy to zimno sprzyja kurczeniu się mięśni, w każdym razie pomimo ocieplaczy bardzo marzły jej nogi. – Jestem po prostu realistką. Wszyscy widzieliśmy, facet przeżywał dokładnie to samo co my, tyle że był sam. I chyba nawet bawił tu o tej samej porze roku co my. Na kilku ujęciach widziałam śnieg.

– To nic nie musi znaczyć. Tutaj i w sierpniu może padać. – Gardar wyciągnął szyję, najwyraźniej też zeszywniał. – Powinniśmy być ostrożniejsi w porównywaniu naszych problemów z tym, z czym on miał do czynienia. Jak sama zauważyłaś, nas jest troje, a on był sam.

Katrin milczała, choć miała nieodpartą ochotę wybuchnąć śmiechem. Mogli oczywiście spać na zmianę, a poza tym ich los nie był lepszy od losu nieszczęsnego mężczyzny, który w tym miejscu stracił życie, samotny i opuszczony. Z filmików wynikało, że i jego bateria w telefonie padła. Podobnie jak oni zobaczył chłopca stojącego z pochyloną głową, lecz zniknął, gdy się do niego zbliżył. Pewnego dnia ujrzał nagle w domu dwa krzyże i Katrin wciąż czuła ogromny ucisk w piersiach, gdy przypominała sobie ich obraz na małym wyświetlaczu aparatu fotograficznego i komentarz mężczyzny wypowiedziany drżącym głosem. Podobnie jak oni nie orientował się, o co w tym wszystkim chodzi. Poczła się jeszcze gorzej, gdy na innym filmiku zobaczyła muszelki. Ale ostatnie ujęcie zaskoczyło ją najbardziej. Nawet strach ustąpił i opanował ją dziwny spokój. W głosie mężczyzny pobrzmiwała rezygnacja. Mówił cicho, tak że trudno było zrozumieć poszczególne słowa, zwłaszcza że co chwilę ziewał. Najwyraźniej brakowało mu snu. Jasne jednak było, że żegna znajomych. Najwyraźniej pogodził się ze swym losem. Czuł, że nigdy nie wróci na tereny zamieszkane. W każdym razie żywy.

W koło, rozładowując przy tym baterię, oglądali ów klip w nadziei, że usłyszą albo zrozumieją to, co mówi mężczyzna. Ale niewiele im to pomogło. Użył kamery jako dyktafonu, choć w ciemnościach, które go otaczały, nic nie dało się zobaczyć. Dochodził do nich jedynie nagrany dźwięk. Drżącym głosem mężczyzna oznajmiał, że został bez latarki, która gdzieś zniknęła, i czuje, że teraz zaczną się dziać różne dziwne rzeczy. W domu unosi się nieznośny odór, a on wciąż natyka się na mokre ślady stóp na podłodze, i to nie jego własnych. Coś podstępnego, jakiegoś zła wisi w powietrzu i kieruje swe ostrze przeciwko niemu, choć on sam nie przypomina sobie, żeby zrobił cokolwiek, aby zasłużyć na taki los. Potem nagle umilkł. W tym momencie mignęła inna osoba, ale przez zbyt krótką chwilę, by dało się jej dokładniej przyjrzeć, tym bardziej że światła w ogóle nie było. Tak naprawdę był to czarny cień na nieco jaśniejszym tle. Próbowali puścić filmik powoli, zatrzymali go, by obejrzeć niemal kadr po kadrze, ale bez rezultatu, nigdy nie trafili na właściwy moment. Niemniej nie mieli wątpliwości, że to jest ten chłopiec. Nikt z nich nie odważył się jednak głośno powiedzieć, że trzy lata temu

dzieciak był w identycznym wieku co obecnie. Słyszał było, jak w owej chwili mężczyzna wstrzymuje oddech. Potem znowu przemówił, ale klip urywał się w pół zdania. Albo wyczerpała się bateria w kamerze, albo wydarzyło się coś innego. Choć gorączkowo szeptał, nie mieli trudności ze zrozumieniem słów: „Zbliża się. On nadchodzi. O Boże, Boże, on się...”. To było ostatnie nagranie na karcie pamięci.

Putti uniósł łeb i zaczął warczeć, przeciąglej i głębiej niż przed chwilą. Gardar prychnął.

– Dam sobie rękę odciąć, że to głównie z powodu tego psa puszczają nam nerwy. Gdyby tylko stulił pysk, człowiek przestałby się tak bać. Ludzie potrafią wpuścić się w maliny i wyobrażać sobie niestworzone rzeczy.

– Nie mów tak o biednym piesku. Chodź, Putti, chodź do mamusi. – Lif klepnęła się w udo, ale Putti nie okazał się zbyt posłuszny, choć przestał warczeć. Nie ruszył się jednak, wciąż leżał przy Katrin. Po tym, jak spadła ze schodów, trzymał się blisko i najwyraźniej postawił sobie za cel nie oddalać się od niej zbyttnio.

Gardar przyjrzał się zwierzęciu, pokręcił głową i ziewnął. Wszystkim przypominało to klip i urywane zdania wypowiedziane przez sennego mężczyznę. Szybko więc ukrył ziewanie.

– Może wejdziemy do środka? Zimno zaczyna się robić, a przecież nie będziemy tu siedzieć przez całą noc.

– Nie chcę być w środku. – Lif drapała Puttego za uchem, prawdopodobnie zazdrosna, że jej pies okazuje większą sympatię Katrin. – Wolę nawet ten ziąb. – Poczochrała psa, na którym nie zrobiło to żadnego wrażenia. – Może wyniesiemy tutaj śpiwory?

– Nie. – Katrin przypomnieli się jej uczniowie. Kiedy dzieci stają w obliczu czegoś, co się im nie podoba, wynajdują rozmaite nierealne rozwiązania, aby uciec przed nieuniknionym albo przynajmniej przesunąć je w czasie. Lif z pewnością wiedziała, że w końcu będą musieli wejść do środka. Ale pobyt na zewnątrz wydawał się bezpieczniejszy; tak czy inaczej, wkrótce zaczną kleić im się oczy, zasną i dadzą odpocząć nieco świadomości. – Natomiast moglibyśmy pójść do domu lekarza i tam położyć się spać. Przecież mamy klucze. – Katrin nie chciała tego powiedzieć, ale niewykluczone, że znajduje się tam radiostacja albo coś innego, co umożliwi im kontakt ze światem. Jej nadzieje były równie mało realne, jak nadzieje Lif.

Lif przyklasnęła pomysłowi, ale Gardar musiał się jeszcze zastanowić.

– A czy to zmieni w czymkolwiek nasze położenie? – Podniósł się jednak i skierował wzrok w ciemność, w stronę, gdzie stał dom. Nocne niebo zaciągnięte było chmurami, tak że ani księżyc, ani gwiazdy nie rzucały żadnego światła. – Ten dziwny dzieciak równie dobrze może nas tam nachodzić.

– Może tak. A może nie. – Katrin również wstała pomimo zdecydowanych protestów obolałych mięśni. Putti leżał nieruchomo, ale podniósł na nią smutny wzrok. Uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, czy psy rozumieją ludzkie

miny. – Ja jednak uważam, że lepiej spędzić noc tam, niż zostać tutaj. A wy?

Nie musiała mówić nic więcej; żadne z nich nie marzyło, by umościć sobie posłanie na piętrze, w pokoju, który według nich poprzedni właściciel również przeznaczył na sypialnię. Bez słowa podjęli decyzję, by zabrać do środka koc i przygotować się do opuszczenia domu. Potem ruszyli w drogę, każde ze swoim śpiworem i niezbędnymi drobiazgami. Putti włożył się za nimi, trzymając się cały czas blisko Katrin, którą przy każdym kroku przeszywał dotkliwy ból. Pies wyraźnie wołał Katrin od swojej pani. Nic dziwnego. Może zorientował się, że Lif nie stanowi dla niego żadnego oparcia. Katrin dziwiło jednak, że pies nie szuka towarzystwa Gardara. Przecież to on podejmował jedyne próby udawania, że wszystko jest w porządku, i okazywał najmniej strachu przed niewiadomym.

– Chyba śnieg pada. – Lif ujęła śpiwór w jedną rękę, a drugą dotknęła policzka.
– Może dobrze by się stało, gdyby napadało go więcej? Moglibyśmy wtedy zobaczyć ślady.

– I poszłabyś za nimi? – Gardar kroczył za Katrin i Lif, które ledwo mieściły się obok siebie na wąskiej ścieżce. Nie poruszał się swobodniej niż Katrin, bo pięta nie zdążyła się jeszcze zagoić. – Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

– Nie mówię, żeby iść już dzisiejszej nocy albo jutro, gdy tylko się rozwidni. Przecież nie ma tu wielkiego ruchu i tych śladów nie będzie nie wiadomo ile. Pomyśl tylko, gdybyśmy znaleźli tego cholernego chłopaka, moglibyśmy go złapać, związać i wreszcie byłby spokój. Ciekawe, czy wolno nam go zabić, skoro on zabił poprzedniego właściciela? – Katrin uniosła brwi. Stłuczenie pod włosami boleśnie dało o sobie znać. Lif chyba nie była całkiem przy zdrowych zmysłach. Gardar odpowiedział jednak na ten bełkot i oboje wałkowali temat wte i wewte w drodze do domu lekarza. Chociaż zazwyczaj Katrin nie lubiła podobnej paplaniny, teraz z przyjemnością jej się przysłuchiwała. Było w tym coś rubasznego i znajomego, jakby nagle znalazła się u boku starych małżonków, którzy nigdy nie potrafili się ze sobą zgodzić. A kiedy przechodzili przez wąty mostek nad odnogą strumyka, nie poczuła przyspieszonego bicia serca, które dotąd towarzyszyło jej na myśl o tym, że może wpaść do lodowatej wody. Była zbyt pochłonięta słuchaniem Gardara zapalczywie objaśniającego, że śnieg szybko zasypałyby ślady. Lif uważała, że to nieprawdopodobne, i sprawa pozostawała wciąż nierozstrzygnięta, kiedy nagle stanęli przed bladożółtym piętrowym domem, w którym niegdyś mieszkał tutejszy lekarz.

– Ależ to okropne zabijać tak okna. Zupełnie jakby wydlubano budynkowi oczy i zaklejono je plastrami. – Lif przeszedł dreszcz.

Stali w milczeniu, przyglądając się domowi. Uznali, że opis Lif bliski jest prawdy. Gardar pierwszy przerwał milczenie:

– Przynajmniej od razu widać, że nikt nie wejdzie do środka bez klucza. Tylko drzwi nie zostały zabite. I chociaż ten dzieciak sprytnie potrafi się ukryć, to pozwolę sobie wątpić, by był także geniuszem włamań. Nie widać, żeby ktoś tu majstrował. – Chociaż Gardar starał się dodać im animuszu, żadna z nich nie

odważyła się podejść do drzwi.

Putti biegał pomiędzy Katrin a Lif i zdawał się wyjątkowo podniecony, być może również dlatego, że było mu zimno. Wyglądał kiepsko. Myśl o tym, że biedactwo zaraz zamarznie, sprawiła, że Katrin podjęła decyzję.

– Kto ma klucz? – Ledwo wypowiedziała te słowa, od razu doznała olśnienia. Nikt nie pamiętał, by go ze sobą zabrać.

– Skoczę po niego. Zaraz wracam. – Gardar nie słuchał cichych protestów dziewczyn. Żadnej z nich nie zależało specjalnie, by wracać do chaty, ale też nie chciały, żeby on tam szedł. Ktoś jednak musiał przynieść klucz i nie było sensu podejmować na ten temat żadnej dyskusji, skoro pojawił się ochotnik. Patrzyły za nim, jak utykając z powodu obolałej pięty, znika im z oczu w ciemnościach. Postawszy tak i popatrzawszy w ciemność niepotrzebnie długo, Katrin podeszła do domu i położyła śpiwór przed drzwiami. Lif poszła za jej przykładem. Usiadły na niskim tarasie, który wyglądał o wiele lepiej niż ten przy ich domu, i czekały na powrót Gardara. Putti stał bez ruchu obok tarasu i obwąchiwał powietrze.

– Pliz, tylko nie warcz. – Lif szczerze owinęła się kurtką. – Dłużej tego nie wytrzymam. – Pies milczał, ale obrócił się żwawo w kierunku narożnika domu i zamarł. Dom lekarza stał nieco bliżej fiordu niż ich chata i tu wyraźniej słychać było szum fal obmywających plażę z jeszcze większą furią niż wcześniej. Od czasu do czasu docierał do nich plusk, jakby ktoś bawił się w wodzie. – Jak dawno temu Gardar poszedł? Chyba powinien już wrócić? – Lif nie patrzyła na Katrin, gdyż zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że głupio spytała. – Nie mogę się doczekać, aż wpełznę do śpiwora.

– Ja też. – Kumulujące się przez cały dzień znużenie zaczynało dawać o sobie znać. Katrin znów odczuła, jak męczący potrafi być wysiłek psychiczny. Po finansowej zapaści, którą przeszli z Gardarem, wiele razy wieczorem odnosiła wrażenie, że zaraz padnie, a kłopoty zdawały się nie do pokonania i wszystko tak beznadziejne. – Myślę, że słusznie zrobiliśmy, zmieniając miejsce pobytu. – Przypomniało jej się teraz, że nie przynieśli tu żadnego opału, a w środku będzie z pewnością bardzo zimno. Ku ich pocieszeniu nie doszło do śnieżycy, przed którą ostrzegąca Lif. – Nie mamy ze sobą nic, czym moglibyśmy ogrzać ten dom.

Lif jęknęła, ale natychmiast się opanowała.

– A czy to nie wszystko jedno? Będę zadowolona, jak tylko znajdę się w środku.

– Racja. – Katrin ziewnęła, ale zamarła, gdy Putti zaczął warczeć, patrząc wzdłuż ściany domu. Gdy umilkł, ich uszu dobiegł wyraźny chrzęst. Lif mocno złapała oburącz Katrin za ramię i ścisnęła z całych sił.

– Co to było?

Katrin uciszyła ją i wytężyła słuch. Zupełnie jakby ktoś przechadzał się za węglem. Cały spokój, który działał na nią tak kojąco, prysnął, a bicie jej serca, czego Katrin bardzo brakowało po drodze, ponownie przyspieszyło nawet bardzo. Słyszała o tym, że zwierzęta wyczuwają, kiedy ludzie wokół nich źle się

czują, i to najwyraźniej dotyczyło Puttego. Jeszcze bardziej się zaniepokoił i kilka razy głośno zaszczał. Chrząst ustał.

– Co mamy robić? – Głos Lif świadczył o tym, że najchętniej zamknęłaby oczy w nadziei, że wszystko samo przeminie, a Katrin poczuła tę samą tęsknotę. Nie poddała się jej jednak, tylko ponownie uciszyła Lif i zaczęła się zastanawiać, co robić. Za żadne skarby świata nie wstałaby z miejsca i nie wyrzała za węgiel. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to pociągnąć Lif za sobą i pobiec w ślad za Gardarem. Jacy z nich idioci, jeśli spodziewali się, że w tym domu znajdą choć trochę więcej spokoju niż w tamtym.

Putti wzmógł czujność. Przy każdym kolejnym szczeknięciu podnosił się lekko z ziemi. Nagle zniknął i zawył żałośnie, co było jeszcze gorsze od szczekania. Ono przynajmniej niosło w sobie pewną nadzieję na to, że uważa, iż poradzi sobie z tym, co się kryje za rogiem. Wycie natomiast świadczyło o czymś wręcz przeciwnym. Katrin podniosła się ostrożnie i nakłoniła Lif, by uczyniła to samo. Szepnęła jej na ucho:

– Pójdziemy wolno w kierunku ścieżki, a kiedy się na niej znajdziemy, popędzimy ile sił w nogach. Rzeczy zostawimy tutaj. – Czy da radę biec, miało się dopiero okazać, w obecnym stanie trudno jej było w ogóle poruszać kończynami.

Być może ten ktoś, kto na nie się zajął, usłyszał słowa Katrin. Ponownie rozległ się chrząst. Tym razem nieprzyjemnie szybko zbliżał się w ich kierunku. Katrin bezradnie patrzyła na narożnik domu, przekonana, że za chwilę ujrzą oblicze człowieka, który się na nie zasadził. Ale jakoś nie była na to gotowa. Jedyne, co mogła zrobić, to wpatrywać się w ostrą krawędź ściany. Lif również stała niczym zahipnotyzowana. Obie wrzasnęły jednocześnie, kiedy niewielka dłoń wychynęła zza węgła. Ich oczom ukazały się cztery blade palce. Dłoń znikła równie szybko, co się pojawiła. Następną rzeczą, jaką zapamiętały, była niezrozumiała mowa osoby stojącej za rogiem. Nie rozróżniały słów, ale jasne było, że jest to monolog nieprzeznaczony dla obcych uszu. Nie było sposobu zorientować się, czy głos należy do chłopaka, czy do dziewczyny. Katrin czuła, jak włosy jeżą jej się na głowie. Pomyślała sobie, że to może być skulona osoba dorosła udająca dziecko. Nic w brzmieniu tego głosu nie nosiło śladów dziecięcej radości czy niewinności, choć rozmiar dłoni nie wskazywał na dorosłego. Głos umilkł.

– Co on gadał? – Lif ścisnęła obolałe ciało Katrin z taką siłą, że ta ledwie mogła znieść ból. – Co on gadał?

– Ciii! – Znów usłyszały chrząst, ale teraz towarzyszył mu tak okropny smród, że trudno go było dokładnie opisać. Najbliżej prawdy brzmiałoby chyba, że to zapach wodorostów i gnijącego mięsa. Głos odezwał się ponownie, tym razem głośniej i wyraźniej: – Nie odchodźcie. Nie odchodźcie jeszcze. Jeszcze nie skończyłem.

Katrin nie usłyszała nic więcej, bo Lif zaczęła wrzeszczeć i rzuciła się w kierunku ścieżki, nie oglądając się nawet za siebie, by sprawdzić, czy Katrin biegnie za nią. A ta została sama na tarasie, zbyt słaba, by uciszyć Puttego, który

rozszczekał się jak nigdy dotąd. Nie udało mu się jednak zagłuszyć odrażającego głosu, który brzmiał jeszcze zacieklej niż wcześniej:

– Powiedziałem: Jeszcze nie skończyłem.

Freyr tak naprawdę nigdy nie interesował się posiadłością, w której mieszkał. W jego rozumieniu ten dom był jedynie przystankiem, na którym nie miał zamiaru długo zabawić. Większość wyposażenia była na stanie i pozostanie na nim, kiedy on się stąd wyprowadzi, czy to z powrotem do Reykjavíku, czy do innego mieszkania gdzieś na północnym zachodzie, które być może nawet kupi. Poczynał więc tu sobie jak w pokoju hotelowym, złożył ubrania i umieścił je w jednej części szafy, a w drugiej wieszał koszule i garnitury. Inne schowki wykorzystywał równie oszczędnie, zupełnie jak gość, który bez potrzeby nie otwiera drzwi ani szuflad. Nawet żywność upychał w jednym tylko kącie lodówki. Jedynym świadectwem jego obecności były zdjęcia synka, które mógł w razie potrzeby spakować w ciągu piętnastu minut. Nikt nie stawiał mu żadnych ograniczeń co do tego, jak ma korzystać z mieszkania, a gdy kadrowy wręczał mu klucze, życzył, by zachowywał i czuł się w tym domu jak u siebie. Freyr podziękował i o nic więcej nie pytał, nie starczyło mu wyobraźni, by wnikać, w jaki sposób szpital wszedł w posiadanie tej nieruchomości.

Teraz zaś, kiedy poznał smutny los byłej właścicielki domu, spojrzął na niego z innej strony. Zarówno na wnętrze, jak i ogród. Przeszedł się kolejno po pokojach, obejrzał książki i bibeloty na półkach, wyposażenie i wszystko, co powinien był obejrzeć, kiedy po raz pierwszy postawił tu nogę. Do tej pory żadnej z tych rzeczy nawet nie zauważał. Nie zastanawiał się także nad ich pochodzeniem. Ale zakończywszy zwiedzanie, doszedł do wniosku, że niewiele ze zgromadzonych tu przedmiotów mogło należeć do poprzedniej właścicielki, tragicznie zmarłej w ogrodzie. Brak było jakiegokolwiek wspólnego mianownika. Różne style z różnych epok. Obrazy na ścianach to oczywiście kolorowe reprodukcje, a meble źle dopasowane i podniszczone. Okazałe wzorzyste zasłony były jedyną rzeczą, która jego zdaniem mogła mieć jakiś związek z poprzednią właścicielką, bo choć nie odpowiadały gustowi Freyra, najwyraźniej zostały dobrane z rozmysłem i uczuciem.

Zważywszy, że Vedis urodziła się około 1940 roku, tak jak Halla i pozostali uczniowie tamtej klasy, podstawowe wyposażenie domu powinno pochodzić z lat osiemdziesiątych, a nie być przypadkową zbieraniną z różnych okresów ubiegłego stulecia. Zastawa stołowa, szkło, nakrycia, garnki i patelnie – wszystko wyglądało jak kupione na wyprzedaży w Ikea. Wykluczone, by starsza pani przez całe życie nie dorobiła się choćby jednej łyżki, którą by po sobie pozostawiła. Szpital pewno otrzymał pustostan i umeblował go od podstaw, nabywając większość sprzętów w przykościelnym second-handzie „Dobry Pasterz”, na pchlim targu, a resztę właśnie w Ikea. Sprzęty domowe niewiele o Vedis mówiły. Dagny, po uprzednim kontakcie z dyrekcją, opowiedziała mu dość dokładnie, w jaki sposób szpital wszedł w posiadanie domu. Sam nie chciał o to wypytywać, bo

jego zachowanie w ostatnich dniach musiało i tak wydawać się dość dziwne. Zgodnie z informacjami, jakie policjantce udało się zdobyć, właścicielka zapisała w testamencie posiadłość szpitalowi. Osoba, z którą Dagny rozmawiała, podkreśliła, że wszystkich to bardzo zaskoczyło, ponieważ Vedis nie miała żadnych związków ze szpitalem. Nigdy w nim dłużej nie leżała ani nie korzystała z jego usług w jakiś szczególny sposób. Coś musiało ją jednak poruszyć i skłonić do tego, bo na niecały tydzień przed śmiercią sporządziła testament, w którym tak właśnie rozporządziła rzeczoną nieruchomością. Choć trudno stwierdzić, co leżało u podstaw jej decyzji, szczodrość kobiety najwyraźniej spodobała się dyrekcji, zwłaszcza że w szpitalu często pojawiali się pracownicy spoza regionu i trzeba było ich gdzieś zakwaterować.

I tak właśnie zamieszkał tu Freyr. Samotna kobieta postanowiła zapisać w testamencie swoją najcenniejszą własność jego przysłemu pracodawcy. Wkrótce potem przewróciła się na ostrza sekatora. Kiedy Dagny opowiadała mu całą historię, Freyrowi przypomniały się rozmaite teorie spiskowe, ale zaraz uznał ten wypadek za trywialny. Wstydział się, że tak łatwo nadinterpretuje rozmaite błahostki, upodabiając się tym samym do swoich pacjentów. Niepokoiło go, że zdarza się to coraz częściej. Opuścił ciężką zasłonę i obserwował, jak bladoróżowy materiał faluje przez jakiś czas, po czym nieruchomieje. Nie miał powodu patrzeć dłużej na ogródek i przyglądać się obumarłej roślinności, tęskniącej niewątpliwie za troskliwymi rękami poprzedniej właścicielki. Freyrowi wydawało się, że wie, w którym miejscu zdarzył się wypadek – podpowiadała mu to intuicja. Swojej opinii nie opierał na racjonalnych przesłankach, ale z drugiej strony współgrała ona też z innymi myślami, pojawiającymi się w jego głowie w ciągu minionych dni.

W ogrodzie znajdował się nieduży skrawek gołej ziemi w prostej linii naprzeciwko wielkich okien salonu. Zaraz za nim betonowy płot oddzielał posesję od chodnika. Rósł tam okazałych rozmiarów krzew, z którego liście opadły, zanim Freyr zdążył się tu wprowadzić. Nie miał pojęcia, co to za roślina. Gdyby na niego naciskano, strzeliłby, że krzak róży, ale swoją hipotezę opierał tylko na tym, że ciemne, splątane gałęzie miały kolce. Nie widać ich było z okna salonu, gdzie teraz stał, ale dostrzegł je wtedy, gdy poszedł po piłkę, która chłopcom z sąsiedztwa wpadła do ogrodu. Z jakichś powodów sami nie chcieli po nią iść i zapukali do Freyra. Poprosili, by ją im przyniósł. Teraz przypominał sobie, że na progu stał tylko jeden chłopiec. Pozostali czekali na chodniku, obserwując wszystko z bezpiecznej odległości. Freyr pomyślał, że nie chcą wchodzić bez zezwolenia na goły trawnik albo boją się, że lokator ich zruga, ale teraz zaczął podejrzewać, że przyczyną takiego zachowania była ponura tajemnica ogrodu. Byli na tyle duzi, by pamiętać tamten wypadek. W owym czasie bez wątplenia najważniejszym tematem rozmów w dzielnicy była przedziwna śmierć Vedis. Freyr nie miał pewności, czy sobie tego nie wymyśla, ale przypominało mu się, że gdy podszedł do krzewu, by sięgnąć po kolorową plastikową piłkę, poczuł się jakoś nieswojo i nie wiedział dlaczego. Teraz pomyślał, że może życie i jaskrawe

piłki pasują do miejsca, które spowija cisza i ciemność.

Przed krzewem rozpościerała się ciemna plama, czarnobrazowy kawałek gołej ziemi na schłodnym skądinąd trawniku, z którym zima na razie obeszła się dość łagodnie. Nie znajdowało się w tym miejscu nic, co tłumaczyłoby brak trawy, i choć Freyr nie interesował się specjalnie ogrodem, byłby z pewnością zapamiętał, gdyby z trawnika zniknął duży kamień lub jakiś inny przedmiot. Również i dlatego, że ów skrawek ziemi znajdował się na wprost okna w salonie. Nie, był pewien, że to tam Vedis się wykrwawiła, i jeśli dobrze by się zagłębić w sprawę, znalazłoby się także logiczne wytłumaczenie braku trawy. Może słona krew Vedis zaszкодziła glebie albo sąsiedzi lub służby sanitarne nieświadomie wysypały tu środek żrący. Ona pewno musiała bardzo krwawić.

Freyr niecierpliwił się. Zjadł już kolację i spakował kilka drobiazgów, które miał zamiar zabrać ze sobą do Reykjavíku następnego ranka. Choć zbliżały się wieczorne wiadomości, nie włączył telewizora. Był cały rozedrgany, więc nie miał zamiaru pogarszać sytuacji, słuchając wieści na temat ogólnonarodowej katastrofy gospodarczej. Nieco machinalnie włożył na siebie dres. Znalazłszy się przy drzwiach, stanął na chwilę i spojrzął na breloczek z herbem Isafjördur. Były do niego dołączone cztery klucze: dwa do domu, jeden do garażu, a czwarty do schowka w piwnicy, z której do tej pory nie musiał korzystać. Przypomniał sobie, że ledwo tam zajrzał podczas odbioru domu. W zadumie przygryzł wargę, po czym włożył klucze do kieszeni i wyszedł w chłodny zimowy wieczór. Przebiegnie swoją zwyczajową trasę i z pewnością poczuje się lepiej, a w każdym razie zmęczy się fizycznie i łatwiej będzie mu zasnąć. A potem postanowił nie myśleć o niczym innym poza tym, co zobaczy po drodze.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, nie potrafił oprzeć się pokusie. Musiał przyjrzeć się miejscu, gdzie, jak sądził, zmarła Vedis. W powietrzu nie unosił się żaden zapach roślinności, niemniej gdy wciągnął głęboko powietrze nosem, wyczuł wątłą woń uśpionej natury. Gdy stanął nad plamą na trawniku, owa woń ustąpiła cięższemu i bardziej gorzkiemu zapachowi. Oddychając cuchnącym powietrzem, Freyr poczuł swędzenie w nosie. Zasłonił go. Schylił się i podniósł z ziemi cienką gałązkę leżącą pod krzewem. Podziurawił trochę czarnobrazową glebę. Była wilgotna i nienaturalnie ciepła, chociaż Freyr nie zdobył się na to, by dotknąć jej dłonią. Jeśli to trucizna była powodem, że nic tu nie rośnie, to lepiej było nie brudzić sobie rąk. Wyprostował się, ale w połowie ruchu zeszytniał, gdyż usłyszał metaliczny chrzęst pod krzakiem. W jego myślach natychmiast pojawił się sekator.

Wciągnął głęboko powietrze i znów poczuł gorzki odór, który wzmógł się, odkąd zaczął grzebać w glebie. Zemdlilo go, ale ponownie nachylił się i zajrzał pod przerośnięty i zaniedbany krzew. Nie było tam oczywiście żadnego sekatora. W ogóle niewiele było widać. Fakt, zapadał już zmierzch, ale pod krzakiem panował jakby większy mrok, więc nie dało się nawet dostrzec betonowego płotu, który stał w odległości dwóch metrów. Łyse gałązki były na tyle gęste, że nie

przepuszczają światła okolicznych latarni. Freyr potrząsnął głową, zły na siebie, że pozwolił zwieść się wyobraźni. Wyprostował się i zdecydowanym krokiem podszedł do furtki, udając, że nie słyszy skrzypienia za sobą. Poczł jednak ogromną ulgę, kiedy wreszcie opuścił ogród i pobiegł wzdłuż ulicy.

Pędził coraz szybciej, gdy nagle za plecami usłyszał zbliżające się kroki kogoś, kto biegł jeszcze szybciej; poruszał się rytmicznie i zdawał się o wiele lżejszy od Freyra. Zwolnił więc nieco, by puścić przodem zapaleńca. Ten ktoś jednak złapał go niezdarńie za ramię. To Dagny zdyszanyńm głosem poprosiła go, by trochę zwolnić.

– Spieszysz ci się gdzieś? – Stańęła, oparła dłonie na udach i ciężko oddychała. – Wysłałam pobiegać i zauważyłam, jak ruszasz. Postanowiłam więc się przywitać, ale zasuwalesz tak szybko, że zaczęłam podejrzewać, że przede mną uciekasz.

Freyr zatrzymał się, podskakując w miejscu, by nie stracić rytmu, i spojrział na Dagny. Bardzo ucieszył się na jej widok, była przeciwieństwem tego, o czym rozmyślał przez ostatnie godziny. Rumiane policzki i szybki oddech kojarzyły się z życiem i wszystkim tym, co oferowała przyszłość, podczas gdy przerażające wnętrze domu i zapuszczony ogród przypominały o czasach minionych i historii, której nic nie jest w stanie zmienić.

– Przepraszam. Poczekałbym, gdybym cię zauważył.

Dagny wyprostowała plecy.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby pobiegać z tobą, pod warunkiem że trochę zwolnisz.

Freyr zgodziłby się nawet biec do tyłu, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

– Koniecznie. Nie muszę ci mówić, jak bardzo stęskniony jestem towarzystwa. – Chętnie postałby jeszcze na chodniku i popatrzył w jej jasnoniebieskie oczy. Nie były identyczne, jedno nieco bardziej skońne od drugiego, ale właśnie to nadawało jej twarzy tak fascynujący wygład.

– Goniłam cię, bo pomyślałam, że do ciebie wpadnę – powiedziała Dagny, gdy znów zaczęli biec. – Przyszło mi do głowy, że się nad tym wszystkim zastanawiasz, i uznałam, że będę w stanie jakoś ci pomóc. Doskonale pamiętam tę Vedis, ale może to nie jest takie istotne.

– Mieszkałaś tutaj, kiedy ona zmarła?

– Nie, kupiłam dom dwa lata temu, a wtedy już nie żyła. Ale była znaną osobą, wzbudzającą ogólne zainteresowanie. – Dagny zamilkła na chwilę, wyrównując oddech, po czym kontynuowała: – Nie ma w domu nic, co mogłoby dostarczyć jakichś informacji na temat jej ewentualnego związku ze sprawą? Muszę przyznać, że cały czas się zastanawiam, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie sędzę, aby cokolwiek z jej wyposażenia tam zostało. Może rodzina wszystko zabrała, choć Vedis zapisała dom szpitalowi. – Freyr zwolnił, nie wolno mu było zapominać, że przecież Dagny swoje już przebiegła.

Zdawała się zadowolona, że zmniejszyli tempo.

- Wprawdzie wszystko przypadło szpitalowi, ale gdy biegły przejrzał majątek, okazało się, że jest tam trochę cennych przedmiotów, głównie po rodzicach, jakieś antyki. Słyszałam, że sporo sprzedano w stolicy, ale o ile zrozumiałam, rzeczy osobiste zostały na miejscu, na wypadek gdyby ktoś z bliskich chciał je później zabrać. No, ale też dużo gratów wywieziono na wysypisko.

- Jeszcze nie przeszukałem schowka w piwnicy. Może tam są te rzeczy. Wiem, że nigdzie indziej w domu ani w garażu ich nie ma. Do tej pory nie interesowałem się zbytnio byłymi lokatorami domu, nie obchodziło mnie nawet, kto mieszkał tu przede mną. Sądziłem, że był to lekarz ze stolicy, podobnie jak ja.

- Zgadza się. Wyprowadził się jakieś dwa miesiące przed twoim przyjazdem.

Frejr nic właściwie o nim nie wiedział poza tym, co słyszał w szpitalu - że facet nie wytrzymał do końca kontraktu. Dlatego pewnie nie cieszył się ograniczoną popularnością w miejscu pracy, co oczywiście mogło także mieć związek z cechami jego osobowości.

- Ale jeśli jej rzeczy są w schowku, to czy wolno mi będzie otworzyć kartony i przejrzeć ich zawartość? Przecież one nie należą do mnie, choć znajdują się w domu, w którym mieszkam.

Dagny zwolniła jeszcze bardziej.

- Mogę ci obiecać, że tu w Isafjördur nikt nie wdroży śledztwa w sprawie nadmiernej ciekawości. Otrzymałeś klucze i jeśli jeden z nich pasuje do komórki z jakimiś rzeczami zmarłego właściciela, to wszystkim będzie obojętne, czy w nich będziesz grzebał, czy nie.

Biegli dalej w milczeniu i po jakimś czasie Frejr zaproponował, by zawrócili. Czuł, że Dagny jest już zmęczona. Sam miał jeszcze sporo sił, ale wolał zawrócić z nią, niż samotnie przebierać nogami. Kiedy dobiegli do domu, zaprosił ją na kieliszek czerwonego wina, colę, herbatę, piwo, kawę, wodę czy na cokolwiek by miała ochotę. Odwróciła wzrok, wypuściła powietrze i powiedziała, że tak jej się spodobało to zaproszenie, iż postanowiła je przyjąć, ale najpierw musi wziąć prysznic i przyjdzie do niego za pół godziny. Cztery minuty później Frejr już był wykąpany. W czasach studenckich, kiedy zawsze bardzo mu się spieszyło i każda minuta zdawała się mieć kolosalne znaczenie, opanował technikę szybkiego mycia. Wytarł się i ubrał równie błyskawicznie i aby skrócić czas oczekiwania na Dagny, postanowił zajrzeć do piwnicy. Wieczór był tak spokojny, a wokół tak cicho, że z pewnością usłyszy, kiedy ona otworzy starą stalową furtkę.

W ogrodzie na tyłach domu było chłodniej niż od frontu. Schodząc piwnicznymi schodami, opierał się o ścianę. Raz, że kiepsko widział, dwa, że nie chciał upaść akurat teraz, kiedy spodziewał się gościa. Gdy otwierał drzwi, zawiasy głośno zaskrzypiały. Włączył kontakt i rozejrzał się po niemal puste piwnicy.

Tak jak poprzednim razem, i teraz nie zobaczył tu wielu sprzętów. Tumany

kurzu tańczyły w promieniach światła. Freyr postanowił sprawdzić, co się znajduje za wystającym fragmentem ściany po przeciwległej stronie pomieszczenia. Nie zrobił tego podczas pierwszej wizyty, gdy jedynie włożył głowę przez drzwi. Teraz znalazł tam karton, na którym ktoś czarnym flamastrem napisał: „Vedis Arngrimsdottir”. Nie zastanawiając się wiele, wziął karton w ręce, martwiąc się trochę, że może nie usłyszeć Dagny.

Miał zamiar zaczekać z jego otwarciem, aż Dagny pójdzie do domu, ale nie potrafił się oprzeć pokusie i zajrzał do środka. Były tam głównie książki, ale na samym wierzchu leżał wyświechtany zeszyt z ręcznie wypisanym tytułem:

Dziennik snów 2001

Wszystkie chmury, niewątpliwie pod wpływem wielkiego ciężaru, poddały się jakby jednocześnie – w jednej chwili panował absolutny spokój, i naraz sypnął gęsty śnieg. Puchowa kołdra pochłaniała wszelkie dźwięki, więc nie słychać było szumu strumienia i plusku wody przy brzegu. Ale wcale nie czuli się teraz komfortowo. Jednak z początku, kiedy wszystko wokół umilkło, doznali ulgi. Przedtem zrywali się na nogi, gdy tylko do nieszczelnego domu dochodził jakiś hałas. Zabite okna potęgowały nastrój grozy. Nie widzieli ani nie słyszeli, co dzieje się na zewnątrz.

– Mam ochotę zapalić. – Lif dla zabicia czasu przeciągała palcem wskazującym nad płomieniem świecy stojącej na dużym stole, przy którym siedzieli w jadalni. W kuchni znalazła otwartą paczkę winstonów i zapaliła jednego przy głośnych protestach Katrin, która nigdy samowolnie nie wzięłaby nic w obcym domu. Wystarczy, że wypalali im świecę znajdującą się w jednym z niskich miedzianych świeczników, porozstawianych po całym domu. Istniało przygniatające prawdopodobieństwo, że ten proceder będą kontynuować, aż pozostaną jedynie wypalone ogarki. Kradzież artykułów pierwszej potrzeby można było jednak wytłumaczyć, natomiast trudno usprawiedliwić postępek Lif, która zresztą podobno już dawno rozstała się z nałogiem. – Nie poszlibyście ze mną znowu do drzwi?

– Nie. – Katrin nie miała najmniejszej ochoty wyświadczać Lif jakiegokolwiek przysługi po tym, jak ta uciekła, zostawiając ją samą w obliczu niewiadomego, czającego się za węglem. Wprawdzie nic szczególnego się nie wydarzyło, wypowiedziawszy swoje niezrozumiałe groźby, intruz zniknął i Karin została rozdygotana, z Puttim u boku w wieczornej ciszy, dopóki nie zjawił się Gardar, a za nim Lif. Wpadli na siebie, gdy wracał z kluczami. Zmęczona i zziębnięta opowiedziała mu o tym, co przeżyły, a on natychmiast ruszył do Katrin, nie mając pojęcia, co go czeka przed domem lekarza. Kiedy okazało się, że Katrin nic się nie stało, ruszył wściekły za róg, by wreszcie stanąć twarzą w twarz z szurniętym dzieciakiem i spuścić mu lanie. Niestety, nikogo nie znalazł, czemu zresztą Katrin się nie dziwiła. Chłopak odszedł kilka minut wcześniej, a ponieważ znał teren tysiąc razy lepiej od nich, nie było sensu go szukać. Zresztą ciemność nie zachęcała do bohaterских czynów.

– Nie rozumiem, jak mogliśmy zapomnieć zabrać ze sobą świeczki. – Gardar często powtarzał to zdanie od czasu, gdy Lif odkryła je w domu lekarza. – Przysięgam, że kiedy przed wyjazdem robiliśmy zakupy, nie pamiętałem nawet, że coś takiego istnieje.

– Proszę, chodźcie ze mną. Sama nie pójdę. – Lif gwałtownie cofnęła rękę, gdyż zapomniawszy się, zbyt długo przytrzymała dłoń nad płomieniem. Włożyła palec

do ust w nadziei, że uda jej się go schłodzić. – Tam na pewno jest cieplej niż tutaj.

W środku było jak w lodówce. Gdy Gardar sprawdził, że za domem nikt się nie kryje, dziewczyny tak bardzo chciały wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi, że wszelkie jego prośby, aby przeszli się po drewno, padały w próżnię. Teraz, kiedy uspokoiły się już nieco, śnieg rozpadał się na dobre i nie było sensu nawet zastanawiać się nad wyjściem. Przecież żadne z nich zupełnie nie orientowało się w terenie, więc istniało niebezpieczeństwo, że zabłądzą i nie odnajdą drogi powrotnej. Siedzieli w kurtkach i swetrach, ze śpiworami na ramionach i poklepywali się dla rozgrzewki. A ciało Katrin było tak obolałe, że nie bardzo wytrzymało uderzenia.

– Nie chcę, żebyś zabrała im więcej papierosów. Jak ty byś się czuła, gdyby ktoś włamał się do ciebie i wypalił wszystkie fajki?

– Gównu by mnie to obeszło, gdybym wróciła po tak długiej nieobecności. Papierosy tracą moc, gdy leżą długo w otwartej paczce. Już teraz ledwie da się je palić. A co dopiero na wiosnę. Właściwie to wyświadczam im przysługę. – Lif sięgnęła po paczkę leżącą pomiędzy nimi na stole, wyjęła jednego papierosa i włożyła do ust, nie zapalając go jednak. – Gdyby nie to, że w paczce zostało tak mało fajek, zaproponowałabym, żebyście też sobie zapalili.

Katrin nie miała ochoty odpowiadać, a uwagę Gardara pochłaniały książki stojące na półce starej biblioteki. Były to opisy okolic i mądrości ludowe, opowieści o Fiordach Zachodnich, i Gardar głośno zastanawiał się, czy nie powinni stworzyć podobnego księgozbioru dla swoich przyszłych gości. Katrin zacisnęła wargi. Najchętniej krzyknęłaby, że i tak nic z tego nie będzie, bo nigdy tu nie wrócą, żeby dokończyć remont. Jeśli oczywiście uda im się dotrzeć do domu. Obserwowała, jak Gardar wpatruje się w drobny druk jednej z książek, usiłując nie rzucać cienia na strony. Przerzucił kartkę.

– Jest coś warta?

Gardar podniósł wzrok.

– I tak, i nie. Miałem nadzieję, że będzie tu coś o tych domach, najlepiej o naszym „pałacu”, ale na razie nic takiego nie znalazłem. Głównie trasy wycieczkowe i tak dalej.

– A jest jakaś trasa prowadząca do zamieszkałych rejonów? – Lif znów przeciągała palec nad płomieniem, tym razem jednak ostrożnie. – Może uda nam się tam dojść?

– Ty się dobrze czujesz? – Katrin nie musiała wyglądać przez okno, żeby pamiętać o opadach śniegu. Przed chwilą z nudów podeszły z Lif do drzwi, bo ta postanowiła jednak wypalić papierosa. – To z pewnością wielodniowy marsz. O wiele lepiej czekać tu na łódź. Jutro zostaną nam tylko dwie noce do jej przyplłynięcia. – Nie wspomniała, że to zależy też od pogody.

Lif wzruszyła ramionami.

- Nie chodzi mi o to, żeby wyruszyć na piechotę i zasuwać, dopóki nie dotrzemy do Isafjördur. Gdybyśmy mieli mapę, a po drodze były jakieś domy, moglibyśmy w nich nocować. To znaczy iść od domu do domu. W tych okolicach jest ich wiele. Musielibyśmy tylko wiedzieć, gdzie się znajdują, żeby ich nie przegapić. - Podniosła z podłogi piłeczkę Puttego i rzuciła psu. Spojrzał na zabawkę i odsunął się od niej. Wyraźnie się do niej nie zbliżał, i obchodził ją wielkim łukiem. Unikał piłki jak ognia, mimo że w pierwszych dniach pobytu chętnie się nią bawił. Ani Katrin, ani Gardar nie opowiedzieli Lif o tym, jak to zabawka wytoczyła się spod kuchni poprzedniego wieczoru, i z zakłopotaniem przyglądali się bezskutecznym próbom zabawienia zwierzęcia. - Nie rozumiem, dlaczego nie chce już bawić się piłką. Do tej pory nie miał ochoty, by wypuścić ją z pyska. - Wyraz twarzy Lif świadczył o zdziwieniu i rozczarowaniu. Najwyraźniej uważała, że pies odwrócił się od niej.

- Przestań przejmować się psem. - Gardar był wściekły, ale Katrin wiedziała, że również z przykrością patrzy na zachowanie Puttego. Taka reakcja świadczyła o tym, że piłka przesiąkła podejrzanym zapachem. - I Katrin ma rację. Nie ma sensu nigdzie się stąd ruszać. Nie wykluczam, że właśnie taki pomysł sprawił, iż poprzedni właściciel domu, ten cały Haukur, zaginął. Oddalił się i przepadł. Nie da się dotrzeć w środku zimy do tych niewielu siedzib ludzkich rozsianych z rzadka po okolicy, chyba że z GPS-em. A my go nie mamy. A jeśli zabłądzimy, zaczną nas szukać, kiedy już będzie za późno. Pamiętaj, że nie mamy nawet czynnych komórek.

- Pamiętam o tym. Gdybyśmy je mieli, zadzwonilibyśmy do starego i kazali mu po nas przypłynąć. - Lif traciła poczucie humoru, pewno to niedostatek nikotyny w organizmie wprowadził ją w rozdrażnienie, ale sama nie miała odwagi pójść zapalić. - Po prostu staram się wymyślić jakieś rozwiązania. Inaczej niż niektórzy.

Gardar nie miał przyjaznej miny, kiedy napotkał zimne spojrzenie Lif. Katrin cicho westchnęła. Znowu zaczną się sprzeczać jak w drodze z tamtego domu, lecz z większą zawziętością i złością. Teraz nie byłoby w tym nic urzekającego, choć wtedy działało na nią kojąco.

- Chodź, Lif. - Odsunęła krzesło od ciężkiego drewnianego blatu starego stołu i wstała. - Pójdę z tobą do drzwi. Po prostu kupimy paczkę w Isafjördur i zostawimy tym ludziom razem ze świeczkami, które przecież i tak musimy im zwrócić. - Lif spojrzała na Katrin i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Z początku wydawała się lekko zdziwiona, jakby zupełnie nie liczyła na oznaki sympatii z tej strony. Katrin natomiast nie miała ochoty dopuścić do tych idiotycznych dyskusji i jedyne, co mogła zrobić, to zdusić je w zarodku. Jeśli Lif sobie zapali, a Gardar w spokoju będzie mógł przeglądać książkę, atmosfera z pewnością się oczyści, a Lif zapomni o wędrówce od domu do domu.

- Fajna jesteś. - Kiedy Lif zapalała papierosa, na jej twarzy wciąż gościł uśmiech. Stały blisko siebie przy tylnych drzwiach. Wychodziły one na taras po słonecznej stronie, tak samo jak w ich domu, tyle że ten był o wiele

przestronniejszy. – Sama nigdy bym nie odważyła się tu stanąć. – Śnieg wciąż sypał, gruby biały dywan przykrywał cały świat.

– Nie ma sprawy. – Katrin odsunęła się nieco, żeby dym nie leciał jej w twarz. – Tylko szybko go zgaś, jeśli usłyszymy jakiś hałas na zewnątrz. Bo natychmiast zamknę drzwi, więc istnieje niebezpieczeństwo, że cię przytrzasnę.

– Spoko. – Lif wydmuchała dym z płuc i zdziwiona spojrzała na papierosa. – Śmieszne. – Obracała go między palcami, patrząc jak zahipnotyzowana na pomarańczowy żar. – Nie paliłam od czasu, kiedy zmarł Einar.

Katrin często dziwiła się, że Lif właśnie wtedy rzuciła palenie. Walka z uzależnieniem i jednoczesna żałoba po zmarłym partnerze nie mogły być łatwe.

– Nie było ci trudno rzucić?

Lif zaciągnęła się i pokręciła głową.

– Nie, bardzo łatwo. Byłam w tak wielkim szoku, że przez kilka dni nie mogłam jeść, a co dopiero palić. Kiedy jako tako doszłam do siebie, zupełnie już nie miałam na to ochoty. Dziwne, ale tak właśnie było.

Chociaż Katrin czuła się skrępowana zawsze, gdy rozmowa schodziła na temat śmierci Einara, ten spokój i cisza, i padający śnieg rozluźniały język. Nie obawiała się już powiedzieć czegoś, co mogłoby zabrzmieć fałszywie lub głupio.

– To musiało oczywiście być straszne. Często usiłowałam wyobrazić sobie, jak się wtedy czułaś, ale nie jestem w stanie.

– Było straszne. – Na Lif opady śniegu miały chyba odwrotny wpływ. Zazwyczaj była otwarta, a tu zdawała się jakaś nieobecna. – Naprawdę.

Katrin nie bardzo wiedziała, co teraz powiedzieć. Splotła ramiona, chroniąc się przed zimnem.

– Teraz oczywiście za późno to mówić, ale nie miałam słów, by wyrazić, jak strasznie mi było przykro. Chciałam cię jakoś pocieszyć, ale bałam się cokolwiek zaproponować, miałam po prostu nadzieję, że w razie czego zwrócisz się do mnie. To było dla ciebie tak ciężkie przeżycie, że wszystko, co mogłabym powiedzieć albo zrobić, wydawało się idiotyczne w porównaniu z tym, co ty musiałaś przejść. Tak późno dołączyłam do waszego grona, że dotąd czuję się jak intruz. Nie dlatego, że źle mnie przyjęliście, po prostu przez jakiś mój wrodzony brak pewności siebie. – Katrin oddychała głęboko. Powietrze przepelniające płuca było świeże i orzeźwiający, choć z domieszką dymu papierosowego. Zadowolona, że wreszcie powiedziała Lif, co jej leży na sercu, sprawiło, że czuła się tak dobrze. – W każdym razie mam nadzieję, że kiedyś znajdziesz sobie partnera, którego pokochasz równie gorąco, jak Einara.

Lif zabawnie układała usta w ciup i wydychała przed siebie gęste chmury dymu. Zakrztusiła się, kiedy Katrin skończyła mówić, jakby wciągnęła dym nie w tę dziurkę. Lekko zakaszła, a potem roześmiała się histerycznie.

– Mam nadzieję, że znajdę kogoś, kogo będę kochała bardziej niż jego.

– Co? – Katrin nie miała pojęcia, czy Lif żartuje, czy mówi poważnie.

Ta uśmiechnęła się do niej szczerze.

– Między nami wcale nie układało się dobrze, musieliście z Gardarem to zauważyć. Gdyby żył, z pewnością byśmy się rozwiedli. Ostatnie cztery lata małżeństwa były jak koszmar, a teraz jest w zasadzie w porządku.

Katrin zrobiła wszystko, by ukryć zdziwienie.

– Wiedzieliśmy, że w pewnym momencie przechodzicie trudny okres, ale byliśmy przekonani, że miną, zanim Einar zmarł. Potem byłaś kompletnie załamana i wiem, że nie udawałaś.

– Żałowałam tego, co było. Einara, którego poznałam na początku, i Einara, za którego wyszłam. Ale nie człowieka, z którym mieszkałam przez ostatnie lata. Już nie mogliśmy znieść swojego towarzystwa. Dlatego nie miałam pojęcia, że chodzi badać sobie serce. Zauważyłam jakiś flakon z tabletkami w szafce w łazience, ale tak rzadko ze sobą rozmawialiśmy, że nigdy go o nie nie zapytałam. Tamtego dnia, gdy umarł, kiedy kładliśmy się spać, nie życzyliśmy sobie nawet dobrej nocy. Oczywiście nie mogliśmy przypuszczać, że nigdy więcej się nie zobaczymy. A w każdym razie nie w tym życiu. Człowiek przynajmniej na tę noc by się pożegnał. Ale tak to już jest. Nasze życzenia się spełniły, choć na odmienne sposoby. Nasze drogi się rozeszły.

Katrin wciąż była pod zbyt wielkim wrażeniem tego, co usłyszała, by cokolwiek odpowiedzieć. Ogarnęło ją zdumienie. Niewątpliwie wiedziałaby o tym wszystkim, gdyby wcześniej otworzyła się przed Lif.

– Shit. – Tylko tyle przyszło jej do głowy.

– Tak. Właśnie. Shit. – Lif strząsnęła popiół z papierosa i szary walec opadał wolno wśród płatków śniegu. – To właściwie było gorsze, niż stracić kogoś, kogo człowiek kocha. Bardzo go oczywiście żałowałam, ale czułam się jednocześnie jak największa hipokrytka świata. Dopiero co pragnęłam, żeby poszedł do diabła. – Zaciągnęła się ostatni raz, aż żar osmalił filtr. – Pamiętasz dziewczynę na pogrzebie, tę, która straszliwie płakała, taka ładna, czarnowłosa, w szarym kostiumie?

– Nie, nie wydaje mi się. – W czasie pogrzebu Katrin nie interesowała się nikim poza Gardarem, któremu ciężko było odprowadzać najlepszego przyjaciela.

– Nieważne. – Lif pstryknęła niedopałkiem w ciemną noc. – Kiedyś była jego asystentką. Ich romans trwał wiele lat, myślę. – Odwróciła się do Katrin. – A właściwie to nie myślę. Wiem z całą pewnością.

Oczy Katrin były tak szeroko otwarte, że aż swędziały ją powieki.

– Ale Gardar o tym nie wiedział?

Lif wzruszyła ramionami.

– Nie, raczej nie. Podejrzewam, że Einarowi bardziej zależało na tym, żeby zachować romans w tajemnicy przed nim niż przede mną. Cały czas pozostawali

przyjaciółmi. My już nie. – Lif odsunęła się od drzwi, a Katrin poszła za jej przykładem.

– Nie próbowaliście jakoś się pozbierać? Nasze małżeństwo z Gardarem też nie jest usłane różami, ale zawsze udaje się nam dogadać, gdy atmosfera robi się nie do zniesienia. – Katrin postanowiła nic nie ukrywać, podobnie jak Lif. – Muszę być rozsądniejsza od niego. Kiedy staje się jasne, że on nie ustąpi, to ja zawsze się poddam.

Lif kiwała głową, patrząc głęboko w oczy Katrin.

– Czemu mnie to nie dziwi? Einar był taki sam. Z początku robiłam wszystko co w mojej mocy. Rezerwowałam wizyty w poradni małżeńskiej, na które nawet nie przychodził. Zmieniały się więc w terapię psychologiczną wyłącznie dla mnie i bardzo mi pomogły. Dotychczasowy smutek ustąpił wściekłości, a to o wiele lepsze uczucie. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo, nachyliła do ucha Katrin i szepnęła: – Aby się zemścić, też go zdradzałam. Żeby wyrównać stan meczu. Jeden do jednego. – Odsunęła się od Katrin i jej twarz znów przybrała naturalny wyraz. – Ale potem zerwałam tę znajomość. Od początku była bez sensu, oparta na fałszywych przesłankach. Einar nigdy się nie dowiedział, był zbyt zajęty własną zdradą, żeby zauważyć, co ja potajemnie wyczyniam. Naprawdę jestem bardzo szczęśliwa, że to się skończyło tak, jak się skończyło, chociaż czasem żałuję, że mu o tym nie powiedziałam przed śmiercią. Przecież zdradzałam go po to, by wyrównać rachunki.

– A z kim, jeśli mogę zapytać? – Katrin znała dość dobrze zamknięty krąg przyjaciół Einara, Lif i Gardara, krąg, do którego łaskawie ją dopuszczono, gdy zamieszkała z mężem. Choć Lif i Einar przyjęli ją bardzo serdecznie, pozostali znajomi już niekoniecznie i tolerowali ją jedynie przez wzgląd na Gardara. Katrin zdawało się, że zawsze może wyczytać w ich oczach, również kobiet, że on jest dla niej za dobry, że ta ani specjalnie bystra, ani urodziwa belferka do pięt mu nie dorasta. Była przekonana, że niejeden z tych zadowolonych z siebie facetów nie zawahałby się zdradzić serdecznego przyjaciela.

– Nie znasz go. Jest starszy od nas i nie pasowaliśmy do siebie. Dość mocno nieudana próba z mojej strony. – Lif uśmiechnęła się bez wyrazu. – Wydaje mi się, że lepiej, gdybym była z kimś w bardziej zbliżonym wieku.

– Okej. – Katrin nie wiedziała, co powiedzieć. Wykrztusiła tylko to jedno słowo. Wstydziła się nieco za swoją wścibskość, ale Lif najwyraźniej ona nie przeszkadzała. Niemniej ucieszyła się, że Lif nic już nie dodała. Prędkiej spodziewałaby się własnej śmierci niż czegoś takiego. Podeszły w milczeniu do Gardara i Katrin miała szczerą nadzieję, że ten nie zacznie znów marudzić. Potrzebowała spokoju, żeby przetrwać to, co usłyszała. Niepotrzebnie się martwiła.

– Zgadnijcie. – Gardar przeczytał już sporą część książki, którą przysunął bliżej płomienia świecy. – Znalazłem krótki fragment o naszym domu. – Położył palec na środku strony. – Tu można przeczytać o kobiecie i chłopcu, których nazwiska

są na tych krzyżach. – Nie zauważył, że dziewczyny są jakieś milczące, i podekscytowany dalej opowiadał im, co wyczytał. – Utopili się tu w morzu. – Odwrócił się i pokazał za okno, za którym widać było jedynie ciemność. Zresztą to nie miało znaczenia, one doskonale wiedziały, gdzie jest morze, a przecież na łodzi trudno się utopić.

– A co, jakaś łódź zatонуła? – Katrin usiłowała udawać zainteresowanie, choć Lif i Einar, i ich toksyczny związek nadal zajmowały jej myśli.

– Nie, nie. To się stało na lodzie. – Ciało Gardara przeszył dreszcz wywołany tymi słowami. – Była zima i fiord zamarzł. Piszą, że chłopiec wszedł na łód, który okazał się bardzo kruchy i załamał się pod dzieckiem, gdy to oddaliło się trochę od lądu. Jego brat wszystko widział i poszedł po matkę, a ta rozpaczliwie usiłowała uratować syna, ale pod nią łód także się załamał. Kiedy w końcu udało się sklecić tratwę i przysunąć po lodzie do przereębli, oboje już dawno nie żyli. Pochowano ich na tutejszym cmentarzu. Był to ostatni pogrzeb w Hesteyri w czasach, gdy w osadzie jeszcze mieszkali ludzie.

Gdy tylko skończył zdanie, coś z całych sił uderzyło w dom. I nawet gęsty śnieg nie był w stanie tego zagłuszyć.

Mimo iż od stuleci człowiek zastanawia się nad znaczeniem i rolą snów, nie doszedł dotąd do żadnych ostatecznych wniosków. I nie udało się to ani naukowcom usiłującym znaleźć wyjaśnienie fizjologiczne, ani fanatykom religijnym odczytującym sny jako objawienie boskie, ani też wyznawcom New Age uważającym je za zwiastun przyszłości. Ale to i owo osiągnięto. Naukowcy na przykład ustalili, jakie bodźce pobudzają organizm w stanie śnienia i sprawiają, że kończyny poruszają się zgodnie z sygnałem, jaki sen wysyła ciału. Określili także, w jakiej fazie snu zaczynają się marzenia. Psychiatrizy zajmowali się trochę rozszyfrowywaniem marzeń sennych w połowie ubiegłego wieku, ale kiedy Freyr zaczął studia, teorie te już dawno zostały zarzucone, stąd w zasadzie poznał jedynie historię owych badań. Zresztą treść snów często jest wypaczana albo rwą się ich wspomnienia i nie sposób domyślić się, jakich elementów brakuje – jeśli brakuje – i czy czasem coś nie zostało przez opowiadającego wymyślone. Sny pozbawione są bezstronnych świadków, toteż w najlepszym przypadku bywają protezą, z której się korzysta, gdy wszystko inne zawiodło.

Po raz pierwszy Freyr żałował, że nie zna najnowszych teorii dotyczących snów i ich znaczenia. Wiedział, że w wielu miejscach prowadzono nad nimi badania kliniczne, ale w fachowych pismach ukazywało się na ten temat niewiele artykułów. Inna sprawa, że jeszcze mniej publikacji go przekonywało. Posiadał niezłą książkę poświęconą treści snów, w której przedstawiono wyniki badań nad ponad pięćdziesięcioma tysiącami marzeń sennych, ale nie pamiętał, gdzie ją schował. O ile go pamięć nie myliła, wniosek z tych badań był mniej więcej taki, że większość snów odnosi się do wydarzeń zaistniałych w życiu codziennym. Strażak częściej niż na przykład nurek miewa sny o pożarach. Trudno powiedzieć, jak ten wniosek miał się do Vedis, poza tym może, że jeśli jej sny odzwierciedlały wydarzenia z codziennego życia, to było ono zupełnie inne niż życie Freyra.

Znaleziony zeszyt zawierał opisy wszystkich snów. Nie były ani liczne, ani długie. Niektóre przeczytał dwa, inne trzy razy. Chciał się zorientować, co te dziwne sny i ich interpretacja powiedzą mu o kobiecie, chciał się dowiedzieć, w jaki sposób do nich podchodziła, jak je opisywała, co uważała za najbardziej istotne w tej wyliczance pogmatwanych myśli nocy. Przyjrzał się nawet charakterowi pisma Vedis w nadziei, że rzuci to nieco światła na jej samopoczucie w poszczególnych przypadkach. Ale nic ciekawego nie znalazł. Drobnie pismo prawie zawsze było takie samo i nic nie świadczyło, by towarzyszyło jej szczególne wzburzenie. Każda litera została starannie, wyraźnie napisana, pismo pochylone nieco w prawo, a duże litery na początku zdań i w imionach starannie wykaligrafowane i bardziej ozdobne, niż Freyr uznałby za normę. Charakter pisma niczego o tej kobiecie nie mówił, ze snami natomiast sprawa miała się zupełnie inaczej. Freyr wierzył, że opisy są prawdziwe, że kobieta ich nie

wymyślała, co opierał między innymi na tym, że notatki w zeszycie pojawiały się nieregularnie. Gdyby opisywała swoje sny codziennie, dzień po dniu, wówczas doszedłby pewno do innego wniosku, zwłaszcza że nieznane są przypadki, by człowiek każdego ranka pamiętał swój sen.

Tak naprawdę dopiero w roku 2007 jej sny stały się naprawdę interesujące. Wcześniej były zwyczajne, dotyczyły absurdalnej rzeczywistości, przetwarzając ją w bajkę lub horror. Vedis albo znajdowała się w sytuacji komfortowej i pozytywnej, albo tkwiła w świecie, w którym odpadała jej ręka, ziemia połykała jej dom, lądowała w więzieniu czy coś podobnego. Jej interpretacja tych snów była nader prosta: złe wydarzenia zwiastowały dobre i odwrotnie. Kiedy w snach pojawiali się jej znajomi lub krewni, poświęcała im część opisu i często w podsumowaniu obiecywała sobie solennie, że się z nimi skontaktuje i ostrzeże przed tym lub owym albo zapyta o ewentualnych spadkobierców, którzy w taki czy inny sposób zapowiedzieli swoje przybycie. Dwukrotnie nawiedzili ją we śnie krewni rodziców, pod postacią nieboszczyków, i miała zamiar opowiedzieć im o tym. Bardzo normalne sny bardzo zwyczajnej kobiety.

Ale w lutym 2007 roku ni stąd, ni zowąd opisy przybrały zupełnie inny obraz.

Z początku Vedis jakby się wahała co do interpretacji tych snów. Tu nie chodziło już o krewnych ani przyjaciół czy cokolwiek jej znanego. Ukazywał się jej mroczny świat pełen zagrożeń i zła i budziła się złana potem i przerażona. Z początku usiłowała interpretować je jako zapowiedź dobrego: wygra na loterii, jeśli tylko uda jej się policzyć, ile razy pewne rzeczy, które uparcie powracały, pojawią się znowu, ale szybko wszystko jej się posypało i z coraz większą obawą podchodziła do znaczenia swoich snów. Freyr się temu nie dziwił. Kobieta najwyraźniej nie mogła spać, nie wypoczywała i już samo to wystarczyło, by stworzyć podatny grunt pod problemy natury duchowej, wzmóc lęk i depresję. Trudno odgadnąć, co tu było przyczyną, a co skutkiem, w każdym razie mniej więcej po pół roku wątki w jej snach zaczęły się nieprawdopodobnie wikłać. Przerysowania i odnośniki stawały się coraz bardziej niezrozumiałe i coraz trudniej było się w nich połączyć bez dodatkowych informacji o autorce i jej życiu.

Nie potrzebował jednak żadnej wiedzy na temat Vedis, aby jedno wydarzenie ze snu połączyć z jej życiem. Albo raczej ze śmiercią. Na dwa miesiące przed wypadkiem w jej snach regularnie zaczął się pojawiać sekator. Zakrwawione narzędzie sprawiało, że odczuwała lęk. Z opisów wynikało, że widziała je albo gdzieś leżące, albo spoczywające w rękach chłopca – głównego bohatera tych wszystkich niespokojnych koszmarów. Vedis nigdy nie widziała jego twarzy i budziła się przerażona, kiedy tylko chciał ją pokazać. Widziała go z daleka albo odwróconego do niej plecami, pojawiającego się pod koniec snu. Z lektury nie wynikało, kim mógł być, ale w snach Vedis miała najwyraźniej za zadanie dogonić chłopaka i porozmawiać z nim. Nigdy jej się to jednak nie udało. Zawsze znajdował się poza jej zasięgiem, bez względu na to, jak szybko biegła i jak przyjaźnie do niego przemawiała. Freyr uważał, że Vedis wiedziała, co to za

chłopiec, chociaż nigdy nie wymieniła jego imienia, wspominając jedynie, że go kojarzy i że nie ma całkowitej pewności, kim on jest. Nie była też pewna, czy chce się tego dowiedzieć. Według Freyra świadczyć to mogło o tym, że kobieta miała na sumieniu coś, co pragnęła od siebie odsunąć, nie chcąc poddać się terapii polegającej na rozrachunku z jakimś traumatycznym doświadczeniem. Skoro lękała się stanąć twarzą w twarz z problemami na jawie, nic dziwnego, że powracały one w snach.

Ostatni zrelacjonowany sen przyśnił jej się w noc poprzedzającą wypadek w ogrodzie. W dniu, w którym zniknął synek Freyra. Wyjątkowo dokładnie przeczytał opis tego snu, ale nie znalazł w nim nic, co mogłoby rzucić choć trochę światła na ów niezwykley zbieg okoliczności. Sen z grubsza był o tym co zawsze: o beznadziejnej pogoni za nieznanym chłopcem w ciasnych korytarzach i mgłę, wśród płaczących dzieci. Opierały się o ściany labiryntu, w którym błąkała się Vedis, i nie chciały pokazywać swoich twarzy, kiedy nachylała się nad nimi. Dzieci te, podobnie jak we wcześniejszych snach, pokryte były ranami, bliznami i siniakami widocznymi tylko wtedy, gdy wyciągały ręce, by chwycić ją za nogi. Jedyna znacząca różnica między ostatnim snem a wcześniejszymi snami polegała na tym, że teraz wszystko pokrywała zielona powłoka i Vedis miała wrażenie, że trudno się jej oddycha z powodu owej zielonej duchoty. Chcąc wyjaśnić to dokładniej, napisała, że czuła się tak, jakby była w łodzi podwodnej pozbawionej powietrza. Ten sen miał też inne niż zwykle zakończenie. Wreszcie udało jej się dogonić chłopca i złapać go za ramię. Kiedy dotknęła wystających kości, pożałowała tego, co zrobiła, i zorientowała się, że popełniła wielki błąd, co zresztą wyraziście opisała w zeszycie. Potem zdało jej się, że chłopiec powiedział: „Tego raczej nie powinnaś była robić”. Jego głos należał raczej do starca niż dziecka, a najgorsze było to, że dochodził zza jej pleców. Chłopiec, którego złapała, okazał się nie tym, którego od dawna goniła. Ów stał za jej plecami i w momencie gdy wolno obróciła się do niego, zbudziła się ciężko przerażona.

- Jedyne, co może wiązać się z Bennim, jest tak nieprawdopodobne, że nie ma co o tym nawet wspominać. - Freyr przeciągnął ręką po włosach, gdy skończył opowiadać Dagny o snach Vedis. - Jeden z chłopców bawiących się w chowanego z Bennim wspominał, że Benni chciał się ukryć w łodzi podwodnej, ale natychmiast się wycofał. - Freyra szczypały zmęczone czytaniem oczy, więc zamrugał kilkakrotnie, by je nawilżyć. - Może to sugerować, co zresztą policja zawsze uważała za najbardziej prawdopodobne, że się utopił. Ale przecież nigdy nie natrafiono na nic, co choćby przypominało łódź podwodną, chociaż czyniono wysiłki, by spojrzeć na sprawę oczyma dziecka.

- A dlaczego ten chłopiec miałby zmyślać? - Dagny siedziała naprzeciwko Freyra przy stole kuchennym z resztkami czerwonego wina w jednym z dwóch kieliszków będących na wyposażeniu domu. Zbliżała się północ. - A potem się z tego wycofać?

- Dzieci są bardzo kiepskimi świadkami. Chłopakowi niewątpliwie

imponowało, że rozmawia z nim policja, i chciał w jakiś sposób przysłużyć się śledztwu. Być może w jego dziecięcym umyśle roilo się, że łódź podwodna porwała Benniego i odpłynęła w siną dal. Jego rodzice twierdzili, że niedawno oglądał film o takiej łodzi. Zresztą to nie miało większego znaczenia, bo okazało się, że chłopiec zrezygnował z zabawy, żeby pójść na urodziny do swego kuzyna, jeszcze zanim zaginął Benni, więc nie mógł widzieć ani słyszeć nic istotnego.

Dagny skinęła głową i zmieniła temat.

- Zastanawiam się, czy dochodzenie w sprawie śmierci Vedis prowadzono by inaczej, gdyby śledczy mieli jej sennik. - Policzki policjantki zarumieniły się nieco.
- No wiesz. Chodzi o ten sekator.

Freyr wlał resztę wina z butelki do jej kieliszka. Jego był pełen i nie zamierzał go opróżnić. Nie chciał tracić trzeźwego oglądu sytuacji.

- Nie sądzę. Jeśli istnieje jakiś związek między snami a wypadkiem, to chyba tylko taki, że pomimo swoich snów Vedis nie zachowywała należytej ostrożności, używając sekatora. Nie mam pojęcia, dlaczego śnił się jej właśnie sekator, mogą istnieć tysiące przyczyn, nieistotnych dla sprawy. Wykluczam natomiast, żeby ktoś zaszczeplił jej coś takiego w głowie po to, by doprowadzić do jej śmierci, jeśli o to ci chodzi.

- Nie, nie o to. - Dagny podkurczyła nogę. - To ewidentnie był wypadek i nikt nie był weń zamieszany. Zastanawiałam się raczej, czy mogła popełnić samobójstwo.

Freyr wzruszył ramionami i odstawił butelkę na ladę oddzielającą wnekę jadalną od kuchni.

- Myślę, że to mało prawdopodobne, choć samobójstwa bywają różne.

- A nie uważasz, że to dziwne, iż śniła jej się również Halla, w kościele, podobnym do tego w Sudaviku, zapłakana, z fioletową twarzą i wywalonym językiem?

- Tak, oczywiście. To uderzające, zwłaszcza w świetle okoliczności, w jakich dokonała żywota. Uważam też, że to interesujące, iż jedynymi, których wymienia z imienia i nazwiska w swoim zeszycie, po tym jak sny stały się takie dziwne, są jej koledzy ze zdjęcia klasowego.

- Jak to wytłumaczyć? - Zęby Dagny zabarwiły się od taniny zawartej w winie, ale Freyr zauważył, że to tylko dodaje jej wdzięku. - Nie znam się specjalnie na wróżbach i snach, ale nie widzę tu żadnego logicznego wyjaśnienia. Vedis już nie żyła, kiedy tamci zaczęli ginąć. Wykluczone, by miała jakikolwiek związek z ich śmiercią, chociaż uważam, że w jakiś sposób przewidziała ich śmierć. - Dagny szybko wertowała kartki zeszytu, dopóki nie znalazła tego, czego szukała. - O tu, zobacz. Jon pojawił się czarny na twarzy, bez powiek. Brak mu połowy palców, a pozostałe są czarne, spalone. - Przeniosła się na kolejną stronę. - Silja sina i zamarznęta spoczywa na śniegu i mówi do niej bez zmrużenia oka, podczas gdy płatki śniegu powolutku wypełniają jej oczodoły. Pamiętasz, że ona zaginęła

zimą? – Wertowała zeszyt dalej z jeszcze większą zawziętością. – Tutaj. Steinn. Leży u jej stóp połamany i zmasakrowany, niczym kukła zrzucona z wieżowca, i patrzy na nią, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa, a co dopiero uczynić jakikolwiek gest. Jedyne, co robi, to mruga popękanymi oczyma. – Dagny podniosła wzrok znad zeszytu. – Czytałam policyjny raport sporządzony po wypadku i jej opis jest bardzo bliski prawdy. To samo zresztą dotyczy ich wszystkich, Vedis najwyraźniej miewała prorocze sny na temat ich śmierci.

Freyr maksymalnie się skupił, zwłaszcza że rozmowa zeszła na niepewne tory i łatwo było wyciągnąć nielogiczne wnioski.

– Wyraźnie z tego wynika, że Vedis kontaktowała się z nimi wszystkimi i choć nie wszyscy dobrze zareagowali, to nikt nie rzucił słuchawki. Znali zatem te przepowiednie i kto wie, może to miało na nich jakiś wpływ? Chociaż sam nie wierzę w takie rzeczy, obawiam się, że nie byłoby mi obojętne, gdyby zadzwonił do mnie dawny kolega, bardzo poruszony, i oznajmił, że ciągle mu się śni, iż utonąłem czy coś podobnego. Być może sprawiłoby to, że zacząłbym się nienaturalnie zachowywać nad jeziorem i nad morzem, co z kolei spowodowałoby, że bym utonął. Myślę, że tak to wygląda we wszystkich przypadkach, również gdy chodzi o samą Vedis. Nie ma w tym nic specjalnie tajemniczego.

Dagny przeciągnęła palcami po zeszyt.

– Wybacz, ale niezupełnie to kupuję. Niemniej zasłużyłeś na plus, bo próbowałeś. – Wbiła wzrok w niebieskie litery, jakby poszukując tajemnego znaku, który by to wszystko jakoś wytłumaczył. – Nie sądzisz, że to może być sfalszowane? Że nie ona to napisała, tylko ktoś już po jej śmierci? I po śmierci pozostałych osób?

Freyrowi taka myśl nie przyszła nawet do głowy.

– Ciekawa hipoteza. – Sięgnął po zeszyt i otworzył na pierwszej stronie. – Wątpię, ale trzeba by porównać ten charakter pisma z jej, żeby wykluczyć taką ewentualność. Zresztą wszystko tu się zgadza z tym, czego dowiedziałas się podczas przesłuchania wdowca po Halli. Powiedział, że trzy lata temu Halla zaczęła wydzwaniać do przyjaciół z dzieciństwa. Po tym, jak skontaktowała się z nią Vedis. W zeszycie można przeczytać, że Vedis postanowiła odezwać się do Halli mniej więcej wtedy, kiedy ta pojawiła się w jej snach. Halla odnowiła więc znajomość z dawną przyjaciółką, ale ta wkrótce potem zmarła.

– Ciekawe, o czym rozmawiały? O interpretacji snów czy może zastanawiały się, w jaki sposób postępować po tych ostrzeżeniach, żeby uniknąć niebezpieczeństwa?

– Pewno rozmawiały o zwykłych sprawach. To dało asumpt do odnowienia przyjaźni, po czym doszły do wniosku, że lubią swoje towarzystwo, i dlatego często się spotykały.

– Ale to nie tłumaczy, dlaczego Halla zaczęła kontaktować się z resztą dawnych

przyjaciół po śmiertelnym wypadku Vedis. – Dagny zmoczyła usta w winie, którego w ogóle nie ubyło z kieliszka. – Vedis niewątpliwie powiedziała jej o snach dotyczących dawnych kolegów i kiedy jeden sen się sprawdził, Halla z pewnością chciała przekazać wiadomość pozostałym i ich ostrzec. Ale tu powstaje pytanie, dlaczego ci ludzie nadal odbierali jej telefony i chcieli z nią rozmawiać. Jej mąż mówił, że rozmowy nie były krótkie i miały miejsce w długim okresie.

Freyr zwlekał z odpowiedzią, usiłując przypomnieć sobie imię ich kolegi, który jeszcze żył.

– Najprościej byłoby zapytać jedyną osobę z tej grupy, z którą jeszcze można porozmawiać. Jeśli w ogóle zechce z nami gadać. – Freyr przez chwilę kartkował zeszyt, szukając wpisów na jego temat. – Larus. Ten, który objawił się Vedis z wnętrznościami na wierzchu.

– Ciekawe, jaka czeka go śmierć? – Dagny podniosła kieliszek za nóżkę i poruszała nim niczym wytrawny kiper przygotowujący się do wzięcia łyka, by zaraz wypluć wino.

– Nie mam pojęcia. Może rak żołądka? – Freyr nie chciał wyobrazić sobie wypadku czy choroby, które mogłyby zmasakrować wnętrzności. – Może spróbuję go jutro odnaleźć, skoro i tak będę w stolicy. Mieszka w Reykjavíku.

Dagny spojrzała na zegar w kuchni.

– Zupełnie zapomniałam, że rano lecisz. Powinnam chyba już sobie pójść. – Odstawiła kieliszek i wstała. – Podoba mi się pomysł, żebyś spróbował spotkać się z Larusem. Wolałabym teraz oficjalnie nie mieszać go do śledztwa, nie chce mi się tłumaczyć szefowi tych wszystkich niejasności. Stołecznej policji też nie. To może poczekać.

Stanęli przy drzwiach i Freyr uświadomił sobie, że najchętniej poprosiłby ją, by została u niego na noc, ale obawiał się, że mu odmówi. Widział, że Dagny też nie bardzo wie, jak się pożegnać, i najwyraźniej ulżyło jej, gdy przypomniała sobie coś, o co zapomniała go zapytać, gdy rozmawiali o zeszycie.

– Pamiętasz, jak Vedis pisze pod koniec, że od pewnego czasu budzą ją w nocy hałasy dochodzące z piwnicy, co uniemożliwia jej dośnić sen do końca? – Freyr potwierdził. – Może i ty słyszałeś coś takiego, hałas jakiś czy pukanie, jak to ujęła?

– Nie, nie przypominam sobie.

– To gorzej. – Dagny się uśmiechnęła. – Nie to, żebym chciała, byś przeżywał jakieś spotkania z duchami, tylko miałam nadzieję, że te hałasy nie ustały, bo są wynikiem popsutej hydrauliki czy czegoś podobnego w domu. W ten sposób rozwiązałibyśmy choć część zagadki.

Kiedy Freyr znalazł się pod kołdrą, zamiast starać się usnąć ze słuchawkami i Poda w uszach, jak to miał w zwyczaju, wyteżył słuch, ciekaw, czy nie dojdą go jakieś hałasy z głębi domu. Nie minęło dużo czasu, a zaczął gorzko tego żałować.

Noc minęła bez jakichkolwiek wstrząsów. Albo byli zbyt zmęczeni, by cokolwiek zauważyć, albo przeprowadzka do domu lekarza odniosła zamierzony skutek. Stukot, który niemal ich wykończył, urwał się równie nagle, jak się pojawił, a Katrin i Lif udało się powstrzymać Gardara przed wybiegnięciem na dwór. Sprawdzili wszystkie okna i drzwi, by się upewnić, że nikt nie wtargnie do środka, a dodatkowo jeszcze zablokowali klamki, podstawiając pod nie krzesła. Pogodzeni z losem rozlokowali się na piętrze i we trójkę położyli w największym łóżku. W ten sposób ogrzewali się wzajemnie przez całą noc. Ale kiedy Katrin się obudziła, była tak zziębnięta, że gorzej nie mogłoby być, nawet gdyby sama spędziła noc na tarasie. Z początku miała pewne trudności z poruszaniem rękami, ale stopniowo ciepło rozeszło się po kończynach. Stawy jej zeszywniały, a całe ciało miała obolałe wskutek doznanych obrażeń. Kilka siniaków wzierających spod ubrania pociemniało i powiększyło się od wczoraj. Było tak zimno, że nie miała ochoty rozbierać się, żeby obejrzeć inne urazy. Każdy oddech i każde słowo pozostawiały po sobie kłęby pary, potęgując strach, który zdawał się gnieździć w jej biednym ciele. W blasku światła sączącego się przez nieszczelnie zabite okna zobaczyła, że Lif i Gardar mają blade jak płótno twarze, spuchnięte oczy i czerwone nosy. I brudne włosy. Przez ostatnie wydarzenia zupełnie zapomnieli o higienie osobistej.

Lif jakby czytała z twarzy Katrin i widziała, jak wygląda. Podrapała się w głowę, jedynie mierzwiąc włosy. To sprawiło, że wyglądała jeszcze bardziej niechlujnie.

– Jezu, jak bardzo bym chciała znaleźć się w domu i wejść pod prysznic. – Dyżurne spa najwyraźniej jawiło się teraz jak coraz bardziej odległy sen. – Nie da się podgrzać wody, żeby chociaż splukać z siebie największy brud? Już mnie mdli od smrodu moich włosów. – Otuliła się ramionami w nadziei, że zrobi się jej cieplej. – Poza tym jak mamy tu umrzeć, to wolałabym, żeby nie znaleziono mnie z brudnymi kłakami.

Gardar parsknął, lecz gdy się odezwał, nie wspomniał słowem o jej czarnowidztwie.

– Jeśli pójdziecie ze mną do domu, to zagotuję wody. Nie ma sprawy. – Wciągnął spodnie na kalesony, które kupił specjalnie na wyjazd. – Zostawiliśmy tam jedzenie, więc tak czy siak musimy wrócić. Chyba że chcemy umrzeć z głodu. Możemy też przy okazji trochę poremontować. Lepiej się czymś zająć, niż tylko stale się zamartwiać. Obiecuję, że w ten sposób czas szybciej minie. Teraz już wiemy, że chłopak równie dobrze może zjawić się tutaj, jak i tam.

Katrin nachyliła się, sięgając po sweter, który zdjęła, zanim zaszyła się w spiworze. Teraz, kiedy zbudziła się przemarznięta na wskroś, strasznie tego

żałowała. Sweter był zimny jak lód.

– Mamy malować? Nie powiem, żeby to mnie jakoś kręciło. – Putti spojrzła na nią z aprobatą. Najwyraźniej nie miał ochoty wychodzić na śnieg. Wolałby z pewnością poleżeć sobie u jej stóp.

Lif wciąż dygotała z zimna na środku pokoju.

– A ja bym najchętniej poszła brzegiem w głąb fiordu. – W końcu zaczęła się ubierać. – Może... może znajdziemy jakąś łódź, którą da się popłynąć do Isafjördur. Nie mówię, żeby iść gdzieś daleko, ale byle mieć lepszy widok na cały fiord. Pamiętacie ten wysoki komin i ruiny stacji wielorybniczej, przetwórci czy co to tam obok stoi, co widzieliśmy, płynąc tu? Nie możemy tam pójść?

– Rozumiem, że znasz się na nawigacji? – Gardarowi nie spodobało się, że tak źle przyjęły jego propozycję kontynuowania prac remontowych. Katrin uznała to za głupi pomysł. Nie spodziewał się chyba, że zachwycone zerwą się do roboty. – Ja bym się nie odważył płynąć. – Był tak zdenerwowany, że głos miał nieco piskliwy.

– Jeśli jest tam jakiś statek, to z pewnością mają też radiostację czy telefon. – Lif się nie poddawała.

W Katrin odezwała się natura rozjemcy, nie po raz pierwszy zresztą.

– Proponuję, żebyśmy poszli do naszego domu, zjedli, odświeżyli się, umyli włosy, chwilę popracowali, a potem, jak już się całkiem się rozjaśni, poszli na spacer. – Nie miała pojęcia, czy na dworze jest ciemno, czy świeci słońce. Nie miała też pojęcia, czy będzie w stanie chodzić, choć ból nieco zelżał. – Wszystko oczywiście zależy od pogody, ale zdaje się, że na zewnątrz panuje cisza. – Nie docierały do nich żadne podmuchy wiatru. – Co, świetny plan, prawda? – Spojrzała na Lif, która wzruszyła ramionami, a potem na Gardara, który smutnym wzrokiem popatrzył jej głęboko w oczy. Nie wiedziała dlaczego; niewykluczone, że zaczęło do niego docierać, że wszystko może się źle skończyć. Na pewno wróca do domu, ale tam czekają na nich wyłącznie kłopoty finansowe. Pensjonat na odludziu, czy odremontowany, czy wciąż jeszcze w ruinie, niczego tu nie zmieni. Uśmiechnęła się do męża czule, ale on odwrócił wzrok. Lif natomiast zdawała się całkiem zadowolona z tej propozycji, w końcu przecież pójdą brzegiem wzdłuż fiordu. W poszukiwaniu nieistniejącej łodzi.

Woda była zbyt gorąca. A może tylko sprawiała takie wrażenie, bo przecież stali na tarasie na mrozie. Katrin czuła, jak kurczy jej się skóra, gdy Gardar polewał jej włosy wodą z aluminiowego garnka, a krew boleśnie pulsuje w sińcu na czole. Przed oczami miała zniszczone deski tarasu i czarną ziemię widoczną przez dziurę w podłodze, której nie zdążyli jeszcze naprawić. Zdziwiła się, że nie napadał do niej śnieg. A przecież pokrył wszystko. Najpewniej to przez ten czarny kolor gleby śnieg topniał, jak tylko osiadał na ziemi, cieplejszej od otoczenia. W

każdym razie w słoneczne dni czerń bywa bardziej gorąca od bieli. Na szczęście Gardar zasypał szkielet lisa od razu, gdy go znaleźli, więc nie musiała patrzeć na te kości. Ale i tak miała dosyć. Kolejny strumień gorącej wody poleił się na jej głowę i trochę mydła wpadło jej do oczu. Dzięki temu pieczenie skóry głowy przestało być istotne.

- Shit. - Katrin potarła oko, jednak to tylko pogorszyło sytuację. - Podaj mi ręcznik. - Pochyliła się i uchyliła nieco powieki, ale aż nią wstrząsnęło, bo na deskach tarasu tuż przed nią pojawiły się niewielkie stopy, zupełnie jakby stało tam dziecko. Natychmiast zamknęła oczy, a gdy znów je otworzyła, widziała tylko mokre deski. Wyprostowała się tak gwałtownie, że aż dostała zawrotu głowy. Krople wody z włosów rozprysły się wokół.

- Co ty wyprawiasz? - Gardar, zły, wycierał ręcznikiem wodę, którą został ochlapany, a potem podał go Katrin. - Ale z was bałaganiary.

Lif umyła głowę pierwsza i ona także zmoczyła wszystko wokół, gdy mydło dostało się jej do oczu. Najbardziej ucierpiał Putti. Przestraszony uciekł z tarasu, a potem nie chciał na niego wskoczyć. Katrin zastanawiała się, czy Lif widziała te same zwidy, ale postanowiła nie pytać, bo nie bardzo wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje. No i nie chciała rozmawiać o chłopcu, tym bardziej że udało im się nie podejmować tego tematu przez bite trzy godziny podczas pracy. Nie dało się jednak ukryć, że cały czas o nim myślą. Zabrali się do układania desek podłogowych, które zostawił poprzedni właściciel. Tak więc pracowali teraz w jednym miejscu, czując wzajemnie swoją obecność. Choć dom nie był wielki, żadne z nich nie chciało znaleźć się gdziekolwiek samo.

- Za chwilę się przekonamy, jak tobie pójdzie. - Katrin owinęła wilgotne włosy ręcznikiem. - Ile wody zostało?

- Nie starczy. - Gardar pokazał jej resztkę w garnku. - Skoczę po więcej, pod kuchnią jeszcze się pali i woda zaraz się zagrzeje. Jestem większym twardzielem od was i nie muszę mieć bardzo ciepłej wody.

- Tak. Właśnie. - Lif podniosła się z taboretu, który wcześniej wystawiła na taras. Ona także owinęła włosy ręcznikiem, który okrywał jej głowę jak turban. Wyglądała teraz znacznie korzystniej. Zdawała się nawet zrelaksowana. - Nie jesteś od nas lepszy. - Wzięła niedopałek, który przed chwilą zgasił, i włożyła z powrotem do paczki z zatroskanym wyrazem twarzy. Mizerne zapasy papierosów bardziej ją chyba martwiły niż spór z Gardarem o to, kto jest większym twardzielem podczas mycia głowy. - Widzieliście może jeszcze jakąś paczkę fajek w domu lekarza?

- Nie. - Choć Katrin nie była zadowolona, że Lif zabrała papierosy, to jednak od kiedy mogła sobie zapalić, zapanował większy spokój. Podejrzewała, że nastrój nie będzie równie miły, gdy paczka się skończy. - Wieczorem dokładniej przeszukamy szafki. - Zapadła decyzja, że będą ponownie nocować w domu lekarza. - Niewykluczone, że schowane są tam jeszcze jakieś. - Uśmiech pojawił się na twarzy Lif, a Katrin obawiała się, że zechce znowu zapalić i skończy paczkę.

A przecież wcale nie wiadomo, czy znajdą się kolejne. – Ale nie licz na to za bardzo.

Gardar ruszył w kierunku strumyka i chociaż Katrin postanowiła poczekać na niego na tarasie, natychmiast zmarzła, a wystające spod ręcznika końcówki włosów zeszywniały na mrozie.

– Może wejdziemy do środka?

– Boże, tak. Jestem zupełnie przemarznięta. – Lif próbowała otrząsnąć się z zimna. – Możesz sobie wyobrazić, jak było zimno, kiedy utonęli ta kobieta i dziecko? Myślałam, że zimniej niż teraz już być nie może, ale przecież fiord nie jest pokryty lodem. Jaka właściwie musi być temperatura, żeby morze zamarzło?

– Nie mam pojęcia. – Katrin nawet nie chciała tego wiedzieć. Pomyślała, że jeśli będą za dużo o tym rozmawiać, ściągną na siebie taki właśnie ziąb. I wtedy ani do mola nie przybije żadna łódź, ani do plaży nie podpłyne ponton.

Lif przestępowała z nogi na nogę i nie bardzo miała ochotę wejść do środka.

– Możesz sobie wyobrazić rozpacz tej kobiety usiłującej ratować własne dziecko, gdy już zrozumiała, że to się nie uda? – Katrin dostała gęsiej skórki. Miała nadzieję, że Lif przestanie mówić na ten temat. – Jak musiała po omacku szukać synka w wodzie, usiłując go chwycić i wyciągnąć? Pewno o siebie samą już nie dbała. Chciała tylko uratować syna.

– Przestań już. – Katrin miała dość. – Obie wiemy, że to była okrutna śmierć, i nie musimy katować się szczegółami.

– Myślisz, że chłopiec, którego widzieliśmy, to właśnie on? – Lif mówiła cicho, prawie szeptem. – To by tłumaczyło, dlaczego coś uderzyło w dom, kiedy Gardar opowiadał nam, co napisano o nich w książce. Jeśli mamy do czynienia z duchem, wiele to tłumaczy.

– Nie – odparła Katrin bez namysłu. – On jest o wiele starszy niż chłopak, który utonął. Tamten nie miał jeszcze pięciu lat. Poza tym jest żywy, a nie martwy. – Jej głos nie brzmiał przekonująco, tym bardziej że sama w to nie wierzyła. – Wejdźmy lepiej do środka.

Powitało je ciepło płynące od pieca. Putti ulokował się tak blisko niego, jak to tylko możliwe, i rozłożył się na podłodze szczęśliwy, że już nie marznie. Uczucie towarzyszące przejściu z tarasu do domu było najlepszym, co spotkało Katrin od chwili przybycia do Hesteyri, ale i tak miała nieopisaną ochotę wrócić do ciepła domowego zacisza w Reykjavíku. Niestety, tę błogą chwilę zmaćiło przecucie, że niebawem wydarzy się coś strasznego, zwłaszcza że teraz było im tak dobrze. Miała ochotę rozplakać się, lecz się powstrzymała.

– Najchętniej wpełzłabym tam do środka. – Lif stała przed paleniskiem z rękami wyciągniętymi tak blisko kuchni, na ile było to możliwe. – Już zapomniałam, co to ciepło.

Katrin poszła za jej przykładem. Patrzyła, jak jej ręce coraz bardziej

czerwienieją, od opuszków palców, poprzez dłonie, aż do wystających spod rękawów kurtki przegubów. Obrażenia też mniej jej dokuczały.

– Ja też. Już się martwię, że znów zrobi się zimno. – Przerwała, bo za plecami rozległ się straszny huk, jakby wystrzał z karabinu. Lif wrzasnęła tak głośno, że prawie zagłuszyła ten hałas. Chwyciła Katrin za rękę. Putti zerwał się na równe nogi i oszołomiony rozglądał się wokół. – Co to było, do diabła? – Katrin usiłowała uwolnić się od uścisku Lif, ale w szamotaninie zahaczyła o ręcznik na jej głowie. Udało jej się wyrwać Lif i złapać ręcznik, zanim spadł na podłogę. Wciąż przed oczyma stały jej brudne stopy dziecka, toteż nie miała odwagi odwrócić się i sprawdzić, co się stało. Z tarasu dobiegł odgłos szybkich kroków Gardara, ale postanowiła poczekać, aż się tu zjawi i zacznie działać. W końcu wielki z niego twarziel.

– Co to za hałas? – Gardar wydawał się zmęczony. – Tak się wystraszyłem waszych krzyków, że prawie wylałem całą wodę. Co się stało?

Sądząc po jego opanowaniu, najwyraźniej nic niezwykłego się nie wydarzyło. Dlatego Katrin odwróciła się, pokonując chęć zmruczenia oczu, tak by móc je szybko zamknąć, gdyby zauważyła coś podejrzanego. Nie chciało jej się wyjaśniać, że krzyczała tylko Lif, zwłaszcza że do końca nie była tego pewna. Niewykluczone, że i ona wrzasnęła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Usłyszaliśmy jakiś straszny huk. I potem wszedłeś. Nie mam pojęcia, co się stało.

Gardar rozejrzał się dookoła, a Katrin poszła za jego przykładem. Lif natomiast wciąż tkwiła zwrócona twarzą do pieca. Twarz ukryła w dłoniach.

– Powiedźcie mi, jak już się zorientujecie, co to było. – I natychmiast dodała: – I jeśli coś strasznego, to nie próbujcie mnie okłamywać. Bo nie zniosę kłamstw.

– Nikt cię nie będzie oszukiwać. – Gardar wyszedł do pokoju i skierował się ku ścianie, pod którą na podłodze widniała plama wilgoci. – Już wiem, co się stało. – Schylił się i coś podniósł. Wyprostował się i podał Katrin złamaną deskę. – Pękła. – Wydawał się zdziwiony. – Może przybiliśmy ją za mocno i za bardzo się naprężyła, i pod wpływem ciepła z pieca spuchła? – Podniósł drugą deskę, która również leżała pod ścianą. – Albo huk miał coś wspólnego z tym zbutwiałym fragmentem. – Przyglądał się kawałkowi drewna, jakby w nim chciał znaleźć odpowiedź. – W tym miejscu chyba będziemy musieli wymienić deski. Zostało jeszcze kilka z czasów, kiedy poprzedni właściciel robił remont.

– To nie za trudne? – Katrin najchętniej wrzuciłaby trzymaną w rękach deskę do ognia, pozostałe zresztą też. – Nie uda nam się skończyć nawet tego, co już zaczęliśmy, a co dopiero mówić o dodatkowych robotach.

Gardar jak zahipnotyzowany patrzył pod nogi i nie od razu odpowiedział.

– Coś w tej obrzydliwej podłodze mówi mi, że musimy ją naprawić. Boję się, że to się rozprzestrzeni po całym domu, jeśli niczego nie zrobimy, a wtedy cała podłoga będzie do wymiany.

- Ale przecież plama od wczoraj się nie powiększyła. Dlaczego teraz nagle miałyby się rozprzestrzenić? - Katrin patrzyła w to miejsce i próbowała ocenić, czy Gardar na pewno ma rację. Plama wydawała się jej dokładnie taka sama jak wcześniej, chociaż Katrin niespecjalnie przykładała się do zapamiętania jej kształtu. - Nie sądzisz, że ona jest jakoś podejrzanie prostokątna? - Kiedy teraz patrzyła na podłogę, kontury zbutwiałego kawałka zdawały się nienaturalnie proste, a rogi ostre. - A może na ten kształt wpływa coś, co się znajduje pod spodem?

- Na przykład co? - Gardar o wilgoci i butwieniu wiedział równie mało, co Katrin. - Żeby sprawdzić, musiałbym oderwać kilka desek.

Lif stała pomiędzy nimi i także przyglądała się plamie. Dotąd się nie odezwała, najwidoczniej temat nie bardzo ją interesował.

- Jeśli chcemy iść na spacer, to chyba powinniśmy się zbierać. Zagrzejmy szybko wodę, umyjesz włosy i wychodzimy. Inaczej zaskoczy nas ciemność. - Gardar spojrział na nią i otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale Lif nie dopuściła go do słowa. - Obiecałeś, że pójdziemy aż do przetwórni.

Zamiast przyznać jej rację lub zaprotestować, Gardar spojrział przez chwilę w oczy Katrin, po czym odwrócił się na pięcie i poszedł po garnek, który przed chwilą odstawił w pośpiechu. Pomimo panującego w środku ciepła Katrin przeszedł znany dobrze dreszcz; coś mówiło jej, że i Gardar podejrzewa, iż zanoszą się na coś złego. Nie wiadomo tylko na co.

Freyr usnął, jeszcze zanim samolot wzbił się w powietrze, i nie obudził się, dopóki zakłopotana stewardesa nie potrząsnęła go za ramię w pustym już samolocie. W nocy prawie nie zmrużył oka. Nie pozwoliły na to jego wyobraźnia i zmęczenie. Słyszał w domu rozmaite hałasy i zdawało mu się, że ktoś chodzi w piwnicy. Nie zdobył się jednak na to, by wstać, ubrać się i zejść na dół, i to nie ział hamował jego odwagę, lecz zjawa synka, ta sama, która ukazała mu się na szpitalnym korytarzu. Spodziewał się, że na dole czeka go coś podobnego. Kiedy wreszcie wstał, ujrzał w lustrze podkrążone oczy i choć prysznic postawił go nieco na nogi, wyglądał gorzej, niżby chciał. A przecież miał ochotę odwiedzić swoich dawnych kolegów ze Szpitala Krajowego, a nawet zajrzeć do Sary. Po zakończeniu wizyty u anatomopatologa będzie miał dość czasu do odlotu popołudniowego samolotu, nawet jeśli udałoby mu się spotkać z Larusem Helgasonem, jedynym żyjącym przyjacielem klasowym Halli i Vedis. Teraz jednak nie miał już pewności, jak powinien spędzić dzień. Obawiał się, że byli koledzy z pracy uznają, iż jego zaniedbany wygląd świadczy o tym, że zaczyna mieć problemy psychiczne i bezterminowe zwolnienie lekarskie jest już tylko kwestią czasu. Oburzenie, krytykę wyglądu, życzenia powodzenia, złorzeczenia – wszystko mógł znieść, oprócz współczucia. Nie umiałby na nie zareagować, wszystko, co by uczynił albo powiedział, tylko pogorszyłoby i tak marną sytuację i w jakiś sposób jeszcze potwierdziło, że nie wszystko z jego zdrowiem jest w porządku. Nie, lepiej darować sobie kolegów i odwiedzić tylko Sarę.

– Najbardziej mnie zdziwiło, gdy przypomniałem sobie, że chyba widziałem już podobne obrażenia u innej osoby, więc postanowiłem to sprawdzić. Zdaje się, że nie ona jedna została w ten sposób nacechowana na plecach. – Twarz lekarza sądowego ledwie rysowała się za wielkimi goglami i białą papierową maseczką. Freyr miałby kłopoty z rozpoznaniem go na ulicy, bo nie znał nawet koloru jego włosów; doktor miał już na głowie zielony czepek chirurgiczny i pozostało mu jedynie przesunąć maseczkę z brody i zepchnąć gogle na nos. – Dziwne, że nie ma tego w jej dossier medycznym, zwłaszcza że te obrażenia powstawały w bardzo długim okresie. Chociaż krzyż jest kompletny, składa się na niego wiele różnych ran, które zabiłżniały się w różnym czasie. Ostatnia jest stosunkowo świeża.

Freyr patrzył na sinobiałe plecy Halli. Kazano mu włożyć taką samą odzież ochronną, ale najchętniej zerwałby gogle z twarzy, bo uważał, że gorzej przez nie widzi.

– Twoim zdaniem zrobiła to sama? Kolekcjonowała rany, żeby utworzyć z nich krzyż? – Wzdłuż całego kręgosłupa ciągnął się rząd białych i różowych blizn. Wszystkie były podłużne, ale różnej wielkości. W wielu miejscach się zbiegały. Linia, jaką tworzyły, wcale nie była prosta, choć z pewnej odległości mogło się tak wydawać. Pod barkami rozpościerała się podobna kolekcja blizn, biegnących w

poprzek tamtej, układając się w krzyż. Freyr nie miał wątpliwości co do tego, które z blizn były najświeższe; te znajdujące się przy lewym końcu poprzecznej linii były czerwieniejsze od pozostałych.

– Niełatwo się domyślić, w jaki sposób mogła zadać sobie niektóre z tych ran. – Ubrana w rękawiczkę dłonią lekarz wskazał miejsce pośrodku pleców, gdzie przecinały się linie krzyża. – Mogła oczywiście użyć jakiegoś narzędzia, ale zważywszy na to, że żadna z blizn nie wychodzi poza formę krzyża, potrzebowałyby jeszcze dwóch luster. Podejrzewam, że coś takiego bardzo trudno zrobić w normalnych warunkach. – Zdjął dłoń z pleców Halli i włożył ją do kieszeni fartucha. – Zaryzykowałbym, że ktoś jej pomagał. Albo zrobiono to bez jej zgody, a ona z jakichś powodów nie była w stanie się bronić.

– A jak to wyglądało w przypadkach, o których przed chwilą wspominałeś? Czy ofiary same zadały sobie rany, czy zrobili to inni?

– Trudno powiedzieć. – Lekarz zakrył ciało Halli prześcieradłem. – To były dwie osoby, kobieta i mężczyzna, ale ja się żadnym z tych przypadków nie zajmowałem, stąd nie za dużo wiem na ich temat.

– A co to byli za ludzie? – Freyr patrzył na biały materiał okrywający doczesne szczątki Halli. Popołudniowym samolotem zwłoki miały zostać przetransportowane na północ, gdzie za dwa dni wyznaczono datę pogrzebu. Zawsze uderzało go, jak niewiele zostaje po człowieku; tam, gdzie kiedyś biło serce i bezustannie krążyły myśli, teraz leżało jedynie martwe ciało oblekające białe kości. A w końcu tylko one pozostaną.

– Pierwszy przypadek dotyczył człowieka, który zginął w wypadku samochodowym, drugi wyszedł na jaw dopiero w kostnicy w zakładzie pogrzebowym. Byłem na urlopie, kiedy przywieziono do nas tego mężczyznę z wypadku, ale wypytywałem o niego, mam też zdjęcia i raporty z oględzin. Historię o kobiecie z zakładu pogrzebowego znam z drugiej ręki, ale tę samą opowieść usłyszał lekarz sądowy, który kroił ofiarę wypadku. – Lekarz ściągnął gumowe rękawice i wrzucił je do błyszczącego kosza ze stali nierdzewnej. – Jeśli liczyć tę tu naszą przyjaciółkę, mamy trzy zgony w nieco ponad dwa lata. To daje do myślenia. Czyżbyśmy mieli do czynienia z jakimś obrzędem religijnym w tak tajnej sekcji, że człowiek nigdy o niej nie słyszał?

Frejr mozolnie zdejmował rękawiczki, ale nie najzgrabniej mu to szło.

– Halla była osobą religijną, lecz jej mąż nie wspominał o żadnej sekcji. Udzielała się w kościele w swoim mieście. Tamci dwoje chyba nie mieszkali we Flateyri?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie, kobieta mieszkała na południu nad morzem, o ile dobrze zapamiętałem, a facet pochodził z Isafjördur. – Umilkł, schylając się, by zapisać coś w formularzu leżącym na stoliku obok stołu chirurgicznego. – Nie mieszkali w tej samej miejscowości, ale mieli coś wspólnego. Oboje przyszli na świat w 1940 roku. Nie

wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale rzuciło mi się w oczy.

Freyr oblizał wargi pod maseczką.

– A jak nazywały się te dwie osoby, jeśli mogę zapytać? Czy mężczyzna, który zginął w wypadku, nie miał przypadkiem na imię Sveinn?

Lekarz uniósł brwi, aż gogle na jego oczach się poruszyły.

– Skąd wiesz?

Dziwne uczucie musieć obywać się bez auta i być gościem w stolicy, gdzie się urodził i mieszkał w zasadzie całe życie. I nie mieć gdzie się położyć na jakąś godzinkę. Nie chciał odwiedzać rodziny, ponieważ zaczęliby się przejmować jego zdrowiem, a przecież i tak niepokoiła ich jego przeprowadzka na prowincję. Ani jego rodzice, ani brat nie zrozumieli tej decyzji i uznali ją za objaw choroby. I jak się nad tym porządnie zastanowić, to był chory. Ziewał więc w taksówce w drodze do Sary, zamiast popijać kawę w gronie krewnych. Postanowił sobie, że nie dopuści do powtórki sytuacji z samolotu, i walczył ze snem. Oczywiście, że ten krótki odcinek do mieszkania żony w starej części Dzielnicy Zachodniej powinien przejść na piechotę, ale obawiał się, że jak tam dotrze, będzie wyglądał fatalnie. Wizyta i tak nie będzie łatwa. Wprawdzie Sara przez telefon mówiła bardziej zdecydowanie niż zwykle i nie odniósł wrażenia, by za chwilę miała wybuchnąć płaczem, a zatem miał nadzieję, że jest bliska pogodzenia się z przeszłością, ale z drugiej strony był świadom, że to zbyt ryzykowne opierać swoje nadzieje na jednej rozmowie telefonicznej. Powinien rzecz jasna powiadomić ją o swojej wizycie poprzedniego wieczoru, ale wyszło inaczej, niż zamierzał. Nie chciał dzwonić do Sary, dopóki była u niego Dagny, a kiedy wyszła, uznał, że po północy jest zbyt późno na telefon. Poza tym nie wiedział, czy i kiedy uda mu się spotkać z Larusem. Mężczyzna nie odbierał telefonu. Dlatego w końcu zadzwonił do Sary. Kiedy wszystko inne nie wypaliło. Postąpił niezbyt grzecznie i pewno to spowodowało, że tak chłodno go przyjęła.

Ale zastanawiał się przede wszystkim nad spotkaniem z anatomopatologiem. Freyr poprosił go, by się dowiedział, czy pozostała dwójka z grona dawnych przyjaciół szkolnych, którzy odeszli, miała takie same obrażenia. Skoro troje zostało w ten sposób naznaczonych, nie można wykluczyć, że i tamtych dwoje, Vedis i Jon, także nosiło na sobie podobne ślady. Podał lekarzowi ich nazwiska. Takie sprawdzenie nie powinno nastęrczać specjalnych trudności. Lekarz natomiast wypytywał go o wzajemne stosunki tych osób i dociekał, w jaki sposób mogą się wiązać z samobójstwem Halli. Freyr udzielał zgodnych z prawdą odpowiedzi, absolutnie niczego nie ukrywając. Może to wiara tych ludzi w prorocze sny albo w duchy zdecydowała o ich życiu i śmierci. Lekarz słuchał go z uwagą, a na koniec powiedział, że psychiatria jest jedyną specjalizacją lekarską, w której trudniej postawić diagnozę martwemu niż żywemu pacjentowi. Sam miał

niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o choroby ducha, bo oglądał jedynie ich skutki, nie poznając nigdy przyczyn. Ale za to mógł bez przeszkód podróżować po częściach ciała i narządach, co przy diagnozowaniu żywych nie było możliwe. Dlatego nie miał kwalifikacji, by oszacować wiarygodność słów Freyra. Po prostu musiał mu uwierzyć. Gdy się żegnali, lekarz poprosił Freyra, by informował go o postępach śledztwa i wspominał, że być może napisałby wówczas pracę naukową dotyczącą owych blizn i ich genezy. Freyr po cichu wątpił, by artykuł na temat równie dziwnej sprawy miał szanse na publikację w choć trochę szanującym się piśmie, niemniej obiecał, że pozostaną w kontakcie.

Taksówka zatrzymała się przed ładnym drewnianym domem, w którym mieszkała Sara. Jej mieszkanie znajdowało się na środkowym piętrze i Freyr widział, że jego była stoi w oknie. Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Wtedy Sara zniknęła. Kilka razy głęboko wciągnął powietrze, idąc w kierunku domu. Czuł, że stąpa wolniej niż zwykle. Śmiertelnie obawiał się spotkania ze swoją eks i zadawał sobie pytanie, po co w ogóle przyjechał. Najlepiej byłoby, gdyby zupełnie zaprzestali wzajemnych kontaktów. Tyle że łatwo to powiedzieć, a trudniej zrobić. On cały czas miał jeszcze wyrzuty sumienia, że zostawił ją, kiedy być może najbardziej go potrzebowała. Przed drzwiami przypomniał sobie, że ta decyzja podjęta została w obronie własnej – jednym z najsilniejszych popędów życiowych.

Nim zdążył nacisnąć dzwonek, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Sara. Była jeszcze chudsza niż ostatnio, zupełnie wybidzona. Przez to jej głowa zdawała się nienaturalnie duża i przypominała pudełeczko cukierków PEZ. I choć jej ciało wyglądało na kruche, w twarzy po raz pierwszy od długiego czasu zauważył coś zdrowego. Oczy odzyskały blask i wyrażały uczucia, lecz nie te, których się spodziewał. Była wściekła.

– Cześć. – Zrobił gest, jakby chciał pocałować ją jak zwykle w policzek, ale odsunęła się i zaprosiła go do środka. Choć jej reakcja mu się nie spodobała, udał, że nic się nie stało, zdjął buty i wszedł za nią do pokoju. Wszędzie widział znajome meble i bibeloty pamiętające jeszcze ich małżeństwo. Pomyślał, że w nowym miejscu znalazły się przypadkowo i czekają tylko na okazję, by wrócić do oryginalnych wnętrz, gdzie byłoby im lepiej.

– To moja przyjaciółka, Elisa. – Sara stanęła obok kobiety siedzącej na kanapie, którą swego czasu tak długo i pieczołowicie wybierali. Przywitali się i nagle strzeliło mu do głowy, że Sara zaraz oznajmi mu, że właśnie odkryła u siebie skłonności do tej samej płci. – Elisa jest medium i ostatnio bardzo mi pomaga. Możesz sobie darować złośliwości, bo ona dzisiaj daje mi o wiele więcej niż ty z tą twoją nauką zerującą na cudzych słabościach. – Po tej krótkiej prezentacji Sara opadła na kanapę i poklepała ją, dając znak, żeby on także usiadł. – Elisa była tak kochana i przyszła, choć zaprosiłam ją niespodziewanie, ale chciałam, żeby ciebie poznała. Dzięki Bogu, że udało jej się u mnie zjawić. Tak nagle zadzwoniłeś, że przyjeżdżasz.

- Przepraszam, Saro. - Freyr wybrał hotel naprzeciwko byłej żony. - Nie wziąłem pod uwagę, że możesz chcieć się ze mną spotkać w obecności świadka. Nie mam oczywiście innego usprawiedliwienia niż fakt, że dużo rzeczy ostatnio się działo i nie było ze mną najlepiej. - Odwrócił się do medium, kobieta z pąsowymi policzkami najwyraźniej miała ochotę pożegnać się i wyjść. Z pewnością nie z jej powodu Sara ustawiła spotkanie w ten sposób. Choć tak obcesowe zachowanie było do niej niepodobne. - Powinnaś wiedzieć, że pomimo iż nie jestem miłośnikiem spirytyzmu, uważam, że każdy ma prawo do swoich poglądów. Na szczęście nie wszyscy muszą być tacy sami. Jeśli pomogłaś Sarze, to świetnie, ja nigdy bym nie sprzeciwiał się terapii, która działa.

Elisa uśmiechnęła się do niego z wyraźną ulgą. Miała na sobie bardzo zwyczajne ubranie, dżinsy, bluzkę i kamizelkę. Czyste i schludne ciuchy, najwyraźniej były długo używane; bluzka miała wytarte rękawy na łokciach, a spodnie jaśniejsze nogawki w okolicy kolan. Nie przypominała stereotypu medium, może po prostu starała się unikać kolorowych spódnic i prostowała loki.

- Dzięki. Dobrze rozumiemy się z Sarą i mam nadzieję, że razem uda nam się pokonać to, co Sarę nawiedza. - Spojrzała na nią i uśmiechnęła się przelotnie. - Ale ze słów Sary wynika, że i ty masz z tym jakiś związek. Wiem, że to może brzmieć dziwnie, ale naprawdę nie mam pojęcia, jaki to związek i jaka jest jego przyczyna. Kontakty z osobami, których nie ma już wśród nas, nie są jak rozmowa w cztery oczy. Raczej padają pojedyncze słowa, a przede wszystkim chodzi tu o wrażenia, które człowieka dopadają, choć nie zawsze można zrozumieć je do końca.

- Chyba do czegoś takiego przywykłeś w swojej pracy? - Jego była uspokoiła się nieco, a jej słowa budziły wspomnienia chwil spędzonych razem. - Lekarze rozumieją może, jak działają mięśnie i narządy, ale zasadniczo nie potraficie określić, dlaczego człowiek jest wesoły lub smutny. Nieprawdaż? Nie potrafili byś wyjaśnić, czym są uczucia, ale oczywiście jesteś przekonany, że one istnieją, i nie masz co do tego wątpliwości.

Freyr potwierdził, nie chcąc denerwować ich psychiatrycznymi teoriami na temat uczuć. Bardzo wiele dzieli naukowe poznanie i zbadanie zjawiska od uproszczonych wyjaśnień spirytystów.

- Ale co ja mam powiedzieć albo zrobić? - Ogarnęło go jeszcze większe zmęczenie, gdy dotarło do niego, że wypowiadając te słowa, stał się uczestnikiem rozpaczliwej próby zrozumienia przez Sarę rzeczywistości, i że tym samym daje zielone światło, by trzymała się obranej drogi. Drogi, która prowadziła tylko do jednego: coraz większego rozczarowania.

- Raz za razem pojawiaasz się zarówno w snach Sary, jak i wtedy, kiedy mnie nachodzą duchy. I to się powtarza, ostatnio nawet coraz częściej.

- I co ja mogę na to poradzić? - Freyr najchętniej oparłby głowę o mięciutki oparcie fotela, zamknął oczy i poprosił o pół godziny spokoju.

- Nie wiem. - Trzeba przyznać, że Elisa była szczerą. Freyr pilnował się, by nie

parsknąć śmiechem. Kobieta najwyraźniej zorientowała się, co o niej sądzi, więc dodała: – Kiedy ludzie umierają, nie rozliczywszy się z życia, utykają między światami. Nie przechodzą na następny stopień egzystencji, bo nadal są zbyt związani z tymi, których tu pozostawili, i chcą, aby sprawiedliwości stało się zadość albo żeby dokonano rozliczenia. Jeśli to nie następuje, zbłąkane duszyczki zaczynają zabiegać o to, by wszystko wyjaśnić. Nigdy jednak nie wiadomo, czy im się uda ani czy nawiążą kontakt z żywymi. Najbardziej jest to widoczne, gdy jeszcze żyją ich bliscy lub znajomi, ale często ci, którzy odeszli, rezygnują, kiedy już nie ma nikogo, komu mogłoby zależeć na rozwiązaniu tych spraw. Pojedyncze dusze grzęzną w miejscu, ich dążenia zmieniają się w tęsknotę i wtedy właśnie dzieje się to, co znamy jako nawiedzanie starych domów czy cmentarzy przez duchy.

Freyrowi coraz trudniej było uczestniczyć w konwersacji.

– Saro, nie masz kawy? Bardzo mało spałem i trudno mi się skupić na rozmowie.

Spojrzała na niego z nieodgadnioną miną, ale w końcu wstała i wyszła do kuchni. Elisa kontynuowała:

– Im dłużej dusza jest na tym etapie, tym bardziej wroga się staje. Dobra i jasna dusza może się przemienić w swoje przeciwieństwo. Jeśli uda nam się zapobiec, by wasz syn stał się tak niebezpieczny, to dobrze. Nie chcielibyście, żeby zaczął was nawiedzać. – Ostatnie zdanie wyszeptała, żeby nie usłyszała go Sara.

– I niby jak mamy temu zapobiec? – Freyr pragnął kawy tak bardzo, że aż musiał się powstrzymać przed wstaniem z miejsca, opuszczeniem towarzystwa w pół zdania i wyjściem do kuchni na małą czarną.

– Trzeba go znaleźć. Wyjaśnić, co mu się właściwie przydarzyło, i pochować go wśród krewnych. Uwolnić go od męki, jaką sprawia świadomość, że jego matka cierpi z powodu niepewności. Ty zresztą też.

Freyr nie mógł już tego wytrzymać.

– Myślisz, że nie robiliśmy wszystkiego co w naszej mocy, żeby tak się stało? Niezależnie od duchów i dusz. Wierz mi, poruszyliśmy niebo i ziemię.

– Ale musicie nadal próbować. – Elisa patrzyła nań granatowymi oczami, nieruchomymi pod cienkimi, wydepilowanymi brwiami. – Jeżeli nie jest za późno.

– Za późno? – Freyr już w zasadzie nie słuchał. Jedyne, czego był pewien, to tego, że owa kobieta nie jest w stanie pomóc Sarze. Wręcz przeciwnie. Jej teorie nie pozwalały byłej żonie spojrzeć w oczy okrutnej prawdzie, że najprawdopodobniej nigdy nie dowiedzą się, co się wydarzyło. Może teraz Sara zdawała się jakaś rańniejsza, ale długo to nie potrwa.

– Czuję obecność waszego syna. Bardzo mocno. Ale czuję też jego wielki gniew, co jest nienormalne, zważywszy, jak niedawno zaginał. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wiem, że nie zostało dużo czasu na działanie. – Elisa spojrzała w stronę kuchni.

- Po prostu musisz się tego dowiedzieć. Jeśli uważasz, że teraz sytuacja jest zła, to wiedz, że może będziesz uważał te dni za najlepsze, odkąd zniknął wasz syn.

Sara przyniosła kawę i Freyra szczerze ucieszył jej widok z tacą. Nie dość, że teraz dostanie dawkę upragnionej kofeiny, to jeszcze uwolni się od apokaliptycznych przepowiedni medium, przeciwko którym nie miał odwagi protestować ani nawet ich komentować, a co dopiero się z nimi zgadzać. Sięgnął po filiżankę, którą Sara postawiła na stolyczku przed kanapą, ale zamarł, kiedy chłodna dłoń medium dotknęła wierzchu jego dłoni. Spojrzał na kobietę zdumiony.

- Diabeł biega wolny. Weź to sobie do serca. - Freyr uśmiechnął się zakłopotany, uwolnił rękę i podniósł filiżankę. Zanim zdążył się napić, Elisa dodała: - Niestety, obawiam się, że źle skończysz. Niestety.

Zbyt długo ociągali się z wyjściem. Z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej, a oni szli wąską ścieżką w kierunku starej przetwórni w Hesteyri. Niebo było jasne i nie zanosiło się, by w najbliższym czasie miał spaść śnieg. Momentami trudno było dostrzec ścieżkę pod śniegiem, ale szczęśliwie często biegła nieco poniżej poziomu gruntu, więc dało się nią iść. Katrin nie potrafiła już zliczyć strumyków, przez które zmuszeni byli skakać, przeważnie z Puttim na rękach, bo kiedy tylko zbliżyli się do jakiejś wody, pies natychmiast zaczynał wyć i wściekle ujadać. Na swoich króciutkich nóżkach nie nadawał się do wielkich wyczynów i bał się, że zostawią go po niewłaściwej stronie tych gigantycznych przełomów rzecznych. Nad nielicznymi potoczkami poprzierzucano kładki w postaci pni, desek czy czegoś podobnego. Największa część drogi prowadziła wzdłuż plaży, ale teraz ścieżka skręciła na zbocze. Pod nimi rozpościerały się spore skały, z których malowniczo spływały strumienie, niektóre skute lśniącym, srebrzystym lodem.

– Jak myślicie, ile jeszcze zostało? – Katrin szła ostatnia, mocno już zmęczona. Miała dość czasu, by sprawdzać, czy Putti podąża za nimi. Został trochę w tyle, ale i tak uważała, że jak na okoliczności jest niezwykle dzielny. Gdyby ludzie znaleźli się w porównywalnym otoczeniu, śnieg sięgałby im do pachwin. – Żadnej łodzi jakoś nie widać. Może lepiej zrezygnować? – Obawiała się, że jeśli zapuszczą się dalej, ból nie pozwolił jej wrócić.

Gardar milczał przez całą drogę. Nie utykał, stąd wniosek, że pięta się zagoiła, więc jego szorstkości nie dało się wytłumaczyć bólem. Może się czegoś bał? Obrócił się i spojrzał na Katrin, ale nic nie powiedział. I po chwili kontynuował marsz. Lif kroczyła na czele, a uwagi Katrin najwyraźniej nie robiły na niej żadnego wrażenia.

– Już dochodzimy. Byliśmy tam z Gardarem, kiedy przyjechaliśmy obejrzeć dom, i to jeszcze co najwyżej pół godziny drogi.

Wprawdzie wtedy wszystko nie tonęło w śniegu, ale Katrin doszła do wniosku, że nie ma sensu o tym przypominać. Lif i tak by zignorowała jej słowa. Katrin miała nadzieję, że nienaturalna wesołość Lif, to nakłanianie ich do dalszego marszu, nie ma związku z jakimś fatalnym planem, by dojść aż do Isafjördur. Ale to było raczej mało prawdopodobne, bo Lif nie zaproponowała, że zrobi kanapki na drogę. Chyba że zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością i uważała, że będą się żywić darami ziemi. Perspektywa przechodzenia po śliskich kłodach lub brodzenia przez strumyki nie była zbyt kusząca.

– A czego wyście tak daleko szukali? – Katrin niemal straciła równowagę, stąpając na owalny kamień schowany pod śniegiem na środku ścieżki.

– Och, to było zupełnie bez sensu. – Lif nie straciła tempa, choć spotkało ją to samo co Katrin. – Czytałam coś o przetwórni i myślałam, że może uda nam się ją

kupić i zmienić w hotel czy coś podobnego. Tylko się nie śmieję, jak zobaczysz, w jakim stanie jest budynek. – Zatrzymała się nagle i wskazała przed siebie. – Zobacz, już prawie jesteśmy. Widać komin. To tam na dole.

Katrin stanęła na krawędzi wzniesienia i spojrzała na część doliny, w której wybudowano przetwórnię. Śnieg nie przykrył ruin, które wyraźnie rysowały się na tle białego krajobrazu. Wysoki do nieba komin przyciągał wzrok i zdawało się, że to tylko kwestia dni, kiedy runie.

– Widzicie tę dziurę w kominie? – Pokazała ręką i zarówno Lif, jak i Gardar zatrzymali się na zboczu. – Czy to nie jest dosyć niebezpieczne?

– To przez straż graniczną. Wykorzystywali komin podczas ćwiczeń w trakcie wojny dorszowej. Strzelili do niego z armaty. – Lif kontynuowała marsz w dół, a Gardar szedł za nią.

Katrin zawahała się chwilę, po czym także ruszyła. Ściemniało się coraz szybciej i nie chciała potknąć się lub ulec jakiemuś poważniejszemu wypadkowi. Każdy krok w dół oznaczał także krok w górę w drodze powrotnej. Putti stał obok niej na krawędzi wzniesienia i zdawał się przejęty sytuacją, wył i szczekał, by odwieść ją od tej decyzji. A potem się poddał i pobiegł za nią. Doskonale teraz widać było fiord, który wydał jej się nienaturalnie spokojny i niestworzenie piękny w szarzącym świetle.

– Nie widzę żadnej łódki! – zawołała do Lif i Gardara, którzy coraz bardziej się od niej oddalali. – Przyszliśmy tu, żeby sprawdzić, czy nie znajdziemy jakiejś łodzi, pamiętacie? – Ta sama reakcja. Trochę się wkurzyła. Miała ochotę wziąć Puttego na ręce i zawrócić. Co więcej, dopadła ją dziecinna myśl, że jak się zgubi, to będą mieli za swoje. Zawzięte ujadanie Puttego sprowadziło ją na ziemię. – Co się stało, piesku? – Odwróciła się i zauważyła, że zwierzę denerwuje się z powodu czegoś, co zobaczyło w morzu. Pochyliła się i z psiej perspektywy usiłowała zorientować się, na co zwierzak patrzy. Wtedy zauważyła dwa czarne kopce wystające z wody niedaleko brzegu. Z początku pomyślała, że to dwa mokre, lśniące kamienie, czekające cierpliwie, aż zostaną wypłukane przez wodę. Ale nie musiała długo się przyglądać, by zauważyć, że są obserwowani. – Foki! – Teraz i Lif, i Gardar zatrzymali się i odwrócili, by sprawdzić, o co jej chodzi. Katrin wskazała na powierzchnię wody, gdzie foki wciąż dokazywały, i uśmiechnęła się. Gardar odwzajemnił jej uśmiech, a Lif potrząsnęła tylko głową i szła dalej.

Katrin musiała pchnąć Puttego, zanim sama ruszyła za nimi, już w nieco lepszym humorze. Pies, cały czas warcząc, obserwował foki.

– Już przestań. Przecież nie wejdą do nas na ląd, więc nic ci nie grozi. – Putti zamilkł i spojrzał na nią bezgranicznie smutnym wzrokiem. Zupełnie jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie potrafił. Polizał więc jedynie dłoń Katrin starającej się go pocieszyć czułym drapaniem za uszami. – Chodź. Pójdziemy tam i zaraz wracamy do domu. Ja też nie mam ochoty tutaj się pałętać. – Wyprostowała się i ruszyła w dół, a Putti w ślad za nią. Kiedy zauważyła, jak pies niechętnie się porusza, wzięła go na ręce, choć wiedziała, że to jeszcze bardziej opóźni jej marsz.

Zasadniczo nie spieszyło się jej, w drodze powrotnej i tak będzie ciemno, zatem nie ma znaczenia, czy zejdzie ze zbrocza kilka minut wcześniej, czy później. Od czasu do czasu zerkała w stronę fok i nigdy się nie rozczarowała, trochę się może przemieściły, ale cały czas patrzyły na nią. Wprawdzie znajdowały się zbyt daleko, by dobrze je widzieć, ale i tak wyobraźnia podszeptęła jej, że „foka ma ludzkie oczy”. Putti bardzo się pilnował, by nie spojrzeć na morze, kierując się niewątpliwie psią logiką zakładającą, że jeśli nie widzi fok, to ich nie ma. Katrin wreszcie dotarła na dół i gdy postawiła psa na nogi, ten wzdrygnął się i zaczął odzyskiwać wigor, bo foki zniknęły mu z oczu.

– Nareszcie. – Lif usiadła na niskim betonowym murku i przekładała z ręki do ręki paczkę papierosów, jakby zastanawiała się, czy aby ma czas oddać się nałogowi. – I jak? – Zakreśliła paczką papierosów półkole w powietrzu.

– Nie mam zamiaru kpić z twojego pomysłu uruchomienia działalności hotelowej. – Katrin przyjrzała się ruinom. Wszędzie brunatny kolor, zardzewiałe zbiorniki i powyginane żelastwa wśród na poły zawalonych budynków z cegły. Gdzieś pod śniegu wystawały pojedyncze kamienie oraz kawały kutego żelaza o fantazyjnych kształtach. – To wszystko jest jakieś dziwne. – Przetwórnica z pewnością była niegdyś jedną z największych w kraju i musiała pamiętać dobre czasy. Nawet Katrin zorientowała się, że tych budynków nie da się już uratować. Dach wielkiego gmachu stojącego u stóp komina zapadł się, a jego fragmenty zwisały z betonowych legarów. Żadna ze ścian nie wytrzymała próby czasu, choć zniszczenia nie wszędzie były jednakowe. – Po cholere był im potrzebny ten wysoki komin?

– Nie mam pojęcia. – Lif nachyliła głowę tak, by spojrzeć na szczyt komina, który, choć to niewiarygodne, znajdował się w całkiem przyzwoitym stanie.

– Musieli coś tutaj wytapiać. Tran może. – Gardar tak długo milczał, że w głosie pojawiła się chrypka. Chrząknął. – Nie pytajcie mnie o to żelastwo. Nie mam zielonego pojęcia, do czego służyło. – Pordzewiałe dźwigi, korby, nakrętki, rury, zbiorniki również milczały, nie zdradzając, do czego były używane.

– Bardzo chętnie bym się dowiedziała, co to jest tutaj za mna. – Lif zajrzała do kanału biegnącego wzdłuż murku, na którym siedziała. Na brzegu leżał wielki i długi żelazny trzpień z dospawanymi ramionami. – Tutaj jest pełno różnych rzeczy, które do czegoś na pewno służyły.

Gardar rozejrzał się po kanale. Minę miał filozoficzną. Kiedy w końcu się odezwał, stało się jasne, że na temat niegdysiejszej działalności tego zakładu wie równie niewiele, co one.

– To chyba ma jakiś związek z rybimi flakami, podejrzewam.

– Fuj. – Lif odwróciła wzrok od kanału, chociaż murku nie opuściła. Zbyt wygodnie jej tu było. – Jeśli uważasz, że tu na zewnątrz jest dziwnie, to zajrzyj do środka. – Pokazała Katrin wielki otwór prowadzący do tonącego w mroku budynku. – Ale lepiej nie wchodzić. Popatrz tylko przez wyrwę.

Katrin nie odpowiedziała. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. Odniosła wrażenie, że słyszy jakieś dźwięki dobiegające z plaży. Upewniła się, że Putti kręci się przy nich, bo bała się, że foki mogły wyjść na ląd i pies do nich pobiegł. Ten jednak stał przy niej bezradny. Spojrzała na góry po drugiej stronie fiordu, które niebawem znikną w ciemnościach. Przykro jakoś było pomyśleć, że na całym rozpościerającym się przed oczyma obszarze nie ma ani jednej żywej duszy. Przez chwilę zaczęła się nawet zastanawiać, co by zrobiła, gdyby się odwróciła i stwierdziła, że Gardar i Lif zniknęli. Nie słyszała ich, ani chrzęstu kroków, ani oddechów. Niewątpliwie dlatego, że wciągnęła kaptur na głowę, ale też zahipnotyzowały ją morze i granatowe, ośnieżone góry, podobnie jak przed chwilą foki psa. Jeśli się nie odwróci, Lif i Gardar nadal tam będą – dopóki nie oderwie oczu od wody, nie spojrzy w ich kierunku i nie przekona się, że zniknęli.

– Kata? Co ty kombinujesz? – Lif lekko kopnęła Katrin w pupę. – Nie słyszysz mnie? Mówiłam, żebyś zajrzała do środka.

Choć Katrin nie lubiła tego rodzaju zażyłości, kopniak przyniósł jej ulgę. To oczywiste, że nie zniknęli. Po prostu jest zmęczona, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, i wyobraźnia kpi sobie z niej. Odwróciła się i uśmiechnęła do znajomych twarzy, patrzących na nią ze zdumieniem. Gardar czuł jakiś niepokój i niewykluczone, że sam coś usłyszał, choć tego nie zdradził. Tylko Lif zachowywała się naturalnie, ale z drugiej strony, gdyby inni zachowywali się tak jak ona na co dzień, uznano by ich zachowanie za nienaturalne. Schowała papierosy do kieszeni i zniecierpliwiona wzniosła oczy do niebios. Katrin postanowiła posłuchać przyjaciółki, bo wtedy może zacząć zastanawiać się nad powrotem do domu z tej kompletnie bezsensownej wycieczki.

– No, zajrzę tam, ale potem zaraz wracamy? Głodna jestem i zmęczona, i robi się ciemno. – Ruszyła w stronę budynku, bardziej pogrążonego w mroku niż przedtem. Dziura, która według Lif miała być tak fascynująca, straszyla jeszcze czarniejszą otchłanią niż przed chwilą, a cegły na jej krawędziach przypominały spalone zęby w ohydnej gębie.

– Idź z nią, Gardarze. – Lif była w swoim żywiole. Lubiała rozkazywać i nie znosiła sprzeciwu, więc Katrin wyobraziła sobie, że Lif się uśmiecha. Słyszała za plecami chrzęst kroków na śniegu, świadczący o tym, że i Gardar posłuchał rozkazu Lif. Ucieszyła ją jego obecność. Choć miała zamiar tylko na moment włożyć głowę do dziury, powiedzieć „wow” i na tym poprzestać, to lepiej było mieć kogoś przy sobie. Jak zwykle towarzyszył jej Putti, ale mimo iż jego wierność niewątpliwie radowała jej serce, to przecież pies nie dawał takiego poczucia bezpieczeństwa jak Gardar.

Stanąwszy przed dziurą, straciła ochotę, żeby przekonać się, co jest w środku. Bo i nic ciekawego być tam nie mogło. Nie miała pojęcia, dlaczego adrenalina tak buzuje jej w żyłach. Zupełnie jakby podświadomie czuła grożące niebezpieczeństwo, którego ludzkie zmysły nie ogarniają. Czy coś błyszczącego nie poruszyło się w środku? Czy ten chłopak może tam przebywać? Nie zauważyli

żadnych śladów na śniegu, ale przecież całkiem niewykluczone, że je zatarł. Katrin zajrzała do dziury, starając się do niej nie zbliżyć.

- I co? Widziałaś coś? - Gardar pojawił się obok niej. Podszedł do ściany i dotknął cegieł. - Niewiarygodne, że te mury stoją tak długo.

- Myślisz, że chłopak jest w środku? - Katrin mówiła na tyle cicho, by Lif jej nie słyszał. - Zdawało mi się, że coś się poruszyło.

Gardar zajrzał przez dziurę.

- Nie. Nikogo tu nie ma. Zresztą nikt by nie chciał zamieszkać w takich ruinach. - Złapał za żelazny hak wbetonowany w mur i usiłował nim poruszyć. Bez skutku. Jedyne, co mu się udało, to ubrudzić rdzą rękawiczkę. - Do diabła! - Chwycił za zwisający wzdłuż ściany kabel i usiłował nim ją wytrzeć. - Popatrz sobie i lecimy. Coś niefajnego wisi w powietrzu i chciałbym jak najszybciej wracać do domu.

Katrin była zadowolona, że wreszcie i on się przyznał do strachu. Zbliżyła się do dziury, bardziej zdecydowana i ukontentowana rozwojem sytuacji. Niebawem znów znajdą się w domu lekarza i zjedzą coś przy świecach. Ale nie zdążyła wetknąć głowy w wyrwę, kiedy dojrzała sylwetkę chłopca mającą po drugiej stronie hali. Był mniejszy, niż zdołała zapamiętać, ale podobnie jak wcześniej stał pochylony, ze wzrokiem skierowanym na swoje stopy. Nagle podniósł głowę, w półmroku jego skóra zdawała się nieładnie popielata, oczy wielkie i zapadnięte w wychudzonej twarzy. Chłopiec wpatrywał się w nią, po czym otworzył usta i wydał bezgłośny krzyk. Katrin szybko się cofnęła i upadła na plecy. W tym samym momencie wielki kawał muru nad miejscem, w którym jeszcze przed chwilą stała, oderwał się i runął na ziemię tuż przed nią. Kilka cegieł spadło na Katrin, ale ból po uderzeniu był niczym w porównaniu ze strachem. Serce waliło jej jak oszalałe. Putti wył wniebogłosy i skowyczał, przykuśtykał do niej i przytulił się do jej uda. Unosiły się masy kurzu. W zasadzie nic nie widziała.

- Gardarze! Gardarze! - Nie potrafiła ubrać w słowa tego, co chciała powiedzieć, ale miała ochotę przestrzec go przed chłopcem, który może mu wyrządzić krzywdę. Nagle kurz opadł i przejrzała na oczy. Zupełnie jakby ktoś zdjął jej ciężki kamień z piersi. Zobaczyła, że Gardar też zdążył uskoczyć, gdy mur się walił. Inaczej nie uszedłby z życiem. Rany na czole i na policzku krwawiły, a gdy ruszył w jej kierunku, utykał.

- Dżizas. Dżizas. - Najwyraźniej był równie wystraszony, co ona. Wrzaski za ich plecami dowodziły, że Lif także straciła panowanie nad sobą. - Coś ci się stało? Gdzie cię boli?

Katrin poczuła łyzy spływające po twarzy, zrazu ciepłe, ale kiedy dotarły do ust, były już lodowate. Jej ciało nie było w stanie tego wytrzymać. Nie teraz. Udało jej się wystękać: - Moje nogi. - Próbowała wstać. Gardar pomógł jej, początkowo prosił, by usiadła, bo chciał obejrzeć obrażenia. Choć łyzy wciąż spływały jej po policzkach, wściekłość wzięła górę. - Wynosmy się stąd. Choćby miała się

czołgać. – Nagle postanowiła nie mówić mu o chłopaku, obawiała się bowiem, że wbiegnie do tego piekielnego, niebezpiecznego budynku. Strasznie ją bolało, ale nie dbała o to. Musiała się stąd wynieść. – Lif! Chodź tu i zabierz Puttego! Coś mu się stało. – Wsparła się na Gardarze, który krzywił się z bólu, choć za wszelką cenę starał się ukryć cierpienie. Pewno cegła uderzyła go w ramię.

Razem wspięli się po zboczu, Putti wciąż czekał w ramionach Lif. Gdy znaleźli się w połowie drogi powrotnej, bliska załamania z powodu bólu Katrin zauważyła tkwiące wciąż w tym samym miejscu foki. Obserwowały ich z podobnym leniwym zainteresowaniem co przedtem. Może to marne światło albo ból mieszały jej myśli, ale nagle Katrin wydało się, że to nie foki, lecz ludzkie głowy, matki i syna, którzy zniknęli pod lodem przed sześćdziesięciu laty.

Powrotny lot do Isafjördur dłużył się bardziej niż ranny do stolicy. Przez cały dzień Freyr miał kłopoty z utrzymaniem powiek, ale gdy tylko zapiął pas, zmęczenie minęło, czy też raczej zrobiło sobie przerwę. Pragnął zamknąć oczy i zapomnieć o miejscu i czasie, choćby nawet na tę niecałą godzinę, ale zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie. Czuł się bardzo marnie, a dziwne troski kołatały się po zakamarkach umysłu i sprawiły nawet, że zgodził się kupić kawę od sympatycznej stewardesy. A potem już nie było odwrotu. Stracił kontrolę nad swoimi myślami.

Zawsze, gdy nie może zasnąć, wszystko zdaje mu się niemożliwe do pokonania, a najmniejsze nawet problemy urastają do rangi wielkich. Tak było i tym razem. Nie udało się wyjaśnić w stolicy przyczyn śmierci Halli i aż sam się sobie dziwił, że liczył, iż autopsja przyniesie jakąś odpowiedź. Zbyt wiele pozostawało pytań, zbyt skomplikowanych. Poza tym rozczarowanie, którego mógł się przecież spodziewać, potęgował dodatkowo fakt, że nie udało mu się skontaktować z Larusem, jedynym żyjącym jeszcze szkolnym kolegą zmarłych. Mężczyzna ani nie odbierał jego telefonów, ani nie było go w domu, gdy Freyr w końcu wzięął taksówkę i pojechał do niego. Zresztą nie można wykluczyć, że był, tyle że nie otworzył drzwi. Mieszkanie mieściło się w bloku i równie dobrze dzwonek mógł nie działać. Niemniej Freyr z uporem go naciskał, a potem obszedł wielorodzinny budynek wokół w nadziei, że domyśli się, gdzie znajdują się okna mieszkania 5.03, ale bez skutku. Swego czasu zastanawiał się, czy nie rozpocząć studiów na architekturze, ale nie żałował, iż tak się nie stało, bo miał niemałe kłopoty z orientacją przestrzenną. Zresztą i tak nie wiedziałby, co zrobić, gdyby nawet zlokalizował jego okna i zauważył jakiś ruch czy światło w mieszkaniu. Przecież nie wdarłby się tam siłą.

Najbardziej jednak dołowała go sprawa Sary. Rozczarowanie było tym większe, że żywił nadzieję, iż wreszcie ujrzy u niej od tak dawna oczekiwane oznaki poprawy zdrowia. A przecież zamiast kierować się niepoprawnym optymizmem, powinien był zachować się w sposób profesjonalny. Nie był pierwszym psychiatrą w historii, który źle ocenił stan swoich bliskich. Choć już Sary nie kochał w taki sposób, w jaki mężczyzna kocha kobietę, to wciąż darzył ją uczuciem, które łatwo nie minie, podobnie jak jego miłość do rodziców. Mimo że ich związek zakończył się inaczej, niż planowali sobie w dniu ślubu, wciąż oddziaływał na ich życie. Oboje nie byli jeszcze gotowi wyjść z cienia i szukać szczęścia w ramionach innych. Jeśli los Benniego nigdy nie zostanie wyjaśniony, może tak zostać już na zawsze. Jego zaginięcie połączyło ich cienkim, lecz silnym węzłem wspólnej tragedii.

Pierwsze, co postanowił zrobić, gdy samolot wylądował, to zadzwonić do swojej byłej żony. W Isafjördur było wietrzniej niż w stolicy, płaszcz łopotał na

wietrze, a zimno kęsało przez cienką koszulę. Zapiął się jakoś wolną ręką, jednocześnie przyspieszając kroku. Już miał się rozłączyć, kiedy w końcu Sara odebrała. Nie traciła czasu na powitanie i od razu spytała obcesowo:

– Czego?

– Chciałem się po prostu normalnie z tobą pożegnać. Jak wychodziłem, sytuacja była nieco niezręczna. Trudno mi było szczerze z tobą rozmawiać, gdy twoja przyjaciółka stała nad nami.

– Nie musisz wyrażać się o niej z taką pogardą. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co sądzisz o niej i jej podobnych. Lepiej byś zrobił, wyzbywając się uprzedzeń, i posłuchał, co ona ma do powiedzenia. To nie są bzdury.

– Może i nie. – Freyr szedł zdecydowanym krokiem przez lotnisko. Ściszył nieco głos, przeciskając się przez tłum pasażerów, który zebrał się przy taśmie bagażowej. – Ale się zmobilizuję i spróbuję bardziej się otworzyć. Czy wtedy ty wykażesz więcej krytycyzmu? Może spotkamy się w pół drogi? Co ty na to? – Był bardziej niż gotów głębiej zastanowić się nad seansem spirytystycznym i innymi podobnymi bzdurami, jeśli to sprawi, że Sara zejdzie trochę na ziemię.

– Już próbowałam. I nic to nie dało. Mam ciągle te same sny i nachodzą mnie te same upiorne myśli. – Wciągnęła głęboko powietrze, po czym kontynuowała: – Od czasu do czasu czuję zapach Benniego. Widzę, jak pojawia się w sklepie, na ulicy, gdziekolwiek się ruszę. To nie są zwidy, Freyrze. On tu wciąż jest. – Znów wciągnęła głęboko powietrze. – Coś niedobrego wisi w powietrzu i to narasta. Nie można udawać, że nic się nie dzieje. Chciałabym powiedzieć albo zrobić coś, żebyś zaczął traktować sprawę poważnie, ale wiem, że to płonne nadzieje. Mimo wszystko zaryzykowałam. Pomyślałam, że może Elisa przemówi ci do rozsądku i otworzy oczy na to, czego nie chcesz widzieć. Oboje mamy jasność, że to się zupełnie nie udało.

– Saro, nie sądzę, żebyś dobrze wyszła na kontaktach z tą kobietą – powiedział tak ostrożnie, jak tylko potrafił. Obawiał się, że była rzuci słuchawkę. – Jeśli śni ci się Benni, jeśli zdaje ci się, że go widzisz i tak dalej, to jest to całkiem normalne i nie musi wcale mieć jakiegoś tajemnego znaczenia. Uwierz mi, takie rzeczy dzieją się częściej, niż sądzisz. Twoje myśli nadal są z nim związane, ciągle zajmuje bardzo ważne miejsce w twoim sercu i dlatego zawsze będzie się w ten sposób objawiał, choć z czasem pewno coraz rzadziej. Myślisz, że i mnie to się nie zdarza? – Wolał nie wtajemniczać jej w szczegóły przygody w szpitalu, kiedy to Benni zdawał mu się tak rzeczywisty, że sądził, iż może go dotknąć.

– Nie potrafię z tobą o tym rozmawiać. – W jej głosie pobrzmiwała rezygnacja. – Poza tym mnie okłamałeś. O czym, co ma tu istotne znaczenie, nie wiem? O czym mi nie powiedziałaś?

– Co? – Serce Freyra mocniej zabiło. – O co ci chodzi?

– Nie chciałam o tym wspominać, ale to leży mi na piersi jak mara i najlepiej się wyzalić. Twoja sprawa, co zrobisz, możesz powiedzieć mi prawdę albo dalej mnie

okłamywać, albo nie mówić nic. Decyzja należy do ciebie.

Freyr milczał przez chwilę.

– Jeśli sądzisz, że mam jakieś informacje, które mogłyby wyjaśnić sprawę Benniego, to się grubo mylisz. – Był wściekły; na nią i na siebie. Doszedł do samochodu, który czekał na niego na parkingu przed lotniskiem. Pozwolił ostudzić się wiatrowi. – Jak, na Boga, przyszło ci coś takiego do głowy?

– Kiedy budzę się ze snu, który obecnie co noc mnie nawiedza, jestem o tym przekonana. I nic, co powiesz czy zrobisz, tego nie zmieni, więc możesz sobie oszczędzić trudu.

– I o czym jest ten sen, Saro? Może wrażenie, jakie pozostawia, da się wytłumaczyć jego treścią?

– O Bennim. A o czym innym? Gonię go i nigdy oczywiście nie udaje mi się go złapać, choć niewiele brakuje. Coraz mniej nawet. Wszystko jest zielone, nawet powietrze. Trudno mi to wytłumaczyć, ale budzę się złana potem, przekonana, że to ty jesteś sprawcą tego wszystkiego. Przez twoje kłamstwo.

Freyra zatkało. Sen był nieprzyjemnie podobny do ostatniego, którego opis można znaleźć w zeszycie Vedis. Nie chciał ujawnić, jak wielkie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Zwłaszcza te o kłamstwie.

– Strasznie szalała. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale uznałam, że będziesz chciał o tym wiedzieć, mimo że masz dzisiaj urlop. – Pielęgniarka, kobieta o młodej twarzy z głębokimi bruzdami wokół oczu, stała ze skrzyżowanymi rękami i nie potrafiła ukryć przejęcia.

Freyr uśmiechnął się. Zrozumiał, że pewno jego troski innej proveniencji odczytała jako niezadowolenie z tego, że wezwała go do domu starców. A przecież było wręcz przeciwnie, cieszyła go ta rozmowa, bo mógł odsunąć na bok swoje zmartwienia.

– Nic się nie stało, dobrze, że zadzwoniłaś – kontynuował, starając się sprawiać wrażenie opanowanego. – Powiadasz, że Ursula upierała się, by się ze mną zobaczyć. A wspomniała może dlaczego?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Nie, wiesz, jaka ona jest. Nie całkiem poukładana. To się podobno zaczęło podczas porannego dyżuru, a ja przyszłam dopiero na popołudnie, więc nie wiem, czy wtedy zachowywała się lepiej niż teraz. Ale wątpię. Uznałam, że najlepiej będzie, jak cię tu sprowadzę, zanim wszyscy na noc opuścimy dom. Na wypadek gdyby trzeba było ją położyć do szpitala na obserwację. Może mamy do czynienia z atakiem, a nie wiadomo, jak długo będą działać leki nasenne.

– Najlepiej będzie, jeśli sprawdzę, co tu się dzieje. – Freyr położył dłoń na klamce drzwi do pokoju pensjonariuszki. – Wychodziła dzisiaj?

– Nie. Nie chciała nawet o tym słyszeć. Na wspomnienie o wyjściu, choćby na korytarz, od razu sztywnieje. Strasznie się czegoś boi, ale nie chce powiedzieć czego. Dopóki trwa ten stan, niewiele możemy zrobić, by przezwyciężyć jej lęk. – Opuściła ręce i wyprostowała się. – Moim zdaniem jej się pogorszyło. Te drobne postępy, jakie ostatnio poczyniła, najwyraźniej się cofnęły. Niestety.

Freyr nie był szczególnie zdziwiony, obawiał się, że może dojść do czegoś takiego. Wiele objawów świadczyło o tym, że może nastąpić pogorszenie.

– Zajrzę do ciebie przed wyjściem. – Otworzył drzwi. Ciężkie powietrze w pokoju dało się niemal kroić. – Uff! Nie można otworzyć okna?

– Ona nie chce. Strasznie się denerwuje i podnieca. – Choć pielęgniarka nie opisała reakcji kobiety w szczegółach, wiedział, że nie jest ona osobą łatwą w obojętności i nie ma się co spodziewać, że personel zechce ryzykować, otwierając okno. Wątpił nawet, czy sam by zaryzykował. W każdym razie nie w obecnym stanie pacjentki.

Freyr przez chwilę oswajał się z ciemnością. Nie chciał zapalać światła z obawy, że wyprowadzi pensjonariuszkę z równowagi, uważał, że korzystniej będzie zbliżyć się do niej na jej warunkach i spróbować ją przekonać, że świeże powietrze i trochę światła dobrze jej zrobią.

– Witaj, Ursulo. Słyszałem, że chciałaś ze mną rozmawiać. – Skierował się do niej, uważając, żeby nie potknąć się o coś na podłodze i nie przewrócić. Siedziała bez ruchu przy oknie. Słabe światło latarni ulicznych sączyło się do środka przez szpary w ciężkich zasłonach, więc widział zarys jej sylwetki. – Postanowiłem wstąpić do ciebie na chwilę i zobaczyć, jak się czujesz. Wpadłbym rano, ale musiałem polecieć do Reykjavíku. – Żadnej reakcji. Myślał już, że Ursula zasnęła w fotelu albo zemdląła z braku tlenu, ale kiedy podszedł bliżej, zauważył, że oczy ma otwarte. Patrzyła wprost przed siebie na zasłonę. – Nie chcesz odsłonić i wyjrzeć na zewnątrz? Może znów zacznie padać śnieg. Sam bardzo lubię przyglądać się tańczącym płatkom.

Ursula wolno pokręciła głową.

– Nie. Wykluczone. – Głos miała schrypnięty, jakby zakurzony. – Nie chcę widzieć.

– A dlaczego? – Freyr przyciągnął krzesło. Ursula nie patrzyła na niego. Nadal wpatrywała się przed siebie. – Sądziś, że tam, na zewnątrz, coś jest? Zapewniam cię, że to tylko kilka samochodów, między innymi mój.

Kobieta nagle zwróciła głowę w kierunku Freyra.

– Tam jest coś więcej. – Patrzyła na niego nieruchoma, wściekła, jakby usiłował opowiadać jej jakieś oczywiste bzdury. – Tam jest coś więcej niż tylko samochody.

– Na przykład? – Freyr zachował spokój, gdyż do różnych rzeczy zdążył się przyzwyczaić.

Kobieta ponownie przeniosła wzrok na zasłonę, równie gwałtownie jak wtedy, gdy zwracała się w jego stronę.

– Chłopiec.

– Chłopiec? – Freyr uniósł brwi. – Nie o tak późnej porze, Ursulo. Może tam na parkingu był wcześniej chłopiec, ale teraz już wszystkie dzieci są w domach na kolacji. Poza tym nie powinnaś bać się dzieci, bo nic ci nie zrobią. – Ursula zacisnęła wargi i milczała. Freyr przyglądał się jej i zastanawiał, jak pokierować rozmową. Nie zwykła gadać tak dużo i grzechem byłoby zmarnować tę okazję. – Chciałaś ze mną porozmawiać o dzieciach? Mogę o nich mówić, mogę nawet opowiedzieć ci o pewnym małym chłopcu, którego kiedyś świetnie znałem. Często bywał niegrzeczny, ale w głębi serca dobre było zeń dziecko. A jak wiesz, to właśnie jest najważniejsze.

– Chcesz opowiedzieć o Bennim? – Kobiecie nawet nie drgnęła powieka, a Freyrowi szczęka opadła na klatkę piersiową. Skąd, u diabła, dowiedziała się o jego synu?

– Nie, nie o Bennim. – Freyr skupił się na tym, by niczego nie dać po sobie poznać. – A co ty właściwie wiesz o Bennim? Potrafisz mi o nim coś opowiedzieć?

Pokręciła głową jak wcześniej, wolno i leniwie.

– Nie, ja nic o nim nie wiem. – Przełknęła ślinę. – Nie znałam Benniego. – Zamknęła oczy. – Myślisz, że ślepi widzą, gdy śnią?

Freyr nie miał pojęcia.

– Ci, którzy kiedyś widzieli, na pewno tak, ale ci, którzy urodzili się ślepi, raczej nie. Tak w każdym razie sądzę. A dlaczego pytasz?

– Ja już nie chcę widzieć. Lepiej pozostać w ciemności.

– Nie masz racji. – Freyr czekał, aż Ursula otworzy oczy, ale najpewniej nie miała takiego zamiaru. Siedziała z zamkniętymi, nieruchoma niczym posąg. – O wiele lepiej jest widzieć, niż nie widzieć. Na całe szczęście piękno bardziej rzuca się w oczy niż szpetota. Gdybyś chętniej wychodziła na spacer, sama byś zobaczyła i zrozumiała, że mam rację. Spróbujemy? Jeśli się mylę, przestanę o tym marudzić.

– Nie chcę na dwór. Nie stąd. Dobrze wiem, co zobaczę.

– Co takiego?

– Chłopca. – Zacisnęła oczy tak mocno, że jasne rzęsy schowały się prawie pod powiekami. – Ja już nie chcę mieć oczu. – Freyr obserwował, jak jej dłonie oparte na podłokietnikach bledną.

– A co to za chłopiec, Ursulo? Czy to ktoś, kogo znam? – Potrząsnęła głową, więc spróbował jeszcze raz. – Czy jest tutejszy? Może ma jakieś imię?

Otworzyła oczy i spojrzała na Freyra. Na jej twarzy malował się niemal namacalny strach. Chory umysł wymyślił i skonstruował nową, przerażającą

rzeczywistość, w której utknęła. Jakby zwykła rzeczywistość nie była dość brutalna.

- Bernodus. - Łza spłynęła jej po policzku. - Czeka na mnie tam na dworze. - Otarła łzę zasuszoną dłonią. - Jest na mnie zły. Bardzo zły. - Uniosła ręce do twarzy, wbiła paznokcie w gałki oczne, tak mocno, że aż trysnęła z nich krew. Zanim Freyr zdążył ją powstrzymać, rozdrapała sobie powieki.

Freyr rzucił się na nią i oderwał ręce od krwawiącej twarzy. Wezwał pomoc, krzycząc ile tylko sił w płucach. Gdy usłyszał szybkie kroki pielęgniarki na korytarzu, opanował się trochę. Co więcej, jego głos brzmiał nawet spokojnie, kiedy prosił ją, by natychmiast przyniosła leki znieczulające. Wybiegła i wtedy udało mu się sprytnie oderwać ręce Ursuli od oczu i przytrzymać na jej kolanach.

- Spokojnie, Ursulo. Spokojnie.

Roześmiała się pozbawionym radości śmiechem. Po chwili urwała i spojrzała na niego. Jej twarz poźłobiona była zaciekami, już to krwawymi, już to po łzach, które lały się teraz strumieniami.

- On chce ludzkiej krzywdy. Wiesz o tym? Chce krzywdzić, okaleczać. - Przechyliła głowę na bok i popatrzyła mu w oczy. - Ciebie może też. Ale chce, żebyś najpierw odnalazł Benniego. - Dwie czerwone łzy kapnęły z jej brody i spadły na zniszczony szlafrok, który włożyła na koszulę nocną. - Mówi mi to w mojej głowie.

Podbicie stopy tak okrutnie ją bolało, że Katrin nie miała najmniejszej wątpliwości, iż ma złamaną nogę. Stopa spuchła i Gardar i Lif musieli rozciąć but, by go zdjąć. Normalnie się nie dało, gdyż ból był nie do zniesienia. Z jakichś powodów było jej także potwornie zimno. Dygotała, pomimo że owinęli ją szczelnie w koc. Ciągle musiała odpędzać od siebie myśli, że oto znalazła się w tej samej sytuacji co nieszczęśnicy w odległej przeszłości, kiedy to najmniejsze skaleczenie kończyny groziło gangreną, a to z kolei często kończyło się albo amputacją, albo śmiercią. Była tak zmęczona i sparaliżowana, że niełatwo jej było zdecydować, co gorsze. W porównaniu z jej obecnym samopoczuciem stłuczenia po upadku ze schodów zdawały się błahostką.

– Kawa gotowa. – Gardar podał jej filiżankę. – To cię powinno trochę rozgrzać.
– Twarz miał opuchniętą wokół ran i stłuczeń, których doznał, i w nieprzyjemnym świetle latarki wydawał się kompletnie obcym człowiekiem.

– Dlaczego nie zabrałam ze sobą ibufenu? Zawsze mam go w torebce, a teraz, kiedy go potrzebuję, pudełko okazuje się puste. – Lif grzebała w wielkiej czarnej torbie z lśniącej skóry, a Katrin nie była pewna, czy tak zawzięcie szuka dla siebie, czy dla niej. – Bez sensu.

– Muszę skoczyć do domu lekarza. Może jest tam apteczka, leki i bandaże. – Gardar bełkotał, a jego głos brzmiał dziwnie z powodu spuchniętego policzka.

– Nigdzie nie pójdziesz. Do rana spokojnie wytrzymam. – Katrin mówiła poważnie. Choć czuła ból większy niż kiedykolwiek wcześniej, bezsenna noc zdawała się sto razy lepsza niż samotny spacer Gardara w ciemnościach, które akurat zapadły, gdy kuśtykając, wracali do opuszczonej osady. Wprawdzie do domu lekarza został im tylko kawałek, ale Katrin nie dała rady iść dalej. Dotarli tylko do swojego domu, a przez ostatni odcinek drogi Gardar i Lif prawie ją nieśli. Wszyscy byli więc wykończeni, również Putti. Zamierzali trochę odpocząć, a później spokojnie pójść do domu lekarza, zabierając ile tylko się da drewna opałowego. Tam były ich śpiwory i świeczki, tam mieli też poczucie bezpieczeństwa; tych trzech rzeczy najbardziej obecnie potrzebowali. Ale kiedy zniszczyli but Katrin, stało się jasne, że na razie dalej nie pójdą. Jednak dopiero teraz po raz pierwszy któreś z nich wspomniało o konieczności udania się do drugiego domu. – Dlaczego ty w ogóle z tym występujesz? Nikt od ciebie nie wymaga, żebyś gdziekolwiek szedł, i wcale nie musisz tego proponować. Do rana przeżyjemy. Nie musisz odgrywać bohatera. – Strach Katrin, że Gardar postawi na swoim, zmienił się we wściekłość.

– Nic mi się nie stanie, a droga tam i z powrotem zajmie mi najwyżej pół godziny. Zamarzniemy w nocy, jeśli nie będziemy mieć śpiworów, a latarka na długo nie starczy. Chcecie siedzieć tu całą noc, dygocąc z zimna w ciemności? –

Gardar nie był ani podekscytowany, ani rozdrażniony, powiedział to prawie bez emocji, jakby był automatyczną wersją samego siebie, z wypchanymi policzkami i wata w ustach. – Nie odgrywam żadnego bohatera, po prostu trzeba to zrobić.

– Lif, a dlaczego ty nie pójdziesz? – Pytanie zabrzmiało absurdalnie, zwłaszcza że Lif była ostatnią z całej trójki, która ruszyłaby się bez towarzystwa. – Śpiwory są leciutkie i równie dobrze jak Gardar mogłabyś je tu przynieść.

Żółtawe światło latarki oświetliło twarz Lif, która podniosła zdziwiony wzrok znad torby.

– Ty chyba żartujesz. A może doznałaś wstrząsu mózgu? Nigdzie nie idę. – Dolną wargę wysunęła lekko do przodu i wyglądała trochę jak zuchwałe dziecko.

– Przestańcie bredzić. – Gardar wstał. – Pójdę, a wy tu zaczekacie. Wrócę, nim się zdążyte zorientować, że mnie nie ma. – Światło latarki zbladło i zamrugało. – To jedyne wyjście. Im wcześniej wyruszę, tym większe prawdopodobieństwo, że baterie w latarce wytrzymają.

Lif spojrzała na Katrin, której trudno było się połapać, czy przyjaciółka wciąż ma rumieńce po spacerze, czy to wpływ mdłego światła. Popatrzyły sobie w oczy, a Lif zaproponowała zgodę, co było do niej niepodobne. – Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że z nim pójde? – Popatrzyła na psa śpiącego obok krzesła Katrin. – Putti oczywiście zostanie z tobą.

Katrin otworzyła usta, żeby natychmiast się zgodzić, ale w tej samej chwili się rozmyśliła. Oczywiście, że lepiej by się czuła, gdyby Gardar nie szedł sam, nie będzie ich tylko chwilę, ale ta propozycja wcale nie była lepsza od jego oferty. Różnica była tylko taka, że to ona, a nie on, musiałaby sama sobie radzić. Natomiast dla Lif oba rozwiązania niczego nie zmieniały, cały czas miałyby towarzystwo.

– A jak coś się stanie?

– Dzisiaj już nic więcej raczej się nie stanie. Miałas szczęście, że uszłaś z życiem – odpowiedziała Lif za Gardara, który miał zamiar oświadczyć, że pójdzie sam. – Gdybyś się nie cofnęła, wszystkie cegły spadłyby ci na głowę, a nie na stopę.

– Kata, słyszałaś jakieś hałasy, zanim mur runął? – Gardar już wcześniej usiłował zadać jej to pytanie, ale Katrin nie chciała wtedy odpowiedzieć ze strachu, że zostawi je same, wróci tam i przeszuka przetwórnę w nadziei, że uda mu się odnaleźć chłopca. Kiedy Katrin była już pewna, że nie jest to zwykłe dziecko z krwi i kości, wzdragająca się na samą myśl, że Gardar je ujrzy, a co dopiero, że ta istota zwabi go do ruin i zabije. – Może w porę zauważyłaś coś niepokojącego? Lif ma rację, twoja szybka reakcja cię uratowała. Wiadomo, co by się stało, gdybyś nie ruszyła się z miejsca.

– Widziałam chłopca – odparła Katrin z kamienną twarzą. Teraz wreszcie mogła wyrzucić to z siebie. W obecnej sytuacji Gardar z pewnością nie będzie chciał wracać do przetwórni. – Nic nie słyszałam. Po prostu się zlekłam i cofnęłam. Był w środku.

Mina Gardara świadczyła o tym, że potrzebuje chwili, by się zastanowić.

- Był w ruinach? - Oddychał głęboko. - Chcesz powiedzieć, że on tam przebywa, mieszka?

- Mówię tylko, że go tam widziałam. Bardzo wyraźnie, tak jak zawsze go widzimy. Stał ze spuszczoną głową w ciemności. - Katrin rozmasowywała kolano, które zaczynało sztywnieć, ponieważ cały czas trzymała nogę w nienaturalnej pozycji, usiłując ją chronić, nawet gdy siedziała. - Nie wiem, może to on jakoś pchnął te cegły. Chociaż nie stał blisko.

- Musimy się stąd wydostać. - Z każdym słowem głos Lif był coraz wyższy. - Zrobimy tak, jak zaproponowałam. - Wstała, a Putti poruszył się nerwowo, gdy skrzypnięcie krzesła rozniosło się po pomieszczeniu. Uniósł łeb, spojrzał na swoją panią, ale postanowił spać dalej, najwyraźniej przyzwyczajony do takich pomysłów.

- Lif, przecież ja nie jestem w stanie chodzić. - Katrin przesunęła ostrożnie nogę, ale ból był tak intensywny, że się skrzywiła. To wyglądało trochę, jakby udawała, lecz tak źle się czuła, że było jej wszystko jedno, co Lif o tym sądzi. - Może uważasz, że powinnam tu zostać i poczekać, aż sprowadzicie pomoc? - Mówiła przez zaciśnięte zęby, noga wciąż płonęła z bólu.

- Przestańcie pieprzyć. - Gardar ruszył w kierunku drzwi. - Możecie się kłócić, ile tylko chcecie, gdy stąd wyjdę. Nie mam zamiaru tego słuchać. Ani nie będę już zwlekał. - Przy drzwiach odwrócił się do nich. - Idę, a wy na mnie czekajcie. Sama nie jesteś tu bezpieczna, Kato. - Nie czekał na odpowiedź, opuścił pokój zdecydowanym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Jeszcze drzwi dobrze się za nim nie zamknęły, kiedy Katrin podjęła nagłą decyzję. Była przekonana, że jeszcze tego pożałuje, ale wiedziała, że postępuje słusznie.

- Idź z nim, Lif. Nic mi nie będzie. Tylko się pospieszcie.

Znów mrugnęło światło latarki. Lif nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Zerwała się na nogi i wybiegła za Gardarem. Odwróciła się w drzwiach, podeszła do Katrin i pocałowała ją siarczyście w policzek.

- Sorry. Zapomniałam o twojej nodze, kiedy zaproponowałam, żebyśmy się stąd wynieśli. Naprawdę nie chciałam, żebyś tu sama została. Po prostu wkurza mnie ta sytuacja i mam ochotę zapalić. - Uśmiechnęła się do Katrin, która usiłowała odwzajemnić jej uśmiech. Nie bardzo jej to wyszło, gdyż ból coraz bardziej jej doskwierał. - Putti cię przypilnuje. - Lif pobiegła do Gardara, który hałasując, w mrocznym przedpokoju szykował się do wyjścia. Katrin i Putti, który otworzył oczy i obserwował, jak Lif opuszcza pokój, zostali sami. Piesek przymknął oczy, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, mniej więcej w tym samym momencie zgasła latarka.

Ciężki, wolny oddech śpiącego psa nieco uspokajał Katrin. Latarka zdecydowanie nie chciała zaświecić, choć Kata wciąż ponawiała próby. Żarówka raz delikatnie zamigotała, ale trwało to zaledwie kilka sekund. Czas mijał wolno, lecz Katrin doskonale wiedziała, że w tych okolicznościach każda minuta dłuży się jak dziesięć, sto albo nawet tysiąc. Gdyby była w dobrym towarzystwie w restauracji, czas płynąłby błyskawicznie, a teraz skracała sobie oczekiwanie, licząc do sześćdziesięciu i zapamiętując minuty, które jej zdaniem minęły. Niestety, zdarzało się, że liczyła zbyt szybko, więc jej buchalteria nie była wiarygodna.

- Putti, zaraz na pewno wrócą. - Jej głos w tej ciszy i pustce brzmiał idiotycznie. Ale i tak lepiej było słuchać swego głosu niż ciszy. - Nie uważasz? - Pies nie odpowiedział, a sądząc po oddechu, nawet się nie poruszył. Katrin zastanawiała się, czy nie wyciągnąć zdrowej nogi i nie trącić go delikatnie, ale ostatecznie zrezygnowała, obawiając się, że ruch zaszkodzi kontuzjowanej kończynie. Niemniej miała ochotę zbudzić Puttego, uważała za niesprawiedliwe, że on pozostaje w objęciach Morfeusza. Równie dobrze mogłaby być sama. Poza tym pies stanowił doskonały miernik ogólnej sytuacji, jego narządy zmysłów były lepiej nastrojone i bardziej wrażliwe niż jej. Gdyby czuwał, nie wydając choćby jednego warknięcia, mogłaby się odprężyć, gdyż miałyby jakąś tam pewność, że nic złego się nie dzieje. Teraz pewno cały chór chłopięcy musiałby tu wtargnąć ze śpiewem na ustach, żeby zakłócony został spokój zwierzaka nieprzywykłego do trudnej wędrówki po głębokim śniegu. Ta myśl nie przestała jeszcze kołatać w głowie Katrin, kiedy rytm oddechu Puttego się zmienił i pies krótko zaszczekał. Co za głupota! O wiele gorzej jest, gdy pies czuwa, bo jeśli wyda byle dźwięk, człowiek wyobraża sobie niestworzone rzeczy. Szczeknięcie zdawało się wisieć w powietrzu jeszcze długo po tym, jak pies zamilkł, i Katrin walczyła z przemożną ochotą zasłonięcia sobie uszu. Jakby przyszło co do czego, to lepiej wcześniej coś usłyszeć, niż czekać w nieświadomości na zło, które ma się wydarzyć. Chociaż do niczego się nie nadawała, to być może jednak w obliczu zagrożenia udałoby się jej coś wymyślić.

Usłyszała cichy chrzęst, a zaraz potem trudny do określenia zgrzyt. Przestraszyła się, zdając sobie sprawę, że źródło dźwięku znajduje się w domu. Putti cicho warknął, po czym zaczął szczeekać ile sił w płucach.

- Ciiiicho. - Jeśli dalej będzie tak hałasował, nie usłyszysz nic poza jego ujadaniem i nie zorientuje się, skąd dobiega dźwięk, gdy znów się powtórzy. Pies zaszczekał jeszcze raz, tym razem nieco ciszej, a potem zamilkł. Katrin wyętyżyła słuch, po czym zasłoniła nos, bo poczuła wstrętny zapach, jakby zepsutej ryby. Nagle zdawało jej się, że ktoś stoi za jej plecami. Znów usłyszała chrzęst, a po nim taki odgłos, jakby ktoś przestąpił z nogi na nogę na zbutwiełej desce podłogi. Katrin wolno odwróciła głowę, przekonana, że za oparciem krzesła będzie stał ten, kogo spodziewała się zobaczyć. Ale gdy w ciemnościach nie zobaczyła nikogo. Wbiła wzrok w miejsce, z którego dobiegał trzask, przekonana, że zauważy jakiś ruch. Nic tam nie było, ale dźwięk się powtórzył, wtedy uświadomiła sobie, że się pomyliła, bo jego źródło nie znajduje się w domu, lecz na

tarasie. Odwróciła głowę nieco w prawo, żeby wyjrzeć przez okno.

Serce w niej zamarło, by po chwili zacząć walić z taką siłą, że aż zafalowały jej piersi. Choć panowały czarne i gęste ciemności, jej oczy przyzwyczyły się na tyle, że zauważyła na szybie bladą dłoń, z palcami rozcapierzonymi, jakby czekającymi na długopis, który obrysuje ich kontury. Były drobne i szczupłe, co świadczyło, że należą do dziecka, i choć trudno jej było rozróżnić kolory, opuszki palców wyglądały na zdecydowanie ciemniejsze od dłoni. Jej kolor był wstrętny i choć nie wiedziała dlaczego, to na pewno nie chodziło o brud, lecz coś innego, gorszego. Czego – nie miała pojęcia. Putti chyba też zauważył dłoń za szybą, bo przeciągle zawył. Katrin usiłowała oddychać naturalnie, ale zbyt głęboko wciągała powietrze i kiedy chciała je wypuścić, nie mogło wyjść z płuc. Obrzydliwy smród rybich wnętrzności był nie do zniesienia. Poczła mdłości, które spotęgowały się, gdy usłyszała, że właściciel dłoni mamrocze coś za oknem. Już miała zasłonić sobie uszy, zacisnąć powieki i zacząć odliczać sekundy, czekając, aż wydarzy się jedno z dwojga: albo wrócą Gardar i Lif, albo zimna, mała dłoń przywróci jej pełną świadomość. I wtedy zdawało jej się, że słyszy słowa: – Biegnij, Kato, biegnij. – Zasłoniła uszy i zamknęła oczy. Nie chciała wiedzieć, co ją spotka.

Przez czarnoszarą zasłone chmur szczelnie przesłaniającą niemal całe nocne niebo na moment wyrzwał księżyc. Wtedy znów ukazała się martwa roślinność na dziedzińcu szpitalnym w trzech wymiarach, ale tylko na chwilę. Śnieg wszystko pokrywał i Freyr, który już prawie godzinę wyglądał przez okno swojego gabinetu, nie zauważył niczego interesującego. Siedział na krześle z telefonem w rękę, nie mając pojęcia, do kogo mógłby zadzwonić, gdyby przyszła mu ochota sobie ulżyć. Rozmowa z Ursulą do niczego go nie przybliżyła. Kobieta na chwilę otworzyła się przed nim, po czym znów schowała się w swojej skorupie; wspomniała jedynie, co ewentualnie mogłoby pomóc mu wyjaśnić zagadki i uwolnić się od wewnętrznej wojny, którą toczył. Nic więcej nie powiedziała mu o tym, co wie, lub uważa, że wie, a teraz leżała już, bez kontaktu ze światem, w szpitalnej izbie przyjęć. Sądząc po stanie, w jakim ją tam zostawił, nie da się wyciągnąć z niej jutro czegokolwiek, i co gorsza, zważywszy na historię jej choroby, niewykluczone, że nie odezwie się przez następne lata. O co jej chodziło, kiedy mówiła, że Bernodus, który zniknął pół wieku temu, chce, by odnalazł Benniego?

Na domiar złego zadzwonił do wdowca po Halli zapytać o blizny na jej plecach, ale nie otrzymał satysfakcjonujących odpowiedzi. Te, które usłyszał, wszystkie wyszły jakby spod jednej sztancy. Wdowiec był strasznie niemiły, choć Freyr nie opisywał mu kształtu blizn. Nie był zadowolony z telefonu o tak późnej porze w tak nieistotnej sprawie. Freyr ugłaskał jakoś swojego rozmówcę i ten co prawda udzielił odpowiedzi na jego pytania, jednak nie wniosły one niczego nowego. Dowiedział się jedynie, że Halla ukrywała blizny przed mężem. Indagowana o nie podobno tłumaczyła, że to egzema. Wdowiec twierdził, że choroba dała znać o sobie kilka lat temu, lecz nie potrafił nawet w przybliżeniu określić daty. Freyr pozostawił jego słowa bez komentarza. Podejrzewał jednak, że stało się to przed trzema laty, w każdym razie to byłoby logiczne. Nie chciał wzbudzać w mężczyźnie jakichś podejrzeń, więc pytania zadawał bardzo ostrożnie. Udało mu się wyjaśnić, że Halla nie miała objawów egzemy, dopóki choroba nie zaatakowała pleców, a najbardziej cierpiała rano po pełnych bólu nocach. Mąż nigdy nie widział jej blizn, bo Halla zawsze zakrywała przed nim plecy. Sądził, że bardzo się krępowała. Freyr pożegnał go, nie wspominając o krzyżach na plecach ani o gronie zmarłych przyjaciół, uważał, że powinien pozwolić wdowcowi pochować małżonkę w spokoju. Spytał natomiast, jak on sam się czuje, i otrzymał odpowiedź, że fatalnie, ale przywyknie do tego. Wspiera go córka, synów także zaprosił i już bardzo mu pomogli.

Kiedy Freyr odłożył słuchawkę, mógł jedynie podrapać się po głowie. Sądząc po opisie staruszka, niewątpliwie rany na plecach Halli otwierały się w nocy. To niemal całkowicie wykluczało udział osób trzecich, mąż zauważyłby, gdyby

wychodziła z łóżka. Freyr uważał także za pewnik, że mąż nie przyczynił się do powstania tych obrażeń. Cichy głos choroby psychicznej, nachodzący Freyra w chwilach zapomnienia, podszeptował mu, że ani Halla, ani inni żyjący nie spowodowali tych blizn. Przyczyną były jakieś większe, straszliwsze siły. Choć Freyr aż wzdrygnął się na tę chorą myśl, rozpałała ona w jego głowie inną wątpliwość: czy Halla mogła sama poranić własne plecy, nie zdając sobie z tego sprawy? Niczego nieświadoma i nic nie czując? Freyr wprawdzie słyszał o czymś podobnym, ale niespecjalnie dawał temu wiarę. Takie opowieści dotyczyły zazwyczaj ludzi, którzy uważali się za stygmatyków, czyli że na ich stopach i dłoniach pojawiały się rany jak po ukrzyżowaniu, ale nikomu nie udało się udowodnić, że ludzie ci sami zadawali sobie owe obrażenia wyłącznie siłą woli. Niemniej snuto na ten temat teorie. Oczywiście hipoteza była poroniona, ale nie tak nieprawdopodobna jak ta, że rany na plecach Halli zadała jakaś istota z zaświatów.

Odezwwał się telefon na biurku. Dzwoniła pielęgniarka, którą odwiedził w drodze do swojego gabinetu; przyszedł do szpitala z nadzieją, że stary nauczyciel nie śpi i będzie w stanie z nim porozmawiać. Okazało się jednak, że jest inaczej, ale siostra obiecała go poinformować, gdyby tamten się zbudził. Często zdarzały mu się bezsenne noce. Oznajmiła, że mężczyzna usiadł na łóżku i koniecznie chce się zobaczyć z Freyrem, zadowolony, że ktoś pomoże mu umilić długie godziny czuwania. Freyr zerwał się na nogi, pomyślał, że gdyby pielęgniarka nie zadzwoniła, najpewniej gapiłby się przez okno do samego rana i kolejny raz przystąpił do pracy z podkrążonymi i przekrwionymi oczami. Taka opcja oczywiście jeszcze istniała, bo nie wiadomo, czy uda mu się zasnąć pomimo zmęczenia, które z każdą godziną zaczynało mu coraz bardziej dokuczać. Może sen nadejdzie po rozmowie ze starym człowiekiem?

Zawahał się, otwierając drzwi na korytarz. Przywitało go znane mruganie i głośny stukot, chociaż żarówka została wymieniona. To zatem lampa musiała być zepsuta. Postanowił porozmawiać z konserwatorem, mimo że ten uważał go za strasznego dziwaka. Wciągnął głęboko powietrze, pomny na zwidy, które miał tutaj tak niedawno. Teraz, padając ze zmęczenia, mógł się spodziewać, że omamy będą go dręczyć tym bardziej. Podjął decyzję i wyszedł na korytarz. Ulżyło mu, gdy zobaczył jedynie linoleum i pomalowane na biało ściany, jednak idąc korytarzem, dostał gęsiej skórki. Nie potrafił uwolnić się od uczucia, że jest obserwowany. Co rusz oglądał się za siebie podejrzliwie, ale niczego nie zauważył. Słyszał jednak cichutkie chichotanie. Miał oczywiście omamy, ale przyszło mu na myśl, że może nagrać ów dźwięk i przekonać się, co to naprawdę jest. Zatrzymał się, włączył funkcję nagrywania w komórce i ruszył wolno w kierunku klatki schodowej. Kiedy tam dotarł, wyłączył nagrywanie i wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Dopiero kiedy znalazł się na oddziale i spojrzał w przyjazną, uśmiechniętą twarz pielęgniarki, gęsia skórka zniknęła. Zdumiona mina kobiety zdradzała, że zauważyła, iż pan doktor poczuł ulgę, więc zakłopotany usiłował zachowywać się naturalnie.

– Jest u siebie. Na drugim łóżku nikogo nie ma, wypisaliśmy dziś tamtego pacjenta. – Kobieta zdawała się zmieszana. Freyr zawsze bardzo ją lubił, ale, niestety, zbyt rzadko zdarzały im się wspólne dyżury. Dziewczyna była bystra i zazwyczaj nie okazywała w pracy skrępowania, tak jak teraz. – Mogę spytać, dlaczego chcesz do niego teraz zajrzeć?

– Badałem sprawę kobiety, która pozbawiła się życia w Sudaviku. On uczył w podstawówce, do której uczęszczała. – Uśmiechnął się do pielęgniarki. Zauważył, że wyjaśnienie wydaje jej się naciągane. – Uwierz mi, historia jest tak nieprawdopodobna, że próżno by ją próbować ogarnąć rozumem. Ale jak to się już skończy, usiądziemy sobie przy kawie i opowiem ci o wszystkim.

Uśmiechnęła się ponownie, odsłaniając białe, równe zęby.

– Sądząc po opisie, kieliszek wina będzie bardziej na miejscu niż kawa. – I jeszcze raz posłała mu uśmiech. – Coś mocniejszego w każdym razie.

Frejr przecież nie urodził się wczoraj. Zauważył, że dziewczyna z nim flirtuje. Odwzajemnił jej uśmiech. Przypominała mu pewną kobietę, z którą pozostawał w krótkotrwałym związku. Wówczas taki związek nie był mu potrzebny i naprawdę żałował, że się weń uwikłał, ale teraz zaistniały zupełnie nowe okoliczności, lepsze, a poza tym ta tutaj kobieta zdawała się być lepszą wersją tamtej i do tego trochę zdrowszą. Najwyższy czas spróbować swoich sił, a jeśli chodzi o sprawy damsko-męskie, Dagny chyba oddalała się od niego, choć przyjaźnili się coraz bardziej. Ta była piękna, bystra i co najważniejsze – przystępna. Być może aby wrócić na właściwą ścieżkę, najbardziej potrzebował normalnych kontaktów z płcią przeciwną.

– Całkiem niezła propozycja. Umowa stoi. – Nieco weselszy ruszył w kierunku jedynej sali, z której na korytarz sączyło się światło. Stał w drzwiach. Wyglądało na to, że stary nauczyciel znów zasnął, i jego radość całkiem przysła. Wezłowie łóżka zostało podniesione, mężczyzna leżał z głową na poduszce z zamkniętymi oczami i słuchawką w jednym uchu. Freyr zakasłał cicho, żeby zwrócić na siebie uwagę, na wypadek gdyby starszek nie spał, tylko zasłuchał się tak w audycję. I szczerze ucieszył się, gdy tamten otworzył oczy. – Nie byłem pewien, czy nie śpisz. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Mężczyzna poklepał łóżko.

– Nie, nie obudziłeś mnie. Wejdz. Mało ostatnio sypiam, chyba że połknę leki. – Wyciągnął słuchawkę z ucha i ściszył głos. – A właściwie co mogę dla ciebie zrobić? Spodziewam się, że chodzi ci o to, o czym rozmawialiśmy ostatnio. Zastanawiałem się trochę i wspominałem dawne lata. To przedziwne, że niektóre z najstarszych wspomnień wciąż żyją w mojej pamięci, a nie zawsze potrafię sobie przypomnieć, co było na kolację.

– Może nie warto sobie tego przypominać? – Freyr usiadł obok łóżka. – Ale jeśli chodzi o cel mojej wizyty, to dobrze zgadłeś. Sam sporo rozmyślałem o zaginionym chłopcu, o którym mi mówiłeś. O Bernodusie. Jego imię co i rusz

przewija się w pewnej, ogłędnie mówiąc, dziwnej sprawie, a pewno ma związek z przeszłością.

Mężczyzna skinął głową pokrytą cienką skórą przypominającą miękki wosk. Wyglądał, jakby twarz mu się topiła.

– Zaginięcie chłopca to była wielka tragedia, ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby jego historia mogła się wiązać z jakąś dzisiejszą sprawą. – Spojrzał na Freyra. Choć najwyraźniej dobiegał kresu życia, wciąż miał młodzieńczy błysk w oczach.

– Chyba że znaleźliście jego kości. Rzeczywiście?

Freyr pokręcił głową.

– Nie, to nie takie proste. Niestety.

– To grzech. Zawsze uważałem, że śmierć nie będzie nigdy do końca rozliczona, jeśli kości nieboszczyka nie spoczną w poświęconej ziemi. – Malutka biała słuchaweczka wyglądała nieco abstrakcyjnie w jego rękach. – Może dlatego, że kiedy byłem mały, mój ojciec zginął na morzu. Ciągłe zastanawiałem się nad tym, gdzie leżą jego kości, czy z czasem zostaną zagrzebane w piasku na dnie, czy może ktoś je znajdzie. Pamiętaj, że byłem wtedy dzieckiem. Kiedy dorosłem, mniej się już tym oczywiście przejmowałem, ale z pewnością żegnałbym się bardziej pogodzony z tym światem, gdyby szczątki wydobyto. Ale już tam pozostaną, podobnie jak kości tysięcy ludzi, którzy znaleźli grób w morzu.

– Myślisz, że chłopiec zginął w morzu? Utonął? – Chociaż Freyr współczuł starcowi z powodu tragicznej śmierci ojca, wołał trzymać się innego tematu z obawy, że wspomnienia go przygniotą, a jedna stara historia pociągnie za sobą drugą i tak dalej.

– Tego nie wiem. Ale bóg morza Aegir rzadko wypuszcza ze swych lodowatych objęć tych, którzy w nie wpadną. Dlatego to całkiem możliwe. W okolicy nie ma miejsc, które dłużej mogłyby zachować taką tajemnicę. Minęło już prawie pół wieku od jego zniknięcia i żadnych nieznanymi kości dziecka tu nie odkryto. A przecież miasto nie jest otoczone lawą i skałami, po których nikt nie chodzi.

– A jeżeli ktoś go porwał, zamordował i zakopał gdzieś zwłoki? W takim przypadku wydaje się mało prawdopodobne, by jego szczątki kiedykolwiek zostały znalezione. – Freyrowi trudno przyszło dokończenie zdania. Zbyt często ta myśl zaprzętała mu głowę w związku z zaginięciem synka.

Stary człowiek ze smutkiem pokręcił głową.

– Myślę, że wtedy świat był lepszy, i trudno mi uwierzyć, żeby coś takiego mogło mieć miejsce. Tutaj nie mieszkał – i mam nadzieję, że nie zamieszka – nikt, kto byłby w stanie popełnić podobną zbrodnię. W owym czasie plotkowano, że może ojciec Bernodusa pobił go na śmierć, chcący lub nie, i ukrył zwłoki. Miał dość ciężką rękę. Ale nigdy w to nie uwierzyłem. Moim zdaniem ów biedny człowiek w takiej sytuacji zostawiłby chłopca w kałuży krwi w salonie. Tylko alkohol się dla niego liczył.

– Widziałem stare akta policyjne dotyczące sprawy Bernodusa i wygląda na to, że dość intensywnie szukano chłopca, ale bez rezultatu. Specjalnie wiele się z tych raportów nie dowiedziałem, ale jedna rzecz wzbudziła moją ciekawość. Nigdzie nie wspomina się o matce chłopca. Nie żyła czy też może miała podobne skłonności co ojciec i się wyprowadziła? Zastanawiałem się nad tym, bo dziecko często w podobnej sytuacji ucieka z domu i próbuje odnaleźć rodzica, który we wspomnieniach wypada znacznie lepiej niż w rzeczywistości. Wówczas chłopak mógłby zamarznąć w drodze albo zginąć w wypadku. To działo się zimą, prawda?

– Tak, kiedy tamte wydarzenia miały miejsce, zima zdążyła już pokazać swoje ostre pazury. Ale on nie uciekł z domu, żeby poszukać matki, bo wtedy już nie żyła. – Mężczyzna do połowy opuścił powieki. – Zginęła kilka lat wcześniej, utonęła, usiłując uratować młodszego brata Bernodusa. Gdy łódź ściała fiord, wybrał się na spacer i wpadł do przerębli, a kobieta ruszyła mu na pomoc. Oboje zginęli i podobno wtedy ojciec Bernodusa stracił chęć do życia, popadł w pijaństwo i abnegację. Nie potrafił pogodzić się ze stratą i znenawidził starszego syna, który był świadkiem tych okropności. Ktoś mi kiedyś powiedział, że obwinił go za wszystko. Uważał, że syn powinien pospieszyć im na ratunek. To oczywiście nonsens, chłopiec nie był w stanie wyciągnąć z wody matki i brata. Po prostu też znalazłby w morzu swój grób. Nie mam pojęcia, czy to Bachus podrzucił ojcu ów pomysł, czy może nasienie padło na podatny grunt, kiedy źle się im wieść zaczęło. Jedno jest pewne, nigdy nie okazywał synowi miłości ani nie zajmował się nim, jak przystoi ojcu. – Stary człowiek całkiem zamknął oczy. – Poprzestaną na stwierdzeniu, że okrył się straszną hańbą na długie lata.

Freyr musiał to wszystko przemyśleć. Na ten temat lepiej rozmawiało się z ludźmi ze starszego pokolenia, nieważne, że często zdarzały się pauzy.

– A więc chłopiec został przez zapijaczzonego ojca obarczony winą za śmierć matki i młodszego brata – powiedział zamyślony, jakby starał się podsumować to, co wie. – Co za koszmarnie metody wychowawcze. – Freyr zaczął podejrzewać, że chłopiec targnął się na swoje życie. – Nie miał żadnej babci, dziadka czy innych krewnych, u których mógłby się schronić?

– Rodzina nie pochodziła stąd i nigdy nie słyszałem o krewnych. Oczywiście, że gdzieś tam istnieli, rozsiani po kraju, ale nikt ich nie znał. Wypadek, w którym zginęła matka i młodszy syn, miał miejsce, zanim ojciec ze starszym synem sprowadzili się tutaj, tak że nigdy nie widziałem matki ani nic o niej nie wiedziałem. Kiedy przydarzyło im się to nieszczęście, mieszkali w Hesteyri. – Stary człowiek uniósł nieco głowę z poduszki i zwrócił się w stronę Freyra. Sine żyły wyraźnie odcinały się na tle białej, niemal przezroczystej skóry. – Nigdy go nie uczyłem, więc nie znałem jego problemów, choć wszyscyśmy o nich wiedzieli, o warunkach, w jakich przyszło mu żyć. Potem oczywiście bardziej utkwiał mi w pamięci z powodu losu, jaki go spotkał. Bardzo to nas, nauczycieli, dotknęło. Wkrótce miało miejsce włamanie do szkoły, tak że to był rzeczywiście bardzo trudny okres.

– A ile czasu minęło między jednym a drugim wydarzeniem? – Daty myliły się trochę Freyrowi.

– Dziesięć dni, pół miesiąca może. Nie pamiętam.

– Czy w jakiś sposób łączono te dwie sprawy?

– Nie przypominam sobie, żeby coś takiego mówiono. Nie bardzo wiem, jak by mogły się łączyć. – Odwrócił wzrok od Freyra i oparł głowę o poduszkę. Wgłębienie, które się na niej uformowało, było niemal niezauważalne. – I nie sędzę, żeby je łączono. – Choć rozmowa nie trwała długo, w jego głosie słychać było zmęczenie.

Niewiele można było do tego dodać, więc Freyr postanowił się pożegnać. Nic się nie wyjaśniło, tyle że teraz skłaniał się raczej ku opinii, iż chłopiec poszedł w ślady matki i brata i utonął w morzu, w taki czy inny sposób. To było najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, a nader często najprostsze hipotezy okazują się najtrafniejsze. Zanim wstał, zadał jeszcze jedno pytanie, w nadziei, że staruszek mu odpowie, jak i po to, by jeszcze chwilę z nim porozmawiać.

– A czy nauczycielka Bernodusa wciąż żyje? Może będzie wiedziała coś więcej o tej sprawie?

Stary człowiek słabo pokręcił głową.

– Nie, ona już dawno odeszła. Umarła w strasznych mękach, o wiele za młodo. Zjawiłeś się kilka dziesięcioleci za późno, żeby wypruć z niej flaki.

– Nie umarła chyba w tym samym czasie, kiedy zniknął Bernodus i włamano się do szkoły?

– Nie, nie. Sporo później. Pewno jakieś dziesięć lat. Nieco wcześniej musiała odejść ze szkoły z powodu ślepoty.

– Oślepała na skutek choroby? – Freyr przypomniał sobie, że nauczycielka na zdjęciu wyglądała młodo, a jeśli dodać dziesięć lat, była najwyżej w średnim wieku. Nieczęsto zdarza się, by stosunkowo młodzi ludzie tracili wzrok z powodu jaskry czy zaćmy, ale oczywiście istnieje wiele innych schorzeń oczu, niezależnie od wieku.

– Nie, to był wypadek. Wiosną w niewyjaśnionych okolicznościach poślizgnęła się na lodzie i upadła twarzą na ogrodzenie, uszkadzając oczy, tak że nie udało się ich już uratować. Dziwna się jakaś po tym zrobiła, biedaczka, mówiła, że została popchnięta, choć liczni świadkowie twierdzili, że w pobliżu niej nikogo nie było. To dlatego poproszono mnie jesienią, żebym przejął klasę. Wychowawczyni zrezygnowała z pracy. – Ręce starca skurczyły się bez wyraźnego powodu. – Można powiedzieć, że ten wypadek stał się przyczyną jej śmierci, bo później wpadła pod samochód. Chodziła z białą laską, ale nie uważała albo coś jej się pomyliło i tak się to skończyło. Jeśli chcesz, żebym dalej faszerował cię starymi plotkami, to słyszałem wtedy, że kiedy badano zwłoki, okazało się, że zupełnie sfiksowała, ale nie wiem, ile w tym prawdy. Przyszło mi tylko do głowy, żeby o

tym wspomnieć, bo w końcu specjalizujesz się w sprawach głowy i umysłu.

Freyr uznał, że nie jest to gorszy od konwencjonalnego opis jego specjalizacji.

– A wiesz może, dlaczego zaczęto tak mówić?

– Podobno dokonała samookaleczeń, których nie można wyjaśnić inaczej niż psychicznym niezrównoważeniem. – Stary człowiek ziewnął. – Prawdę mówiąc, nie była szczególnie lubiana, więc pewno stąd te plotki. Nie bardzo przejmowała się pracą, faworyzowała niektórych uczniów i zazwyczaj była oschła.

Freyr postanowił zadać ostatnie pytanie:

– Jakiego rodzaju były te samookaleczenia?

– Krzyż. Wycięła sobie krzyż na plecach. I o ile wiem, to nawet dość precyzyjnie, zważywszy, że była ślepa.

Senność ogarnęła Freyra z całą mocą i przytłoczyła go ogromna chęć położenia się do łóżka. Miał dosyć.

Nigdy w życiu żaden dźwięk nie ucieszył Katrin tak, jak gwar dobiegający z zewnątrz. Śmiech Lif z czegoś, co powiedział Gardar, dowodził niezbicie, że właściciela dłoni już na tarasie nie ma. Postanowiła otworzyć oczy i czuła, jak uspokaja się rytm jej serca, a oddech staje się równomierny. Fetor rybich wnętrzności ulotnił się, więc po raz pierwszy od chwili, gdy ten odór wypełnił jej nozdrza, mogła odetchnąć pełną piersią. Z zapachem tym nie dało się oswoić, stawał się coraz bardziej ohydny, Katrin zdawało się, iż ma tuż przed nosem gnijącą rybę. W miarę jak rósł jej strach, zmniejszał się ból w nodze, ale teraz, kiedy jej przerażenie minęło, cierpiała o wiele bardziej, zarówno z powodu bólu nogi, jak i innych części poobijanego ciała. W każdym razie miała ochotę rozpłakać się z radości, gdy niewyraźne sylwetki Lif i Gardara ukazały się w ciemnych drzwiach salonu. Mieli pełne ręce cennych dóbr.

– Szybko się uwinęliśmy, nie? – Lif nie wchodząc do środka, położyła na podłodze dwa śpiwory i plastikową torbę wypakowaną różnymi drobiazgami. Potem zaczęła rozsznurowywać buty. Pokój wypełnił się delikatnym zapachem nikotyny i Katrin z lubością go wdychała, był o wiele przyjemniejszy niż zapach zgnilizny.

Zdaniem Katrin i tak zbyt długo ich nie było, ale nie wiedziała, jak ubrać to w słowa.

– Nie będę mówiła, jak bardzo się cieszę, że nareszcie was widzę. Macie świeczki? – Jej tęsknota za światłem z pewnością nie była mniejsza niż potrzeba nikotyny u Lif. Czuła niejaki zakłopotanie, że jej głos drży. Przyjaciółka włożyła miękkie kapcie, wyjęła świeczkę z torby, zapaliła ją i zobaczyła pobladłą twarz Katrin. Cofnęła się o krok i wydała z siebie okrzyk przerażenia. – Noga straszliwie mnie boli – usprawiedliwiła się Katrin. – Poza tym ktoś był na zewnątrz. Tuż zanim przyszliście.

– Co ty wygadujesz? – Gardar wszedł do salonu, kuśtykając. Najwyraźniej odcisk na pięcie znów dawał znać o sobie po dzisiejszych pieszych wędrówkach i eskapadzie do domu lekarza. – Nikogo nie widzieliśmy. – Zajął miejsce przy kuchennym stole naprzeciwko Katrin i postawił przed nią biały pojemnik z lekami. – Weź cztery. Od razu poczujesz się lepiej.

– Nie dostanie nic do popicia? – Lif rozglądała się wokół w poszukiwaniu wody czy soku, ale poza obrębem stołu słabe światło świecy rzuciło tylko groźne cienie.

– Nie trzeba. – Katrin wyjęła cztery białe tabletki z pojemnika. Wydawały się ogromne, a gdy włożyła je do ust, odniosła wrażenie, że cała ślina nagle wyschła. Niełatwo było je połknąć. – Kiedy zaczną działać? – Nie zapytała, co bierze, nie chciało jej się też czytać etykiety. Jedyne, co było ważne, to uśmierzyć nieznośny ból.

Gardar obserwował Katrin.

– Za pół godziny. Mniej więcej. Może szybciej, bo sporo czasu minęło, od kiedy jedliśmy. – Był ponury i zmartwiony, z chwilowej beztroski zostało niewiele. – Powiedz mi, co widziałas. Musimy coś postanowić, zanim pójdziemy spać. Na wypadek gdyby ten cholerny bachor kręcił się w pobliżu.

Śmiech Lif też dawno przebrzmiał, gdy odezwała się drżącym głosem:

– Coś postanowić? A co możemy zrobić? – Przysunęła krzesło do stołu. – Dlaczego nie poszliśmy sobie stąd? Moglibyśmy cię nieść między sobą, Katrin.

– Nie dam rady. Może z rana, ale teraz musiałabym podskakiwać na jednej nodze, a nie mam tyle siły. Mnie i całego sprzętu pewno nie dalibyście rady zanieść. Jak na przykład przeslibyśmy przez strumyk? – Katrin mówiła coraz szybciej, ale na szczęście skończyła, zanim jej głos zmienił się w ujadanie karabinu maszynowego.

– Teraz nigdzie nie pójdziemy. Mnie też pięta strasznie dokucza. – Gardar zrobił się jeszcze bardziej ponury. – W najgorszym razie będziemy spać na zmianę. Samotny bachor nie poradzi sobie z trzema dorosłymi osobami. Jedyna broń, jaką wobec nas może stosować, to zaskoczenie, a krzywdę może nam wyrządzić jedynie wtedy, kiedy będziemy spać. – Gardar przesunął świeczkę bardziej na środek stołu. – Teraz mamy sporo świec, więc łatwiej będzie nam czuwać w tych egipskich ciemnościach. Ja pierwszy stanę na warcie. Proponuję, abyście natychmiast się położyły. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy czuwali naraz.

– Ciekawe, czego ten dzieciak od nas chce? – Katrin była zbyt zmęczona, żeby komentować pomysł Gardara, a co dopiero samej podpowiadać jakieś rozwiązanie. Ucieszyła się, że nigdzie nie będzie musiała się stąd ruszać, i nawet gotowa była słuchać idiotycznych propozycji Lif. – Nie mam pojęcia, czego u nas szuka. Najwyraźniej niczego nie chce ukraść, przecież miał już wiele okazji. Towarzystwa też chyba nie potrzebuje, ani pomocy. – Głęboko wciągnęła powietrze. – Po prostu tego nie rozumiem.

Lif obejrzała się za siebie, jakby spodziewała się zobaczyć chłopca przyklejonego do szyby. Ale po drugiej stronie okna panował jedynie mrok.

– Chłopak nie żyje. Dlaczego nie chcemy się z tym pogodzić? Przecież przez to nasza sytuacja wcale się nie pogorszy.

– Przestań bredzić, Lif. – Gardar nie patrzył w oczy ani Karin, ani Lif. – Nie wiesz, co wygadujesz, i nie ma powodu, żeby od razu rysować obraz diabła. I tak nasze położenie nie jest wesołe.

Katrin zgadzała się z Lif. Działo się coś upiornego i na nic tłumaczenie, że jakieś dziecko kręci się w pobliżu. Już miała poprzec Lif, kiedy skrzypienie desek podłogi uciszyło ich wszystkich.

– To wy? – Katrin nie wiadomo dlaczego szeptała. – Wcześniej też tak to się zaczęło. – Dźwięk zdawał się mieć swoje źródło w kuchni.

Nikt się nie przyznał, że stąpnął mocniej na podłogę.

- Putti? - Lif nachyliła się i wzięła pieska na ręce. - Może to on? - Rozejrzała się wokół przerażona i przytuliła zwierczacka mocno do piersi. - Tylko czy jest na tyle ciężki?

- Żartujesz? On waży mniej więcej tyle co korek. Podłoga by pod nim nie zatrzeszczała, nawet gdyby całym ciężarem skoczył na deski. - Znów usłyszeli skrzypnięcie, dużo głośniejsze niż przed chwilą. Lif cicho westchnęła i chcąc przysunąć się do nich, popchnęła stół z taką siłą, że Gardarowi ledwo udało się złapać świeczkę, zanim się przewróciła. Potem podniósł świecznik, by lepiej oświetlić pomieszczenie. Wstał i spojrzał w kierunku, z którego hałas zdawał się dochodzić. - Nie odzywajcie się. - Patrzył skoncentrowany przed siebie, a gdy ponownie rozległo się skrzypnięcie, przesunął się ze świeczką do ściany kuchennej. Nie zauważył jednak nic oprócz zniszczonych desek podłogi i krawędzi złamanej listwy. Podszedł bliżej i kiedy tylko jeden krok dzielił go od tamtego miejsca, znów usłyszeli skrzypnięcie, tym razem tak delikatne, że gdyby nie absolutna cisza, nie zwróciliby na nie uwagi. - Tutaj nic nie ma. - Gardar zdawał się zdziwiony. Schylił się i oświetlił ścianę i podłogę. Gdy się wyprostował, jego głos brzmiał spokojniej: - To musi być jakaś usterka konstrukcji nośnej. Pamiętacie listwę podłogową? Może grzyb, czy jak to tam się nazywa, niszczy drewno i wtedy dom pracuje? - Odwrócił się, zadowolony, że wymyślił jakieś wyjaśnienie, ale i zmartwiony, że tylko on nie spisał domu na straty. - A niech to diabli. - Podszedł do dziewcząt. - Wydaje mi się, że w tej sytuacji nie zostało nam nic innego, jak tylko zerwać deski i zajrzeć pod spód.

- Ale nie teraz, błagam. - Lif trzymała Puttego nieco luźniej, a on niezbyt energicznie się jej wyrywał, chcąc znaleźć się na podłodze. - A jeżeli pod spodem coś jest?

- Na przykład co? Duch? - Gardar potrzęsnał głową oburzony.

Lif puściła Puttego i poprawiła sweter.

- A choćby i siedlisko jakichś obrzydliwych grzybów. Czytałam w necie, że człowiek może się poważnie rozchorować, wdychając zagrzybione powietrze. Coś takiego było w starych domach. O ile dobrze pamiętam, to zarodki unoszą się w powietrzu, a są takie małe, że człowiek ich nie widzi.

- Skoro tak, to może już jesteśmy zarażeni, Lif. - Gardar postawił świeczkę na stole i usiadł.

- A nie pisali, czy grzyby powodują omamy? - Katrin zastanawiała się, czy to, co widziała i słyszała, kiedy została sama, nie było złudzeniem spowodowanym zatruciem grzybem. To by oczywiście wyjaśniło wiele z tego, co się wydarzyło, od kiedy tu się znaleźli. Jeśli grzyby były aż tak groźne, to jasne, dlaczego poprzedni właściciel zniknął bez śladu. - Może jesteśmy odurzeni i nic o tym nie wiemy? - Ból, który przeszył jej nogę, kiedy poprawiła się nieco na krześle, nie świadczył wszakże o tym, by była szczególnie znieczulona.

- Nie, nie pisali, ale też nie był to jakiś specjalnie naukowy artykuł. - Lif ewidentnie cieszyła się z nikłej nadziei, że jednak nie dzieje się nic złego, i nie przyszło jej do głowy, że jeśli zatruli się grzybem, to są pewno bardzo poważnie chorzy. - Ale by było świetnie! Może wszystko jest w porządku, a my tylko wyobrażamy sobie te okropności. - Spojrzała na wyprostowaną nogę Katrin spoczywającą na krześle. - Chyba że to. Myślę, że jesteś poważnie kontuzjowana.

- Też tak sędzę. - Katrin ostrożnie odchyliła się do tyłu, w nadziei, że zmieniawszy pozycję, poczuje się lepiej, przynajmniej dopóki leki przeciwbólowe nie zaczną działać. - Ile właściwie minęło od czasu, kiedy wzięłam tabletki?

- Dziesięć minut. Kwadrans. Nawet nie. - Gardar usiłował stłumić ziewanie. - Jeszcze nie zaczęły działać, ale zaczną. - Milczeli przez chwilę, niepewnie nasłuchując niepokojących dźwięków. Ale słyszeli tylko własne oddechy. - Myślę, że powinniśmy trzymać się tego, że teraz idziecie spać, a ja czuwam, dopóki starczy mi sił. I wtedy ty mnie zastąpisz, Lif.

- Ja? - Zdziwienie i oburzenie zabrzmiały w jej głosie. - Sama mam czuwać w nocy?

- Lif, jest nas tylko troje, a Kata jest niesprawna. Powinna spać, dopóki działają leki, a kiedy przestaną, to cię zastąpi. Kato, wtedy weźmiesz drugą dawkę i będziesz czuwać, dopóki nie będzie cię boleć. I przyjdzie kolej na mnie, a potem nastanie poranek.

Katrin uznała, że to nadmiernie optymistyczny scenariusz, bo zważywszy, jak niechętnie Lif podchodzi do swojej zmiany, nie potrwa ona długo. Z pewnością każdy czuwał będzie dwa razy, zanim się rozwidni.

- Nie wejdę na górę po schodach. Muszę spać na dole. - Nikt nic nie powiedział, byli zbyt zmęczeni, by zastanawiać się, co to oznacza. W końcu Katrin przerwała ciszę: - Jakby komuś się chciało przynieść z góry materac, po prostu położyć się w salonie. Tam nie będzie mi gorzej niż na górze. - Wolała nie myśleć o tym, ile tam jest okien, przez które łatwo wejść do środka.

- Wszyscy będziemy spać w salonie. - Gardar wstał. - Chodź, Lif, znieśmy klamoty.

- Ale... - Lif na tym poprzestała. Podniosła się zrezygnowana. - Nie mam ochoty spać.

Gardar westchnął. Już dawno stracił cierpliwość.

- O co ci chodzi? Sama chcesz czuwać w nocy?

- Nie. Tylko że przez ten idiotyczny plan nie mam ochoty spać. Jak zasnę, zapomnę o wszystkim, dopóki mnie nie obudzisz, a potem sama będę musiała czuwać, więc równie dobrze mogę to robić pierwsza, rozumiesz?

Kartin nagle ogarnęło ogromne zmęczenie. Była zbyt obolała i wystraszona, żeby poczuć je wcześniej, ale w końcu ją dopadło.

- To dlaczego tak nie zrobisz?

- Zobaczmy. - Gardar wyciągnął Lif z salonu, zanim zdążyła odpowiedzieć Katrin. Mina, jaką miała, gdy Gardar sięgał do torby po drugą świeczkę, świadczyła o tym, że odpowiedź nie byłaby przyjazna. Kiedy wyszli, Katrin spojrzała na Puttego i poczuła ogromną ochotę, by go pogłaskać. Nie uczyniła tego jednak z obawy, że boleśnie poruszy nogą. Miała wielką nadzieję, że leki już zaczęły działać. Wsłuchiwała się w odgłos kroków Lif i Gardara wchodzących po schodach i ton wymienianych zdań, które, aczkolwiek krótkie, zdawały się na szczęście przyjazne. Jeśli trzeba zachować spokój, to właśnie teraz. Sama będzie musiała wziąć się w garść i zrobić wszystko, by znieść Lif, nawet gdy ta będzie w najgorszej formie. Na szczęście niebawem koszmar się skończy. Ten krótki czas powinni przeżyć bez przepychanek i kłótni. Postanowiła sobie solennie nie robić ani nie mówić nic, co mogłoby wyprowadzić Lif z równowagi.

- Zaraz będzie gotowe. - Lif stała w drzwiach, obrażona. - Gardar rozkłada spiwory.

Katrin drgnęła.

- Wow. Zasnęłam. - Wyprostowała się i ziewnęła. - Wiesz, co mi przyszło do głowy? Jak chcesz, to możemy czuwać razem. Nie będzie nam różnie? Gardar będzie wtedy spał i dzięki temu może dłużej wytrzymamy. Łatwiej zniesiemy to we dwie, bo będziemy się nawzajem budzić. - Uśmiechnęła się do Lif w nadziei, że ta przyjmie dłoń wyciągniętą do zgody.

Lif uniosła brwi, zastanawiając się, czy Katrin czasem jej nie wkręca, ale zaraz się rozchmurzyła i szeroko uśmiechnęła.

- Zajefajnie mi się to podoba. Chcesz, żebym ci opowiadała plotki? Tyle ich znam, że zanim się obejrzysz, nastanie poranek.

- Koniecznie. Ja żadnych nie znam, więc naprawdę liczę na ciebie. - Katrin wyprostowała się jeszcze bardziej i szykowała się do przejścia do salonu. - Nie wiem, co zrobię, jak mi się w nocy zachce siku.

- Wyjdę z tobą. - Lif tak ucieszyła propozycja Katrin, że najwyraźniej wszystko zdawało się jej teraz łatwe. Weszła do kuchni i pochyliła nad Puttim. - Ciekawe, czy to są zwidy? Putti wtedy chyba też by świrował?

- Nie wiem, czy lepiej, żebyśmy byli otępiali, czy też przeczuleni. Jedno i drugie jest moim zdaniem równie niekorzystne. - Katrin obserwowała, jak tylna łapa Puttego porusza się bez celu, gdy Lif głaszcze go po brzuchu. Zamknął ślepią i w pełni odprężony położył się na grzbiecie. Już dawno nie był tak spokojny. Katrin ucieszyła się z tego małego znaku zwiastującego spokojną noc.

- - -

Ocknęła się, kiedy Gardar potrząsnął ją za ramię i powiedział, że wychodzi z domu za potrzebą. Lek może i cudów nie zdziałał, ale teraz ból bardziej przypominał pieczenie niż zgniatanie nogi. Uśmiechnęła się do niego zmęczona, ziewnęła i odparła, że wstanie, kiedy on wróci. Potem zasnęła, nie mając pojęcia, że kiedy się

zbudzi, noc przeminie. A po Gardarze nie zostanie nawet najmniejszy ślad.

Niesamowita mgła, która zawisła nad miastem, powoli zaczęła ustępować. Freyr obserwował, jak cofa się nad fiord Skutul i rozpościera nad głębinami. Wyjął z samochodu karton pełen starych akt i zatrzasnął za sobą drzwi nogą. Dokumenty te otrzymał wyłącznie dzięki dobrej woli pracownicy szpitalnego archiwum. Wątpił, by z podobną życzliwością spotkał się w Reykjavíku, gdzie załatwienie wszelkich spraw jest trudniejsze i bardziej sformalizowane. Wyprowadzając się ze stolicy, człowiek niejedną rzecz poświęcał, ale też dużo zyskiwał. Ot, choćby wzajemne zaufanie. Po głębszym namyśle Freyr uznał, że takie porównanie wypada na korzyść prowincji.

Dyspozytor sprzętu medycznego przytrzymał mu drzwi, kiedy wchodził, i bardzo dyskretnie usiłował zajrzeć do kartonu. Wyglądał na nieco rozczarowanego, odkrywszy, że to nie jest jakieś nowe urządzenie. Rzuciwszy okiem na zegar ścienny w holu, Freyr przekonał się, że nie było go nieco dłużej, niż zapowiedział współpracownikom. Przeklął pod nosem, że nie założył dłuższej nieobecności, dowiedziawszy się, że szpital przechowuje stare akta gdzieś na mieście. Ale teraz pozostawało mu jedynie wrzucić karton do gabinetu i zejść na oddział, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego myśli krążyć będą gdzie indziej niż wokół pacjentów. Przynajmniej do momentu, gdy znajdzie czas, by rzucić okiem na papiery.

Na oddziale panował spokój, a podczas przedłużającej się nieobecności Freyra wszystko najwyraźniej szło utartym torem. Natychmiast zajął się tymi niewieloma sprawami, które go czekały, przejrzał otrzymane z rana wyniki badań, w przypadku jednego pacjenta zalecił dodatkowe testy, zmienił dawkowanie leków tam, gdzie to było konieczne, i uzupełnił raporty. Skończywszy, sprawdził, czy czekają go jeszcze jakieś zadania, a ponieważ nie czekały, oznajmił współpracownikom, że idzie do swojego gabinetu. Uczulił ich, by zadzwonili po niego, gdyby coś się działo. Zanim opuścił oddział, zaszedł do starego nauczyciela, ale cicho się wycofał, gdyż ten słodko chrapał. W zasadzie nie miało to znaczenia, wszak chyba powiedział Freyrowi już wszystko.

Karton stał na swoim miejscu pośrodku biurka, które poza tym było puste. Freyr nie lubił bałaganu. Kiedy wokół panował nieporządek, nie potrafił się skupić. Sara nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Nagle przypomniał sobie, jak bardzo denerwował się z powodu spraw, które – zrozumiał to teraz – nie miały żadnego znaczenia. Najchętniej podniósłby słuchawkę i zadzwonił, żeby przeprosić ją za swoje zachowanie w czasach, gdy dobrze układało się między nimi. Już dawno zorientował się, jakie to uproszczenie wmawiać sobie, że przed zaginięciem Benniego wszystko było w porządku. Tragedia i rozpacz z powodu utraty dziecka sprawiły po prostu, że wszystko inne wyblakło. Jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, to bez wątplenia ich związek rozpadał się wolno, acz

konsekwentnie i w końcu i tak by się rozwiedli. Nawet gdyby Benni nie zaginał. Jedyna różnica polegałaby na tym, że po połowie dzieliliby się opieką nad chłopcem, zamiast wspólnie pielęgnować pamięć o nim. Postanowił jednak teraz nie dzwonić. Nie było sensu rozliczać się z minionym, które obecnie nie miało najmniejszego znaczenia. Tak w każdym razie sądził.

Poczuł stęchły zapach papieru, który przez wiele lat spoczywał w zamkniętych szafkach. To zresztą cud, że te dokumenty jeszcze w ogóle istnieją. Swego czasu stanowiły oczywiście doskonałe źródło wiedzy na temat pacjentów, ale gdy ci odeszli z tego świata, szybko przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wyjmował kolejne pliki z kartonu i kładł je na podłogę. Otworzył pierwszą teczkę i zaczął czytać.

- - -

- Byłeś taki tajemniczy przez telefon, że postanowiłam natychmiast przyjść. – Dagny nie skorzystała z propozycji Freyra, który zaproponował, że powiesi jej kurtkę. Od razu usiadła. Wiedział, w którym kościele dzwonią; wcześniej otworzył na oścież okno, ponieważ nie mógł dłużej wytrzymać kurzu i stęchłego zapachu, a tak bardzo pochłonęła go lektura akt, że nie zauważył, iż wewnątrz zrobiło się równie zimno, co na zewnątrz. Ale teraz, gdy uspokoił się nieco, poczuł ten przypływ chłodu i zamknął okno.

- Mam nadzieję, że źle mnie nie zrozumiałas i nie sądzisz, że udało mi się wyjaśnić wszystko do końca. Do tego jeszcze dużo mi brakuje. – Freyr usiadł. – Znalazłem natomiast trochę ciekawych rzeczy, które wskazują na dziwne powiązania.

- Dawaj. – Dagny rozpięła kurtkę. Pochyliła się nad biurkiem i spojrzała na stare dokumenty. Chwyciła się za nos. – To te papiery tak capią?

- Tak, niestety. Ale jak chcesz, mogę je włożyć z powrotem do kartonu. Z grubsza pamiętam wszystko.

Dagny zaprotestowała.

- Jeśli przecucie mnie nie myli, to mamy do czynienia z dziwną sprawą, więc wolę, żebyś tego nie chował. Nie pomyśl tylko, że ci nie wierzę, ale jeśli to jakies wyjątkowe pomieszanie z poplątaniem, muszę przekonać się na własne oczy.

Freyr pozostawił papiery na biurku.

- To właściwe słowa. Pomeszanie z poplątaniem. – Pogrzebał chwilę w stosie, szukając pierwszych dokumentów, o których chciał jej opowiedzieć. Znalazł je i podał jej. – To list od pielęgniarki szkolnej do ordynatora szpitala z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego i raport, w którym opisuje swoje zatroskanie nowym uczniem, Bernodusem Pjeturssonem.

Dagny wzięła do ręki list i raport. Rzuciła okiem na ten pierwszy.

- Faj. – Odłożyła oba dokumenty, nie czytając nawet raportu. Freyr nie miał jej

tęgo za złe. Opisy bliźni chłopca nie były przyjemne. Miał on na plecach dwa krzyże, wyryte szczyrykiem i wypalone żarem papierosa, i dlatego pielęgniarka postanowiła skontaktować się z lekarzem.

Freyr wziął do ręki list.

– Zgadzam się z tobą całkowicie. Ojciec chłopca zdawał się bardzo cierpieć na chorobę psychiczną, która się pogłębiła albo rozpoczęła, gdy zatracił się w pijaństwie. Stary nauczyciel opowiedział mi, że mężczyzna winił chłopca za zgon żony i drugiego syna, a fakt, że tak okropnie napiętnował dziecko, moim zdaniem tylko to potwierdza. Dwa krzyże, dwoje zmarłych umiłowanych osób. To bardzo smutna historia i człowiek zastanawia się, czy on po prostu nie zabił syna, niezależnie od tego, w jaki sposób później ukrył zwłoki.

– Nie pamiętam, żeby mnie w szkole równie skrupulatnie badano. – Dagny skrzyżowała ramiona na kurtce i odsunęła się od biurka, jakby chciała znaleźć się jak najdalej od tych odrażających papierów. – Parę szczępień i to wszystko.

– Z raportu wynika, że pielęgniarcie kazano porozmawiać z chłopcem i go obejrzeć. Kategorycznie odmawiał chodzenia na gimnastykę, a kiedy raz udało się im nakłonić go do tego, zdecydowanie nie chciał się przebrać. Twierdził, że nie ma stroju, i jedyne, co zgodził się od kogoś pożyczyć, to krótkie szorty. A po lekcji nie chciał iść pod prysznic. Doszło do sprzeczki między nim i kąpielowym, a koledzy z klasy jeszcze go bardziej rozdrażnili i wynikła z tego wielka afera. Kąpielowy przy aplauzie kolegów klasowych zmusił go, by się rozebrał, i wepchnął go pod prysznic. A on wstydził się swoich pleców i nie chciał, by ktokolwiek je oglądał, tak że możesz sobie wyobrazić jego szok. Miał dopiero dwanaście lat.

– A dlaczego nikt nic w tej sprawie nie zrobił? List został wysłany na miesiąc przed zaginięciem chłopca, więc było dość czasu na interwencję i ratunek.

– Nie wiem. – Przeglądając papiery, Freyr zdenerwował się tak samo jak Dagny, ale zdążył już ochłonać. Przepęniał go smutek z powodu losu chłopca. Na biurku spoczywała kopia zdjęcia klasowego, którą wyciągnął z szuflady. Bez przerwy gapił się w czarno-biały wizerunek posępnego chłopaka. Jego alienacja, wyobcowanie z grupy, stała się bardziej zrozumiała, gdy poznał jego historię. Dzieci czują się zdradzone i zamykają się w sobie, kiedy ci, którzy powinni je kochać, zawodzą. Potem rzadko potrafią wyjść na prostą, chyba że ktoś pośpieszy z interwencją. Co w jego akurat przypadku stało się zbyt późno. – To były zupełnie inne czasy, prawami dziecka zdecydowanie mniej się przejmowano. Na pewno podjęto jakieś działania, ale spóźnione. Niewykluczone, że tutejsze władze musiały się skonsultować ze stołecznymi biurokratami od praw dzieci, a tempo kontaktów było zupełnie inne niż dzisiaj.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie. – Dagny zagryzła wargi. – Pielęgniarka pisze, że chłopak twierdzi, iż to był wypadek, ale ona wyklucza taką możliwość. Chyba prawidłowo oceniła sytuację?

– Tak, wypadek należy wykluczyć. – Freyr przysunął do siebie raport. – Na

obrażenia składają się rany zadane nożem i oparzenia papierosami. Sądząc po opisie, sam nie był w stanie sobie tego zrobić. – Podał Dagny kartki i pokazał palcem odpowiedni fragment. – Poniekąd wymusiła na nim drogą eliminacji innych osób, żeby przyznał, iż sprawcą jest jego ojciec. Przemaglowała go dokładnie, za każdym razem oceniając jego reakcję. Ta kobieta okazała się prawdziwą czarodziejką. Potrafiła namówić go, żeby zdjął sweter i otworzył się przed nią, choć nie podejrzewam, żeby pękły wszystkie tamy. Niewiele osób potrafi trafić do dzieci będących ofiarami potwornej przemocy. Najgorsze było to, że jej zainteresowanie nie przyniosło żadnych efektów.

– A to kolejne raporty na jego temat? – Dagny wskazała stosy kartek, które Freyr poszeregował według ważności.

– Nie. Wziąłem też akta dotyczące innych osób, które w całej sprawie się przewijają, i odkryłem kilka rzeczy. Nieprawdopodobne, że nikt tych historii ze sobą nie powiązał, ale to pewno dlatego, że rozgrywały się na przestrzeni wielu lat. – Przyciągnął do siebie najniższy stos. – Przed chwilą otrzymałem maila od lekarza, który kroił Hallę. Poprosiłem go, by dowiedział się, czy jej przyjaciele z klasy, Jon i Vedis, także mieli blizny na plecach układające się w kształt krzyża. Jemu jest łatwiej niż mnie załatwić takie materiały, ponieważ jest anatomopatologiem.

– I? – Dagny zadała pytanie, choć z wyrazu jej twarzy łatwo było wyczytać, że wie, jak brzmi odpowiedź.

Freyr podał jej wydruk wiadomości.

– Owszem, co oznacza, że każde z piątki przyjaciół miało takie blizny jak Halla. Wielki krzyż wycięty na plecach. Co prawda Jon zginął w pożarze, tak że informacje na jego temat nie do końca są dokładne, niemniej podczas autopsji odkryto ślady podobnych ran na plecach.

– Rozumiem. Ale co z tego właściwie wynika? – Dagny szybko przeleciała wzrokiem tekst. – Ojciec Bernodusa już dawno nie żył. On nie mógł tego zrobić. Czyżby więc to były blizny, które pozostały im z dzieciństwa? Czy stary znęcał się także nad innymi dziećmi, nie tylko nad własnym synem?

– Nie według tego, co tu przeczytałem. Blizny pojawiły się, kiedy ofiary były już dorosłe. Ba, stare nawet. W tych przypadkach, w których dało się zbadać wiek blizn, okazało się, że najstarsze z nich nie mają nawet pięciu lat. Podejrzewam, że wszystko zaczęło się w dwa tysiące siódmym roku, czyli przed trzema laty, stąd absolutnie wykluczone, by ojciec Bernodusa miał z nimi cokolwiek wspólnego. Przecież dawno już nie żył. – Freyr przerwał na chwilę. – Moim zdaniem są dwie możliwości: albo to nie tata chłopca mu to zrobił, lecz ktoś, kto żył trochę dłużej, albo też ktoś go naśladował, tyle że nie mam pojęcia, w jakim celu. Tym bardziej nie wiem, jak to się właściwie odbyło, bo w każdym przypadku blizny powstawały w dość długim okresie.

Dagny zdawała się nie całkiem przekonana.

- A nie sądzisz, że gdyby ktoś okaleczał w ten sposób ludzi w różnych zakątkach kraju, musiałby zwrócić na siebie uwagę policji? Przecież ofiary nie mieszkają w jednym miejscu. I jak sprawca to robił? Przed chwilą powiedziałeś, że wszystkie były dorosłe, więc przynajmniej mężczyźni powinni być w stanie się bronić. Moim zdaniem to więcej niż dziwne.

Nie dało się ukryć, że Freyr nawet nie usiłował znaleźć rozsądnego wyjaśnienia.

- Podobne rany znaleziono na plecach wychowawczynie klasy, kiedy umarła. - Freyr podał jej kopię zdjęcia. - To było dziesięć lat po zaginięciu Bernodusa.

Fotografia przez chwilę spoczywała na krawędzi biurka, zanim Dagny wzięła ją do ręki.

- A może Bernodus przeżył i to on ich tak okaleczył? - Patrzyła zafascynowana na zdjęcie. Freyrowi zdało się, że całą uwagę skupiła na chłopcu. Dobrze to rozumiał. Trudno sobie wyobrazić obraz robiący większe wrażenie, zwłaszcza jeśli człowiek znał historię chłopca. - Mógł też włamać się do przedszkola.

- W to nie wierzę. - Freyr wyjrzał przez okno na zimne podwórko. - Gdzie niby miałyby się ukrywać? I jak by się wyżywił i ubrał? W ciągu minionych dziesięcioleci ktoś musiałby go zauważyć. Chyba że przyjął cudzą tożsamość i życie. Ale to niezbyt prawdopodobne, zważywszy, jaki był młody, gdy zniknął. - Freyr wziął zdjęcie i położył przed sobą. Zapędzili się w kolejną ślepą uliczkę. Postanowił opowiedzieć jej o wizycie u Ursuli i o tym, co mówiła o chłopcu, którego boi się widzieć, a który chce, by Freyr odnalazł Benniego. Potem zamilkł, a i Dagny nic nie mówiła, wpatrzona w papiery na biurku. Kiedy cisza zaczęła im ciążyć, znów się odezwał: - W tej chwili nie widzę innego wyjścia, jak tylko poczekać, aż Ursula dojdzie do siebie, i spróbować ponownie z nią porozmawiać. Mam nadzieję, że będzie w stanie jaśniej się wyrażać. Postaram się też skontaktować z Larusem, jedynym pozostałym przy życiu spośród grona przyjaciół. Nie odbierał moich telefonów i zacząłem już podejrzewać, że nie ma go w kraju.

Dagny podniosła wzrok.

- Zajmę się tym. Nadszedł czas poprosić kolegów ze stolicy o pomoc w odnalezieniu Larusa. Mam nadzieję, że powie nam coś ciekawego.

Wkrótce potem pożegnali się w drzwiach i kiedy patrzył za Dagną idącą korytarzem, przypomniał sobie nagranie, którego dokonał komórką poprzedniego wieczoru, i słowa, jakie wtedy chyba usłyszał. Gdy więc Dagny znikła za rogiem, zamknął drzwi i usiadł przy biurku z telefonem w ręku. Po chwili odnalazł nagranie.

Z początku słyszał jedynie cichy szum i swoje nieregularne kroki. Ale potem doszło coś, czego Freyr nie potrafił zrozumieć. Cofnął i puścił jeszcze raz, zdecydowanie głośniejszy. Głowy by nie dał, że właśnie te słowa usłyszał, ale w głębi

duszy był przekonany, że brzmiały one dokładnie tak: „Powiedz prawdę. Wtedy mnie znajdziesz, tatusiu”. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że był to głos jego syna, głos Benniego.

To nie rwanie w nodze czy ból innych części ciała zbudził Katrin. Po prostu się wyspała. Z początku była zupełnie oszołomiona, otwierała i zamykała oczy, podczas gdy sen, który przed chwilą jeszcze się tlił, wygasł, a im bardziej starała się go sobie przypomnieć, tym bardziej stawał się nieuchwytny. Kiedy całkiem się wybudziła, tkwiło w niej tylko niejasne, nieprzyjemne wspomnienie snu, w którym była kiepską nauczycielką, przymykała oczy na złe traktowanie dzieci i miała być z tego rozliczona. Nie pamiętała ani uczniów, ani zakończenia snu, ani nawet czy przykładownie ją ukarano. W istocie cieszyła się, że się zbudziła. Zdążyła wypocząć, ale szybkie bicie serca świadczyło o tym, że sen zakończyłby się raczej źle. Katrin przekręciła się na drugi bok i zobaczyła słodko śpiącą Lif. Spod śpiwora wystawały jedynie brwi i włosy. Ponownie się odwróciła, by spojrzeć na Gardara. Wierząc się w śpiworze, poczuła, że coś jest nie tak, choć nie bardzo uzmysławiała sobie co. Jego śpiwór był pusty i natychmiast zorientowała się, co ją niepokoi. Usiadła energicznie. Przenikliwy ból rozszedł się po goleni od podbicia stopy, którą gwałtownie ruszyła. Ale ból był niczym w porównaniu z lękiem, jaki wzbudził w niej pusty śpiwór.

Było zbyt widno jak na noc.

- Gardarze! - Zachrypnięty głos Katrin przerwał ciszę. Nie odpowiedział. Absolutnie żadnych odgłosów w domu. Putti, leżący w jednym z rogów jej śpiwora, zerwał się na równe nogi i zdawał się oszołomiony jak ona. Katrin starała się uspokoić oddech. Najpewniej Gardar poszedł na górę i tam zasnął. Jej wciąż otępiały umysł starał się przypomnieć sobie, czy ją w nocy budził, żeby przejechała po nim obowiązkiem czuwania, ale bezskutecznie. Równie dobrze Lif mogła sama czuć, więc Katrin znów się odwróciła i potrząsnęła nieruchomym wybrzuszoną śpiworem.

- Lif! Lif! Obudź się! - Ze śpiwora dobiegło niewyraźne mamrotanie. Katrin mocniej pociągnęła Lif za ramię. - Obudź się! Gardar zniknął!

Lif usiadła, choć nie tak energicznie jak Katrin czy Putti. Dość szybko jednak. Spod rozczochranych włosów ledwie widać było mrugające oczy. Półprzytomna, niezgrabnym ruchem odstłoniła twarz.

- Która godzina?

- Nie wiem. - Katrin zazgrzytała zębami. - Na tyle późna, że już zrobiło się widno.

- Aleśmy w takim razie pospały. - Lif ziewnęła, nie zasłaniając ust. Błysnęły białe zęby. - Gdzie Gardar? - Putti najwyraźniej zrozumiał pytanie, przebiegł się po salonie i obwąchał podłogę. Kiedy trafił na kurz, kichnął rześko, zakończył poszukiwania i zakłopotany usiadł na środku pomieszczenia.

- Nie mam pojęcia, wydaje mi się, że zniknął. - Głos Katrin nadal był schrypnięty. Zdawała sobie sprawę, że w emocjach mówi zbyt głośno. - Nie obudził nas w nocy. W każdym razie nie mnie. - Pojawiło się niejasne wspomnienie, że potrząsnął nią, ale znikło, zanim zdążyła się zastanowić. Może działo się to we śnie, którego już nie pamięta?

- Mnie też nie. - Lif rozejrzała się otumaniona wkoło. - Tak myślę.

Katrin wsadziła rękę do śpiwora Gardara.

- Zimny jak lód, więc nie mógł wyjść z niego niedawno. - Putti opacznie zrozumiał przekaz, zerwał się na łapy i z radości zaczął machać ogonem, podchodząc do miękkiego legowiska, na którym się ułożył, cały szczęśliwy.

- Może pracuje na tarasie? Albo przygotowuje dla nas śniadanie. - Lif cały czas zachowywała się tak samo. Jej głos brzmiał radośnie, bo cieszyła się, że ktoś się nią zajmuje.

- Nie odezwał się, kiedy wołałam, więc w kuchni nie ma go na pewno. I sama słyszysz, że na zewnątrz nikt nie pracuje. - Katrin starała się opanować gniew. Jeśli już ktoś miał zaginać, to dlaczego nie Lif? Opanowała się. - Może poszedł po coś do domu lekarza?

Dopiero teraz odczuły ziąb. Lif naciągnęła śpiwór na ramiona. Katrin uczyniła to samo i siedziały tak chwilę bez słowa, obie modliły się cicho o to, by usłyszeć kroki na tarasie. Ale jedyne, co słyszały, to cichy szum strumienia. - Może wyjdziemy go poszukać? - Lif spojrzała na Katrin z rozpaczą w oczach, ale zaraz jej lico się rozjaśniło. - Może poszedł na brzeg, bo usłyszał silnik łodzi?

Choć Katrin w to nie wierzyła, ucieszyła ją taka możliwość, jakkolwiek zdawała się nieprawdopodobna. Zagryzła wargi i wstała, starając się nie nadwierać nogi. Ostre pulsowanie w spuchniętej stopie z każdą minutą stawało się coraz bardziej dotkliwe. Noga była chyba jedyną rozgrzaną częścią ciała. Nie zastanawiała się już nad tym, czy jest złamana, lecz w ilu miejscach. W końcu udało się jej wyplątać ze śpiwora, po czym, podskakując na jednej nodze, zbliżyła się do kurtki, którą wczoraj wieczorem pozostawiła w kącie. Na szczęście nie zdjęła spodni, bo teraz nie dałaby rady się w nie ubrać, gdyż stopa straszliwie spuchła. Włożyła kurtkę i podpierając się o ścianę, ruszyła w stronę drzwi. Niemal wyła z bólu za każdym razem, kiedy stawiała kontuzjowaną nogę. Putti to czuł, a może czytał z jej wykrzywionej bólem twarzy, zerwał się bowiem ze śpiwora i podbiegł do niej, nie mając pojęcia, jak jej pomóc.

Lif zorientowała się, że zaraz zostanie sama, więc wstała w pośpiechu i czyniąc wielkie zamieszanie, zaczęła się ubierać. Tak się uwijała, że Katrin dostała zawrotu głowy i mocniej uczepliła się framugi z obawy, że przyjaciółka ją wyrzuci. Nawet Putti na wszelki wypadek odsunął się na bok. Kiedy zamieszanie minęło, Katrin ruszyła przodem, podskakując na jednej nodze. Postanowiła namówić Gardara, gdy się wreszcie odnajdzie, żeby zrobił dla niej kule.

Choć powinna się była tego spodziewać, to jednak się rozczarowała, nie

zastając w kuchni Gardara przygotowującego dla nich śniadanie. Było potwornie zimno, zimniej niż w salonie. O ile Katrin pamięć nie myliła, na stole kuchennym nic od wczoraj się nie zmieniło; stały na nim świecznik i pojemnik z tabletkami, obok leżało pudełko zapalek. Stos brudnych naczyń czekał cierpliwie na blacie kuchennym, aż ktoś w potoku spłucze brud z talerzy, filiżanek i szklanek. W najbliższym czasie jednak to nie miało nastąpić. Katrin nie zdążyła się rozejrzeć porządnie po kuchni, kiedy w drzwiach zjawiła się Lif. Wskazała na zepsute deski.

– Zobacz. – Potrząsnęła Katrin za ramię. – Gardar zaczął naprawiać podłogę. Może poszedł poszukać narzędzi albo materiałów?

Katrin odwróciła się i rozejrzała za dowodami nocnej lub porannej pracy. Nie mogła sobie przypomnieć, czy przed zaśnięciem słyszała jakieś odgłosy. Żaden hałas jej też nie obudził. Pokuśtykała w stronę pozrywanych desek w nadziei, że znajdzie tam coś, co zasugeruje jej choćby, co mogło się stać z Gardarem. To głupie, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Oparła się o ścianę i nachyliła, żeby lepiej zobaczyć tę część podłogi, którą się zajmował. Putti tym razem nie poszedł za nią. Zajął miejsce obok Lif.

– Widzisz pleśń albo grzyba? Może Gardar się zatrul i poszedł zwymiotować? – Lif wyglądała raczej na przerażoną. – Mówiłam wam, żebyście dali sobie z tym spokój. Mówiłam.

Żadnego strasznego grzyba nie było widać, za to pod usuniętymi deskami leżały drugie, na oko o wiele starsze.

– Tu nie ma żadnego grzyba. – Katrin ostrożnie rozprostowała plecy. – Potrzebowałabym świeczki, żeby lepiej się temu przyjrzeć, bo na razie nic szczególnego tu nie widzę. – Skrzywiła się. – Ale okropnie stąd capi. To na pewno dlatego, że otworzyliśmy przestrzeń, która długo była zamknięta. – Pilnowała się, żeby nie oddychać zbyt głęboko. – Może są tu jakieś bakterie, których współcześni ludzie nie tolerują? Gardar też.

– Tu nie ma niczego aż tak starego, Katrin. Poprzedni właściciel przywiózł te deski, pamiętasz? Minęły dopiero trzy lata. – Lif odeszła tak daleko od zerwanej podłogi, na ile tylko zezwalały rozmiary kuchni. – Jeśli coś śmierdzi, to z pewnością grzyb. Chociaż go nie widzisz, to przecież może tam być.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, Katrin odsunęła się od ściany i reperowanych desek. Przecież pod podłogą Gardara nie znajdzie. Putti szalał z radości, kiedy zbliżyła się do Lif, tak jakby widział ją pierwszy raz po wielodniowej rozłące. W normalnych okolicznościach spodobałaby się jej taka reakcja, ale w tej chwili myśli miała zaprzątnięte czym innym: – Gardarze! – krzyknęła ile sił w płucach. Żadnej odpowiedzi. – Lif, może on śpi na górze? Nie zajrzałaś?

– A dlaczego miałyby tam się kłaść? Materace i śpiwory są na dole. Zresztą gdyby był na piętrze, toby odpowiedział. – Wyraz twarzy Lif zdradzał, że nie ma zamiaru wchodzić na górę. – Na sto procent by się zbudził od tych wrzasków.

Katrin wciągnęła głęboko powietrze i w myślach policzyła do dziesięciu.

– Niekoniecznie, Lif. Przecież jak pierwszy raz go zawołałam, to ty nie zareagowałaś. Co więcej, najprawdopodobniej nie spał całą noc, bo przecież nas nie budził, prawda? A jeśli jeszcze dodatkowo tyrał przy podłodze, to równie dobrze może być teraz kompletnie nieprzytomny.

– A co, jeśli nie ma go na górze? Nie chciałabym znaleźć się tam sama! Może ty byś sprawdziła albo przynajmniej weszła kawałek razem ze mną?

– Ja ledwo daję radę przejść z pokoju do pokoju. I miałabym się wspinać po schodach? Uwierz mi, zrobiłabym to, gdybym mogła. – Katrin wiedziała, że musi się bardziej postarać, jeśli chce namówić Lif do wejścia na górę. – Pójdę z tobą i zaczekam u dołu schodów, stamtąd będę cię cały czas miała na oku, a ty tylko otworzysz pokoje i zajrzysz do nich, nic więcej. Może Putti zechce ci towarzyszyć.

– A jakbyśmy poszły obie, stanęły pod schodami i zaczęły się wydzierać ile sił? Jeśli Gardar nie zareaguje, to go tam nie ma.

– A jeśli jest i nie może zareagować? Stracił przytomność, czy coś podobnego? Co wtedy?

W końcu Lif ruszyła na piętro, a Katrin z dołu dodawała jej animuszu. Zabrała ze sobą Puttego, lecz musiała go wziąć na rękę, ponieważ na każdym schodku chciał zawracać do Katrin.

– Otwórz drzwi, nic ci się nie stanie. – Katrin starała się, by jej głos brzmiał spokojnie, ale nie mogła uwolnić się od myśli, że wołałaby nie być na miejscu Lif. Na schodach nie było żadnych okien, więc tonęły w ciemnościach. Katrin żałowała, że nie wzięła świeczki.

– Gardarze! – Słaby głos Lif nie zakłóciłby snu cierpiącego na insomnię. – Jesteś tam? – Chwyciła za klamkę i otworzyła drzwi. Putti patrzył w dół schodów na Katrin, z jego oczu można było wyczytać, że ni w ząb nie rozumie, dlaczego nie pozwolono mu zostać przy niej. Lif, zadowolona, odwróciła się do Katrin. – Nic. – Podeszła do kolejnych drzwi i wykonała te same czynności. Znow w środku nikogo nie było. Trzecie i ostatnie drzwi znajdowały się trochę zbyt daleko od schodów, by Katrin mogła cokolwiek zobaczyć. Kiedy Lif się zorientowała, wróciła i zatrzymała się na ostatnim schodku. – Nie otworzę drzwi, jeśli nie będę cię widzieć. – Zrobiła krok w dół. – Ja nie żartuję. Nie otworzę.

Katrin jęknęła i chwyciła za poręcz. Z trudem udało jej się wejść trochę wyżej, skąd mogła zobaczyć trzecie drzwi. Prowadziły do pokoju, w którym spali zaraz po przyjeździe.

– Spróbuj teraz. Dobrze cię widzę.

Lif odwróciła się i poszła w głąb korytarza, ale po drodze dwukrotnie obejrzała się, jakby chcąc się upewnić, czy Katrin rzeczywiście ją obserwuje. W końcu podeszła do drzwi i stanęła przed nimi niezdecydowana. Z wahaniem spojrzała na Katrin. Ta dała jej ręką znak, by się pośpieszyła. Lif jakby odzyskała odwagę, bo otworzyła drzwi z większym animuszem niż poprzednie. Co było dość

niepokojące w porównaniu z tym, jak zareagowała na widok w pokoju. Upuściła Puttego, nie zastanawiając się nawet, czy coś mu się nie stanie. Pies upadł na cztery łapy i natychmiast wyrwał do Katrin, pozostawiając Lif samą.

– Co tam właściwie jest? – Katrin szykowała się pokuśtykać na samą górę i zobaczyć, na co Lif tak się gapi. – To Gardar? – W kącikach oczu poczuła gorące łzy, podczas gdy mózg tworzył obrazy zwłok jej męża, spoczywających w pustym, lodowatym pokoju.

Lif ocknęła się.

– Nie. Nie. To nie Gardar. – Odwróciła się od drzwi i pokonała korytarz wielkimi susami, a potem zbiegła ze schodów, przeskakując po dwa stopnie. Drżąca uwiesiła się na Katrin, która ledwo utrzymała równowagę. Nie miała ochoty znowu spaść, choćby tylko z kilku schodków. – Tam nie ma nikogo, przysięgam. – Katrin patrzyła na nią z otwartymi ustami. – Na podłodze leżą dziesiątki cholernych muszelek i poczułam czyjś oddech na twarzy. – Patrzyła na Katrin z wyrzutem, że ta jej nie dowierza. – Wczoraj wieczorem, kiedyśmy zabierali śpiwory, nic takiego tam nie było. Ani jednej muszelki. A tego z oddechem wcale nie zmyślam, jestem pewna, że ciągle jeszcze wali ode mnie ten obrzydliwy smród. – Zerknęła przez ramię na korytarz. Kiedy odwróciła głowę, Katrin poczuła zapach zgnilizny. – Czy to jakiś kiepski żart Gardara? Może schował się, żeby zobaczyć naszą reakcję?

– Nie. – Katrin wiedziała w głębi serca, że to niemożliwe. Gardar nie marnowałby czasu na zbieranie muszelek po to tylko, żeby je przestraszyć, a co dopiero śmiertelnie zmęczony w środku nocy. Jednak zupełnie co innego przekonało ją, że Gardar nie ma z tym nic wspólnego. Cichy i smutny wewnętrzny głos szeptał cynicznie, że Gardar odszedł. Odszedł na zawsze i już nigdy go nie zobaczy.

Głos stał się mniej natarczywy, kiedy opuściły dom i poszły szukać Gardara na zewnątrz. Mimo iż Lif podtrzymywała Katrin, posuwały się bardzo wolno i szybko pojęły, że daleko nie zajdą, że nigdy nie uda im się przeczesać całej okolicy. Zauważyły ślady na śniegu prowadzące od tarasu w kierunku morza; tą drogą wcześniej nie chodzili. Ślady były dość świeże i na tyle duże, że kobiety zgodziły się co do tego, iż mógł je zostawić Gardar. Szukały dookoła domu, ale bez rezultatu, więc w końcu postanowiły pójść po śladach, przynajmniej kawałek. Po drodze Lif regularnie wykrzykiwała imię Gardara, głośno i wyraźnie, aż Katrin poprosiła, by przestała. Nie mogła znieść ciszy, która następowała po każdym zawołaniu. W pewnym miejscu pojawiły się nagle inne ślady, jakby osoba, która je zostawiła, spadła z nieba tuż obok Gardara. Katrin na ten widok aż zamurowało, Putti obwąchał nowe ślady i odskoczył na bok, cicho warcząc.

– Chodź, Lif. Wrócimy do domu i zamkniemy się. – Wewnętrzny głos brzmiał coraz wyraźniej. Powtarzał na okrągło straszną prawdę, od której Katrin dostawała mdłości. Gardar już nie wróci. Przyglądała się trzem mewom kreślącym koła w powietrzu daleko nad morzem. Po chwili opadły w dół, by

porwać jakiś kęs unoszący się na wodzie. Nie mogła pozbyć się ponurej myśli, że to ciało Gardara dryfuje w morzu, a ptactwo je dziobie i pożera.

Patrzyła jak zahipnotyzowana na ślady pod nogami i obserwowała łzę, która spłynęła jej po policzku. Wylądowała na śniegu, pomiędzy dwoma odcisniętymi stopami bosego dziecka.

Zorza polarna tańczyła na czarnym niebie. Szeroka wstęga wydłużała się i gęstniała, szybko się poruszając, powodowana siłami, których Freyr nie był w stanie ogarnąć rozumem. Przez pewien czas zdawała się sięgać krańców świata. Niekiedy tę cudowną wstęgę przesywała różowa fala, ale to odcienie zieleni rządziły i skupiały na sobie uwagę Freyra. Znajdował się niedaleko portu, w Nedstakaupstadur, najstarszej części miasta, która swe korzenie wywodziła jeszcze z czasów monopolu duńskich kupców w połowie osiemnastego wieku. Większość domów pochodziła z tego właśnie okresu i jeśli przymknął oko na pojedyncze pomniki współczesności, mógł się poczuć niczym ubogi gospodarz z minionych czasów, przywożący towar na handel do swojego kupca. Siedział na wielkim kamieniu przed Smołownią, czarującą restauracją w starym, odremontowanym magazynie rodem raczej z dawnej Danii niż Islandii. Freyr zdążył tylko raz tam zjeść, zanim restauracja zapadła w sen zimowy, ale z pewnością będzie jednym z tych, którzy pierwsi przekroczą jej progi, gdy znów zostanie otwarta na wiosnę. To było tuż po jego przyjeździe do Isafjördur. Dwaj koledzy ze szpitala zaproponowali, żeby pójść razem na kolację, by się lepiej poznać. Freyra tak urzekły świeżutkie owoce morza, że w zasadzie odzywał się wyłącznie po to, by chwalić jedzenie. Drugi raz nie zaproponowali mu już wspólnego wieczornego wypadu, co zasadniczo nawet mu pasowało. Niewiele miał wspólnego z ojcami rodzin posiadającymi jakieś życie poza pracą.

Tyle że wcale nie wspomnienie owej wybornej kolacji go tu przyciągnęło. To bezcelowy marsz przez miasto przywiódł go w to historyczne miejsce; może podświadomie przyszedł tu dlatego, że ta część miasta pozostawała dość wyludniona, co zapewniało mu spokój myśli i wyciszenie. Nieprawdopodobne, że udało mu się przeżyć ten dzień w pracy, nie narażając się na wstyd. Ręce mu drżały, tak że z trudnością wykonywał delikatniejsze ruchy. Podczas rozmowy łatwo tracił wątek. Nagranie z komórki kompletnie wytrąciło go z równowagi i choć już wcześniej uważał, że słyszał głos swego syna, w dodatku w tym samym miejscu, to posiadanie nagrania potwierdzającego ów fakt robiło wielką różnicę. Być może powód rozstroju brał się stąd, że teraz nie mógł już spisać tego na karb omamów słuchowych, stresu czy wyobraźni. Miał potwierdzenie, że te słowa rzeczywiście się wtedy rozległy. Kiedy usłyszał, że konserwator wymienia świetlówkę, wypadł na korytarz i poprosił go, by powiedział mu, co słyszy, i odtworzył nagranie. „Powiedz prawdę. Wtedy mnie znajdziesz, tatusiu”, odparł mężczyzna. Słowa te tak podziały na Freyra, że nie zwrócił uwagi na minę biednego konserwatora. To nie była żadna autosugestia! Teraz już nie miało dla niego znaczenia, czy w kafejce dla pracowników pojawi się nowy temat rozmów – dziwny i samotny psychiatra ze stolicy.

Siedział z komórką w dłoni zapatrzony w zorzę, która bardzo się rozciągnęła,

wypełniając niemal całe niebo. W jakiś niezrozumiały sposób ten zielony kolor go oczarował. Nigdy specjalnie nie fascynowały go barwy, nawet nie miał swojej ulubionej. Ale w zielonkawej poświacie na niebie było coś, co przykuło jego uwagę. W tym niepokojącym dniu właśnie zieleń wywoływała u niego znane uczucie smutku. Smutku, że nie stało się to, co mogło się stać. Pozbył się wszelkich wątpliwości, które nigdy nie zostaną wyjaśnione, ale zdziwił się mocno, z jakimi oporami przychodzi mu postępować według porad, jakich udziela pacjentom tkwiącym uparcie w stanie „co by było, gdybym tylko...”. Dotychczas nie miewał kłopotów z panowaniem nad własnymi myślami. Po prostu nie kierował ich w niepożądaną stronę, nie dopuszczał do siebie filozofii „co by było, gdyby”. Twardo stąpał po ziemi i wiedział, że gdyby swego czasu był całkowicie szczerzy wobec Sary, pogorszyłby tylko sprawę. Do żałoby, która i tak ją przygniatała, dołączyłyby ból i wściekłość, a to nie poprawiłoby nastroju ani jej, ani jemu. Prawda nie zmieniałaby losu Benniego. Wzrosłaby tylko presja na Sarę i ryzyko, że zacznie się miotać. A wtedy mógłby dostać w pracy upomnienie, a może nawet wypowiedzenie.

Taka argumentacja pozwoliła mu żyć z uśpionym sumieniem przez prawie trzy lata. Ale gdy wysłuchał nagrania, te jego wątpliwe argumenty upadły i pojawiły się wyrzuty sumienia. Z pewnością w cichym i marnym nagraniu na komórce doszukiwał się więcej, niż należało, ale nie miało to znaczenia. Był przekonany, że jego syn domaga się, by oczyścić atmosferę wokół siebie. Może interweniując w ten niesamowity sposób, Benni chciał pomóc Sarze i umożliwić jej dalsze życie. I dlatego właśnie powinien powiedzieć jej prawdę.

Zadzwoił telefon, a on bezmyślnie odebrał, nie patrząc na numer. Gapił się jak zahipnotyzowany na zieleń, która najwyraźniej nie chciała zastygnąć w bezruchu nawet na krótko, by przypomnieć sobie albo zrozumieć, jakie znaczenie ma ten kolor lub z jakim się wiąże wspomnieniem.

- Halo?

Dzwoniła Dagny.

- Larus nie żyje. - Czekala, aż Freyr się odezwie, ale ponieważ w słuchawce słyszała tylko milczenie, dodała: - Znalezione go w domu. Właśnie dzwonili z policji w stolicy. Nie pamiętam, czy ci to wcześniej mówiłam, ale poprosiłam ich, żeby go odwiedzili.

- A co się stało? - Freyr zamknął oczy, żeby oderwać się od niebiańskiego spektaklu i skupić na rozmowie.

- Tego nie wiadomo, ale zdaje się, że zażył truciznę. Może nieświadomie, może celowo, choć to raczej nieprawdopodobne.

- A wiadomo jaką truciznę? - Pytanie samej sprawy bezpośrednio nie dotyczyło, ale Freyr potrzebował czasu, by zrozumieć, co Dagny do niego mówi, i zastanowić się przez chwilę.

- Nie zapytałam. Więcej usłyszę jutro. Na pewno jeszcze zadzwonią, bo

prosząc, by go odnaleźli, nie wdawałam się w szczegóły. To, co powiedziałaś, tak mnie zaskoczyło, że nie potrafiłam wymyślić żadnej sensownej historii. Wyjaśniłam tylko, że muszę się z nim skontaktować w jakiejś starej sprawie, w której może dostarczyć nam informacji, a nie odbiera ani domowego, ani komórki. Nie musiałam tego jakoś bardziej tłumaczyć, bo z początku sądzili, że facet po prostu nie chce, żebyśmy się z nim kontaktowali.

– Miał blizny na plecach?

– Tego nie powiedzieli. Spodziewam się, że mogli jeszcze nie wiedzieć. Policjanci nie rozbierają ludzi, to należy do obowiązków tych, którzy zajmują się zwłokami. – Dagny cicho jęknęła. – Coraz bogatszy robi się zestaw pytań, które muszę im zadać.

Freyr zasadniczo nie miał nic do dodania. Nie był w stanie zastanawiać się, co śmierć Larusa oznacza, czy przetnie spekulacje dotyczące tajemniczych powiązań nieżyjących przyjaciół ze zniknięciem jego synka. Już nie było nikogo, kto z pierwszej ręki mógłby udzielić im informacji na ów temat, więc chwilowo nie było sensu się nad tym zastanawiać. Może i dobrze. Zanim nie zaangażował się w tę sprawę, czuł się całkiem przyzwoicie, choć trudno powiedzieć, że dobrze. Dni jednak mijały bez jakichś specjalnych frasunków. Teraz jednak dotarło do niego, że będzie musiał przejść przez podobną gmatwaninę uczuć co wtedy, gdy zniknął Benni.

Pożegnał się niemrawo. Jego głos zdradzał, że jest zupełnie nieobecny duchem, więc Dagny, zanim skończyła rozmowę, uznała za stosowne zapytać, co go trapi. A on, zamiast się otworzyć i opowiedzieć jej o nagraniu, zignorował jej troskę i oświadczył po prostu, że jest zmęczony. Nie potrafiłby opisać ostatnich wydarzeń na tyle wiarygodnie, by nie uznała go za szaleńca. Musi z tym poczekać, dopóki nie będzie mógł wręczyć jej komórki i posłuchać razem z nią odległego głosu Benniego. Głosu, który udało się Freyrowi utrwalić, mimo że nie istniały struny głosowe, język czy centralny ośrodek nerwowy, dzięki którym uformowały się nagrane słowa. Ale na niebie też nie było niczego, co według Freyra mogłoby tworzyć zorzę polarną. Kimże jest on, by oceniać, co możliwe, a co nie?

Aby zapewnić sobie spokój na resztę wieczoru i na noc, wyłączył telefon i schował go do kieszeni kurtki. Pomimo przygnębienia uśmiechnął się rozbawiony tym bezcelowym gestem, bo po pracy w zasadzie nikt poza Sarą do niego nie dzwonił. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Freyr wstał i po raz ostatni spojrzął na zorzę borealną, po czym ruszył do domu, wciąż przekonany, że zieleń ma znaczenie. Ogromne znaczenie.

Okolica sprawiała wrażenie wymarłej. Właśnie dlatego postanowił tu przyjść w poszukiwaniu spokoju. Nagle poczuł się zaniepokojony, nie widząc żywej duszy. Każdemu oddechowi towarzyszyły słupy pary rozplywające się niemal od razu w powietrzu, ale przez ułamek sekundy, w którym para znajdowała się przed jego oczami, zdawało mu się, że widzi jakiś ruch w miejscach, w których nikogo nie ma. Przyspieszył kroku, ale nie miał zamiaru biec. Uważał, że ucieczka

świadczyłyby o tym, że przestaje panować nad sytuacją. A czego właściwie miałby się obawiać? Jeśli niewiarygodne okazałoby się prawdą i nawiedza go duch Benniego, to równie dobrze może mieć dobre intencje. Przecież to jego dziecko, i nie ma znaczenia, czy żywe, czy zmarłe. Freyr za nic miał teorię medium, że z czasem zmarli stają się źli. A nawet jeśli, to co złego może go spotkać? Śmierć? Nie marzył o śnie wiekuistym, niemniej musiał przyznać, że się tego nie boi. Jego życie nie było wyjątkowo fascynujące, a przyszłość wcale nie rysowała się w pięknych kolorach. Ów prosty fakt sprawił, że się zatrzymał. Spojrzał na rozpościerający się przed nim zaułek. Uliczne latarnie i dziwny blask z nieba nie były w stanie go oświetlić, a słupy latarni rzucały długie cienie wskazujące Freyrowi najkrótszą, ale i najbardziej ryzykowną drogę do domu.

Freyr skulił się, usłyszawszy śmiech czarnej alki. Serce w piersiach przypomniało o sobie głuchym waleniem, więc starał się oddychać miarowo, żeby się uspokoić. I znowu usłyszał ten chichot. Dochodził z zaułka. Zamarł w bezruchu i zmrużył oczy w nadziei, że zauważy jakiś ruch. Widział jednak tylko nieruchome domy patrzące na siebie pustymi oczami okien. Przeklął. Że też akurat teraz zachciało mu się szukać spokoju. Żałował, że nie poszedł do centrum. Kolejny raz rozległ się stłumiony śmiech, bardzo wyraźny. Bez cienia wesołości, wyrażający złośliwość albo radość z cudzych niepowodzeń. Choć Freyr nie potrafiłby opisać śmiechu Benniego czy przywołać go w myślach, wiedział, że to nie jego synek. Benni nigdy w swoim krótkim życiu nie śmiał się w ten sposób ani nie wydawał równie chropawych dźwięków. Rozejrzał się w obie strony, zastanawiając się, czy pójść wzdłuż morza, czy też wybrać szeroką i jaśniejszą ulicę biegnącą równolegle do mrocznego zaułka. Nie spodziewał się, żeby ktoś go napadł, niemniej nie miał zamiaru pakować się w kłopoty, a już na pewno nie pragnął znaleźć się bliżej źródła chichotu. W końcu zdecydował się na drogę wzdłuż morza, skreślił w prawo i szedł powoli.

Wkrótce usłyszał powitalny szum fal i z każdym stąpieniem, które oddalało go od zaułka, a przybliżało do tego miłego dźwięku, czuł ulgę. Przyspieszył i zajął myśli zgadywaniem, ile kroków dzieli go od morza. Wynik wychodził mu różny, ale przynajmniej nie dumał wtedy o czym innym. I nagle znowu usłyszał chichot. Zdawał się dochodzić zza stojącego w doku i czekającego na wiosenny remont małego kutra. Teraz głos brzmiał wyraźniej niż przedtem, skrzekliwy i piskliwy jak u dziecka. Ale nie normalnego dziecka, to pewne. Przestał odliczać kroki. Zatrzymał się i przyjrzał otoczeniu kutra. Ani żywej duszy. Schylił się, usiłując dojrzeć pod kutrem stopy, ale niczego nie zauważył. Skoro śmiech dobiegał z tamtej strony, to ów wesołek musiał schować się na pokładzie. Freyr wściekł się na myśl o tym, że ktoś może tak z niego drwić. Pewno jakieś dzieciaki, które postanowiły zrobić sobie jaja z dziwnego gostka ze stolicy, z faceta, który stracił syna. Może ci sami dowcipnisie zakpili sobie z niego w szpitalu. Zanim zdążył pomyśleć, popędził w stronę kutra i nawet nie zwolnił, kiedy oblesny chichot ponownie dobiegł z łajby.

Staął przy burcie. Zorientował się, że kuter jest wyższy, niż się spodziewał, i

nie ma jak na niego wejść. Podciągnął się powyżej krawędzi burty i rozejrzał po pokładzie, lecz zobaczył jedynie zardzewiałe żelastwo, przegniłe liny i strzępy sieci tak poplątane, że z pewnością nie byłyby w stanie zagrozić ani jednej rybie w morzu. Obszedł łódź dookoła i walił w burzę, licząc, że może to wystarczy, by wystraszyć z niej dziecko czy też dzieci. Ciężkie, puste dźwięki. Każde uderzenie odbijało się na nagiej pięści Freyra. Ale nikt ani nie wystawił głowy, ani się nie ujawnił. Jedyne efekty były takie, że żółte płyty farby opadły na ziemię. Nazwa i numer jednostki wciąż jeszcze były widoczne: Gigja Olafsdottir, IS 127. W końcu walenie odniosło skutek. Śmiech rozległ się ponownie, tym razem we wnętrzu kutra. Więcej dowodów nie potrzebował. Podbiegł do najniższego fragmentu burty i wspiął się na pokład.

Od razu uderzyła go silna woń soli morskiej. Wszystko było tu przesiąknięte morzem i słonymi naciekami. Żeby ten zapach się ulotnił, kuter musiałby postać na lądzie przez wiele lat. Niewykluczone, że spowodowany był licznymi kałużami na pokładzie, lśnącymi z lekka w świetle księżycy. Freyr zapatrzył się na nie. Ziąb panował taki, że płytkie kałuże powinien ściąć mróz, nawet jeśli to woda morska. Pewno ten, który skrył się na łodzi, przyniósł ze sobą tutaj tę wodę. Pokład trzeszczał przy każdym kroku i Freyr miał gorącą, szczerą nadzieję, że chowający się przed nim osobnik ma teraz gacie pełne strachu, że boi się, iż zostanie ujawniony. Ale co zrobić, jak już odnajdzie dowcipnisia? Nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Pewno wyciągnie go za kurtkę na pokład, spyta łobuza, dlaczego to robi, i porządnie nim potrząśnie, zanim puści i pozwoli mu wystraszonemu pognać do domu. Jedyne, na co musi uważać, to żeby nie stracić panowania nad sobą i nie wyżyć się za wszystkie krzywdy, jakich doznał w ciągu minionych lat. Bo pokusa jest wielka.

Wprawdzie śmiech dochodził spod pokładu, ale Freyr postanowił najpierw zajrzeć do niedużej sterówki, tak by ewentualny współnik nie mógł go zejść od tyłu, kiedy on będzie karcił jego kompana. Nikogo tam jednak nie znalazł. Odwrócił się w kierunku drewnianego luku w pokładzie bliżej dziobu. Chcąc wzmocnić efekt kroków, które musiały dudnić w zamkniętej ładowni pod pokładem, stapał tak ciężko jak tylko potrafił. Potem chwilę odczekał, żeby spotęgować napięcie, i wreszcie postanowił odblokować rygiel.

Nachylił się i chwycił za rączkę. Jego palce jeszcze się na niej porządnie nie zacisnęły, gdy po raz kolejny usłyszał chichot, na pewno dobiegający spod pokładu. Wyglądało na to, że dzieciak stara się tłumić śmiech. Najwyraźniej w ogóle się nie bał. Zdawał się raczej bawić, choć śmiech był teraz bardziej złośliwy niż poprzednio. Freyrowi ów rechot wydał się na tyle nieprzyjemny, że puścił rączkę, jego odwaga rozplynęła się w powietrzu. Kiedy więc wściekłość przestała być jego siłą napędową i wrócił rozsądek, zaczął się przyglądać kłapie. Rygiel znajdował się na zewnątrz. Ktokolwiek schował się na dole, nie mógł zejść tym włazem. Obejrzał się za siebie, ale nie zauważył innego luku.

- Otwórz!

Freyr zamarł. To był głos dziecka, ale zupełnie nie przypominał głosu Benniego.

– Pobawimy się w chowanego?

Freyr oddychał tak szybko, że nie wiedział, czy wdycha powietrze, czy opróżnia płuca. Zerwał się na równe nogi i stanął jak wryty ze wzrokiem wbitym we właz. Zrobił krok do tyłu i drewniana konstrukcja łodzi zadrżała. I wtedy ponownie usłyszał:

– Otwórz. Pobawmy się w chowanego. – Potem znów rozległ się chichot. Towarzyszył Freyrowi, kiedy ten przeskakiwał przez burtę. Gonił go, gdy się podnosił po upadku na pokrytej śniegiem kamienistej plaży, i nie odstępował, kiedy biegł w kierunku centrum. Dopiero tam zwolnił i odetchnął, wolny od echa dudniącego w jego głowie.

Co takiego powiedziała jasnowidząca przyjaciółka Sary? Że grozi mu niebezpieczeństwo? Nie wątpił w to i nagle zrozumiał, że nie ma ochoty skończyć w najgorszy z możliwych sposobów. Udał się do szpitala, zdecydowany sprawdzić najmniejszy nawet karteluszek, każdą listę i każdy szczegół, który mógłby pomóc w rozwiązaniu zagadki i odnalezieniu synka. Wziął do ręki telefon i wybrał numer byłej żony. Nie przepraszając za późną porę, przeszedł od razu do rzeczy.

– Musisz mi przysłać pliki komputerowe dotyczące zaginięcia Benniego, te, które dostaliśmy od policji. Każdy jeden, również nagrania ze stacji benzynowej. Rozłóż je na wiele maili, bo to zbyt ciężkie fajle i w jednej wiadomości się nie zmieszczą.

– Taką idiotką nie jestem. Potrafię wysłać mail.

Freyr gwałtownie wypuścił powietrze przez nos.

– Saro, a poza tym muszę ci coś powiedzieć. Kiedy zaginał Benni, nie pojechałem do szpitala pracować. Byłem z inną kobietą. Dlatego wróciłem tak późno. Nie chcesz pewno słyszeć, jak bardzo mi za to wstyd...

Sara rzuciła słuchawkę. Freyr modlił się tylko o to, by mimo wszystko wysłała pliki.

Lif stanowiła jeden wielki kłębek nerwów, co było korzystne dla Katrin. Dopóki wszystko kręciło się wokół tego, by Lif zupełnie się nie rozkleiła, miała o czym myśleć i była w stanie obronić się przed zagrażającą jej depresją. Najchętniej jednak wpełzaby do śpiwora, zagrzebała się po czubek głowy i czekała na zło, które nadejdzie. Nawet przez chwilę nie pomyślała, że może spotkać je coś dobrego, i to trochę odbierało jej siły, ale miało i tę dobrą stronę, że optymizm i nierealne oczekiwania nie przeszkadzały jej w działaniu. Czowała dziwną ulgę, bo choć wiedziała, że czeka ją tragiczny los, to wierzyła, że stanie na nogi. Była potłuczona, lecz nieugięta. Właściwie nie miała wyboru, jedna z nich musiała się trzymać, a Lif była w fatalnym stanie. Putti też wyglądał na pogrążonego w ciężkiej depresji i przez cały dzień spał zwinięty w kłębek na śpiworze Gardara.

– Powinnyśmy coś zjeść. – Katrin usiłowała znaleźć wygodniejszą pozycję na materacu rozłożonym w jadalni. Noga dokuczała jej coraz mniej. Wprawdzie ból nie ustępował, ale zdążyła już do niego przywyknąć. Poza tym otępiły ją pigułki. Podejrzewała, że ból jest zwiastunem nieszczęścia i że w normalnych okolicznościach najbardziej teraz by się obawiała, że zbyt późno trafi pod opiekę lekarską, a nie że spotka ją okrutny, nieznany los. – Nie jesteś głodna? – Nie miały w ustach nic od chwili, gdy się obudziły, przez cały dzień nie czuły głodu. Ale był już wieczór. Katrin nie miała ochoty na jedzenie, ale wiedziała, że to nierozsądne kłaść się spać z pustym żołądkiem. Bała się, że z głodu nie zmrzy oka i sama będzie musiała pójść po ciemku do kuchni. A o tym nie mogło być nawet mowy.

Lif patrzyła przed siebie na otwarte drzwi, jakby kierowała swoje słowa do kogoś, kto za nimi stoi.

– Czy zawsze tak jest, że kiedy człowiek zrobi coś złego, to potem to się na nim mści? – Obracała w drżących rękach wymiętą paczkę papierosów. W środku pozostał tylko jeden.

– Co ty bredzisz? – Katrin próbowała wstać. O ile dobrze знаła Lif, ta pójdzie w jej ślady. – Jedni płacą za swoje grzechy, inni nie. Ale jakoś jestem pewna, że bagno, w jakim się znaleźliśmy, nie ma nic wspólnego z naszymi starymi grzechami, jeśli o to ci chodzi. Nie potrafię sobie wyobrazić, byśmy miały na sumieniu coś aż tak obrzydliwego, żeby zasłużyć na podobny los. – Stępiełe końcówki nerwów wysyłały do mózgu rozpaczliwy sygnał, że nie powinna się ruszać. Putti był chyba w podobnym stanie, uniósł łeb i spojrzał na nią przerażonymi ciemnymi ślepiami, które zdawały się mówić, że nic na to nie poradzi: jest źle, a będzie jeszcze gorzej. Ból nogi świadczył o tym, że wciąż jeszcze żyje, niebawem już nic nie będzie czuła.

– Ja myślę, że to jest zemsta. Może nieżyjący połączyli swoje siły i pomagają sobie wzajemnie, by jej dokonać. Jak sądzisz? – Głos Lif był niemal tak samo

pozbawiony życia jak żądni zemsty umarli, którzy całkowicie zawładnęli jej umysłem.

– Nie, to niemożliwe. Jak sądzisz, co takiego na przykład zrobił Gardar, żeby sobie zasłużyć... – Katrin nie mogła dokończyć zdania, nie chciała i nie wiedziała nawet, jak je spuentować. Co się stało z Gardarem? Lif spojrzała na nią. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale szybko zrezygnowała. Ponownie zwróciła się w kierunku ciemnych drzwi, których migocący płomień świeczki nie był w stanie oświetlić. – Chodź. Zjemy coś. Poczujesz się lepiej i jak podwyższy ci się poziom cukru, może zrozumiesz, jakie masz absurdalne myśli. Nie możemy całkiem się poddać. – Putti wstał i pokuśtykał na obolałych łapach do Katrin. Ta rasa psów najwyraźniej nie była stworzona do takich warunków.

– Niektórzy umierają z powodu zbyt wysokiego poziomu cukru. – Lif najwyraźniej nie zamierzała ruszyć się z miejsca. Wybuchła oschłym śmiechem, a jej ramiona trzęsły się pod kocem, w który się okutała. – A inni zbyt niskiego. – Znowu się roześmiała, lecz urwała nagle. W jednej sekundzie była rozbawiona, w drugiej wpatrywała się przed siebie w otępieniu.

– Pod tym względem nic nam nie grozi. Zapewniam cię. – Katrin oparła się o ścianę, czekając, dopóki nie minie ostry ból w nodze. Lif nie przejawiała ochoty ani by coś powiedzieć, ani by się podnieść. – Jeżeli nie ruszysz się stąd, zostaniesz tu sama po ciemku. Putti idzie ze mną i bierzemy świeczkę. – Nie musiała pozbawiać Lif światła, w kuchni znajdowało się dość świeczek. To była po prostu rozpaczliwa próba zmuszenia jej, by się podniosła i udała do kuchni. Katrin nieprędko przyznałaby na głos, że boi się sama stąd wyjść, nawet w towarzystwie Puttego. – Wybieraj.

Lif obróciła lekko głowę, żeby spojrzeć Katrin w oczy. Tańczący płomień świeczki odbijał się w jej źrenicach. Wyglądało to, jakby coś w jej oczach drgało.

– Katrin, ja nie chcę umierać. Nie sama. – Wstała. Jej ruchy przypominały chód Puttego, wyrażały rezygnację i zwątpienie skazanego na śmierć więźnia w drodze na egzekucję.

– Nie umrzesz. – Słowa Katrin brzmiały jak bardzo kiepski żart. – Poczujemy się lepiej, kiedy coś przekąsimy. – Nie chciała więcej mówić, choć miała świadomość, że będzie musiała przekonać Lif, by wyszły stąd, nim zapadnie noc. Najlepiej jednak było z tym poczekać, dopóki się nie najedzą. Być może wtedy odzyskają trochę odwagi. Idiotyczny uśmiech błąkał się na ustach Katrin. Cóż znaczył najobfitszy nawet posiłek wobec strachu i grozy, które ścisnęły gardło! Ale przecież muszą wyjść na dwór, żeby przynieść drewno na opał i wysikać się. Przy okazji mogłyby zawołać Gardara, posłać jego imię w ciemność w słabej nadziei, że je usłyszy i wróci. Bez sensu. – Weź świeczkę, Lif. Musimy coś widzieć.

Cienie, jakie pomarańczowe światło rzucało na twarz Lif, powodowały, że budziła grozę; oczy zapadnięte w czarnych kałużach, policzki tak wystające, jakby ciało odeszło od kości. Kiedy przemówiła, jeszcze bardziej upodobniła się do ducha.

- Jak myślisz, co się stało z Gardarem? - szepnęła, jakby nie chcąc, by ktokolwiek ją usłyszał.

- Nie wiem, Lif. Mam nadzieję, że z jakiegoś powodu po prostu musiał poszukać schronienia w innym domu. I nie jest w stanie tu dotrzeć. Miał wypadek bądź stracił przytomność czy coś podobnego. - Katrin przygryzła wargę na myśl, że to nieprawda, że Gardar nie jest w żadnym pomieszczeniu, lecz leży pod kołdrą zimnej wody morskiej, po której hula rozszalały wiatr. - Na pewno jest w domu lekarza. - Katrin wydało się, że wypowiadając te słowa, wywiera wpływ na rzeczywistość. Jakby życie czekało na to, że ona zdecyduje o losie Gardara. - Na pewno musi tam być.

- Więc dlaczego tam nie pójdziemy? - Nadzieja, która zapłonęła w oczach Lif, niemal wzięła górę nad cieniami rzucanymi przez świeczkę i uczyniła jej twarz na powrót ludzką. - Mogę cię podpierać. Droga długo nam nie zajmie. Pliz.

- Nie dam rady, Lif. Musimy przejść przez strumień, a z moją nogą jest coraz gorzej. Na jednej przez wodę się nie przeprawię, a ty nie powinnaś nieść mnie na plecach. Możesz się potknąć i wpadniemy do lodowatej wody, a wtedy byłoby po nas! Mogłabyś oczywiście pójść sama, ale nie jestem przekonana, czy stać cię na to. Dobrze myślę? - Katrin wstrzymała oddech ze strachu, że Lif nagle zdecyduje się pójść. Jeśli ich drogi się rozejdą, niewątpliwie będzie po nich.

- Tam też go nie ma. - W głosie Lif znów pojawiła się rezygnacja. Promyk nadziei, który pojawił się, gdy uległa złudzeniom, że jeśli opuszczą ten dom, wszystko będzie w porządku, zgasł równie szybko, jak się pojawił. Spojrzała na Katrin. - Ale wiedz jedno. Lepiej jest nie mieć męża dlatego, że umarł, niż dlatego, że odszedł do innej.

- Przestań. - Katrin czuła, jak ogarnia ją rozpaczliwy gniew. Miała ochotę wymierzyć Lif policzek. Nie życzyła sobie wysłuchiwać żadnych aluzji do swego losu, a już na pewno nie od Lif. Porównywanie jej związku z Gardarem do związku Lif z Einarem, którzy od dawna nawzajem wdeptywali się w błoto, nie było uczciwe. Ale gniew szybko minął i w jego miejsce pojawił się smutek. Katrin miała świadomość, że jeśli pozwoli sobie na płacz, trudno jej będzie go opanować, więc przełknęła ślinę i odchrząknęła. - Rozmawiajmy o czymś innym. Gardar się znajdzie. Na pewno.

Lif ani jej nie przytaknęła, ani nie zaoponowała. Milczały, dopóki nie znalazły się w kuchni i nie zapaliły nowej świeczki. Ich zapasy wprawdzie zostały mocno nadwerżone, ale nad rozsądkiem przeważyła potrzeba światła, a fakt, że coś widziały, ożywił je trochę i wzięły się do jedzenia. Żadna z nich nie miała apetytu i z kartonu wyciągnęły jedynie to, co leżało na wierzchu. Putti dostał swój kęs pasztetu. Z początku wyglądało na to, że połknie go za jednym zamachem, ale jadł wolno i spokojnie.

- Nienawidzę sucharów - powiedziała Lif. Niemniej bez zmrużenia oka gryzła już drugiego. - Ich jedzenie wydaje mi się bezcelowe. Są bez żadnego smaku. I tak suche, że człowiek podejrzewa, iż zostały wyprodukowane w betoniarnie. - Upiła

mleka z kartonika i skrzywiła się. Wprawdzie nie skwaśniało, ale ponieważ nie miała apetytu, trudno jej było przełknąć cokolwiek.

Katrin uśmiechnęła się w nadziei, że inny temat rozmowy niż ich obecne położenie dobrze wróży. Może już niedługo zdobędą się na odwagę, by wyjść na zewnątrz? Muszą przynieść drewno, a Putti z pewnością też by się załatwił, choć nie zdradzał żadnych niepokojących objawów. Wykluczyła możliwość wypuszczenia go samego z obawy, że zniknie jej z oczu i nigdy nie wróci. Że podzieli los Gardara. Przełknęła kawałek wyschniętego podpłomyka. – Nienawidzę podpłomyków. – Żadna z nich się nie uśmiechnęła.

Podłoga zaskrzypiała głośno i wyraźnie. Spojrzały po sobie, a ich oczy w nikłym świetle wydawały się ogromne.

– Co to było? – spytała Lif z ustami pełnymi suchara. – Odniosłam wrażenie, że to tuż za mną. Ktoś tu jest? Ten cholerny bachor stoi za moim krzesłem? – Jej głos świadczył, że znajduje się na krawędzi załamania nerwowego. Wielkie oczy omal nie wyskoczyły jej z orbit i nie mrugnęły od chwili, kiedy spojrzała na Katrin.

Katrin nie mogła oderwać wzroku od oczu Lif. Bała się spojrzeć na cokolwiek innego, a już nie tam, skąd dochodziło skrzypienie. Jednak przesunęła lekko wzrok, nie ruszając głową, by natychmiast móc odwrócić spojrzenie, gdyby zobaczyła coś strasznego. Ale nic nie zauważyła. Również kiedy przeniosła wzrok w drugą stronę.

– Tam nic nie ma. – Żadna z nich jednak nie poczuła specjalnej ulgi. Znów wbiły w siebie swoje rozpaczliwe spojrzenia w oczekiwaniu na nieuniknione następne skrzypnięcie. I mimo że się go spodziewały, kiedy nastąpiło, znów wpadły w panikę. Lif bardziej, bo zwrócona była plecami do jego źródła.

Skrzypnięciu towarzyszył cichy skowyt Puttego, ale to nie miało znaczenia, bo natychmiast nastąpiło kolejne, tym razem nieco głośniejsze. I szept, taki sam, jaki Katrin zdarzyło się wcześniej słyszeć kilkakrotnie, a o którym nie chciała wspominać, bo za każdym razem była sama. A nie chciała, by pomyśleli sobie, że ma omamy albo że sfiksowała. Lecz choć wtedy żałowała, że nie było ich w pobliżu, gdy rozległ się ten nieznośny głos, wcale teraz się nie cieszyła, że słyszy go także Lif. Właściwie to poczuła się jeszcze gorzej, widząc jej przerażoną minę. Już nie mogła szukać pocieszenia w myśli, że się przesłyszała albo że puszczają jej nerwy.

– Kto to powiedział? – Lif była bliska płaczu, a Katrin miała świadomość, że sama nie jest w lepszym stanie. Wargi Lif drżały, kiedy powtórzyła pytanie: – Kto to powiedział?

– Nie wiem – szepnęła Katrin, niemal siebie nie słysząc. – Nie wiem. – Za drugim razem jej głos zabrzmiał głośniejsze, więc odzyskała nieco odwagi; odwagi, która wznosiła się i opadała niczym fale na powierzchni oceanu. – Usłyszałaś jakieś słowa? – Nachyliła się ku Lif, starając się nie patrzeć obok niej ze strachu, że ujrzy sylwetkę chłopca gdzieś w kuchennych ciemnościach.

– O-o-ot-otwórz. – Łzy strumieniami spływały Lif po policzkach. Połyskiwały w blasku świec i można było odnieść wrażenie, że płacze złotem.

Katrin zdawało się, że słyszała to samo.

– Otworzyć co? – Pytanie wypowiedziała po cichu, nie oczekując odpowiedzi. Słowo to znów rozbrzmiało za plecami Lif. Katrin dostała gęsiej skórki i zacisnęła powieki, kiedy głowa Lif opadła na stół. Nie chciała widzieć, co czai się za plecami. Niemal natychmiast otworzyła oczy, tak że jej ucieczka od rzeczywistości trwała jedynie krótką chwilę. Putti stanął na jej obolałą stopę, szukając schronienia między nogami Katrin. Ból był tak dojmujący, że krzyknęła. To przyziemne, lecz czyste uczucie utorowało drogę rozsądkowi. Odwagi dodał jej także fakt, że za plecami Lif nie było niczego oprócz łomu, który Gardar oparł o ścianę w miejscu, gdzie w nocy usiłował pracować. Katrin wstała z krzesła. – Sprawdzę, czy nie ma tam dziury, przez którą ktoś szepce. – Lif poruszyła się, oparta głową o stół, i powiedziała coś niezrozumiałego. Ale Katrin już podjęła decyzję.

Na jednej nodze podskoczyła do miejsca przy ścianie, z którego dochodził głos. Pilnowała się, by nie zgasić świeczki. Nie było tam niczego niezwykłego, choć miała wrażenie, że coś dzieli z nią najbliższą przestrzeń. Spodziewała się poczuć gorący oddech spętający za dekolt, ale nic takiego się nie wydarzyło. Jedyne, co czuła, to nieprzyjemny, gorzki odór, niepodobny jednak do tego, jaki wionął od Lif, kiedy ta zeszła z piętra. Usiadła, żeby lepiej przyjrzeć się podłodze. Sporo ją to kosztowało, a ból dodał jej tylko odwagi. Przecież, do cholery, nie może się stać nic, co i tak się nie stanie. Pytanie tylko, czy wtedy lepiej siedzieć, czy stać na nogach. Starła się nie myśleć o tym, że najprawdopodobniej Gardar przepadł właśnie za przyczyną swej bezkompromisowości, a one ocalały, gdyż postępowały ostrożnie.

– Dżizas. – Uniosła rękę do twarzy i wsadziła nos w zgięcie łokcia. Grzyb czy pleśń mocno się rozwinęły, tak że pod nowymi deskami podłogi w ogóle nie było widać starych, które teraz całkowicie pokrywała zielona maź.

– Co? – Lif wyprostowała się i odwróciła do niej na krześle. Najwyraźniej wolała widzieć najbliższe otoczenie niż mrok, w którym czaić się mogło zło. – Co tam masz?

– Straszny smród i straszne porosty, podobne do tych, które były na podłodze, pamiętasz? – Głos Katrin brzmiał dość bełkotliwie, ponieważ gadała do rękawa, ale Lif rozumiała każde słowo. – Tylko że o wiele, wiele więcej tego wszystkiego. – Katrin przysunęła świeczkę i wtedy, tuż przy ścianie, zobaczyła miejsce, którego nie tknęła zielona, obślizgła roślinność. Przysunęła płomień świeczki tak blisko, jak było to możliwe. Musiała operować obiema rękami.

– Nie wdychaj tego! – Lif zerwała się i zasłoniła usta. Putti przybliżył się do niej i wtulił w jej nogi, skąd spozierał na Katrin. Dyszał. Jeden raz cicho zaskowyczał, po czym umilkł.

– Jeśli to coś niebezpiecznego, to i tak już jestem martwa. Obie jesteśmy. –

Zmrużyła oczy. – Widzę zawias. To pewno jakiś stary właz. – Odwróciła się do Lif. – Coś tu jest pod podłogą. Może wreszcie uda się wyjaśnić dziwne hałasy i stukot w domu.

Lif nie wyglądała na spragnioną odpowiedzi na te pytania.

– Przecież pod podłogą może się czaić ten przeklęty bachor, a ty chcesz otwierać? Zwariowałaś? – Nie doczekawszy się odpowiedzi Katrin, która sięgała po łom, dodała: – A jak myślisz, dlaczego facet, który tu mieszkał, położył deski na klapie? Bo wiedział, że pod podłogą kryje się coś złego. Katrin, nie otwieraj. – Jej głos brzmiał zarazem rozkazująco i błagalnie. Zdawał się także przesiąknięty strachem.

– Pewno nie zauważył zawiasów. Ja też ich nie zauważyłam, dopóki pleśń nie pokryła całej podłogi, gdyż dopiero wtedy stały się widoczne. Zupełnie nie rzucają się w oczy, są przy samej ścianie i częściowo schowane pod starą listwą. No i światło jest tu słabe, jakbyś się jeszcze nie zorientowała. – Katrin usiłowała dostrzec zarys klapy, ale bez rezultatu. Chwyliła za łom i starała się go wepchnąć pomiędzy deski w miejscu, w którym, jak sądziła, mogła znajdować się krawędź włazu, ale także bezskutecznie. Próbowwała więc z kolejną deską. Z podobnym efektem. A potem przy dwóch następnych spojeniach, za którymi leżały już nowe deski. Przerwała na moment i pomyślała, że być może drugi zawias jest gdzie indziej, niż sądziła, i kłapa otwiera się po przeciwległej stronie. Niezdarnie przesunęła się tak, aby użyć łomu w nowym miejscu.

– Katrin, przestań. Co zrobisz, kiedy już otworzysz? Wepchniesz głowę do dziury? Całkiem rozum ci odebrało? – Nie sposób było się połapać, czy Lif martwiła się bardziej o głowę Katrin, czy o własne bezpieczeństwo, gdyby koleżanki zabrakło. – Pliz. Nie rób tego. Albo przynajmniej poczekaj do rana.

Ale już było za późno. Usłyszały trzask podłogi, kiedy Katrin udało się wreszcie trafić na właściwą szczelinę. Złękła się i słowa Lif nabrały znaczenia. Jeśli wypuści z rąk łom, kłapa pewno spadnie na dół. Przerdzewiałe zawiasy i podpórka mocno trzeszczały, gdy ją podnosiła. Wszystko pewnie się połamało. Ale co dalej? Czy wepchnie głowę przez otwór? Raczej nie.

– Lif, podaj mi swoją komórkę. Bateria chyba jeszcze działa?

– Co? – Lif wpatrywała się oszołomiona w Katrin, ale po chwili skinęła głową. Rozejrzała się dookoła. Komórka leżała tam, gdzie ją położyli. Poszła po nią. Zanim podała ją Katrin, przycisnęła różowy aparacik do piersi, jakby nie chciała wypuścić go z rąk. Jednak po chwili się rozmyśliła i padała komórkę Katrin. – Proszę, tylko szybko, a potem zatrzaśnij porządnie ten cholerny właz.

Katrin wzięła od niej aparat i wyjęła łom, a wyłamana kłapa spadła z przeciągłym jękiem. Nie powiedziała tego Lif, ale już nie było możliwości, żeby zamknąć właz. Chmura kurzu niemal zdusiła płomień świeczki. Katrin odsunęła się od otworu, żeby nie wdychać drażniącego gardło pyłu, niemniej poczuwszy suchy smak w ustach, doszła do wniosku, że już i tak za późno. Spojrzała na Lif i

wyczytała wszystko w jej przerażonej twarzy. Teraz za późno żałować, jeśli pomysł był zły. Putti ani nie zaskowyczał, ani nie zaszczekał, wyglądał na rozczarowanego. Katrin odwróciła się i zajrzała do dziury, w której ziała czarna otchłań. Zebrała się na odwagę. Drżącymi dłońmi włączyła aparat. Potem wyciągnęła się do przodu, na ile mogła. Wciąż nie była w stanie opanować drżenia. Wsunęła do dziury komórkę, z palcem wskazującym na spuście. Liczyła się z tym, że może stracić rękę, więc wybrała lewą. Kiedy aparat znalazł się odpowiednio nisko, pstryknęła, a jasny błysk lampy wydostał się przez dziurę, zupełnie jakby pod domem wybuchła bomba. Obróciła nieco aparat i zrobiła drugie zdjęcie, po czym skierowała obiektyw w drugą stronę i pstryknęła po raz trzeci. Na kolejne zdjęcia nie starczyło jej sił i wyciągnęła rękę z dziury z prędkością, o jaką siebie nawet nie podejrzewała.

– Co jest na zdjęciach? – Lif trzymała się za piersi, jakby po słowach Katrin miała dostać ataku serca.

Katrin nie odpowiedziała. Odsuwała się od dziury, jednocześnie odtwarzając zdjęcia, i gdy dotknęła plecami szafki kuchennej, wbiła wzrok w wyświetlacz. W jednym z rogów kadru zobaczyła coś na glinianym klepisku, przełknęła ślinę i spojrzała na Lif.

– To kości. Ludzkie kości. W piwnicy pod naszymi stopami leży martwy człowiek.

Lif zakryła usta.

– Gardar? – Nie minęła jeszcze doba, jak ostatnio go widziały, ale w tym domu nic nie działo się zgodnie z logiką.

Katrin pozostawiła to bez komentarza. Nacisnęła strzałkę, żeby obejrzyć kolejne zdjęcie, lecz zamiast innego ujęcia spod podłogi jej oczom ukazała się najstarsza fotografia zrobiona komórką. Katrin w osłupieniu patrzyła na wyświetlacz, czując, jak zamiera jej serce. Nacisnęła drugi raz i ujrzała następną fotkę, i tak dalej, i dalej, aż wreszcie dotarło do niej, że to nie jest złudzenie. Podniosła wzrok i spojrzała Lif prosto w oczy.

– Co? To Gardar? – Lif była przerażona, bo Katrin miała nieodgadnioną minę. – Nie żyje?

Katrin nie odpowiedziała od razu. Wstała. Dojmujący ból stopy nie miał w tej chwili żadnego znaczenia. Kiedy stanęła na nogi, rzuciła komórkę Lif, która zdziwiona ją złapała. Katrin miała ochotę splunąć w jej kierunku, lecz jedynie syknęła:

– No wiesz... – Jej głos był równie zimny, jak lód, który skuł jej serce. – Mam taką nadzieję.

Freyrowi zdawało się, że dopiero zamknął oczy, kiedy budzik zażądał, by znów je otworzył. I tak udało mu się zdrzemnąć cztery godziny, a to już niezłe. Ani bezsenność, której tak się obawiał, ani koszmarnie sny nie popsuły mu całkiem wypoczynku. Położył się spać nieco później, niż zamierzał, i kiedy kładł głowę na poduszce, czuł się zupełnie wykończony. Zamierzał położyć się wcześniej, ale gdy już chciał wyłączyć komputer, nagle zaczęły przychodzić maile od Sary zawierające dokumenty sprawy. Może chciała pozbawić go snu, ale nie miał jej tego za złe. Była na niego wściekła i z pewnością jeszcze przez jakiś czas będzie. Jeśli nie do końca życia. Pozostaje mu pogodzić się z tym faktem. Ich rozstanie może okazać się całkowite, a przyjaźń, zbudowana jak domek z piasku lub na kłamstwach: „Idź do diabła, cholerny palancie obrzydliwy”, bardzo na miejscu.

Jak wiele razy wcześniej sen uporządkował myśli Freyra. Przejrzał większą część tego, co przysłała mu Sara, jak i inne materiały, które uznał za istotne, i wszystko mu się kompletnie pomieszało. Nie był w stanie wyciągnąć wniosków czy odczytać czegokolwiek sensownego z owej masy plików, które otrzymał, podobnie jak nie był w stanie oddzielić ziarna od plew, gdy oglądał nagrania z parkingu przy stacji benzynowej. To go zresztą specjalnie nie dziwiło, bo niby dlaczego miałby po tylu latach zauważyć coś nowego, na co swego czasu śledczy nie zwrócili uwagi? To absurd. Niemniej, wprawdzie na szybkim podglądzie, przejrzał sumiennie wszystkie nagrania, które przypominały filmy rysunkowe, gdzie postaci nie chodzą, lecz kołyszają się niczym pingwiny, a ruch samochodowy odbywa się na zasadzie „widzi mi się”. Freyr nie miał jednak wyboru, nie mógł sobie pozwolić na szczegółowe oglądanie czterogodzinnego nagrania z parkingu w normalnym tempie.

Za to akta przeczytał bardzo dokładnie. Z dziesiątków raportów na bok odłożył tylko jeden, by się bliżej nim zająć, inne niczego nowego nie wniosły. Ten, którym się zainteresował, wywołał dziwny niepokój w jego umyśle. Było to zeznanie jednego z dzieciaków, które bawiły się z Bennim w chowanego, chłopca, którego Freyr pamiętał i który po zniknięciu Benniego nigdy nie patrzył mu w oczy przy tych rzadkich okazjach, gdy się na niego natykał. Był to ten sam chłopiec, który wspominał o łodzi podwodnej. Wtedy Freyr był zbyt przybity, by się nad tym zastanawiać, ale teraz odległość owych wydarzeń w czasie i przestrzeni wyostrzyła mu umysł. Nie miał pojęcia, czy to we śnie przeanalizował raport, czy nocą na jawie, ale kiedy się zbudził, wiedział, że pewne szczegóły w zeznaniach dziecka się nie zgadzają, choć nie były to oczywiste niezgodności i tylko wtajemniczeni mogli się w nich zorientować. Zrozumiałe zatem, że policja przeoczyła te sprzeczności, jeśli oczywiście takie były. Być może swego czasu policjanci nie otrzymali wszystkich zeznań, a kilkakrotne przesłuchanie chłopaka rzuciłoby więcej światła na sprawę. Niezależnie od tego, jaki był powód, Freyr

postanowił wyjaśnić wszystko do wieczora.

Podczas gdy rozsądek spał w nocy, Freyr odkrył jeszcze kilka innych szczegółów, a wszystkie dotyczyły stłuczki, jaka miała miejsce na autostradzie Artunsbrekka w dniu, w którym Benni zniknął. Na nagraniu widać jedynie uszkodzony samochód, nie ma na nim jego auta ani przyczepy. Tę ostatnią facet odczepił i postawił nieco dalej. Zatrzymali się na skraju parkingu. Na filmie widać, jak kierowca wysiada z auta i wychodzi z kadru. Freyr pamiętał, że rozmawiali wtedy ze sobą. Potem tamten wrócił, wyjął ze schowka na rękawiczki formularz z ubezpieczalni i znów zniknął, żeby spisać oświadczenie. Minął jakiś kwadrans, nim ponownie się pojawił, wrzucił papiery do schowka i udał się do budynku stacji, gdzie przebywał jakieś pół godziny. Pewno coś jadł. To wszystko Freyr wiedział już wcześniej, ale teraz obudził się z pytaniem, co się stało z papierami. Ta sprawa nie miała żadnych konsekwencji. Ani nie stracił zniżki, ani nie otrzymał zawiadomienia, że sprawa trafiła do arbitrażu. Jego auto nie wymagało naprawy, po zniknięciu Benniego wgnieciony zderzak nie miał najmniejszego znaczenia w życiu rodziny. Liczyło się tylko to, że Benni zaginął, a o stłuczce zapomnieli tak jak o wielu innych sprawach w tamtym okresie. Ale teraz ów brak finału zastanowił go, może nawet wkurzył się trochę, że oto została jakaś niezłałatwiona sprawa, o której zapomnieli.

Na zewnątrz wciąż jeszcze panowały ciemności. Freyr opróżnił filiżankę i zaraz ponownie nalał sobie pozbawionej smaku kawy rozpuszczalnej. Tym razem podwójnej, żeby się porządnie wybudzić. Miał akurat wolne, ale zapomniał wyłączyć nastawiony na wczesną godzinę budzik. Wprawdzie szybko zorientował się, że mógłby sobie dłużej pospać, bo z nikim przecież nie będzie się tak wcześnie kontaktować, ale pozostawało mu tylko jedno – spacerować po mieszkaniu i pić kawę. Chociaż... Mógł przecież zadzwonić do Sary, która nigdy długo nie spała, i spróbować ją przeprosić. Był jej to winien. Dobrze jej robi, gdy na niego nawrzeszczy i go zwymyśla.

– Nie rozłączaj się – szybko wyrzucił z siebie na wypadek, gdyby odebrała tylko po to, by skorzystać z okazji i odkładając słuchawkę, nawrzeszczeć i okazać mu pogardę. – Muszę ci to powiedzieć. Potem możesz mnie wyzywać, ile ci się tylko podoba.

– Nie jesteś tego wart. – Głos był na tyle lodowaty, by nie wątpił, że za słowami kryje się głębokie przekonanie. – Wykrztuś to z siebie i daj mi spokój. – Sara umilkła na moment, po czym dodała: – Do końca życia.

– Saro, byłem idiotą. Nie chcę tłumaczyć się z tego, co zrobiłem, zachowałem się jak łajdak, ale nie potrafiłem oprzeć się pokusie. Choć powinienem. Zawiodłem cię, zawiodłem jako profesjonalista i w pewnym sensie zawiodłem Benniego. Ale najbardziej mnie boli, że w tak prostacki sposób cię zdradziłem.

– A więc nie pojechałeś wcale do szpitala i dlatego w pudełku było tak mało insuliny? To było jakieś przeterminowane gówno, które miałeś u siebie? Sfałszowałaś rachunki w szpitalnej aptece, zasrańcu? – Sara mówiła tak szybko,

że Freyrowi przypomniało się oglądanie nagrań z parkingu poprzedniego wieczoru.

– Saro, pojechałem do szpitala i wziąłem insulinę. Taka jest prawda. Ale poszedłem do gabinetu nie po to, żeby tam popracować, jak ci powiedziałem, lecz żeby spotkać się z tą kobietą. Dlatego też się spóźniłem. Zadzwoniła do mnie, a skoro i tak jechałem po insulinę, postanowiłem skorzystać z okazji.

– Gdzie się spotkaliście? – W jej głosie brzmiał ból, a to gorsze niż gniew. Gdyby go mieszała z błotem, mógłby sobie wmówić, że pracuje nad własnym rozgrzeszeniem, ale zupełnie inaczej miały się sprawy, gdy pokazywała mu swoje krwawiące serce.

Freyr chrząknął. Miał nadzieję, że w dalszym ciągu rozmowy nie spyta go, gdzie dokładnie to robili. Gdyby jednak spytała, to ją okłamię, po raz ostatni. Nie był pewien, czy spodobałby się jej stosunek na czymś tak trywialnym i sztampowym jak biurko.

– W biurze. Sama zaproponowała.

– Sprytnie. – Sara zamilkła. – A jak poznałeś tę swoją kurwę? A może nie wiedziała, że masz żonę?

– Wiedziała. Sama miała męża. – Teraz Freyr zamilkł. Jeśli opowie jej całą historię, to w pewnym sensie powierzy jej swoją przyszłość zawodową. Ale postanowił rzucić się na głęboką wodę. – Była moją pacjentką. Zgłosiła się do mnie po pomoc, bo miała kłopoty w swoim związku i w ogóle w życiu. Mąż miał inną, a jej się zdawało, że wszystko wokół niej się wali.

– Więc postanowiła zmałpować męża.

– Saro, w pewnym sensie ona była zdemoralizowana i dlatego jej terapia trwała dłużej niż kilka wizyt, które zazwyczaj starczą, by pogodzić się z problemami małżeńskimi. Demoralizacji często towarzyszy nachalność. Narzucała mi się, chociaż wiem, że to niczego nie usprawiedliwia. Kiedy zorientowałem się, że przejawia wobec mnie erotyczne zamiary, powinienem natychmiast skierować ją gdzie indziej, a nie okazywać jej zainteresowanie. Ale tak nie zrobiłem i teraz muszę z tym żyć. Nie widziałem jej od tamtego dnia ani z nią nie rozmawiałem. Nie zapisała się na kolejną wizytę, więc nie miałem okazji, by zerwać ten związek, co, słowo honoru, solennie sobie postanowiłem. – Nie wspomniał o tym, że kobieta była nieprawdopodobnie urodziwa i dobrze zbudowana i normalny mężczyzna raczej nie potrafiłby się oprzeć jej wdziękowi. To by samopoczucie Sary nie poprawiło.

– Bardziej idiotycznej wymówki w życiu nie słyszałam! – Sara znów się wściekła, co przyniosło Freyrowi ulgę. Nie wspomniała ani słowem, że doniesie o złamaniu przez niego kodeksu etyki lekarskiej, choć oczywiście to niczego przesądzało. – Koszmarnie idiotyczna. Jesteś kompletnym palantem i nie życzę sobie, żebyś do mnie więcej dzwonił. – Wzięła głęboki oddech. – Jest tylko jeszcze jedna rzecz, którą muszę wiedzieć, żeby czasem niespodziewanie nie wdać się w

rozmowę z tą twoją pierdolniętą kurwą. – Szybko wciągnęła powietrze, jakby nie do końca była przekonana, czy ma ochotę zadać to pytanie. – Jak ma na imię?

– Lif. – Freyr ponownie chrząknął. – Ma na imię Lif.

W towarzystwie ubezpieczeniowym udzielono mu informacji, że nigdy nie została zgłoszona żadna szkoda powstała tamtego dnia na autostradzie Artunsbrekka. Opiekun klienta, z którym Freyr rozmawiał, nie znał oczywiście powodu, dla którego nie nadesłano zawiadomienia, i poradził mu, by skontaktował się z ubezpieczycielem poszkodowanego. Freyr nie pamiętał, jaka to firma. Nie miał pojęcia, co stało się z jego kopią, ale spodziewał się, że położyła w schowku na rękawiczki, gdzie wepchnął ją, zanim opuścił teren stacji benzynowej i pojechał do domu. Przy rozwodzie samochód przypadł Sarze, a teraz nie odbierała telefonów od niego, więc ten trop prowadził donikąd, chyba że pojawiłoby się coś nowego.

Rozmowa z Sarą przywołała wspomnienia o spotkaniu z Lif w tamto brzemiennie w skutki popołudnie, myśli, których tak długo do siebie nie dopuszczał. Z początku zniknięcie Benniego przyćmiło wszystko, z upływem czasu starał się zapomnieć o zdradzie, a sprawę ułatwiła mu sama Lif, gdyż nie dzwoniła do niego ani się z nim nie kontaktowała. Ale teraz wszystko mu się przypomniało. Wyjątkowo jakoś zainteresowała ją wtedy insulina w papierowej torebce. Freyr pokazał jej lek, wyjaśnił, na co jest, nie wspominając jednak o Bennim, o którym nie chciał rozmawiać z kobietą, z którą zdradzał żonę. Najpierw zapytała, czy insuliną można się odurzyć, może pomyślała, że to doda ich życiu erotycznemu pikanterii. Kiedy zaprzeczył i powiedział, że insulina jest niebezpieczna i mogą ją brać tylko chorzy na cukrzycę, zaczęła zadawać kolejne pytania, które, jak sądził, wynikały ze stresu albo z tego, że kobieta po prostu ucieszyła się, że znalazła temat do rozmowy. „Jak się od tego umiera? A czy lek może spowodować atak serca? A czym się objawia ta arytmia, która może spowodować śmierć, jeśli człowiek choruje na serce? Jak to dobrze, że tego nie wypróbowałam dla zabawy”. Drugi raz przypomniał sobie o insulynie, kiedy policja chciała, żeby udowodnił, iż pojechał po lekarstwo i okazało się, że w opakowaniu jest tylko jeden dozownik.

Teraz, kiedy już był w stanie spojrzeć w twarz własnej słabości i bez obawy myśleć o tym, że o jego niewierności dowie się Sara, doszedł do wniosku, że Lif może wiedzieć, co się stało z lekiem. Może zauważyła, że dozowniki wypadły z pudełka, gdy trzymała je w rękach, a może wyjęła je, by im się przyjrzeć, kiedy zwrócony był do niej plecami, i odłożyła na niewłaściwe miejsce, a potem sprzątający je zabrali i wyrzucili. Naciągane, ale możliwe. Był to jednak kolejny niewyjaśniony szczegół. Postanowił zadzwonić do Lif i wprost ją o to zapytać, porozmawiać z nią szczerze, jednak skontaktować się z nią nie było łatwo. Lif nie odebrała telefonu domowego, który zapisany był tylko na nią, co oznaczało, że

mąż wypadł z gry. Zresztą nie dziwił się temu. Komórkę natomiast wyłączyła lub znajdowała się poza zasięgiem.

Uznał, że nie ma sensu dzwonić do chłopca, który według niego mówił w śledztwie nieprawdę, pewno jeszcze przebywał w szkole. Ale już niebawem powinien wrócić do domu. To, co zamierzał zrobić, niezupełnie było zgodne z prawem, ale wiedział, że musi z nim porozmawiać bez udziału rodziców. Oczywiście może się zdarzyć, że chłopak rzuci słuchawkę, ale musiał podjąć ryzyko. W oczekiwaniu na powrót chłopaka ze szkoły przeczytał jeszcze raz raport z przesłuchania i porównał z zeznaniami innych dzieci. Tam, gdzie jego zdaniem coś się kupy nie trzymało, notował na wydrukach zeznań swoje uwagi, żeby móc na nie spojrzeć, gdy będzie rozmawiał z chłopcem.

Z raportami w jednej ręce i telefonem w drugiej usiadł na kanapie, usiłując znaleźć sobie jakieś pożyteczne zajęcie. Nic mu jednak nie przyszło do głowy i pomimo dość sporej dawki kofeiny zdrzemnął się; budził się kilka razy, gdy głowa opadała mu na piersi, poprawiał na kanapie i znów usypiał. Dopiero kiedy zadzwonił telefon, zbudził się na dobre, wściekły na siebie, że marnuje czas. Dzwoniła Dagny.

- Znalazłam informacje, które cię pewno zaskoczą.
- Czyżby? – Freyrowi nie udało się ukryć, że jest zaspany.

Dagny na szczęście nie traciła czasu na pytanie Freyera, czy go zbudziła, lecz ciągnęła wątek:

- Ursula, twoja pacjentka, która zaczęła rozmawiać z tobą o Bennim, chodziła do klasy z Bernodusem, Hallą i całą resztą. Nie ma jej na zdjęciu klasowym, bo pewnie była chora, gdy je robiono.

Freyr wyprostował się, senność wyparowała z niego niczym rosa pod wpływem słońca.

- Jak do tego doszłaś? – Jasne. Przecież urodziła się w tym samym roku, 1940, a mieszkając w Isafjörður, musiała chodzić przynajmniej do tej samej szkoły.

- Wreszcie dotarły do mnie stare spisy uczniów, których kazałam szukać, gdy wyszło na jaw podobieństwo między włamaniami do szkoły i do przedszkola. Mam jeszcze więcej informacji. Wygląda na to, że ona i Bernodus nawet się przyjaźnili, znalazłam to w opinii wychowawczyni, która ucieszyła się, że dziewczynka w końcu znalazła przyjaciela. Zdaje się, że Ursula należała do wykluczonych towarzysko. Najprawdopodobniej koledzy z klasy ją prześladowali, choć nigdzie nie wspomina się o tym wprost. Ale wtedy nikt się takimi sprawami nie przejmował. Słowa wychowawczyni są dość niewybredne i ostre, ewidentnie trzyma stronę klasy w konflikcie z tą dwójką, którą w sposób oczywisty krzywdzono. Kiedy człowiek czyta ten dziwny tekst, niespecjalnie żałuje, że nauczycielkę spotkał taki los. Tak czy inaczej, związek tych dwojga jest bardzo wyraźny.

- Czy istnieje możliwość, żebym na to rzucił okiem? – Freyr rozmasowywał

obolałe kręgi szyjne, usiłując sobie wyobrazić całą sytuację. Ursula, dziewczyna, którą wszyscy kochali nienawidzić, zaprzyjaźnia się z nowym uczniem, który także jest wyobcowanym dziwakiem. – Wiesz, co się dzieje, gdy między dwoma osobami, nad którymi znęca się grupa, nawiązuje się przyjaźń?

– Nie mam pojęcia.

– Grupa, czując, że taka wyrwa w kompletnej izolacji wzmacnia outsiderów, nieświadomie podejmuje działania mające na celu przerwanie łączących ich więzów. To jest pewno jeden z najsmutniejszych skutków mobbingu i powoduje, że prześladowani prawie nigdy nie podejmują wspólnych działań.

– Chcesz powiedzieć, że to dzieciaki zabiły Bernodusa, żeby nadal spokojnie prześladować Ursulę?

– Nie, niekoniecznie. Tyle że to jest bardzo istotny punkt widzenia. Mamy w końcu coś, co łączy te sprawy, i niewykluczone, że pomoże mi także zbliżyć się do Ursuli, kiedy jej stan się poprawi.

– Wpaść do ciebie za chwilę? – dodała zakłopotana, jakby obawiając się, że wyczyta z jej słów więcej, niż one znaczą. – Na dziś właściwie już skończyłam, wczoraj miałam wieczorny dyżur po dziennym i nie chce mi się tu siedzieć dłużej niż to niezbędne. Tak że lepiej będzie, jak ja do ciebie wpadnę, niż żebyś ty się tu telepał.

– Koniecznie. – Freyr natychmiast odłożył słuchawkę, wiedząc, że nie ma ani chwili do stracenia, jeśli chce porozmawiać z chłopakiem, nim zjawi się Dagny. Jego metody nie spotkałyby się raczej z jej akceptacją. Wybrał numer, a jego noga podskakiwała z emocji, kiedy rozbrzmiewał sygnał. Gdy w końcu prawie się pogodził z tym, że będzie musiał spróbować jutro, ktoś podniósł słuchawkę i dziecięcy głos powiedział „halo”.

– Cześć, zastałem może Heimira? – Freyr czuł się, jakby robił jakiś żart telefoniczny.

– Eee, no. – Chłopak starał się zachować czujność. – To ja.

– Cześć, Heimirze. Na imię mam Freyr i nie wiem, czy mnie pamiętasz. Jestem... byłem tatą Benniego. Pamiętasz Benniego?

– Eee, no – brzmiała ostrożna odpowiedź. – Dlaczego pan do mnie dzwoni?

– Policja dała mi stare raporty i przeglądając je, natknąłem się na coś, o co chciałbym cię zapytać. To nic strasznego i na pewno będziesz w stanie odpowiedzieć na moje pytania. To tak drobna sprawa, że nie ma nawet sensu, bym się do ciebie osobiście wybierał. – Freyr nie tracił czasu nawet na złapanie oddechu. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Eee, no. Nie wiem...

Freyr wszedł mu w słowo.

– W czasie przesłuchania powiedziałeś, że schowałeś się za szopą w ogródku obok mojego i dlatego nie widziałeś, co się stało z Bennim i kilkoma innymi

dziećmi. Potem dotarło do ciebie, że się spóźnisz na urodziny do kuzyna, dlatego sobie poszedłeś. Mam rację?

- Tak, chyba tak. Zbyt dobrze tego nie pamiętam. Strasznie dużo czasu minęło.

- Wiem, ale założmy, że policja precyzyjnie spisała twoje zeznania - kontynuował Freyr. - Jednak dwaj inni koledzy także twierdzą, że schowali się w tym samym ogródku, jeden miał się ukryć za szopą, drugi za krzakami. Mówią, że widzieli siebie wzajemnie, ale nie wspominają, by widzieli ciebie. Tyle że w tym ogródku nie ma dwóch szop, więc wszyscy musieliście ukryć się w tym samym miejscu i albo ty skłamałeś albo tamci dwaj lub coś się wam pomyliło. Jak było naprawdę?

- Eee...

- Jak to wyglądało, Heimirze?

- Eee... może ukryłem się gdzie indziej. Nie jestem pewien.

- Heimirze. - Freyr starał się panować nad nerwami. - Mnie jest naprawdę wszystko jedno, gdzie się schowałeś. Chcę się tylko dowiedzieć, czy masz jakieś pojęcie, co się stało z Bennim. I nie interesuje mnie też, dlaczego wtedy o tym nie powiedziałaś. Byłeś mały i każdy może popełnić błąd. Nie wspomnę nikomu o naszej rozmowie, a ty poczujesz się o wiele, wiele lepiej, kiedy wyjawisz mi prawdę. - Freyr wziął głęboki oddech i zwolnił nieco. Nic więcej nie mógł powiedzieć, bo musiałby potem z tym żyć. - Heimirze, muszę znaleźć Benniego. On chce, żeby go znaleźć, a ty z pewnością chcesz zdjąć z siebie ten ciężar. Najpierw mówiłeś, że Benni chciał się schować w łodzi podwodnej, tak?

- Eee... eee... - Chłopak miał ściśnięte gardło. - Niech pan obieca, że nikomu nie powie... na pewno nie tacie.

- - -

Kiedy zjawiła się Dagny, Freyr otworzył jej bez słowa i niczym upiór ruszył do kuchni, nie upewniwszy się nawet, czy ona podąża za nim. Potem usiadł przed laptopem i wbił wzrok w ekran.

- Coś się stało? - Dagny weszła za nim i stanęła jak wmurowana.

Frejr oderwał wzrok od ekranu i patrzył na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Dagny powtórzyła pytanie i wtedy odzyskał głos.

- Benni. Wydaje mi się, że odnalazłem Benniego. - Znów wbił wzrok w ekran. - Chyba.

- Jak to? - Jej głos świadczył o tym, iż uważa, że postradał zmysły.

- Tutaj skończył. Tuż poza ekranem, nie widać go. - Frejr dotknął plastikowej krawędzi laptopa. Dagny stanęła obok i nachyliła się, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Ze zdumieniem uniosła brwi, kiedy ujrzała zatrzymaną klatkę nagrania z parkingu przy stacji benzynowej. Na samym dole po prawej znajdował się

samochód, w który Freyr stuknął. – Najgorzej, że nie mam pojęcia, co się stało z tym autem i jego właścicielem.

– Myślisz, że Benni wsiadł do tego samochodu? Że kierowca go porwał? Skąd to przypuszczenie? – Dagny zachowywała stoicki spokój, jakby rozmawiała z pijanym do nieprzytomności znajomym, wobec którego należy wykazać trochę pobłażliwości.

– Nie wsiadł do wozu, a kierowca, jak mi się zdaje, nie zrobił nic szczególnego. – Freyrowi trudno było mówić, więc oszczędzał słowa. – Ale gdybym potrafił go odnaleźć, odnalazłbym i Benniego.

Dagny nachyliła się i wbiła wzrok w ekran.

– Posuń się – rzekła dość obcesowo i zajęła miejsce Freyra, gdy ten wstał. Postukała chwilę w klawiaturę i powiększyła tę część zdjęcia, na której widać było samochód. Z początku Freyr pomyślał, że ma zamiar odczytać numer rejestracyjny, czego sam wielokrotnie próbował, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odwróciła się do niego, zmarszczyła brwi i powiedziała:

– Wiem wszystko o tym aucie. I prawie wszystko o jego właścicielu. – Patrzyła na niego. – Niestety, nie żyje.

Grad ustał równie nagle, jak się rozpadał. W jednym momencie lodowe kulki waliły w szyby, chwilę później nastąpiła absolutna cisza. Działo się to jak na rozkaz. Cisza była równie dojmująca co przedtem. Wydawało się, że człowiek znajduje się pod wodą, która czule pieści uszy i nie przepuszcza żadnych dźwięków. Dom, który wcześniej wył z żalu, smagany niszczącym gradem, także umilkł i cisza, jaka zapanowała między Katrin a Lif po wszystkim, co tak niedawno między nimi zaszło, wydawała się nie do zniesienia. Kobiety odbijały się w mrocznym szkłe i gdyby ktoś zbłądził w te strony i je zobaczył, wolałyby dalej walczyć z nieujarzmioną naturą, niż dołączyć do tych zgorzkniałych bab. Nawet Putti, który zwykł płatać się pod nogami Katrin, ułożył się w kącie, tak daleko od nich, jak to tylko było możliwe. Od czasu do czasu podnosił łeb, przechylał go i spoglądał to na jedną, to na drugą, chcąc pewno sprawdzić, czy może przeszła im już wściekłość. A potem znów wtulał mordkę w kłębuszek, jaki tworzyło jego zwinięte na podłodze ciało.

Katrin oparła nogi na taborecie, a głowę położyła na kolanach. W domu było strasznie zimno, więc lepiej nie tracić za dużo ciepła. Choć niewiele wiedziała na temat granic wytrzymałości ludzkiego organizmu, podejrzewała, że istnieje niebezpieczeństwo, iż tej nocy zamarzną na śmierć, jeśli czegoś nie zrobią, nie przyniosą drew albo nie wpełzną przynajmniej do śpiworów, które czekały na nie w salonie. Ale chyba nigdy bardziej nie dokuczał jej ból nogi. Katrin nie była w stanie utrzymać jej długo na stołku, bo potwornie marzła. Nie mogła wyjść na zewnątrz choćby po naręczce chrustu. A prędej zamarznie, niż poprosi o to Lif. Wściekłość okazała się silniejsza od instynktu samozachowawczego i pod pewnymi względami tak było lepiej, bo już zupełnie się nie bała. Nigdy nie miała powodu, by w jakiś sposób hierarchizować swoje uczucia, ale wiedziała, że wściekłość jest wśród nich najsilniejsza, a strach i smutek znajdują się gdzieś na końcu tej listy. Ustępowały miejsca gniewowi, który okazał się twardym dyktatorem. To oczywiste, iż gniew też musi minąć, i wtedy znów zawładną ją słabsze uczucia, lecz póki co miała zamiar cieszyć się każdą minutą bez strachu i sycić kiepskim samopoczuciem Lif, choć tu akurat trochę się przeliczyła.

Po ujawnieniu okrutnej prawdy Lif nie wydawała się aż tak załamana, jak można było się spodziewać. Przed wszystkim przykro jej było, że Katrin nie chce spojrzeć na sprawę jej oczami. Katrin wprawdzie od dawna podejrzewała, że Lif ma nie po kolei w głowie, ale traktowała to jako imaginację albo zazdrość, że potrafi przejść nad drobnymi niepowodzeniami życiowymi do porządku dziennego. Jedyne uczucie, jakie chyba przeżywała naprawdę, to strach. Strach o własny los.

– Nienawidzę cię, Lif. – Podejrzanie, że Lif za bardzo nie przejęła się całą sprawą, kazało jej wypowiedzieć te słowa. Naprawdę zamierzała przyłożyć się,

by utrudnić jej ucieczkę od rzeczywistości. – Mam nadzieję, że w nocy zamarzniesz na śmierć. Albo po prostu znikniesz. Tak byłoby najlepiej, bo nie musiałabym patrzeć na twoje truchło.

Zrazu kąciki ust Lif opadły jeszcze bardziej, ale po chwili uśmiechnęła się, jakby uznała, że Katrin żartuje.

– Spróbujmy się pogodzić. Co było, a nie jest...

Katrin miała ochotę wrzeszczeć, lecz nie zrobiła tego. Siedziała przed nią osoba zdolna do wszystkiego. W promieniu dziesiątek, jeśli nie setek kilometrów nie znajdą pomocy. Pod podłogą leżą czyjeś zwłoki, a jakaś istota najwyraźniej chce zrobić im krzywdę i co rusz je nawiedza. Nie mogły wpaść w gorsze tarapaty. Zruganie Lif nie poprawiłoby ich położenia. Katrin zagryzła wargi i wcisnęła głowę między kolana. Czuła, jak ból usiłuje zapanować nad gniewem. Pragnęła wyrzucić z pamięci zdjęcia nagiego Gardara w objęciach Lif. Nie było to jednak proste i mimo że nie przyjrzała się dokładnie fotografiom, pamiętała ich każdy, nawet najmniejszy szczegół. Leżeli w wielkim łożu, a pozbawione przytulności, lecz schludne wnętrze świadczyło, że znajdują się w pokoju hotelowym, najprawdopodobniej w Isafjördur. Gardar z zamkniętymi oczami, albo śpiący, albo kompletnie wykończony miłosnymi igraszkami. Jej twarz bez najmniejszych oznak zmęczenia. Uśmiechała się do aparatu, który sama trzymała, eksponując nagie piersi. Gardar na wszystkich zdjęciach wyglądał dokładnie tak samo, podczas gdy Lif przybierała różne pozy, przypominając tym myśliwego, fotografującego się z upolowaną zwierzyną. Katrin nie miała pojęcia, skąd Lif przyszło do głowy, żeby pstrykać zdjęcia w tak niedwuznacznej sytuacji, ale nie mogła się zmusić, by o to zapytać, zwłaszcza że zapewne była to kolejna postać choroby umysłowej.

Płomień świeczki rozświetlał pomieszczenie. Kartin zobaczyła strach w oczach Lif i ogarnęło ją uczucie szczęścia. Miała ochotę nachylić się i zdmuchnąć płomień po to jedynie, żeby wprawić ją w jeszcze większe przerażenie. Ale myśl o przebywaniu w ciemnościach z nieobliczalną osobą odstraszyła ją. Wiedziała, że świeczka i tak zaraz zgaśnie, bo ogarek ledwo sterczał ze świecznika.

– Lif, za chwilę zgaśnie świeczka. I co wtedy zrobisz? Nie jesteś w stanie przegonić umarłych. Może Gardar też zaraz zacznie cię nachodzić. – Oczy Lif nieco się rozszerzyły, ale tylko na chwilę. – Lif, jesteś obrzydliwa. – Ostatnie zdanie Katrin wypluła z siebie. – Obrzydliwa.

– Już cię przeprosiłam. Co mam jeszcze zrobić? – Lif była smutna i wyraźnie starała się dać do zrozumienia, że to ona jest tutaj ofiarą. – Zawsze podobałiśmy się sobie z Gardarem, od najdawniejszych czasów. I to się po prostu stało. Nic na to nie mogliśmy poradzić.

– Zamknij mordę! – krzyknęła Katrin wbrew sobie. Ale nie miała ochoty słuchać ponownie relacji Lif na temat jej związku z Gardarem. Choć opowiedziała jej już całą historię romansu, tak ją ubarwiła i przedstawiła w tak jednostronny sposób, że Katrin musiała czytać między wierszami, by domyślić się prawdy. Jeśli

nie myliła jej własna intuicja, to całe jej życie od chwili gdy związała się z Gardarem, było jedną wielką inscenizacją. Tylko ona nie wiedziała, że jej najbliższe otoczenie było wyłącznie scenografią. Może nie chciała widzieć tego, co stało się oczywiście, gdy jad spłynął z pięknie uformowanych ust Lif. Może za bardzo kochała Gardara, by dostrzec to, co rzucało się w oczy. Gardar nigdy jej nie kochał. Po prostu była pod ręką, kiedy już stało się jasne, że Lif wybrała Einara, a nie jego. Pewnie miał nadzieję, że wzbudzi w niej zazdrość, gdy zobaczy go u boku innej kobiety i zmieni zdanie. Ale okrutnie się pomylił. Lif czerpała radość z tego, że on cierpi męki, pewna, że będzie go miała, kiedy tylko zechce. Najpewniej w ogóle nie kochała Gardara, tak jak on nie kochał Katrin, ale chciała mieć go pod ręką, jako swego rodzaju wentyl bezpieczeństwa czy koło ratunkowe, z którego człowiek nie korzysta na co dzień, ale którego w razie potrzeby użyje.

Wszystko to było bardzo dziwne i niezrozumiałe. Katrin miała mętlik w głowie. Na przykład postępowania Lif nie potrafiła wytłumaczyć inaczej niż w ten sposób, że ta wybrała Einara, a nie Gardara, po bardzo szczegółowych kalkulacjach, choć otwarcie tego nie powiedziała. Ale inaczej nie dało się interpretować jej słów. Wyglądało na to, że Einar będzie bogatszy niż Gardar, i oczywiście to on powinien dostać jej rękę, a ona w zamian jego forszę.

Ale potem Einar zapuścił wędkę gdzie indziej. Z pewnością zorientował się, że czegoś brakuje w miłości jego żony i w jej osobowości. Może nie podszedł uczciwie do sprawy i nie wystąpił o rozwód tylko dlatego, że Lif wyzuta była z wszelkich uczuć i obawiał się, że będzie się mścić. Może znała jakieś tajemnice jego interesów, które nie powinny wyjść na jaw? Ona odpłaciła mu pięknym za nadobne i jedynym pocieszeniem dla Katrin było to, że związek Lif z Gardarem nie zaczął się wtedy, chociaż podejrzewała, że ta robiła jakieś podchody od razu, gdy dowiedziała się o zdradzie Einara. Według niej byłaby to zemsta doskonała – zdradzić męża z jego najlepszym przyjacielem, a potem któregoś dnia wykrzyczeć mu prawdę. Gardar zaś oparł się jej zalotom właśnie przez wzgląd na dawną przyjaźń. Nie potrafił zdradzić najlepszego przyjaciela z dzieciństwa. Co innego dotyczyło jej, Katrin – ona najwyraźniej w ogóle się nie liczyła, skoro wykorzystał pierwszą okazję, by gdy Einar zmarł, wskoczyć do łóżka Lif. Ale niezależnie od wszystkiego Lif wcześniej znalazła inną ofiarę, lekarza, który miał jej pomóc odbudować związek małżeński. Jeden wielki żart.

I choć Lif nie powiedziała nic, co mogłoby sugerować, że w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci Einara, to nie było takiej potrzeby. Einar z pewnością by od niej odszedł, najpierw urządziwszy wszystko tak, by zatrzymać cały majątek. A jej zostałyaby figa z makiem. To zaś byłoby dla niej upokarzające. Katrin na tyle dobrze poznała Lif, żeby wiedzieć, iż nigdy by się z taką sytuacją nie pogodziła. Dlatego Einar musiał zniknąć i ona w jakiś sposób jego zniknięcie zaaranżowała. Katrin po prostu to wiedziała; tak jak nie trzeba jej było powtarzać, by nie stawała zbyt blisko krawędzi mostu. Była przekonana, że to samo dotyczy Lif. Kobieta, która najwyraźniej nie potrafi przyznać się do winy czy żałować za swoje grzechy, jest bardziej niebezpieczna niż krawędź mostu, którą można

ominąć z daleka. A w przypadku Lif bezpieczna odległość nie istniała. Katrin przysięgła więc sobie, że już nigdy, przenigdy nie znajdzie się pod jednym dachem z tą kobietą, o ile uda im się wrócić do stolicy. Nigdy.

Żadna z nich się nie odzywała. Robiło się coraz zimniej. Kłęby pary buchały im z ust. Katrin czuła, że nie włada swobodnie palcami rąk. Schowała dłonie w rękawach w nadziei, że uda jej się zatrzymać w nich nieco ciepła, ale nie odniosło to zamierzonego skutku.

– Ciekawe, kto jest w piwnicy? – Lif wbiła w nią wzrok i choć Katrin bardzo chciała uciec spojrzeniem, coś zmuszało ją, by patrzeć Lif prosto w oczy. Ale nie odpowiedziała. Na Lif nie wywarło to jednak żadnego wrażenia i z niezmałconym spokojem ciągnęła dalej: – Na zdjęciu widać tornister. Taki staroświecki. – Nachyliła się konspiracyjnie ku Katrin i szeptała, zupełnie jakby wciąż były przyjaciółkami zwierającymi się sobie z sekretów: – I wszędzie są muszelki.

Katrin wciąż milczała. Odwróciła się od Lif i znów położyła głowę na kolanach. Nie miała pojęcia, czyje kości leżą tam na dole, ale najbardziej prawdopodobne wydało jej się, że należą do chłopca, który ich nawiedzał, tym bardziej że kości na zdjęciu częściowo okrywał materiał podobny do jego kurtki.

– To na pewno kości tego, który teraz jest duchem, Katrin. Wydaje mi się, że jedna ręka jest bez palców. Może to lis spod tarasu dorwał się do zwłok, a duch go zabił z zemsty za utratę swoich palców. – Lif wyraźnie zapomniała już o ich konflikcie. Katrin nie widziała jej twarzy, ale głos brzmiał tak, jakby nic się nie wydarzyło. Lif z pewnością znudziła napięta atmosfera i postanowiła udawać, że wszystko jest jak przedtem. – Może teraz zniknie, kiedy zerwałyśmy podłogę. Jestem pewna, że właśnie taki cel przyświecał mu cały czas. Żebyśmy znaleźli jego szczątki. Dlatego być może zabił poprzedniego właściciela. Ten niechący odciął wąż, przez co prawdopodobieństwo znalezienia kości chłopca zmałało. A myśmy to załatwiły, tak że wszystko już będzie w porządku. – Sama oczywiście nawet nie przyłożyła do tego ręki, ale przypisała sobie część zasługi. – W każdym razie mam taką nadzieję. – Ostatnie słowa wyszeptała.

Katrin miała wrażenie, że znalazła się w jakimś śnie, czy raczej koszmarze. Kiedy wreszcie się odezwała, nie podniosła głowy, lecz mamrotała w kolana.

– Po co wam był ten dom? Dlaczego Gardar po prostu nie rzucił mnie, zamiast wciągać w tę paranoję? Przecież masz cały szmal Einara. Nie rozumiem was. Czyżby Gardar był równie walnięty, jak ty? – Lif odburknęła coś, czego Katrin nie rozumiała. Nie poprosiła jej jednak, by powtórzyła, bo to, co do niej dotarło, wystarczyło. – Po prostu nie chciałaś Gardara z jego długami? To chcesz powiedzieć? Pomimo że masz tyle forsy, iż nie musisz nic robić do końca życia?

– Nie mam zamiaru spłacać cudzych długów. To nieuczciwe. – Lif najwyraźniej bardzo przestrzegwała uczciwości, kiedy chodziło o jej własne interesy. Reszta ludzi na świecie mogła sobie cierpieć przez nieuczciwość innych. – To był pomysł Gardara, a ja starałam się go od niego odwieść. Dlatego z nim przyjechałam, żeby go powstrzymać.

– Przed czym chciałaś go powstrzymać? – Katrin mocno wtuliła twarz w kolana.

– Żeby nie zrobił ci krzywdy. Właściwie żeby cię nie zabił. To on zrzucił na ciebie cegły. Gdy tu z nim przyjechałam, wszystko przygotował. Musiał tylko pociągnąć za kabel, który tam wisiał, i... bum! – Lif westchnęła. – Usiłowałam temu zapobiec, ale się nie udało. Może i dobrze, że zniknął.

Katrin zamilkła. Czuła, jak łyzy wsiąkają jej w spodnie. Nie wiedziała, czy to łyzy wściekłości, czy żalu. Chrząknęła, żeby uwolnić się od chryпки. Nie chciała, by Lif widziała, że płacze. Jeśli płaczem to można nazwać.

– Z tobą jest chyba coś nie tak? – Przecież po jej śmierci Gardar wcale nie znalazłby się w lepszej sytuacji. Po rozwodzie zostałaby mu połowa długów. A jako wdowiec musiałby spłacać wszystkie. Ale potem przypomniała sobie o ubezpieczeniu na życie. O pieniądzach, które stanowiły gwarancję, że jeśli jedno z nich odejdzie, drugie nie będzie mieć dodatkowych problemów finansowych. Albo rodzice, gdyby ona i Gardar razem odeszli. Kiepski żart! – To ty uderzyłaś mnie wtedy drzwiami, prawda? – Lif nie musiała odpowiadać. Jej zakłopotana mina wystarczyła. Katrin spodziewała się, że teraz chory umysł Lif gorączkowo szuka sposobu, żeby przekonać Katrin, iż winę ponosi Gardar, który torturami zmusił ją do wszystkiego. Nie zamierzała tego słuchać. – Lif, zabiłaś Einara? I Gardara też?

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy? Właśnie powiedziałam, że próbowałam powstrzymać Gardara. Chciałam cię uratować. Jesteśmy przyjaciółkami.

Katrin zemdliło. Jak Lif mogła pomyśleć, że ona nie będzie pamiętać, jak posypały się te cegły! Przecież to Lif namawiała ją, by zajrzała przez wyrwę w murze, i to dość nachalnie. Jeśli Gardar spowodował osunięcie się tych cegieł, to przy pełnym wsparciu Lif i z pewnością ją podjudzała. A za drzwiami, kiedy Katrin spadła ze schodów, nie stał nikt oprócz Lif.

– Kłamiesz. – Więcej Katrin obawiała się powiedzieć. Cudowny gniew, który niósł ją na fali, przeminął i pojawił się żal nad własnym losem, zdradą i niesprawiedliwością. Jeśli dodać do tego potworny ból nogi i doskwierające zimno, powstała doskonała mieszanka nieszczęścia i nonsensu. Pomyślała, że nigdy w życiu nie została aż tak upokorzona.

– Udam, że tego nie słyszałam. – Lif dzwoniła zębami. – Jutro rano, jak się wyśpimy, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, ja to czuję. Osiągnęliśmy dno i teraz mamy tylko jedną drogę, w górę. Jutro przyplynie łódź i wszystko będzie tak jak przedtem. – Spojrzała na wymiętą paczkę papierosów na stole. – Zastanawiam się nawet, czy nie zapalić ostatniego papierosa. Wiem, że nie dasz rady podejść ze mną do drzwi, ale powinno być bezpiecznie, skoro wszystko się dziś uspokoiło, a koszmar minął.

Jak na zamówienie z piętra dobiegł pisk zawiasów. Obie wzdrygnęły się i szeroko otwartymi oczami spojrzały na strop. Pisk powtórzył się, jakby ktoś wolno otwierał drzwi. Potem drzwi zatrzasnęły się z takim hukiem, że Katrin

myślała, iż wypadają z futryny. Usłyszały jednak tylko obleśny chichot i kroki istoty biegnącej korytarzem. Sufit trząsał się cały, tak że ogromny płat farby spadł wprost na paczkę papierosów leżącą na stole.

Lif chwyciła się za serce.

- On jest na górze. - Wtedy spod podłogi dobiegło głośne stukanie. Katrin gwałtownie podniosła głowę z kolan. Adrenalina we krwi skoczyła i ból w palcach zniknął. Nawet nodze ten szok chyba dobrze zrobił, ponieważ pulsowanie w stopie zdecydowanie się zmniejszyło. Lif patrzyła na Katrin przerażonymi oczami. Stukanie powtórzyło się, tym razem nieco ciszej, a potem słychać było, jakby coś wleczono po klepisku w kierunku włazu. Ani Katrin, ani Lif nie miały odwagi oddychać, Putti także ani zipnął. Im bardziej dźwięk się zbliżał, tym stawał się wyraźniejszy, a towarzyszyło mu mamlanie, które trudno było zrozumieć. Katrin wciągnęła głęboko powietrze i spojrzała na okno. Myślała tylko o tym, by stąd się wydostać, a najkrótsza droga prowadziła właśnie przez nie. Ogarnął ją paniczny strach. Totalna beznadzieja. Na zewnątrz stał chłopiec, ale nie był to ten, który wcześniej im się objawił. Ten był jakiś mniejszy i patrzył przygaszonym wzrokiem, a na jego poszarzałej twarzy malował się bezgraniczny smutek. Na zewnątrz czy w środku. To już nie miało znaczenia. Ich los i tak był przesadzony.

Lif krzyknęła, gdy zauważyła, co sprawiło, że Katrin jeszcze bardziej zbladła, a jej głos był tak potężny, że zdmuchnęła świeczkę. I zaraz zaczęła szlochać. W kompletnej ciemności, zdesperowane, mogły tylko przysłuchiwać się rumorowi pod podłogą. Coś zdawało się wpełzać do góry. Potem, gdy to coś zbliżało się do nich, głośno skrzypiały deski. Kroki zatrzymały się tuż za plecami Katrin siedzącej bliżej włazu. Czuła zimny oddech na karku i ów odór, od którego ją mdliło. Podświadomie jęknęła, choć zamierała z przerażenia i tylko miała nadzieję, że istota zniknie lub ruszy ku Lif. Rozpaczliwie pomyślała, że skoro to Lif i Gardar stali za napaściami, to duch być może jest dobry i ostatecznie nie zrobi im krzywdy.

Dwie lodowate, drobne dłonie dotknęły jej karku.

Freyrowi wydawało się, że leki przestały działać. Siedział i dziwił się swoim warunkom mieszkaniowym. Od czasu przeprowadzki do Isafjördur nie uczynił nic, by je poprawić. Po raz pierwszy przypadkowe umeblowanie działało mu na nerwy; kształty przedmiotów stały się wyraźniejsze. Trzymał przy piersiach zdjęcie swojego synka, jakby próbował zrobić wszystko, żeby dziecko nie zobaczyło, gdzie ojcu przyszło mieszkać. Poza tym znajdował pewne pokrzepienie w przytulaniu, nawet jeśli zdjęcie w ramce to tylko tusz i papier, dwuwymiarowy obraz jednego momentu ze zbyt krótkiego życia chłopca. Freyr zacisnął oczy i marzył, by najbliższe dni i tygodnie okazały mu litość i szybko minęły. Teraz, kiedy jego szczere życzenie odnalezienia doczesnych szczątków Benniego zaczynało być realne, zrozumiał, że do tej pory, wbrew całej logice, według której prawił starał się postępować, tliła się w nim nadzieja, iż Benni żyje. Niestety, obróciła się wniwecz. Bał się powiedzieć o tym Sarze, dlatego nawet nie próbował do niej dzwonić. I tak by nie odebrała. Uznał, że nie na miejscu byłoby niepokojenie jej tymi nowinami, przynajmniej dopóki się nie potwierdzą. Czyli już niebawem.

– Wypij to. – Dagny weszła do salonu ze szklanką wypełnioną do połowy złotym płynem. – Znalazłam w kuchni butelkę whisky. Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że ją otworzyłam.

Freyr wziął od Dagny szklankę. Butelka przyjechała tu z nim ze stolicy, dostał ją na pożegnanie od kolegów, którzy nie mieli pojęcia, że nie przepada za whisky. Mocny płyn drapał go w gardło.

– Dzięki. – Wypił jeszcze jeden łyk, większy, który spłynął łagodniej. – Mamy coś nowego?

Dagny usiadła naprzeciwko. Patrzyli sobie w oczy.

– Samochód. Kazałam przejrzeć stare akta. Kierowca jadł na stacji benzynowej. To była jego ostatnia płatność kartą, zanim użył ją w Isafjördur. Gdy potem przeszukiwaliśmy auto, rachunek leżał w schowku. Czas zgadza się z tym na nagraniu z kamery monitorującej.

Freyr markotnie skinął głową. Wypił jeszcze jeden łyk, mając nadzieję, że alkohol prędzej czy później zacznie działać.

– I nie wiadomo, co się stało z owym człowiekiem?

– Nie. Zniknął mniej więcej w tym samym czasie co twój syn. Przed trzema laty. – Dagny opadła na oparcie krzesła, nadal była spięta. – Otrzymaliśmy informację, że na portowym nabrzeżu w Isafjördur od ponad pół miesiąca stoi samochód, sprawdziliśmy, kto jest właścicielem, i zaczęliśmy go szukać. Miał dom w Hesteyri i wynajął łódź, którą popłynął tam wraz z zawartością przyczepy. Chciał

rozpocząć remont. Szyper, który go przeprowadził, powiedział, że facet miał zadzwonić, żeby po niego przy płynąć, ale na razie się nie odezwał. Właściciel łodzi nie przejmował się nim specjalnie, ale sądząc po opisie zapasów, jakie tamten wziął ze sobą, uznaliśmy za stosowne wybrać się do Hesteyri i sprawdzić, jak mu tam jest. Była już jesień, zaczynało się robić chłodno, więc zaczęliśmy się obawiać o jego los. Jak już nadmieniałam, nigdy go nie znaleźliśmy.

– A co się mogło z nim stać? To chyba nie jest jakaś wielka metropolia, prawda?
– Freyr unikał pytania, które więcej niż bardzo chciał zadać. Musiał się jeszcze napić, żeby nabrać odwagi.

– Nie wiadomo. Choć Hesteyri to mała, wyludniona osada, dookoła znajdują się ogromne przestrzenie, na których łatwo się zgubić. Na pewno wyruszył przed siebie i uznał, że uda mu się dojść do jakiegoś skupiska ludzkiego. Znaleźliśmy tam jego telefon z wyładowaną baterią. Mogła się oczywiście wyładować po jego zniknięciu, ale mogło też być tak, że telefon nie działał, kiedy go potrzebował, i uznał, że jedyna możliwość, jaka mu pozostała, to piesza wędrówka do najbliższej zamieszkałej wioski.

– To brzmi przekonująco. – Freyr sączył whisky, po czym podjął nagłą decyzję i wlał w siebie całą zawartość szklanki.

– I tak, i nie. W domu zostawił zapasy co najmniej na dwa dni. Dlatego raczej nie był w sytuacji przymusowej, kiedy go opuścił. – Dagny pocierała wargi, jakby rozprawiała błyszczak. – Jesteś może na tyle wstawiony, żeby powiedzieć mi, skąd wiesz, co się stało z twoim synem?

Freyr chciał się uśmiechnąć, ale nie potrafił. Mięśnie twarzy go nie słuchały.

– Nie. Obiecałem, że tego nikomu nie powiem, i miałam zamiar dotrzymać słowa. – Nie musiał nawet wspominać o jej profesji. Nie można oczekiwać, że sporządzając raport, zatai tę informację. A on nie chciał zawieść chłopca, którego jedyna wina polegała na tym, że był bardzo młody i nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Z pewnością dość się już nacierpiał za to, że postanowił milczeć. Może się oczywiście zdarzyć, że kiedy media będą się rozpisywać o odnalezieniu szczątków Benniego, chłopiec zwierzy się z tego swoim rodzicom, ale decyzję musi podjąć sam. A nie on. Nie wiedział też jeszcze, czy o wszystkim opowie Sarze, choć miała prawo wiedzieć. Niewykluczone bowiem, że podejdzie do sprawy inaczej niż Freyr i obarczy chłopca odpowiedzialnością za śmierć Benniego, co choć niesprawiedliwe, byłoby dla niej kuszące. Nie był w stanie przewidzieć jej reakcji.

Odstawił szklankę na stolik i odchylił głowę. Jak długo umierał Benni? Godzinę? Dwie? Trzy? Nie chciał tego wiedzieć, ale pytanie wciąż wracało. Było zupełnie bezcelowe i wiadomo, że nigdy nie uzyska na nie odpowiedzi. Równie dobrze mógł się zastanawiać, jak by się to skończyło, gdyby jeden czy drugi element układanki wyglądał inaczej. Gdyby chłopiec poszedł z Bennim na stację benzynową w poszukiwaniu kryjówki, a nie przypomniał sobie nagle o urodzinach swojego kuzyna? Gdyby chłopiec zatrzymał się na chwilę przy

którymś z kolegów i powiedział, że Benni ma zamiar schować się w zielonej beczce podobnej do łodzi podwodnej ustawionej na przyczepie na parkingu przy stacji, zamiast gnać najkrótszą drogą do domu? Gdyby wiedział, co to jest szambo, i użył tego słowa zamiast „łódź podwodna”? Albo gdyby kierowca nie odczepił przyczepy, żeby obejrzeć powstałe szkody w okolicach haka, to czy Benni poszukałby innej kryjówki? Pewnie by się bał, że przyczepa niedługo odjedzie? Ale zdarzyło się tak, jak się zdarzyło. To był ciąg zbiegów okoliczności. Gdyby dzieciakom nie zdziżyły się kryjówki w bezpiecznych miejscach dzielnicy i nie postanowiły powiększyć terenu zabaw o stację benzynową? I mieli odwagę powiedzieć o tym policji albo swoim rodzicom? Co wtedy? Czy wówczas śmierć zabrałaby Benniego? I jak?

Freyr usiłował skupić myśli na czymś innym, zbyt wiele było tych „gdyby”. Ale nie potrafił. Teraz zaczął się zastanawiać nad ostatnimi chwilami w życiu Benniego. Tu na żadne gdybanie miejsca nie było; gdy samochód ruszył z miejsca, było już za późno. Może tylko gdyby chłopiec od razu o wszystkim opowiedział, oboje z Sarą wcześniej dowiedzieliby się, jaki los spotkał ich dziecko. Ale że chłopiec o zniknięciu kolegi usłyszał dopiero następnego dnia, to i tak było za późno. Kiedy policjanci, którzy przyszli do niego do domu, poinformowali, że Benni jest poszukiwany, chciał nawet o wszystkim opowiedzieć, ale zobaczywszy dziwne miny funkcjonariuszy, zmienił trochę historię. Źle zinterpretował sytuację i pomyślał, że także może popaść w kłopoty, ponieważ i on, i Benni postanowili schować się na stacji. Dzieci miały kategorię zakaz przechodzenia przez jezdnię oddzielającą dzielnicę od stacji. Kiedy więc dzieciak zobaczył, jak policjanci reagują na jego słowa, szybko wmówił sobie, że Benni z pewnością zdążył opuścić kryjówkę, zanim zniknął, i zmienił swoją wersję.

Freyr wbijał sobie do głowy, że nie ma sensu rozważać wszystkiego bez końca, ale pomyślał, że kiedy chłopiec dowiedział się o zaginięciu jego syna, Benni z pewnością już nie żył, bo gdyby było inaczej, dałby o sobie znać, gdy szambo zostało zdjęte z przyczepy i załadowane na łódź, która przetransportowała je do Hesteyri. Najprawdopodobniej nasiliły się u niego objawy cukrzycy. Zorientował się w swojej sytuacji, gdy samochód ruszył, rozpaczliwie potrzebował insuliny, której osłabiony organizm nie był w stanie wyprodukować, i stąd już tylko krok do tragedii. Pytanie, dlaczego nie ujawnił się, kiedy przyczepa była podłączana do samochodu, na zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Może zbyt długo się zastanawiał albo bał się gniewu właściciela przyczepy. Jeśli była w tym wszystkim czyjaś wina, to tylko Freyra. Gdyby nie pojechał na spotkanie z Lif, nie stuknąłby w to auto, a wtedy przyczepa nie znalazłaby się na parkingu, gdy pojawili się tam Benni i jego kolega. Benni ukryłby się za czymś stojącym na ziemi i życie dalej toczyłoby się utartym torem, tak jak powinno.

– Dagny, jaki ze mnie idiota. – Dokładnie nie wyjaśnił, o co mu chodzi, a ona nie nalegała.

– Myślę, że powinniśmy się zbierać. Jeśli jesteś pewien, że chcesz jechać? –

spytała z zakłopotaniem, jakby obawiała się, że rozmowa zejdzie na bardziej osobiste tematy. Nie miał jej tego za złe. – Znalazłam szypra, który zgodził się nas tam przeprowadzić. Veigar jedzie z nami, nie jestem teraz na służbie, więc lepiej go zabrać. Ale morze jest niespokojne, tak że jeśli cierpisz na chorobę morską, radzę ci się jeszcze raz zastanowić.

Freyr spojrział na nią. Nie miał bladego pojęcia, czy cierpi na chorobę morską, bo rzadko pływał. Ale to nie miało znaczenia, żeby dostać się do Hesteyri, gotów był wyrzucić z siebie płuca.

– Jadę. – Jego głos wyrażał stanowczość, której brak było jego duszy.

– – –

Latarki w ciemnościach nie dawały rady. Z pokładu łodzi Freyr widział zarys domów stojących na równinie między plażą a górami, które nie wiadomo gdzie się kończyły i zlewały z zachmurzonym nocnym niebem.

– Próbowaliśmy ich ostrzec. – Szyper uparcie ciągnął linę, którą przymocował łódź do mola. Morze niespokojnie falowało i łódź należało porządnie przycumować, tak żeby na pewno na nich czekała, kiedy wrócą. – Nie chciałem ich całkiem wystraszyć, więc nie wdawałem się w żadne szczegóły, ale wam mogę powiedzieć, że ten dom nie cieszy się dobrą sławą. Widać go z całego fiordu i niejeden musiał mieć go przed oczami, gdy tonął. To był ich ostatni widok w tym życiu. Rozpaczy tonącego z niczym nie da się porównać, być może to jakiś nieszczęśnik rzucił urok na ten dom.

Veigar prychnął.

– Sprawdźmy, co u nich, bo właśnie idziemy do tego domu. Mają powyłączone telefony i nie dzwoniли, powiadasz?

– Nie, ale też się tego specjalnie nie spodziewałem. Umówiliśmy się, że przybędę po nich jutro wieczorem. Mam nadzieję, że zgodzą się wrócić teraz, tak żebym jutro nie musiał płynąć. Prognoza jest raczej kiepska, więc mogliby być zmuszeni poczekać na mnie jeszcze dzień albo dwa. I nie dziwię się, że wyłączyli telefony, prosiłem ich, żeby na wszelki wypadek oszczędzali baterie. Pewno mnie po prostu posłuchali.

Freyr wyłączył latarkę, żeby oszczędzać baterie.

– Dom wygląda na pusty. Tak samo w nim ciemno jak w pozostałych.

Szyper spojrział na niego z politowaniem. Nie potrzeba było latarki, żeby się zorientować, jak mało go poważa. Lekarz całą drogę siedział blady, choć to nie miało nic wspólnego z chorobą morską. Koncentrował się na luźnych rozmowach towarzyszy, choć czasem ścisiali głos, a wtedy już ich nie słyszał. Dzięki temu udało mu się zachować twarz, nie zwariować ani nie załamać się pod ciężarem myśli o tym, co go czeka. Modlił się do Boga, w którego nie wierzył, by szambo nie zostało podłączone, bo facet zaginał, zanim zaczął z niego korzystać, a ci troje z

Reykjaviku, którzy przyjechali tu w tym samym celu, zaczęli remont od czegoś innego niż podłączenie szamba. Jego dziecko nie zasługiwało na taki los. Czuł młodości, ale to nie miało nic wspólnego z chorobą morską.

– Tu nie ma prądu, kochanieńki. Na pewno tam są, choć dom nie jest może rozświetlony jak w stolicy.

– Rozumiem. – Freyr był zadowolony, że szyper nie ma pojęcia, kim on jest ani co tutaj robi. To sprawiało, że nie traktował go ze współczuciem, co z kolei zmniejszało ryzyko, że Freyr się załamie.

Weszli na molo i ruszyli na ląd. Pisk konstrukcji pod ich stopami zwiastował odludzie czekające na nich na brzegu. Domy, które kiedyś stanowiły oprawę dla ludzkiego życia, zionęły teraz pustką albo służyły jako domki letniskowe. Freyr nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że budynki patrzą na nich pełne nadziei, że oto wreszcie powrócili mieszkańcy. Poniekąd spodziewał się nawet cichego westchnienia, gdy domy zorientują się, że zjawili się zupełnie inni ludzie. Oczywiście nic takiego się nie stało, przywitała ich głucha cisza. Była tak osobliwie gęsta, że żadne z nich nie chciało przerywać tego spokoju. Bez słowa ruszyli ku zabudowaniom. Dla wszystkich poza Freyrem droga była jedynie niezbędną czynnością mającą na celu dotarcie do domu, dla niego zaś każdy krok był kolejnym etapem nieuniknionego rozliczenia z tragedią, którą zgotował najbardziej przez siebie kochanej osobie.

Może to alkohol działał z opóźnieniem albo dopadała go depresja, w każdym razie Freyrowi zdawało się, że słyszy szept zeschłych roślin po obu stronach ścieżki prowadzącej od mola. Światło latarek rzucało niepokojące cienie i można było odnieść wrażenie, że obok dróżki coś przez cały czas się porusza. Punkty świetlne przesuwały się nieregularnie wte i wewte, przez co trudno było na czymkolwiek zatrzymać wzrok. W pewnym momencie Freyrowi zdawało się, że o kilka metrów od siebie słyszy odgłos kroków, jakby ktoś wędrował wzdłuż ścieżki, milczący znajomy, który nie chce się ujawnić. Zatrzymał się i włączył latarkę, oświetlił obie strony drogi, przyglądając się suchym pędom roślin, lecz niczego nie zauważył. Usiłował przebić się światłem przez ścianę złowieszczych roślin odgradzającą ścieżkę, lecz pomiędzy poźółtkymi łodygami widział wyłącznie ciemność.

– Co jest? – Dagny odwróciła się i podeszła do niego, kiedy tak stał, gapiąc się w snop światła.

– Wydawało mi się, że coś słyszę, ale niczego nie widzę. – Wyprostował się.

– To pewno tylko lis. Dużo ich w okolicy. – Patrzyła na niego, jakby sprawdzała, czy nie postradał zmysłów. – Możesz tu na nas poczekać. Albo na molo. Przyjdę po ciebie, jak się dowiemy, czy twoje domysły są trafne. Nie musisz przebywać z nami cały czas. Nie jest to najrozsądniejsze.

– Nic mi nie jest. Nie martw się. – Freyr starał się nadrabiać miną. Oczywiście, że powinien tu poczekać i dołączyć do nich, gdy już będzie po wszystkim, ale nie

potrafił. Wolał widzieć na własne oczy każdy krok, każdy ruch ręki, dzięki którym jego syn zostanie odnaleziony, niż siedzieć samotnie w ciemności i czekać na wyniki.

– W porządku. – Dagny nie wyglądała na przekonaną. – Idź przodem. Nie ma mowy, żebyś został z tyłu. Mamy dość zmartwień.

Freyr posłuchał bez szemrania, ponieważ tak było prościej. Wszystko odbywało się sprawniej. Nie mógł przecież protestować tylko dlatego, że kiedy Dagny mu przeszkodziła, miał już rozchyłać łodygi roślin, aby sprawdzić, co się wśród nich kryje. Gdy zmierzali do chaty, potwornie marznąc, pilnował się, by głowę i latarkę cały czas mieć skierowane prosto przed siebie. Inaczej Dagny mogłaby pomyśleć, że wciąż mu się wydaje, iż ktoś ich śledzi. Miał ogromną ochotę odwrócić się i spytać, czy nie słyszy jakichś szeptów i trzasków dobiegających z zielska, jednak obawiał się, że odeśle go natychmiast z powrotem na łódź. Zagryzł wargi, stłumił chęć ucieczki, choć coś w nim krzyczało, by dał się namówić i skrył gdzieś przed tym paraliżującym lękiem. Pokonali nieduży strumień i podeszli do domu będącego celem ich wędrówki. Poczuł, że jest spocony pomimo lodowatego powietrza.

– Wygląda jak grób. – Veigar natychmiast pożałował, że użył akurat tych słów, i usiłował się poprawić: – Człowiek nic nie słyszy. Nawet chrapania.

Dagny zmarszczyła brwi, a jej mina w świetle latarki zdawała się bardzo groteskowa.

– To na pewno ten dom? – zwróciła się do szypra.

– Tak. Oczywiście. Wszystkie te kłamoty przewiozłem im łodzią. – Wskazała na mizerny raczej stos drewna opałowego i drewnutnię oraz hałdę przykrytą płótnem żaglowym, która mogła zawierać cokolwiek. – Nie zapukamy?

Stali w ciszy obok siebie, wpatrując się w dom. Nikt nie zareagował na propozycję szypra, choć brzmiała rozsądnie. Freyr ocenił, że nie tylko on dziwnie się czuje, tajemnicze dźwięki umilkły, gdy zeszli ze ścieżki, ale to nie zmieniało faktu, że w powietrzu wciąż wisiało coś niepokojącego. Nawet dom, który zasadniczo był bardzo zwyczajną, ładną starodawną islandzką chatą z drewna, działał na niego przygnębiająco. Stał w milczeniu i zachęcał, by zapukali. W świetle latarek widać było jedynie część zwróconego w ich stronę szczytu, a ściana, która powinna być także widoczna, tonęła w ciemnościach. Dagny w końcu podjęła decyzję.

– Idziemy, Veigarze. Wy tutaj zaczekacie, a my sprawdzimy, czy ludzie są cali i zdrowi.

– Oczywiście. – Szyper mocno klepnął Freyra w plecy. Jego najwyraźniej nie martwił fakt, że będzie musiał czekać na zewnątrz. – Zaczekamy tu sobie.

Freyr aż się zatoczył. Nie miał czego szukać w środku, szambo na pewno znajdowało się na zewnątrz, a może nawet zostało już wkopane w ziemię. Równie dobrze mógł teraz na nim stać. Sama myśl o tym spowodowała, że odskoczył w

bok, ale gdy wątlým światłem latarki omiółł ziemię, zobaczył jedynie cieniutką warstwę śniegu. Przyszło mu do głowy, by obejść dom dookoła, ale rozmyślił się. Lepiej być w towarzystwie Dagny i Veigara, kiedy już do tego dojdzie. Głośnie pukanie przerwało ciszę i zawisło w powietrzu.

– Jest tam kto? – zadudnił głos Veigara i Freyr uznał, że taki hałas każdego by obudził. Rozległo się kolejne pukanie, a Veigar krzyknął: – Policja! Wchodzimy! – Zgrzyt klamki rozdzierał uszy, ale nie słysząc było skrzypienia, które świadczyłoby, że drzwi się otwierają. Zza rogu wyszli Dagny i Veigar, oznajmiając, że muszą sprawdzić, czy tylne drzwi są otwarte, bo w przeciwnym razie będą musieli je wyważyć.

Freyr i szyper ruszyli za nimi. Trzymali się na tyle daleko, żeby policjanci nie uznali, że chcą z nimi wejść do środka, ale na tyle blisko, by widzieć, co się dzieje. Dagny i Veigar weszli na niski taras w dość opłakanym stanie i wzięli się do roboty. Znów głośnie zapukali i zawołali do osób, które powinny znajdować się w środku.

– Niewykłuczone, że są w domu lekarza! – krzyknął Szyper do Veigara, kiedy krzepki policjant akurat miał naprzec barkiem na drzwi. – Przypomniałem sobie teraz, że dałem im klucze, żeby mogli się przenieść, gdyby doznali jakichś... niedogodności.

Veigar i Dagny odwrócili się. Nie było widać ich twarzy, ale najwyraźniej nie byli zadowoleni.

– A tam się świeciło? Albo unosił się dym z komina?

– Nie. – Szyper zbliżył się o krok do Freyra, jakby szukał wsparcia.

– Więc robimy swoje. Jeżeli nie będzie ich tutaj, to wtedy przeszukamy tamten dom. – Odwrócili się do drzwi i Veigar rzucił się na sfatygowaną płytę. Zatrzeszczały, zajęczały, ale nawet nie drgnęły. Powtórzył atak i za trzecim razem drzwi ustąpiły.

– Fuj. – Dagny i Veigar odskoczyli do tyłu, a ułamek sekundy potem okropny smród dotarł do Freyra i szypra, tak że oni także zatkali sobie nosy. – Obrzydliwość. – Veigar splunął na taras i Freyr zastanawiał się, czy też tego nie zrobić. Odór był okropny, choć przecież z różnymi przypadkami spotykał się podczas studiów. Najbardziej przypominał fetor, jaki zapamiętał z zajęć w prosektorium, gdy otwierano zwłoki topielca, które przeleżały kilka dni w morzu. Słony smród zgnilizny.

Przez drzwi coś wyskoczyło i aż zamarli z przerażenia.

– Co to, psiakość, było? – Szyper stał już tak blisko Freyra, że ten musiał się odsunąć, by nie upaść. Przez chwilę pomachali latarkami, szukając odpowiedzi. W końcu tuż obok Freyra zauważyli drżące małe stworzenie, pieska, który z pewnością pamiętał lepsze czasy. Sierść miał pozlepianą, a brudne kosmyki kleiły się do całego ciała. – Już o nim zapomniałem, a przecież oni mieli ze sobą psa. – Szyper położył dłoń na piersi. – Ale się złąkłem.

– Może jeszcze czegoś zapomniałeś nam powiedzieć? – Dagny, wyraźnie zła, minęła ich i podeszła do pieska. – Dobrze by było, żebyś zechciał się tym z nami podzielić, zanim wejdziemy do środka. – Schyliła się do zwierzątko, który zrazu się skulił, ale po chwili pozwolił wziąć się na ręce. – Ależ on drży, biedaczek. Pamiętasz może, jak się wabi?

– Hvutti, Patti czy jakoś tak. – Szyper przyglądał się psiakowi najwyraźniej zdegustowany. – Co za szmata. Żeby to coś psem nazywać.

Dagny nie odpowiedziała, lecz podała pieska Freyrowi.

– Przypilnuj go. Nie mam zamiaru ganiać za nim po okolicznych łąkach, gdy będziemy odjeżdżać. – Freyr wziął psiaka, a ten patrzył mu w oczy, jakby chciał ocenić, czy może mu ufać. Małeńki, zdawał się składać jedynie ze skóry i kości i gdyby nie to, że cały dygotał, łatwo by można zapomnieć, że się go trzyma na rękach. Wolną ręką gładził psiaka po łebku, nie obawiając się, że może go ugryźć. To po prostu nie miało znaczenia, a mogłoby nawet polepszyć samopoczucie lekarza. Piesek zamknął oczy i rozluźnił się nieco. Potem odwrócił łeb w kierunku domu i cicho warknął, w bezpiecznych ramionach Freyra znów poczuł odwagę. Układając wygodnie pieska, Freyr zauważył, że zwierzątko ubrudziło mu rękę. Kiepsko widział, ale gdy ją powąchał, zorientował się, że to krew. Odruchowo odsunął psa. Zawołał do Dagny i Veigara: – Pies jest cały we krwi! – Oboje się obejrzel. – Ale nie jest ranny, więc to nie jego krew.

– Co? – Szyper skierował snop światła na psa i aż się cofnął. – Do diabła. To nie zwiastuje niczego dobrego. – Spojrzał na dom. – Jak to dobrze, że nie muszę tam wchodzić.

Patrzyli, jak Dagny i Veigar, zakrywszy twarze rękawami, wchodzą do środka. W milczeniu przez pozbawione zasłon okna obserwowali biegające po ścianach ogniki latarek. Nagle zaczęły podskakiwać w jednym miejscu. Wkrótce jedno światełko ruszyło w kierunku, z którego przywędrowało, a w drzwiach pojawiła się Dagny i zawołała Freyra.

– Nie przyszedłbyś do nas? Znaleźliśmy kobietę. Odniosła jakieś obrażenia albo jest chora i dobrze by było, żebyś rzucił na nią okiem.

Freyr podał szyprowi psa. Mężczyzna raczej nie był z tego zadowolony. Dagny zabroniła mu się ruszać, a stanowczość w jej głosie kazała mu posłuchać. Dagny i Freyr w ferworze zapomnieli zabezpieczyć się przed fetorem, który powitał ich w drzwiach niczym niewidzialna zasłona. To niewielkie pomieszczenie, które zobaczył Freyr, wyglądało tak, jak się spodziewał. Wszystko stare i zniszczone, choć tu i ówdzie dało się zauważyć, że właściciele starali się to naprawić. Ale nawet słabiutkie światło nie było w stanie ukryć, że im się nie udało.

– Leży tutaj. – Dagny wpuściła Freyra przed sobą do kuchni. – Uważaj tylko na dziurę w podłodze, która jest tam pod ścianą. Lepiej, żebyś do niej nie wpadł. To chyba stamtąd ten smród się wydobywa. – Veigar klęczał nad leżącą twarzą do podłogi kobietą. Jej głowa spoczywała w czarnej kałuży. Freyr miał nikłą

nadzieję, że to nie jest krew. Zapewne jednak stąd pochodziła krew na zwierzęciu.

Freyr stwierdził u kobiety objawy życia. Przesunął dłonią po kręgach szyjnych. Były nienaruszone. Poprosił Veigara, by podał mu nóż. Rozciął jej ubranie. Odkrył blade plecy, zbadał kręgosłup. Wydawał się w porządku. Żadnych innych obrażeń nie zauważył. Oddech miała nieregularny i gardłowy.

- Pomóż mi ją ostrożnie odwrócić. - Veigar nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Wspólnymi siłami przekręcili ofiarę na plecy. Policjant aż się cofnął, gdy zobaczył rany. Na twarzy kobiety widniały czerwone, krwawiące rany w postaci krzyży i mogła się uważać za szczęściarę, że nie straciła oczu, tak blisko nich znajdowały się cięcia. Freyr sięgnął po latarkę Veigara i poświecił, żeby lepiej widzieć. Uniósł jej głowę, delikatnie, tak by nie wypuścić jej z rąk. Mógłby przysiąc, że w tej samej chwili usłyszał cichy, złośliwy śmiech dziecka dochodzący z otworu w podłodze za jego plecami, ale był zbyt skołowany, by się przestraszyć.

To była Lif. A raczej to, co z niej zostało.

Albo smród w pomieszczeniach zniknął, albo tak się do niego przyzwyczaili, że go nie czuli. W każdym razie nikt już nie zasłaniał ręką twarzy ani nie chwycił się za nos. Zbyt pochłonoło ich poszukiwanie pozostałych dwojga osób, które powinny siedzieć w domu i opiekować się Lif. Po zlustrowaniu kolejnych pustych pokoi ogarniał ich coraz większy niepokój. Oboje najwyraźniej zniknęli, a wyprawa Dagny i Veigara do domu lekarza także nie przyniosła żadnych efektów.

Szyper siedział na krześle i postękiwał, potrzasał głową i mamrotał, że przecież próbował ich ostrzec, ale nikt nigdy go nie słucha. Także teraz. Freyr nie miał pojęcia, czy słyszą to Dagny i Veigar, którzy spuścili się na dół przez otwór w podłodze. Veigar zajrzał tam wcześniej, włożył głowę za latarką i natychmiast ją wyjął, oznajmiając, że pod podłogą znajdują się szczątki ludzkie. Najprawdopodobniej dziecka. Freyr oderwał wzrok od Lif, której stan się pogarszał, i chciał zejść na dół, ale Dagny zabroniła mu ruszać się z miejsca. Po chwili wystawiła głowę, żeby powiedzieć Freyrowi, że to na pewno nie jest jego synek. Po chwili byli już na górze i udali się do kuchni, żeby spokojnie porozmawiać. Freyr ostrożnie położył głowę Lif na swojej zwiniętej marynarce i podszedł do otworu, by przekonać się, czy to naprawdę nie jest Benni. Drut kolczasty, którym spętane było jego serce, zacisnął się i dopóki Freyr nie zajrzał do mrocznej, niskiej piwniczki, niemal nie mógł oddychać. Ale Dagny go nie okłamała, to nie mógł być Benni. Szczątki leżały tu od bardzo dawna.

Kiedy Dagny i Veigar wrócili, Freyr leżał na podłodze z głową w dziurze, sparaliżowany przerażającym widokiem. Obok kupki kości – niegdyś to była ludzka istota, która kiedyś oddychała, uśmiechała się i bawiła, nieświadoma, gdzie spocznie w przyszłości, leżał stary, zakurzony tornister. Brakowało czaszki i palców jednej ręki, gdzieniegdzie znajdowały się szczątki odzieży, którą dziecko nosiło w dzień – czy noc – śmierci. Freyr miał pewność, że to Bernodus, chłopiec, który zniknął wiele lat temu. Życie nie obeszło się z nim łaskawie, a śmierć jeszcze mniej. Co na pewno potwierdzi się później. Nie powiedział jednak Dagny o swoich podejrzeniach. Przepędziła go stamtąd, argumentując, że nie powinien zacierać śladów. Ale pewnie myślała podobnie jak on.

– Długo jeszcze?! – zawołał Freyr w kierunku otworu, przypominającego wąż do piekła. Żółty blask latarek oświetlał cząsteczki kurzu unoszące się z dołu. Wyglądało, jakby pod ich stopami płonął ogień. Co jakiś czas błyskała lampa aparatu fotograficznego. – Trzeba ją jak najszybciej zawieźć do szpitala. – Nie wiadomo było, co dolega Lif poza ranami na twarzy, które nie stanowiły zagrożenia życia, choć z pewnością będą miały nań ogromny wpływ w przyszłości. Miała wysoką gorączkę, słabe tętno, brakowało jej sił i regularnie kasłała krwią. Najprawdopodobniej doznała jakichś wewnętrznych obrażeń i jeśli się nie pospieszą, może przyplącić to życiem. Choć niewykluczone, że umrze,

nawet jeśli natychmiast trafi do szpitala.

Dagny i Veigar wyszli z piwnicy zakurzeni i umęczeni, pod tym względem wcale nie różnili się od psiaka, który wciąż spoczywał w ramionach szypra. Dagny trzymała w rękach tornister i ostrożnie położyła go na stole kuchennym, jakby obawiała się, że skóra się rozpadnie.

– Jesteśmy gotowi. Jak najlepiej przetransportować ją na łódź?

Freyr oderwał wzrok od tornistra i spojrzał Dagny w oczy.

– Jeśli mamy zachować się zgodnie z prawidłami, musimy zorganizować jakieś nosze. Najlepiej byłoby sprowadzić helikopter, ale wydaje mi się, że szybciej dotrzemy łodzią, sytuacja jest krytyczna. – Chrząknął. – Jeśli się tym zajmiecie, to ja przejdę się dookoła i poszukam szamba. Nie chcę stąd odjeżdżać, nie sprawdziliśmy, czy mam rację.

Dagny spojrzała na niego i podjęła szybką decyzję.

– Więc chodź. Nikt stąd sam nie wyjdzie. – Zwróciła się do Veigara i szypra: – Wykombinujecie jakieś nosze?

Zgodzili się. Dagny ruszyła z Freyrem w czarną noc, każde uzbrojone w swoją latarkę. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Freyr przez chwilę znów miał wrażenie, które towarzyszyło mu wcześniej – że ktoś ich śledzi. Skoncentrował się na obserwacji otoczenia i nic innego go nie interesowało. Było mu wszystko jedno, co i dlaczego łązi za nimi po nocy. Myśli zaprzątnięte miał czym innym. Dagny natomiast dygotała z nerwów, zupełnie jakby w momencie gdy ruszyli na obchód domu, zamienili się rolami. Machała latarką na wszystkie strony, zupełnie jakby goniła zagubionego kota, który nie potrafi ustać w miejscu.

– Myślisz, że znajdziemy tamtych dwoje? – Freyr chciał rozmawiać, musiał rozmawiać, żeby zachować trzeźwość umysłu. Czuł się jak na wielkim rollercoasterze, gdzie kolejka powoli wciągana jest coraz wyżej, aż na szczyt. I potem stamtąd spada. – Udało mi się wyciągnąć z Lif, że ten facet, Gardar, zniknął wczoraj albo przedwczoraj. Nie bardzo wiedziała, jaki dziś dzień ani jak długo przeleżała w kuchni. Ale mnie się wydaje, że te obrażenia ma od niedawna. Najwyżej od kilku godzin.

Dagny najwyraźniej ucieszyła rozmowa, ruchy jej latarki stały się mniej nerwowe.

– Zapytałeś ją, co się stało, kto na nią napadł?

– Nie mam pojęcia, czy wie, co mówi, ale opowiadała o jakimś chłopcu. Nie udało mi się wyciągnąć z niej jego imienia ani opisu. Twierdziła, że wyciągnął stąd martwą Katrin. Ma porażone nerwy kontrolujące mięśnie twarzy. Po obu stronach. Ze sparaliżowaną twarzą trudno jej mówić. – Nie wspomniał o pytaniach na temat insuliny, którymi nękał Lif, gdy odzyskiwała świadomość. I choć wyjaśnienie tej sprawy nie miało teraz żadnego znaczenia, bardzo go intrygowało. Przecież jeśli Lif umrze, zabierze tę wiedzę ze sobą do grobu. Patrzyć

na Lif, pozbawioną dawnego seksapilu, i wszystko zrozumiał. Oczywiście, to on ponosi odpowiedzialność za to, że byli razem, niemniej czuł, jak wybucha w nim nienawiść. Gdyby nie pojechał się z nią spotkać, Benni na pewno by nie umarł. Nie w taki sposób. Kierując się tym pierwotnym uczuciem, jakie Adam i Ewa żywili do węża, gdy wypędzono ich z raj, Freyr nie współczuł Lif, jakkolwiek niesprawiedliwe mogło się to wydawać. Jego serce i dusza zmieniły się w głaz. Nie szczędził jej też trudnych pytań. Nagabywał ją, dopóki słabym głosem nie zaczęła udzielać odpowiedzi. Były niejasne, ale wspominała coś, że Einar – o ile pamiętał, tak nazywał się jej mąż – na to zasłużył. I wtedy Freyr zrezygnował, nagle przestało mu zależeć na tym, by usłyszeć potwierdzenie. Pytania, które swego czasu mu zadawała, dowiedziawszy się, że insuliną nie można się odurzyć, były zbyt szczegółowe i na pewno nie chodziło jej o to, żeby przerwać kłopotliwe milczenie.

Zniknęli za tylną ścianą szczytową. Freyr zatrzymał się natychmiast, gdy w świetle latarki zauważył kontury wykopu. W ciemnościach zobaczył niewielką rurę sterczącą z górnej części czegoś, co musiało być szambem. Podchodził do niego powoli, niemal zmuszając się do oddychania. Ujrzał zieleń, kolor, który prześladował go na jawie i we śnie, a potem szambo w całej okazałości, choć jego dolna część tonęła w śniegu. Łódź podwodna. Zielona łódź podwodna. Skojarzenie samo się narzucało. Szeroka, owalna konstrukcja z małą budką na górze. Brakowało jedynie peryskopu.

– Przytrzymaj psa. Ja zajrzę do środka. – Dagny odsunęła go zdecydowanym ruchem. – Tylko nie wpadnij. Mógłbyś skręcić nogę w kostce albo i zrobić sobie coś gorszego. – Wysokość nie była nadmierna, ale wiedział, że policjantka ma rację. W tym stanie nie zrobiłby nic, by zamortyzować upadek. Patrzył więc, jak Dagny wskakuje na szambo i wolno posuwa się w kierunku otworu, przez który wszedł Benni. Nie miał kłopotów, by uwolnić prosty zatrzask przytrzymujący klapę. Pewnie właściciel auta zauważył to, zanim odjechał, i zatrzaskał pokrywę. Kolejna wątpliwość. A co, gdyby tego nie zrobił? Czy Benniemu udałooby się otworzyć szambo od środka i wystawić głowę? Czy inni kierowcy by to zauważyli i zatrzymali samochód?

Dagny podniosła ostrożnie klapę i skierowała snop światła w głąb szamba. Zbiornik załśnił niczym latarnia. Zielony blask wyglądał jak zorza polarna. W głębi Freyr zauważył jakiś cień. Poczul przenikliwy ból rozdierający jego ciało. Zupełnie jakby stanął na wielkim płonącym stosie, tyle że ogień szalał w jego duszy. Widział wyraźnie małą, kościstą rączkę stanowiącą część cienia. Benni.

Morze robiło wszystko, aby uczynić podróż jeszcze bardziej nieznośną. Żołądek Freyra perfekcyjnie dostosowywał się do każdej opadającej i wznoszącej się fali. Siedział na ławie w niedużej mesie pasażerskiej przy sterówce i gapił się przed siebie. Choć oczy widziały, mózg nie potrafił przetworzyć informacji. Nie byłby w

stanie opisać tego, co miał przed sobą. Lif pożegnała się z tym światem, gdy statek wpływał już na wody przy Isafjördur; poprosiła o papierosa, cicho westchnęła, a jej głowa wolno opadła na bok. Usiłował reanimować Lif, ale bezskutecznie. Znowu poczuł smak jej ust, teraz martwych, i to go dobiło.

- Freyr. - Dagny kucnęła przed nim. - Już prawie dopływamy. Jak się czujesz?

- W porządku. - Skłamał i oboje o tym wiedzieli.

- Jutro z samego rana popłyną po twojego synka. Osobiście tego dopilnuję. - Nie odpowiedział. Nie musiał. - Przejrzałam zawartość tornistra. Należał do Bernodusa. - Potężna fala niemal wyrzuciła Dagny, ale chwyciła się Freyra. - Jego zawartość jest w przyzwoitym stanie. Natrafiłam na zeszyt, w którym prowadził notatki. - Freyr nie reagował, więc kontynuowała: - Opisuje w nim, co go spotkało. Robi wrażenie. Jeśli chcesz, każę to dla ciebie skserować.

Skinął głową. Może kiedyś to przeczyta, a może nie. W tej chwili chciał zostać sam. Zupełnie sam.

Nie czuł już bliskości Benniego i miał tę niewytłumaczalną pewność, że syn nie będzie także ukazywać się Sarze w snach. Nie mógł jednak oprzeć się myśli, że pewnego dnia ona za tym zatęskni. Tak jak on teraz.

- - -

Ursula cicho płakała. Słone łzy spływały po wciąż niezagojonych ranach pod jej oczami. Strasznie musiało ją szczypać, ale nie dawała tego po sobie poznać.

- Poszedł sobie. - Potarła dłonie. - Już go tu nie ma.

- Czy tak to było, Ursulo? Pamiętasz tamte wydarzenia? - Freyr odłożył skserowane kartki zeszytu, które właśnie skończył jej czytać. Otrzymał je od Dagny dzień po powrocie z Hesteyri, natychmiast po nieprzespanej nocy skontaktował się z Ursulą, chcąc z nią porozmawiać, zanim grupa funkcjonariuszy uda się do osady, by szukać zaginionej pary i zabrać stamtąd zarówno szczątki Benniego, jak i Bernodusa. Niestety, wszystko opóźniło o jeden dzień z powodu złej pogody i ekipa spieszyła się bardzo, by zdążyć, nim zapadną ciemności. Miał nadzieję, że ludzie okażą jego synkowi szacunek i z należną atencją potraktują kości. Najchętniej przywiózłby je sam, usiłował nawet zabrać się z policjantami, zrobił wszystko, by tak się stało. Nie padł jedynie na kolana przed Dagny, żeby ją o to błagać. Ale wszystko na nic.

- Nie chcieli się ze mną przyjaźnić, tylko udawali. Po zniknięciu Bernodusa znów byli dla mnie tacy jak wcześniej. Okrutni. - Coraz mocniej pocierała dłonie i wyglądało to tak, jakby za chwilę miała pokazywać jakieś sztuczki. - On był moim jedynym przyjacielem, ale kazali mi go zdradzić. Oszukali mnie, wmawiając, że będę z nimi. Z tymi najbardziej lubianymi. - Jej dłonie uspokoiły się. - Ale wcale tego nie chcieli. Łgali. Kiedy on zniknął, wszystko wróciło do normy.

Freyrowi brakowało słów. Nie przeczytał wszystkich zapisków, opuścił

końcowy fragment, w którym chłopiec przysięga zemstę, prosząc tego, kto znajdzie zeszyt, by wszyscy, a zwłaszcza Ursula, otrzymali sowitą zapłatę. I to się naprawdę spełniło. Wszystkie dzieci, które wymienia, straszliwie cierpiały w dorosłym życiu, a wychowawczyni, niereagująca na jego krzywdę, pierwsza odeszła z tego świata. Tylko ojca chłopiec chronił. Typowe synowskie oddanie. Ale poza chęcią zemsty i gniewem umierającego dzieciaka własnoręcznie opisanymi w zeszycie jego los był uderzająco podobny do losu Benniego. Tak podobny, że Freyr na razie nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Być może uczyni to później, kiedy pogodzi się z życiem, choć obecnie coś takiego wydawało się wprost niemożliwe.

- Ursulo, dzieci potrafią być bezlitosne. Ale wyrastają z tego i nigdy nie wiadomo, czy później byście się nie zaprzyjaźnili, gdybyś nie zachorowała i nie przewieziono cię do stolicy.

- Powinam była wszystko wyznać. Ale nie miałam odwagi. Zagrozili, że mnie zbiją, powiedzą policji, że to moja wina. Nie ich. A kto by mi uwierzył?

Freyr zbierał się do wyjścia, złożył kartki i wsunął do dokumentacji medycznej Ursuli, którą miał ze sobą. Opowieść Bernodusa znalazła się teraz wśród wykresów i informacji o lekach przepisywanych starej kobiecie. Kobiecie, która już dawno straciła kontakt z rzeczywistością. Może i trudno się dziwić. Niewątpliwie chory umysł nie ułatwiał jej życia z bagażem tego, co się wydarzyło. Codziennie patrzeć, jak koledzy prześladują i obrażają chłopca, z którym łączyły ją więzy przyjaźni, jak krzyczą, że jest brzydki, nieczysty, słuchać wyzwisk, bo nie chciał iść pod prysznic po wuefie. A potem znaleźli sobie inny powód do naśmiewania. Szydźili, że żyje w takiej biedzie, iż jego ojca nie stać nawet na krzyże na grobach jego matki i brata i dlatego wyciął je na plecach syna. Gdy usiłował od nich uciec, popędzili za nim. Pogoń skończyła się w porcie, a tam w panice widział tylko jedno wyjście. Wskoczył na pokład statku, który właśnie związał cumy. Pozostałe dzieciaki stały na molo i obserwowały odbijającą jednostkę. W tym czasie chłopak ukrył się pod płachtą płótna żaglowego i sieciami z obawy, że szyper go zauważy i odstawi na ląd. Według jego opisu najbardziej zabolął go widok Ursuli w gronie prześladowców i fakt, że i ona brała czynny udział w tych okrutnych szykanach, i nie zrobiła nic, aby mu pomóc.

Statek dopłynął do Hesteyri i kiedy szyper opuścił pokład w celu, którego chłopiec nigdy nie poznał, Bernodus postanowił zejść na ląd i zabrać krzyże z grobu swojej matki i brata, żeby udowodnić tym diabelskim pomiotom, że się mylą. Kiedy usiłował oderwać je od grobów, statek odpłynął, pozostawiając go samego w opuszczonej osadzie, w której niegdyś mieszkał. Miał spędzić zimę w wyludnionej wiosce, do której nikt już nie przyjeżdżał.

Długo łudził się, że jednak ktoś przyplynie i go zabierze, że któreś z dzieciaków obserwujących jego ucieczkę opowie o niej, a policja dowie się, dokąd popłynął statek, i zjawi się po niego. Żywił się zawartością muszelek, które znajdował na brzegu, ponieważ ani nie miał żadnych przyrządów wędkarskich, ani nie potrafił

sam ich wykonać. Zamieszkał w swoim dawnym domu. Nie miał odwagi włamać się do innej chaty bo bał się, że będzie miał kłopoty, gdy po niego przyjadą. Ale ziąb, który mocno dawał mu się we znaki, sprawił, że poszukał schronienia w piwnicy, gdzie było najcieplej. Wszystko jednak na nic. Mróz i tam go odnalazł i już nie puścił ze swoich szponów. Tego oczywiście Freyr nie przeczytał, ale opis szerniałych palców lewej ręki świadczył o tym, że były odmrożone. Wdała się w nie gangrena.

– Dlaczego nie znaleźli go wcześniej? – Głos Ursuli się łamał. Lekko ochrypla, bo dawno już tak długo z nikim nie rozmawiała. Czuła się, jakby spadł z niej jakiś straszliwy ciężar. I zdawała sobie z tego sprawę. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „A co, gdyby znaleziono go trzydzieści lat temu? Albo czterdzieści? Czy wówczas ja miałabym normalne życie?”. – Dom stał pusty i nikt go nie odwiedzał przez kolejne dziesięciolecia. O ile wiem, jacyś ludzie, którzy przyjechali tam zimą zabezpieczyć swoje zabudowania, postanowili zabić drzwi i okna domu, ale dopiero przed trzema laty ktoś w nim czasowo zamieszkał. Właściciel pewnie miał słaby wzrok, skoro położył parkiet na klapie do piwnicy, i niewiele brakowało, a chłopaka nie odnaleziono by jeszcze przez wiele, wiele lat. W noc, kiedy umarł, włamał się do szkoły. Zemsta z zaświatów. A potem stale go widziałam. I słyszałam. – Patrzyła Freyrowi w oczy i chyba dziwiła się, że nie widzi w nich bolesnego powątpiewania, do którego przez lata przywykła. – Ale teraz odszedł i już nie wróci. Może chciał, by go znaleziono.

– Może. – Freyr nie miał ochoty przerywać szczerzej opowieści kobiety, tym bardziej że po raz pierwszy, odkąd zaczął się nią zajmować, jako tako się trzymała. Jeśli, ale tylko jeśli, coś go zastanawiało, to fakt, czy ten martwy chłopiec mógł dokonać zniszczeń w przedszkolu? I dlaczego? Kiedy jednak na chwilę popuścił wodze fantazji, pomyślał, że włamanie mogło mieć związek z przyjazdem Lif i jej towarzyszy do Hesteyri. Ale przecież nie było sensu zastanawiać się nad tym. Prawdy i tak nigdy nie pozna. Nie dowie się także, czy to Bernodus nalegał, by odnaleziono Benniego, w nadziei, że wówczas i jego szczątki zostaną odnalezione i odzyska tak długo wyczekiwany spokój. Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, można uznać, że tragedia zakończyła się w miarę szczęśliwie. Poza Ursulą wszyscy, którzy wyrządzili krzywdę Bernodusowi, odeszli do przodków i nic więcej go tu nie trzymało. W każdym razie Freyr miał nadzieję, że oto czarna noc dobiegła końca.

– Jestem zmęczona. – Ursula zamknęła oczy. – Myślę, że dobrze mi się będzie spało. – Odwróciła głowę na poduszce w kierunku Freyra. – To dopiero będzie dziwne.

Jak tyle innych rzeczy. Freyr pożegnał ją i wyszedł. Był zbyt zmęczony, smutny i zamyślony, by zwrócić uwagę na cichy chichot dobiegający z jej pokoju.

Freyr odjechał spod zakładu opieki. Opuścił szybę, by poodychać świeżym

zimowym powietrzem, które go orzeźwiało. Wiedział, że w każdej chwili należy się spodziewać statku ze szczątkami Benniego, i chciał zdążyć na nabrzeże. Niewykluczone, że posiedzi w samochodzie i poczeka, ale to nieistotne. W tej chwili nic nie było dla niego ważniejsze. Gdy przyjechał do portu, rozłożył siedzenie. W skupieniu obserwował fiord, wierząc, że ten malutki punkt na horyzoncie to statek, wiozący utracone nadzieje. Kiedy pozajątwia wszystkie formalności, niewiele mu w życiu zostanie. Praca, jedzenie i spanie – tyle przychodziło mu do głowy. I może jeszcze opieka nad psem, który najwyraźniej nikogo nie obchodził; nie wiadomo nawet, czy wabi się Patti, czy Hvutti, zresztą oba zawołania do niego pasują.

Może weźmie długi urlop bezpłatny i ucieknie daleko od tego wszystkiego, od ludzi i cywilizacji. Pomyślał o domu w Hesteyri, który od lat tonący w morzu mieli przed oczami. Właściciele albo umarli, albo zaginęli. Może da się go tanio kupić? Dzięki temu znalazłby jakiś cel. Doprowadzić dom do porządnego stanu i być może w ten sposób sprawić, że jego negatywna energia zniknie.

Obserwował zbliżający się statek. Powierzchnia morza była jak nigdy gładka, to na cześć Benniego. Gorąca łza spłynęła mu po policzku. W tej samej chwili dojmujący ból opuścił jego duszę i Freyr poczuł się lepiej. Postanowił, że zrealizuje pomysł z domem. Mógłby zabrać ze sobą psa, a może nawet zaprosić Dagny albo tę pielęgniarkę podobną do Lif – ale tylko z wyglądu. Może po jakimś czasie i Sara zechce obejrzeć to miejsce i pogodzi się z nim i z życiem. Gdy przekazywał jej smutną ostatnią wiadomość, jej płacz brzmiał naturalnie; wreszcie zaczęła się żałoba, która z czasem minie. Choć na pewno już się nie zejda, niewykluczone, że zostaną przyjaciółmi, i taki cichy zakątek jak Hesteyri byłby idealnym miejscem, żeby powspominać dobre chwile, które razem przeżyli. Mieli przecież piękne wspomnienia o Bennim, słodkie i bolesne, których nikt im nie odbierze. Jedno jest pewne, obojgu by to dobrze zrobiło.

Postanowił zostać właścicielem domu i właśnie tak to wszystko urządzić.

Katrin obserwowała, jak fale na fiordzie kołyszą łodzią. Stała na brzegu, przez nikogo niezauważona. Czuła się jak pijana. Właściwie nie pijana, raczej beztraska. Wszystko zdawało jej się tak oczywiste. Z przemoczonych ciuchów na śnieżnobiałą ziemię kapłała woda, a ślad ciągnął się wzdłuż domu lekarza, przez mostek, w kierunku domu, jej domu. Za plecami słyszała trzask i chrzęst pożółkłych, suchych roślin, ale nie przeszkadzało jej to. Teraz nic nie było ważniejsze od wściekłości, która się w niej gotowała. Ale to nieważne. Była u siebie i już nic nigdy nie zakłóci jej spokoju. Już ona tego dopilnuje.

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz